

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości

/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena zł 65.—

a

1

1(11)1983

akcent

literatura i sztuka
kwartalnik



- ! J. Barth: LISTY
- ! M. Soltysik: WIELKI SPOKÓJ
- ! T. Chrzanowski: MITY SARMACKIE
- ! M. Rawiński: ONIRYCZNY TEATR WIZJONERSKI

akcent

a

rok IV

nr 1(11) 1983

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

wydawnictwo lubelskie

a

rok IV

nr 1(11) 1983

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

wydawnictwo lubelskie

Redaguje kolegium:
ZBIGNIEW W. FRONCZEK,
JERZY K. MISIEC (sekretarz redakcji),
DOMINIK OPOLSKI, ZOFIA WOJCIKOWSKA,
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny),
BOHDAN ZADURA

VI rok
nr 1(1) 1983

akcent

literatura i sztuka

Wydano przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

PL ISSN 0208-6220
NR INDEKSU 35207

Copyright by Wydawnictwo Lubelskie 1983

SPIS TREŚCI

- Zbigniew Bauer: *Paradoksy „prozy nowych nazwisk”* /7
Stanisław Sadurski: *wiersze* /26
Marek Sołtysik: *Wielki spokój* /30
Piotr Szewc: *wiersze* /58
Sergiusz Sterna-Wachowiak: *„Z istoty w się istoczenie”* /62
Piotr Grauman: *wiersze* /72
Jerzy Sprawka: *Piąty dzień lata* /79
Lech Isakiewicz: *wiersze* /93
Paweł Bytniewski, Włodzimierz Spasiewicz: *„Natura” i „kultura” — dwa paradygmaty filozofii języka* /96
Wojciech Krawczyk: *wiersze* /105
John Barth: *Listy* /108

PLASTYKA

- Tadeusz Chrzanowski: *Sarmatyzm — mity dawne i mity współczesne* /124

TEATR

- Marian Rawiński: *Oniryczny teatr wizjonerski od Strindberga do Artauda* /137

FILOZOFIA

- Izabela Gawarecka: *Jaka jesteś ludzka natura?* /152

NOTY

- Antoni Bednarek: *Synteza kultury polskiej* /163

SŁOWA I METODY

- Jerzy Święch: *Kochaj albo rzuć!* /167

BIBLIOGRAFIA ZAWARTOŚCI AKCENTU OD NR 1 DO 10

ZBIGNIEW BAUER

Paradoksy „prozy nowych nazwisk”

PROZA JAKO ŹRÓDŁO HISTORYCZNE SPRZECZNOŚCI

Kiedy historyk, dziś być może paroletni, zacznie zbierać materiały do syntezy dziejów ery „dynamicznego rozwoju” i studium nad społeczeństwem lat siedemdziesiątych, to oprócz ton szczelnie zadrukowanego luksusowego papieru z przemówieniami, manifestami, uchwałami, dyrektywami i wytycznymi potrzebna mu będzie bez wątpienia półka z literaturą, jaką epoka ta wydała i niewykluczone, że z półki tej wybierze książki napisane przez — dziś trzydziestoparoletniego — własnego ojca.

Kiedy badacz przeszłości będzie chciał zrozumieć, co czuł ojciec w świecie, który jemu wyda się fantastycznie nieprawdopodobny i kiedy zechce pojąć, jak ten świat zjawiał się w świadomości dzisiejszych trzydziestoparolatków, natrafi i na ten strzęp wiersza:

*Atlantolodzy przyszłego czasu
makulatura, czystki, złom
jeśli przetrwają
może nie najlepsze wystawią nam świadectwo,
ale my naprawdę istnieliśmy
— i byliśmy świadomi naszego istnienia¹*

Być może dostrzeże w tym wierszu ślad myśli starszego jeszcze poety, który dopłynął do wymarzonej w latach wojny Ziemi Sprawiedliwej i zadał sobie własnoręcznie śmierć: „zostanie po nas złom żelazny...”

Jeden z rozdziałów pracy, jaką napisze ktoś, kto dzisiaj uczy się wymawiać pierwsze słowa, musi nazywać się „Sierpień”. I jak pogodzi nastrój zimnego lata 1980 roku z pesymizmem poetyckiego listu zostawionego mu przez ojca? Jak pogodzi poczucie pokoleniowej przegranej w wierszu z radością zwycięstwa w świecie prawdziwym? Może tym wnikliwiej zacznie czytać literackie dokumenty, znalezione w odziedziczonej bibliotece? *Historyk kultury, zwracając się ku zjawiskom i procesom masowym, nie znajduje serii dokumentacyjnych, które pozwalałyby śledzić zachowania i odczucia zbiorowe. Następuje przeto waloryzacja materialnych i duchowych śladów przeszłości. W odniesieniu do literatury żywić tu można nadzieje szczególne, ponieważ obraca się ona w kręgu życia codziennego; historyk traktuje wówczas „momenty idealne” jako „momenty rzeczywiste”. Gdy przedmiotem badania są mechanizmy mentalne i zachowania zbiorowe, nie ma zna-*

¹ Ryszard Krynicki: *Makulatura, czystki, złom* w tomie: *Nasze życie rośnie*, Paryż 1978

czenia, czy badamy zjawisko lub zdarzenie, które kiedyś autentycznie miało miejsce, czy też wytwory wyobraźni pisarskiej; zarówno autor, jak i przedstawiony przez niego bohater wpisują się w serię informacyjną, na podstawie której próbujemy odtworzyć sam mechanizm tworzenia wyobrażeń, *sui generis* matryce modelujące odczucia, wrażliwości, obrazy myślowe?

DALSZE SPRZECZNOŚCI. MANOWCE KRYTYKI.

„Dokumentalne” potraktowanie fikcji literackiej wymaga bardzo specyficznej strategii czytelniczej: mimetycznego stylu lektury³, zakładającego, że powieściowy świat naśladuje rzeczy i stosunki zachodzące w rzeczywistości realnej. Innymi słowy — to, co składa się na „materię świata przedstawionego” prozy lub wypowiedzi poetyckiej czytelnik-historyk odbiera jako oznaki stanów i stosunków faktycznych.

Ale mimetyzm lektury nie jest tym samym co mimetyzm utworu literackiego. Nie można traktować na równi „dokumentaryzmu” powieści np. Dąbrowskiej czy Struga i np. prozy Schulza. Historik, poszukujący prawdy o epoce w jej literackim obrazie, musi respektować wpisane w dzieło supozycje jego „użycia”. Musi zwracać uwagę na usytuowanie literackiego przekazu w obrębie konwencji ściśle literackich; mimetyzm lektury jest — jeśli wolno tak powiedzieć — regulowany konwencją, a więc i tym, co powieść sama niejako „sądzi” o własnym mimetyzmie.

Badanie więc konwencji literackich dominujących w danej epoce, badanie literackiego „sposobu mówienia” o rzeczywistości jest płodne dla historyka, który zainteresowany jest procesami i zjawiskami masowymi. Nie tylko fabuły, ale również gatunki literackie czy typy twórczości mówią wiele o stosunkach zachodzących w rzeczywistości realnej: gatunki są wszak spetryfikowaną postacią społecznych sytuacji komunikacyjnych⁴, odbijają wewnątrzspołeczne hierarchie i stratyfikacje, rozkład statusów i ról wśród uczestników aktów komunikacyjnych.

Tak więc wiedza o różnych odmianach i rozumieniach mimetyczności w literaturze (dodajmy, że skali tych odmian i rozumień nie wyczerpuje bynajmniej opozycja „realizm” i „antyrealizm”) jest składową wiedzą o społeczeństwie, o charakterystycznej dla epoki koncepcji człowieka, stawianych przed nim pytań i możliwości dawania na nie odpowiedzi. Zanim fakt zapisany przez literaturę zostanie uznany przez historyka za fakt historyczny — musi zostać przepuszczony przez wiele pryzmatów i filtrów; proste założenie o „mimetyczności” literatury i „mimetyczności” jej odbioru prowadzi do rezultatów zaskakująco naiwnych nawet wtedy, gdy ma się do czynienia z klasycznie realistycznymi powieściami XIX-wiecznymi.

Tym bardziej zastrzeżenia te wydają się konieczne wówczas,

³ Bronisław Geremek: *Fabula, konwencja, źródło*. (w:) *Dzieło literackie jako źródło historyczne*, pod red. Z. Stefanowiczowej i J. Sławińskiego, Warszawa 1978, s. 114

⁴ por. uwagi Michała Głowińskiego w szkicu *Lektura dzieła a wiedza historyczna* (w:) *Fabula, konwencja, źródło*, s. 99

⁵ tak tę kwestię ujmuje Edward Balcerzan w pracy: *„Sytuacja literacka” — propozycja dla poetyki historycznej*, (w:) *Studia z teorii i historii poezji*, pod red. M. Głowińskiego, Ser. 2, Wrocław 1970

gdy zamierza się teksty literatury współczesnej traktować jako źródło wiedzy o rzeczywistych problemach czasu i dostarczycieli elementów do obiektywnego obrazu stosunków i procesów charakteryzujących epokę. Można bowiem łatwo popaść w serię hipostaz i narazić się — na zupełnie zresztą słuszny — zarzut, że działa się wbrew interesom samej literatury.

Starając się przeto odczytać z literatury ubiegłego dziesięciolecia to, co może pomóc w zrozumieniu jego specyfiki, szczególnej dialektycznej gry między tym, jak polskie społeczeństwo jawiło się obserwatorowi a procesami i stanami ukrytymi, zachodzącymi w społecznej świadomości i zbiorowej psychice, należy uwzględnić wspomniane przeze mnie poprawki. Nie mamy bowiem do czynienia z literaturą „realistyczną” w klasycznym XIX-wiecznym rozumieniu, lecz ze szczególną jej odmianą, nie mieszczącą się w sztywnych (bo na klasycznych głównie wzorcach opartych) klasyfikacjach. Odnosi się to do całości formacji tekstów powstałych współcześnie, gdyż nawet utwory pisarzy starszych generacji odstępowały wyraźnie od prostego „naśladowania” rzeczywistości. Szczególnie istotne jednak zastrzeżenia owe są wtedy, gdy przedmiotem refleksji czyni się prozę generacji najmłodszej, debiutującej między 1970 a 1980 rokiem: „nową prozę”, „prozę nowych nazwisk”.

Zagadnienie realizmu (bądź „antyrealizmu”) tej prozy pozostaje wciąż nierozwiązane: sytuacja ta stwarza liczne nieporozumienia i zauważalną bezradność w odczytaniach (i co za tym idzie: w wartościowaniu) tak intencji poszczególnych tekstów, jak całej formacji. Trudno jednakże zgodzić się zarówno z tymi, którzy stosując tradycyjne kryteria oceny, zarzucali „prozie nowych nazwisk” brak realizmu, jak i z tymi, którzy twierdzą, że problem realizmu w odniesieniu do twórczości debiutantów z lat siedemdziesiątych przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Trudno również uznać za płodne wydobywanie z materii powieściowej budowanej przez młodych twórców elementów np. faktografizmu i reportażowości jako koronnego dowodu na „realizm”, albo odwrotnie — śledzenie w tych powieściach struktur „antyrealistycznych”: paraboli, alegorii, groteski. Zagadnienie realizmu bowiem w takich ujęciach zostaje zredukowane do problemu czysto literackiego. Tymczasem „realizm” to zarówno technika pisarska (szerzej: twórcza), jak i postawa wobec świata, światopogląd. W rezultacie takiego zawężenia punktem dojścia w krytycznoliterackiej lekturze okazuje się opis struktury literackiej i poszczególnych jej składników — języka, motywacji, przebiegu fabuły, bohatera, natomiast opis świata fizycznego, realnych stosunków i procesów, jakie widać przez „okno” literatury, jest z reguły wtórny i ogranicza się do dość pustych sformułowań, o „świecie nieludzkim”, „ograniczającym wolność” bohatera, sterroryzowanym przez konsumpcję i kulturę masową. Innymi słowy: opis struktur literackich i opis świata rzeczywistego realizują się wtedy w dwóch niezależnych od siebie językach: języku poetyki, semiotyki, psychologii, psychoanalizy i w języku strywalizowanej ideologii, sprowadzonym do poziomu przekazu gazetowego. Wobec dzieła literackiego krytyk dysponuje zaskakującą „nadświadomością”, zaś wobec świata — który jest wszak „naturalnym środowiskiem” dzieła — zdumiewającą „świadomością potoczną”, wyrażającą się w stereotypowych sądach. Nic więc dziwnego,

że w całości lektury krytycznoliterackiej obie te strefy jawią się jako transcendentne, odizolowane od siebie. Rezultatem takiej lektury musi być wniosek — formułowany w postaci sądu wartościującego — że literatura nie spotyka się z rzeczywistością, nie stanowi jej obrazu, a więc nie chce i nie potrafi podjąć trudu jej zmieniania. I jeśli nawet jest to sąd, z którym trzeba się zgodzić, to nie sposób nie dostrzegać, że został on zbudowany na dość chwiejnych podstawach: na klasycznym schemacie błędnego koła. I na nic wówczas zdadzą się zapewnienia w rodzaju: *Okazuje się więc, że w młodej literaturze nic nie bierze się z powietrza, że większość jej utworów jest sublimacją stanów powszechnych, nie zwerbalizowanych, może nawet nie w pełni uświadomionych*⁸. Stwierdzenie to podpira krytyk publicystycznymi omówieniami rezultatów badań socjologicznych nad młodzieżą, głównych wątków subkultury młodzieżowej i nurtów w tzw. kontrkulturze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Docieramy do genezy wspomnianego już paradoksu: istnienie (i wartość) jakiegoś faktu kulturowego jest motywowane istnieniem (i wartością) innych kulturowych faktów. Zamiast relacji między dziełem a rzeczywistością opisuje krytyk związek między dziełem a innymi tekstami kultury: intertekstualność więc usprawiedliwia zaistnienie dzieła. Opisuje się przeto nie rzeczywistość, ale kulturę: kultura ma kształt i charakter asyryjskiego węża, wyjaśnia samą siebie; powieść komunikuje... konwencję, w jakiej ją napisano. Paradoks ten dotyczy nie tylko krytyki, ale — o czym piszę dalej — samej literatury.

Powyższe uwikłania są zresztą widoczne doskonale na przykładzie pojęć, którymi krytyka literacka posługuje się przy najrozmaitszych okazjach: „język” i „świadomość”. „Język” jest dla krytyki swego rodzaju fetyszem, zastępującym wiele rzeczy naraz: mówi się o języku „prawdziwym” i „fałszywym”, o „języku rzeczywistości”, a rozwój „struktur językowych” utworu ma decydować o jego oryginalności i kwalifikować go albo do nurtu rewolucyjnego, albo umieszczać wśród konserwatywnych rupieci literackich. Mówi się „język”, gdy tymczasem chodzi o politykę, konflikty społeczne, ograniczenia nakładane przez system społeczny na jednostkę itd. I, jak słusznie zauważa krytyk: *Sam język nie niesie w sobie żadnych wartości, dopóty, dopóki nie skonstatujemy, co jest za jego pomocą mówione*⁹. Chociaż krytycy, zafascynowani problematyką języka literatury chcą opisywać jej język ż y w y, to de facto piszą o language, o językowym systemie, czyli o tworze czysto teoretycznym. Znow — nie o rzeczywistości, tylko o pewnym kulturowym tworze.

„Świadomość” zaś, to pojęcie używane bez zwracania uwagi na tę oczywistość, że świadomością jest zawsze świadomością „czegoś” oraz świadomością „czyjaś”. Opisuje się pozornie świadomością — a w rzeczywistości mówi się np. o ideologiach, które są, jak wiadomo, świadomością stymulowaną kulturowo czyli — idąc za Marksem — świadomością fałszywą.

Tu pewna dygresja: skrócona perspektywa krytyki literackiej, o jakiej mówię, jest wywołana sytuacją we współczesnej humanistyce, która ukazuje się — generalizując i tym samym nieco upraszczając — zbiorem odizolowanych od siebie metodologii, strategii poznawczych i algorytmów opisu rzeczy-

⁸ Leszek Bugajski: *Rozziew. (w:) Licytacja. Szkice o nowej literaturze*, Warszawa 1981, s. 128

⁹ Andrzej W. Pawluczuk: *Krytyka krytyki. (w:) Licytacja*, s. 383

wistości. Wąsko „metodologiczne” zorientowanie krytyki literackiej, która wszak w równej mierze winna być sztuką co nauką, sprawia, iż każdy obiekt jej zainteresowania, podobnie jak każde narzędzie, którym się posługuje ulega specyficznemu uprzedmiotowieniu, unieruchomieniu. Można np. napisać tysiące poprawnych metodologicznie artykułów lub recenzji, w których centralnym tematem będzie „język” powieści, nie precyzując nigdzie, o czym powieść ta chce i umie w danym języku mówić. Sprawności metodologicznej nie towarzyszy poznawcza odkrywczność: celowali w tym zwłaszcza krytycy skupieni wokół tygodnika „Literatura”.

Tak więc krytycznoliterackie sądy na temat „realizmu” w prozie „nowych nazwisk” mówią raczej niewiele, podobnie jak pojawiające się od czasu do czasu próby teoretycznoliterackiego oświecenia tego problemu. Trudno również uznać za miarodajne pojawiające się regularnie w tygodnikach dyskusje o prozie, prowadzące do wniosku, że temat współczesny i literacki portret współczesności są w tej prozie nieobecne. W narzekaniach tych skupiają się zrodzone w wieku XIX wyobrażenia o literaturze wychowującej, literaturze przewodniczącej narodowej, a jednocześnie literaturze — zwierciadło przechadzającym się po gościńcu.

JESZCZE O REALIZMIE UROK RÓZNORODNOŚCI.

Wróćmy jednak do zasadniczego tematu tego szkicu, a więc do problemu przydatności literatury ostatniej dekady jako źródła wiedzy o dylematach tego okresu wyrażających się w zjawiskach i procesach masowych. Napisałem już, że określenie stopnia tej przydatności jest nieodłączne od problemu realizmu samej literatury i od krytycznoliterackich kłopotów, jakie realizm ów sprawia.

Tych kłopotów ja również nie jestem w stanie przezwyciężyć: jestem świadom tego, że poszukując w „prozie nowych nazwisk” odbicia konfliktów minionej dekady również popełniam błąd hipostazy: nie da się bowiem w sposób bezsporny udowodnić, że pisarze nowej generacji chcieli i akurat te konflikty opisywać, że w ogóle właśnie to jest zadaniem literatury.

Pewnym usprawiedliwieniem jest tu publicystyka i praktyka piarska Nowej Fali, która w znacznej mierze zdeteminowała — w różny, co prawda, sposób — postawy twórcze całej generacji, a *Świat nie przedstawiony* Kornhausera i *Zagajewskiego* jest w całości manifestem realizmu, wobec którego — aprobatywnie lub negatywnie — określa się całe pokolenie.

Manifestem realizmu — ale jakiego? Oczywiście wywiedzionego nie z klasycznej definicji mimesis i nie z arystotelesowskiego określenia prawdopodobieństwa i prawdziwości w literaturze. Realizm Nowej Fali jest wsparty na pojęciu prawdy — ale nie logicznym czy epistemologicznym, tylko prawdy etycznej. Postulat „mówienia wprost” to nie reguła warsztatowa (odrzuć stereotypy, skupienie się na faktach, rejestracja rzeczywistych zdarzeń) ale imperatyw etyczny, określający status pisarza wobec rzeczywistości. W *Świecie nie przedstawionym* realizm nie oznacza sposobu budowy utworu — ale postawę jego twórcy. Być realistą znaczy: mówić prawdę, poszu-

kiwać jej, pokazywać jej uwikłania, śledzić jej społeczny obieg. Realizm to dyrektywa dla intelektualisty. W niezbyt zauważonym przez recenzentów i dyskutantów szkicu *Księżniczka na grochu* autorzy *Świata...* pisali: *zadaniem intelektualisty jest w równej mierze myśleć, jak i nauczać, odkrywać, ale równocześnie udostępniać wyniki tych odkryć innym. Nadawać im obieco społeczny. Intelektualista jest bowiem myślicielem i nauczycielem równocześnie, jest kimś, kto otrzymuje społeczne zaufanie jako zadatek na myśl, którą upowszechni. Od społeczeństwa intelektualista otrzymuje także język, język ten, po wzbogaceniu go w procesie myślenia, powinien społeczeństwu zwrócić. (...) Dotychczasowa historia naszej kultury zdawała się świadczyć o tym, że myśl nasza jest nierozpuszczalna, nie nasyci literatury, nie ożywia oświaty, nie pobudza nauk humanistycznych i obca jest inteligencji. Oswojenie tej myśli i nadanie jej dalekosiężnej transmisji społecznej — oto zadanie intelektualistów⁷.*

W *Świecie nie przedstawionym* dochodzi do głosu bliska Żeromskiemu wiara w „świat jako zadanie dla inteligencji”. Trzeba pamiętać, że cała „proza nowych nazwisk” ogląda rzeczywistość z perspektywy inteligenta — młodego plastyka, dziennikarza czy naukowca, niezależnie od tego, czy uczyni go współuczestnikiem wydarzeń toczących się w świecie społecznym, czy też wyznaczy mu miejsce biernego świadka, outsidera i niezależnie od społecznego rodowodu takiego bohatera. Każdy wybór postawy jest związany z określonym wyborem moralnym i motywowany jednocześnie doświadczeniem, biografią, rodzajem edukacji, swoistą sumą spotkań ze światem. Najczęściej jest to doświadczenie negatywne. O ile jednak w powieściach obu autorów *Świata...*: *Ciepło, zimno* Zagajewskiego (1975) i — nieco mniej wyraziście — w *Kilku chwilach* Kornhausera (1975) wybór ostatecznej postawy bohaterów jest jasny, gdyż powieści niejako służą jego uzasadnieniu, to w utworach młodszych debiutantów dekady postawa bohatera nie musi już być motywowana: tu punktem wyjścia jest to, co w obu wymienionych wyżej powieściach było punktem dojścia. Działania bohaterów mają — na zasadzie enumeracji — uzasadniać początkową tezę: słowa o świecie jako zadaniu dla inteligencji są całkowicie puste. Bohater powieści Kornhausera i Zagajewskiego bliższy jest wzorcowi człowieka faustycznego, który wszakże nie znajduje chwili, którą chciałby przedłużyć. Bohater pozostałych utworów z kręgu „prozy nowych nazwisk” to — jak zauważano często — „picaro”, szukający nie tyle potwierdzenia własnej osobowości, co własnej izolacji od świata. Ta izolacja nigdzie i nigdy nie zostaje naruszona, więcej: jest autentyczną wartością.

W podstawowym dla nowofalowej koncepcji „realizmu” punkcie: wyborze bohatera, następuje rozdźwięk między pierwszą (a więc właśnie „nowofalową”) i drugą (zjawiającą się po 1975 roku) konstelacją tekstów „prozy nowych nazwisk”. Bohatera prozy Zagajewskiego tylko pozornie wiele łączy z bohaterem powieści np. Andermana⁸: w rzeczywistości są to dwie zupełnie różne konstrukcje, dwie odmienne osobowości i dwa różne systemy wartości. Tymczasem wielu krytyków starało się łączyć obu tych bohaterów stosując wobec nich te same kryteria.

⁷ *Świat nie przedstawiony*, Kraków 1974, s. 131

⁸ por. np. Michał Boni: *Psychologia złudzeń. Krytyka sytuacji młodej literatury*. (w:) *Licytacja*, s. 74

Dochodząc do wniosku, że literatura nowych nazwisk nie zamierzała ani odbijać, ani zmieniać świata, w którym powstawała... usprawiliwiamy izolacjonizm, którego jeszcze nie dowiedliśmy. Pytanie o to, czy w powieściach tych znajdziemy „zwinęte” albo przetworzone i zredukowane do innego wymiaru konflikty czasu, czy można odszukać w nich „przezcucie” kierunku procesów zachodzących w życiu społecznym i jednostkowym jest konieczne chociażby z historycznoliterackich powodów. Wykrycie związków między literaturą a światem społecznym jest wszak jednym z podstawowych warunków jej rozumienia. Nie widzę także usprawiedliwionych powodów, by mówiąc o „prozie nowych nazwisk” rezygnować z tradycyjnego wzorca literatury „na służbie społecznej” — literatury odbijającej, a zarazem pozwalającej lepiej rozumieć polityczną, społeczną czy też w kategoriach psychospołecznych ujmowaną rzeczywistość. Ten postulat nigdzie nie został zakwestionowany: znajdziemy go w wypowiedziach pisarzy i krytyków różnych orientacji światopoglądowych i wiernych różnym metodologiom.

Reasumując to, co napisałem dotychczas, chciałbym zwrócić uwagę na fakt, iż wielu krytyków pisząc o „prozie nowych nazwisk” starało się za wszelką cenę udowodnić jej zakorzenienie w problematyce współczesnej w ten osobliwy sposób, iż sądy o świecie wyprowadzone z literatury traktowali oni jakby były sądami wyprowadzonymi z rzeczywistości, sformułowanymi w porządku ideologicznym, nie zaś literackim. Powstawało w ten sposób typowe wnioskowanie „idem per idem”: utwór literacki jest prawdziwy dlatego, że prawdziwie mówi o rzeczywistości. W krytyce tymczasem nie funkcjonował żaden, w miarę spoisty, obraz rzeczywistości niezależny od literatury, żaden ustalony zbiór sądów o świecie i człowieku, który byłby stałym układem odniesienia dla omawianych książek. Przeciwnie: układ taki tworzone na użytek opisu danej książki i jak gdyby traktując ją jako swoiste źródło. Wytworzył się w ten sposób wzorzec łagodnego przyzwolenia dla każdej wizji rzeczywistości, swoista „ulgowa taryfa”, dzięki której udawało się wybronić wszystkie naiwności i pływaczność, wszystkie stereotypy i mitologie „prozy nowych nazwisk”. Co zabawniejsze — czynili to ci krytycy, którzy z zacięłością bronili tezy, że literatura nie ma żadnych obowiązków wobec świata społecznego.

CHAOS. MIT CHAOSU.

Myślę, że teraz, w połowie 1982 roku, można ze znacznie większą pewnością mówić o takim układzie odniesienia dla prozy tamtego dziesięciolecia. Tym układem jest Sierpień — nie tylko jako wielkie wydarzenie polityczne, o jakim marzyły dwa co najmniej pokolenia pisarskie, wydarzenie nieporównywalne ani z wiosną 1968, ani z wypadkami grudniowymi 1970. Sierpień to moment ujawnienia, odsłonięcia skrywanych, albo nawet nieświadomych stanów, reakcji, postaw społecznych i jednostkowych, a zarazem sprawdzian głębokości zmian zachodzących w społeczeństwie, człowieku, kulturze. Eksterioryzacja tego, co ukryte, dokonująca się głównie na płaszczyźnie życia zbiorowego, a zarazem szansa zobaczenia siebie samego przed wielkim lustrem — to właśnie znaczenie Sierpnia.

Krytyk, piszący to w 1982 roku znajduje się w sytuacji

znacznie „wygodniejszej” niż ktoś, kto podejmowałby się analogicznych rozważań parę lat temu czy nawet rok temu. W szkicu tym sięgam często po cytaty z tekstów krytycznoliterackich zebranych w tomie *Licytacja* wydanym na początku 1981 roku, gdyż dobrze — jak sądzę — oddają one zarówno „stan ducha” i wiedzy o polskiej rzeczywistości krytyków mojej własnej generacji zanim jeszcze wybuchło lato 1980 i dokumentują granice możliwości ekspresji owego stanu: granice zakreślone głównie przez wewnętrzznego cenzora, pracującego w podświadomości piszących.

Dlatego w 1982 roku przywołuję pytanie zawarte właśnie w jednym z tekstów ze wspomnianego tomu: *Czy otaczający świat, instytucje ideologiczne, atmosfera umysłowa sprzyjają pytaniu o podmiot polskiej rewolucji świadomości oraz jej kierunek? Czy stwarzają warunki dla twórczego przekształcania kategorii psychologicznych w kulturowe, indywidualizmu we właściwie pojmowany kolektywizm, socjalizmu z przypisów i transparentów w socjalizm wewnętrzny, choć nie defetystyczny? Czy jest możliwe pokonanie marazmu i bezruchu, aluzyjności mającej zastępować ostre formułowanie problemów oraz salonowego estetyzmu spełniającego funkcje zastępcze wobec niedoszłych działań politycznych? (...) Pytanie o wizję demokratycznej i uspołecznionej kultury jest pytaniem o sankcje polskiej rewolucji świadomości. Czy można je przenieść na sprawy młodoliterackie? Czy należy go poszukiwać w lekturze nowych powieści?*⁹

Pytań stawianych z taką otwartością próżno by szukać w „prozie nowych nazwisk”, choć trudno zaprzeczyć, by proza ta — a cytowany fragment jest chyba dobrym przykładem — do ich stawiania nie prowokowała. Jak to możliwe?

W najbardziej wnikliwych i najmniej protekcyjnych lekturach krytycznoliterackich tamtego okresu dominuje — jak sądzę — poczucie braku jakiegoś „ostatniego słowa”, świadomość „pustych miejsc” w literackim opisie rzeczywistości, przekonanie o pogłębianiu się rozdziewu między prawdziwym stanem społeczeństwa a literaturą młodych, brnącą coraz bardziej w aluzyjność, w konwencje, w formalizmy. Nigdzie jednak, w żadnej wypowiedzi krytyka nie spotkałem próby scalania jego własnych poglądów na świat w pewną koncepcję rzeczywistości, jednorodną i oryginalną. Poczucie coraz głębszego kryzysu nie zmieniło się w opisie jego źródeł. Owszem: mówiono o „rozpadzie osobowości”, „zaniku wartości”, „chaosie”, „przerażającym świecie masowej kultury”, o „rozdarciu” między sferą oficjalności i prywatności w życiu jednostki i społeczeństwa. Nigdzie jednak nie udało się piszącym wykroczyć poza rejestrację symptomów i odniesienie ich do literackich fabuł. Ja sam nie jestem wolny od tego grzechu. Można to tłumaczyć w znacznej mierze działaniem ograniczeń cenzuralnych i zasady obowiązującej w publicystyce (a więc także krytyce literackiej), że należy unikać wszelkich generalizacji. Pisanie o rzeczywistości lat siedemdziesiątych było uwikłane w swoiste „przedmioty zastępcze”, wśród których znajdowała się także literatura, poezja, powieść. I być może dlatego, po Sierpniu, tak wielu krytyków literackich odeszło od pisanie o literaturze w stronę publicystyki wyraźnie politycznej czy społecznej, odnajdując w tym czas „utracony” na opisy świata przetworzonego przez literaturę.

⁹ tenże, loc. cit. s. 87 i 98

Ale również w takiej publicystyce autorzy ci nie wyzbyli się jakby „skażonego” przez literackość oglądu świata, zachowali punkt widzenia wyznaczony przez wcześniej uprawianą dyscyplinę, redukując z kolei socjologię do psychologii, starając się pisać o polityce w kategoriach moralnych, ideologicznych. Nie chcą wartościować, czy było to słuszne czy nie — wskazują jedynie samo zjawisko.

Podstawą opisu rzeczywistości przedstawionej w literaturze, a poprzez nią — opisu rzeczywistości realnej, była teza o nieprzejrzystości świata: psychiki ludzkiej, społeczeństwa, polityki, kultury. Ale nie była to nieprzejrzystość systemu: świat bowiem jawił się pisarzom jako chaos: *Pisarze zaliczani do nowej prozy tak właśnie piszą (...) że świat, który codziennie ich otacza, wydaje się być coraz bardziej odległy i coraz mniej dostępny dla ludzkiego zrozumienia i działania*¹⁰.

Nie jest to doświadczenie nowe, właściwe temu tylko pokoleniu i charakterystyczne dla rzeczywistości polskiej. „Proza nowych nazwisk” podjęła wątek kryzysu cywilizacyjnego obecny w całej sztuce i humanistyce dwudziestowiecznej, przetworzony i wzbogacony o najnowsze dokonania artystyczne i badawcze. Ortega y Gasset czy Herbert Marcuse to zaledwie sygnały wywoławcze dla tego kierunku refleksji. Obok nich zjawiają się myśli i prace z kręgu kulturalistów amerykańskich (zwłaszcza Ericha Fromma), egzystencjalizmu w jego odmianie personalistycznej, krytyków ideologii (choćby Daniel Bell i jego *The End of Ideology*) i kultury masowej. Marksizm dostarcza tu przemyśleń dotyczących zagadnienia mechanizmów alienacyjnych, „fetyszyzmu towarowego”, ideologii jako świadomości fałszywej itd. Należy do tego dołączyć teoretyków i ideologów ruchów kontestacyjnych na Zachodzie.

Przez taki właśnie filtr — złożony i nie zawsze pasujący do naszych realiów — nowa generacja ogląda własną rzeczywistość i własny „chaos”. Nie miałyby to żadnych poważniejszych konsekwencji gdyby nie fakt, że owo przeświadczenie o chaotyczności własnego świata, degradacji człowieka, kultury, podstawowych wartości humanistycznych nie stało w sprzeczności z oficjalnie głoszoną tezą o „dynamicznym rozwoju”, „dalszym postępie” — z tezą o świecie doskonale urządzonym, niezmiennie zdążającym do dobrobytu i wyzwolenia człowieka. Postawa tej generacji zostaje „upolityczniona” poprzez jej kontekst — wbrew woli przedstawicieli samej „prozy nowych nazwisk”; staje się „opozycyjna”, chociaż, przynajmniej w pierwszej połowie dziesięciolecia opozycyjność ta nie ma jeszcze żadnych politycznych implikacji, nie zamienia się w określony typ działań. *Należą oni [tzn. autorzy „nowej prozy”, przyp. mój, Z. B.] do pokoleń pozbawionych wiary w możliwość uniknięcia ludzkiego upodlenia i w potrzebę jakiegokolwiek kolejnej próby naprawy świata. (...) oznacza to, że sami nie wiemy, co widzimy, czujemy, często nie wiemy nawet, o czym myślimy. Nie można w takiej sytuacji powiedzieć niczego jednoznacznego (o czym chyba wszyscy marzymy), nie można nawet sformułować pytań, bo nikt nie zagwarantuje nawet cienia sensu w możliwych odpowiedziach*¹¹.

Jest to chyba najbardziej dobitne potwierdzenie agnostycyzmu właściwego całej omawianej generacji. Nic więc dziw-

¹⁰ Donat Kirsch: *Elaborat — debiuty lat siedemdziesiątych*. „Twórczość” 9/81, s. 76—80

¹¹ tamże

nego, że „proza nowych nazwisk” prawie całkowicie rezygnuje z operowania jakimikolwiek kategoriami ponadindywidualnymi, takimi jak „społeczeństwo” („naród”), „historia”, „polityka”. Wydaje się być ostatecznie przekonana, że świat społeczny w jakiegokolwiek postaci jest bezwartościowy: nie może w żaden sposób wzbogacić ludzkiej osobowości, zaś ludzka osobowość nie jest w stanie wywrzeć na społecznym świecie jakiegokolwiek wrażenia, zmienić kierunku jego zmian, zaznaczyć go własnym piętnem. Obie strefy są oddzielone aksjologiczną próżnią, a każda próba wzajemnej komunikacji musi zakończyć się nieuchronnie porażką.

To jest punkt wyjścia — jak napisałem już: ani oryginalny, ani charakterystyczny dla polskiej tylko rzeczywistości. Wspólny punkt wyjścia dla arcydzieł, ale także dla nieudanych lub komercyjalnych twórców kultury XX wieku.

Jako swoistą reakcję na chaotyczność i niepoznawalność rzeczywistości należy potraktować wyodrębnienie się z formacji „nowej prozy” pisarzy kreacjonistów (Marek Sołtysik, Marek Słyk, znacznie wcześniej — Jan Drzeżdżon), tworzących własne światy z materii fantastycznej, baśniowej, z materii snów albo fantastyczno-naukowych utopii. Co charakterystyczne: pisarzy tych przeciwstawiano „realistom” (Janusz Anderman, Ryszard Schubert, Michał Jagiello i inni), nie precyzując jednak, o jakie istotne prawdy rzeczywiste bogatsza jest proza pisana przez tych ostatnich i nie zauważając, że w sztucznym, wykreowanym świecie bohater literacki czuje się tak samo i tak samo działa, jak w świecie „realnym”.

Sposób widzenia rzeczywistości obecny w „prozie nowych nazwisk” wyłonił się — jak sądzę — jako alternatywa wobec „nowofalowej” koncepcji człowieka i twórczości: koncepcji akcentującej mocno społeczną funkcjonalność przekazu literackiego. Przy takim wychyleniu na zewnątrz w sprawy publiczne i polityczne, w tak gorączkowym napięciu spala się wszystko, co inne. Pozostaje płomienny trybun. Człowiek zredukowany do jednej tematyki, który jednak w jakimś stopniu opuścił swego czytelnika. Nowa Fala w żaden sposób nie zbliżyła nas do świata¹². Debiutanci (mówię tym razem o debiutujących w połowie lat siedemdziesiątych poetach) zwracają się ku temu, co jednostkowe, wyłączone, prywatne. (...) dążą do uświadomienia prymarności przeżycia egzystencjalnego¹³.

Przekonanie o niewystarczalności czy wręcz mylności koncepcji literatury zgłaszanej przez Nową Falę towarzyszy narodzinom ruchu tzw. „nowej prywatności”, zapoczątkowanego przez grupę poetów gdańskich (Stefan Chwin, Stanisław Rosiek, Władysław Zawistowski). Jeden z przedstawicieli tego ruchu pisze: *Wyjście poza dwuznaczność, bo pozbawioną własnych wartości wspólnotę pokoleniową to tylko początek wewnętrznego ruchu, który prowadzi do odrodzenia, a następnie — co jest ostatnią fazą — do społecznego działania. Wcześniej jednak gest zerwania powinien być wielokrotnie ponawiany. Przewyciężyć pokusę łatwej i rozgrzeszającej identyfikacji z każdym „my”. Zdobyć się na odwagę nieuczestniczenia w żadnym „my”. Choć przez chwilę poczuć się kimś samotnym (z wyboru, z własnej woli) i pojedynczym. Wyjść poza wszelkie skupiska i agregaty społeczne. Wyzwolić się spod ciśnienia*

¹² W. J. Ziemiński: *W Pierwszej Osobie Liczby Pojedynczej*, (w:) *Debiuty poetyckie 1976*, Warszawa 1977, s. 70

¹³ Anna Czekanowicz: *Raczej nie...* tamże, s. 57

ciężkich struktur społecznych i z pajęczych sieci związków intymnych. Poczucie, że nie chroni nas już żadne „my”, że jest już tylko „ja”¹⁴.

TYLKO „JA”. ODMOWA. AGRESJA.

„Nowa prywatność” — jak wynika z tego, reprezentatywnego chyba, cytatu — nie traciła z oczu konieczności „społecznego działania”, które zamierzała jednak poprzedzić „rewolucją wewnętrzną”, „odzyskaniem siebie”. Chciała w ten sposób uniknąć wszelkich zewnętrznych interwencji przyspieszających lub hamujących ową rewolucję: rewolucji się wszak nie robi, one przychodzą same... Można to rozumieć jako poszukiwanie spełnienia koniecznego warunku dla podmiotowego, w pełni świadomego wyboru uczestnictwa w życiu społecznym. W istocie więc „nowa prywatność” zmierzała w tym samym kierunku co Nowa Fala, choć swoją drogę zaczynała z innego miejsca. Nowa Fala formowała swoje programy w Utopię Polityki — „nowa prywatność” wołała Utopię Nowej Osobowości. Nowa Fala poddawała ludzką aktywność serii prób, dających jej — negatywne — doświadczenie. „Krań „nowej prywatności” owo negatywne doświadczenie przyjmował jako swoisty pewnik. W jej programach znaleźć można (nie wiadomo, na ile świadome) echa Mannheimowskiej *Ideology and Utopia* i przeświadczenie, że tylko outsiderzy — intelektualści, odrzuciwszy związki lojalności i przynależności do innych grup, zdolni są trafnie diagnozować społeczeństwo.

Myślę, że krań „nowej prywatności” zbliżył się bardzo do rozpoznania podstawowych problemów rzeczywistości polskiej lat nie tylko siedemdziesiątych. Zabrakło tu wszakże konsekwencji we wnioskach z własnych obserwacji. „Nowa prywatność” bowiem nie odsłania przyczyn depersonifikacji świata, źródeł moralnego kryzysu, przechodząc od razu do budowania alternatywnej koncepcji życia w społeczeństwie: koncepcji „świadomej samotności”. Nie chciała uprawiać krytyki rzeczywistości. Akcentując tak mocno rolę „świadomości jednostkowej” zignorowała znaczenie świadomości społecznej. Jej indywidualizm — wbrew intencjom twórców programu — nie pozwalał rozpoznać coraz wyraźniejszych sygnałów nadchodzącego przelomu.

Autorzy kręgu „nowej prozy” upominali się o człowieka — by tak rzec — „bez przymiotnikowego”: ani „pracującego”, ani „społecznego”. O prawa ludzkiej osoby. Bohaterem jej był Każdy — Everyman, Jedermann; określeń tych krytyka używała zwłaszcza w odniesieniu do obu książek Andermana. Dążąc do uniwersalizmu prozaicy nowej generacji popadali w sprzeczność, gdyż zasadniczą materią twórczości czynili własną biografię. *Podstawowy wymiar odczuwania historyczności w nowej literaturze stanowi indywidualna biografia. (...) Brak w myśleniu społecznym głęboko krytycznej postawy wynika zarówno z braku samorządowych instytucji, jak i braku zbiorowej wyobraźni wykraczającej poza codzienność, sięgającej w daleką przyszłość. Dlatego biografizm młodej prozy nosi cechy prywatno-osobiste, a nie społeczno-*

¹⁴ Stanisław Rosiek: *A ja dokąd?* (w:) *Licytacja*, s. 23; por. również Stefan Chwin: *Kilka pytań w sprawie życia prywatnego*, „Punkt” 1977, t. 2

-osobiste¹⁵. Nie zawsze próba przeniesienia jednostkowych doświadczeń na płaszczyznę uniwersalną okazywała się możliwa: indywidualny los nosi przecież zawsze mniej lub bardziej czytelne ślady uwikłań w bardzo precyzyjnie zakreślone „tu i teraz”. Śladów tych nie można było usunąć: pisarze nowej generacji starali się więc odebrać im jakiegokolwiek znaczenie lub potraktować jako manifestacyjne zerwanie z „realizmem” dopisywanym do ich utworów przez krytykę. Lokalizacja akcji powieści w konkretnym mieście, środowisku, wśród osób, które można było w każdej chwili zidentyfikować — to była swoista prowokacja wobec krytyki i czytelników, którym mówiono w końcu, że owe faktograficzne „wtrety” są mało istotną aplikacją.

Dlatego być może obraz Polski, jaki tworzy się w trakcie lektury kilkunastu powieści kręgu „nowej prozy” to obraz składający się z takich aplikacji — ze strzępów, symboli, przedmiotów zastępczych. Nic więc dziwnego, że krytyka oczekująca od literatury diagnozowania konkretniej rzeczywistości czuła się zawiedziona — zarówno zawężeniem pola obserwacji jak i jej powierzchownością. Ta „sylwiczna” czy też „mozaikowa” technika pokazywania rzeczywistości została doprowadzona do granic stosowania w *Stręczyteliu idei* Kornhausera. Ale znów: nie jest to propozycja nowa. Analogicznie postępował Jerzy Andrzejewski w *Miazdze*, choć ze skutkiem daleko bardziej udanym.

Świat zatem składa się ze znaków, śmietniska znaków — już nawet nie symboli. Z rytuałów, którym odjęto obecność bóstwa. Nie jest nawet teatrem, gdyż „udawanie kogoś innego” nie tworzy przed żadnym widzem iluzji prawdy, nie zaskakuje. Świat społeczny jest wielkim kłamstwem, a raczej wielką Próżnią. I cokolwiek się w nim zdarzy, nie może zmienić, zaskoczyć, ani nawet zdziwić człowieka, który przezeń wędruje. Zostaje mu sama tylko wędrówka, wieczne podróżowanie, choć nie ma już Graala, którego mógłby znaleźć.

Pozostaje tylko bierna rejestracja kolejnych zdarzeń, etapów tej coraz bardziej absurdałnej wędrówki. Pozostaje ucieczka w siebie, we własny „czas pokładowy”, jak zrobił to Lemowski Pirx.

Można oczywiście założyć, że prywatyzacja życia była rodzajem taktyki obronnej wobec coraz bardziej wrogiego i ponuro-groteskowego świata, ale w żadnym z tekstów należących do młodoliterackiej formacji nie sposób znaleźć przynajmniej cienia nadziei, że uda się rzeczywistości opartej na związkach międzyinstytucjonalnych, na bezduszności i odczłowieczeniu przeciwstawić sieć związków międzyludzkich, odkrycie „drugiego człowieka”, przyjaźń, solidarność, miłość wreszcie. Ślady takich prób odkrywa się czasem w prozie Marka Sołtysika czy Donata Kirscha (u tego ostatniego jednak są one uwikłane w inną problematykę). Ten „drugi” był nieodmiennie „obcym”, przychodził z zewnątrz, musiał więc grać i oszukiwać — wobec tego należało grać również przed nim, oszukiwać go i zdradzać (takie kontrpartnerskie układy widać w prozie Andrzeja Pastuszka i Janusza Andermana).

Przyjaźń czy solidarność wymagają bowiem minimum akceptacji, tymczasem każda akceptacja — w rozumieniu

¹⁵ Michał Boni, loc. cit. s. 74—5; por. także: Jan Pleszczachowicz: *Proza młoda — proza młodych*, „Student” 26/78

pisarzy tej generacji — jest skażona naiwnością, uniemożliwia zajmowanie — rzekomo płodnej poznawczo — postawy „nieufnej”. Ani dom, ani miłość, ani przyjaźń: wszystko jest oszustwem, wszystko trąci fałszywą stabilizacją, mieszczańskim konsumizmem, ciepłkiem „rodzinnego grona”, w którym patos uczuć miesza się z trywialnością codziennego życia. Rezultatem każdej nieudanej próby komunikacji ze światem musiał być bunt, nieukierunkowana, bezsensowna agresja. Krytyk pisze o bohaterze Andermana, iż jest on osobnikiem, który nie odczuwa potrzeby nawiązania z ludźmi jakiegokolwiek kontaktu emocjonalnego. Nawiązuje jedynie kontakty instrumentalne, to znaczy drugi człowiek potrzebny jest mu na tyle, na ile potrafi być użyteczny (...) i dodaje: *To prawda, świat jest agresywny i musimy się sporo napracować, aby ochronić swoją tożsamość, ale nie dotyczy to tych rejonów rzeczywistości, po których porusza się bohater „Gry na zwłokę”*¹⁶.

Jeśli bowiem świat uważamy za chaos, to trudno wydzielić w nim te „rejon”, w których tożsamość ludzka jest poddana najcięższym próbom i najbardziej narażona na dezintegrację, trudno ustalić hierarchię zagrożeń istotnych i fikcyjnych: wszystko jest i może być uznane przez bohatera podobnego do tego, jakiego kreuje Anderman, za „zagrożające” suwerenności jego „ja”. Ale agresywność wobec świata i demonstrowana przy każdej okazji nienawiść do konsumpcji i „mieszczaństwa” nie idzie w parze z krytyką konsumpcyjnego modelu życia i restytuujących się w polskiej rzeczywistości mieszczańskich wzorów. Nie idzie też w parze z odsłonięciem jakichś rewelacyjnych prawd o człowieku: materia „fabułowicza”, konieczność budowania *z d a r z e ń*, wyznaczanie punktów zetknięcia się bohatera ze światem, dających mu okazję zademonstrowania gestu odmowy pochłaniają niemal w całości energię pisarzy. Prawdy zaś o człowieku, losie, sztuce, społeczeństwie wypowiedane przez nich należą z reguły do filozoficznych banałów lub też kontynuują tradycję artystowskiego buntu przeciw „filistrom”. Dyskusje o „nowej prywatności” i koncepcja życia zawarte w „prozie nowych nazwisk” odsłaniają jedynie pewną metodologię poznawania rzeczywistości i człowieka. W większości wypadków jednak to, co miało być środkiem do osiągnięcia celu — staje się samym celem.

Dzieje się tak dlatego, że pokolenie, do którego należą omawiani pisarze, nie posiada żadnej własnej koncepcji integracji jednostki ze światem: wzory lansowane oficjalnie są kwestionowane. Model „aktywisty” i model „kariery” są anachroniczne, nie wyczerpują się w nich ambicje nowoczesnego człowieka i nowoczesnego społeczeństwa. A co się wyczerpuje?

Związek z grupą, solidarność z innymi ludźmi w pewnych warunkach zamienia się w piekło przymusu, (np. ideologia

¹⁶ A. W. Pawluczuk, loc. cit. a. 391. Interesujące może być np. porównanie tego sądu z opinią Jana Błońskiego o książce wcześniejszej o dobrych kilkanaście lat — o *Portrecie z pamięci St. Stanucha*. Błoński uważa, że Bohaterowi „Portretu” człowiek jest już potrzebny tylko jako świadek: *niechaj własnym wzrokiem potwierdzi istnienie bohatera, zanotuje wrogość i wstręt. Ale jednocześnie ten bohater odmaluje ludziom znaczenia, sam kwestionuje wartość upragnionego świadka* (Odmarz, Kraków 1978, s. 40)

Wielkiej Rodziny w powieści Jana Komolki *Ucieczka do nieba*¹⁷⁾

W pewnych warunkach... Rozpoznanie tych warunków „proza nowych nazwisk” znów nie podejmuje. Nie ma w niej — jak już powiedziałem — wkodowanego wzorca „społeczeństwa idealnego”, nie ma marzenia o ładzie. Ład jest jakby poza sferą wyobraźni tej generacji: posługuje się ona „uporządkowaniami zastępczymi”: utopiami ekologicznymi, hipisowskimi (np. w prozie Ryszarda Sadaja). Symbolem ładu jest także dom rodzinny, miasteczko, wieś, które kiedyś (kiedy?) opuściło się na zawsze.

WIELKIE WYDARZENIE. ODMIANA?

I oto generacja, która zbuntowana jest przeciw wszelkim formom sztuki uspołecznionej, przeciw instytucjom, organizacjom, polityce, generacja dążąca do izolacji i prywatności, niechętna wielkim tematom historycznym, historię zawężającą do własnej biografii, nieufna wobec związków z innymi ludźmi, wykazująca pogardę dla ekonomii i socjologii jako nauk kłamliwych i obciążonych piętnem mieszczańskiego konsumizmu, niechętnie lub protekcyjnie spoglądająca na robotnika — latem 1980 przeżywa swoje Wielkie Wydarzenie.

Jest coś symbolicznego w tym, że w Gdańsku, w którym formują się nowe programy „nowej prywatności” rodzi się także idea Człowieka Uspołecznionego, idea nowej polityki, społecznego ładu i nowych międzyludzkich więzi. Jest coś symbolicznego i w tym, że młodzi literaci gdańscy popierają — także swoją twórczością — strajkujących stoczniovców. W jednej chwili dokonuje się przemiana z Gustawów — w Konrady. Literatura wychodzi na ulicę. Jak to możliwe?

I właśnie w tym momencie historyk starający się odnaleźć dokumentację „procesów masowych” w twórczości literackiej musi natrafić na coś, czego nie rozumie. Na sprzeczność między postawą wyrażoną poprzez literaturę a postawą życiową: w nowym ruchu najbardziej aktywna okazuje się właśnie ta, rzekomo niechętna społecznym działaniom, generacja. Czego ta sprzeczność — o ile jest naprawdę sprzecznością — dowodzi?

Porównajmy dwa cytaty. Pierwszy pochodzi od jednego z twórców „nowej prywatności”, który pisze o zanikaniu materii żywych symboli wokół człowieka: *Symbol staje się emblematem, metafora, dawniej iskrząca się znaczeniami, płaską, umoralniającą dewizą, poetycki obraz bojowym hasłem. Kolor sztandaru, który kiedyś wyrażał głębokie przeżycie idei, staje się elementem dekoracji miasta, który wyraża już tylko patos władzy. Krzyż, który kiedyś uobecniał żywą treść mitu, staje się znakiem rozpoznawczym jednego z budynków miasta, wzywającym już tylko do cotygodniowego ponowienia rytuału. Materia symboliczna istnienia traci swoją treść emocjonalną, stygnie*¹⁸⁾

Drugi cytat to fragment tekstu o przenikliwości „słonecznej wizji” Peipera, sprawdzającej się w polskiej posierpniowej

¹⁷⁾ zauważono w tej powieści liczne zbieżności z analizami totalitaryzmu w *Ucieczce od wolności*. Znacznie wyraźniejsze są — jak sądzę — podobieństwa obserwacji rodziny jako swego rodzaju systemu totalitarnego w mało znanej pracy Fromma *Autorität in der Familie*

¹⁸⁾ Stefan Chwiniak: *Świat zalegoryzowany* (w:) *Licytacja*, s. 265

rzeczywistości: *Odpowiedzią na ukrywaną anarchię było porządkowanie umowy społecznej, a więc remont konwencji, budowanie prawdziwej kultury. Nie odejście od instytucji, lecz powołanie takich instytucji, które będą służyły człowiekowi. Zauważamy, że nie tak wiele pojawiło się nowych form. To raczej formy skompromitowane (nudą ziejące zebrania, infantylne hasła, gasnące w oczach druki uchwał, apele, paragrafów prawa itd.) nagle i zadziwiająco odświeżyły swoje „plany zawartości” (wielogodzinne zebrania kolektywów pracowniczych bywały przeżyciami silniejszymi niż niejedyn spektakl, celność nowych haseł przywracała rangę patosowi — już nie śmieszacemu nikogo, a druki, apele, oświadczenia, projekty były jak książki z lat wczesnej młodości)*¹⁹⁾

Teksty te dzielą rok niespełna, ale w różnicy między nimi zawarta jest istota przełomu. Warto wszakże zauważyć, że Balcerzan podmiotem zmiany czyni społeczeństwo, zbiorowość — nie jednostkę. „Rewolucja wewnętrzna” — jeśli naprawdę się dokonała — była dziełem zbiorowości; nie zapoczątkowała jej „świadoma samotność”, ale przeciwnie: głębokie poczucie tożsamości z wielką grupą, z całością społeczeństwa. To, co powodowało agresję, stało się nagle wartością nadrzędną, z konwertycką jakby wiarą akceptowaną.

Gdyby wyznanie młodego poety z 1978 roku: *ciągle przy- muszany jestem do ograniczania swojej egzystencji do bytu społecznego (...)* W tym momencie wszystko buntuje się we mnie, czuję się pozbawiony możliwości bycia człowiekiem (podkr. moje — Z. B.), czuję się zredukowany do funkcji człowieka społecznego²⁰⁾ potraktować jako reprezentatywną dla całej młodej generacji Polaków, nie potrafilibyśmy zrozumieć istoty metamorfozy. Wyjaśnienie może być takie: tworzona przez tę generację literatura okazała się zjawiskiem z marginesu prawdziwego życia intelektualnego i duchowego tej generacji. Innej możliwości — przynajmniej teoretycznie — nie ma. Chyba, że Sierpień uznaje się za wydarzenie narzucone Polakom, wywołane czynnikiem zewnętrznym. Teza taka, ma jak to potwierdza życie, swoich gorących zwolenników.

Jest coś niepokojącego w fakcie niedoceniań przez nową generację pisarską znaczenia świadomości społecznej, w odwołaniu od konieczności jej badania, rozpoznawania, w odmowie przyjęcia odpowiedzialności za jej stan. Pisarze tego kręgu okazują się w tym bardzo bliscy... politykom tamtych czasów. Oni również — choć z zupełnie innych powodów — znaczenie rzeczywistego stanu społecznej świadomości lekceważyli, umniejszali, mistyfikowali. Propaganda i polityka społeczna posługiwała się dogmatem o tożsamości dążeń władzy i społeczeństwa w warunkach socjalistycznych, odbierała ludzkim poglądom ich dynamikę i różnorodność, widziała w społeczeństwie masę bez twarzy, a raczej twarz martwą, niezdolną do grymasu czy buntu. Swoisty arystokratyzm poglądów nowej generacji literackiej kazał jej bardzo podobnie traktować społeczny świat: i jedna, i druga strona — tak bardzo przecież różniące się od siebie — posługiwały się analogicznymi stereotypami społeczeństwa. Masy znieruchomiałej, oglupionej mass-mediami i pozorami komfortu. Arystokratyzm, elitaryzm władzy — uważającej się za „ludową”

¹⁹⁾ Edward Balcerzan: *Peiper o „Solidarności”* „Teksty” 3/81, s. 4

²⁰⁾ Z. Joachimiak, głos w dyskusji *Nowa prywatność*, „Punkt” 1978, t. 2.

— odpowiadał arystokratyzmowi, elitaryzmowi literatury, choć jej bohater stapał się z tłumem, miał często plebejski rodowód, starał się niczym szczególnym nie wyróżniać.

Władza posługiwała się ideologicznymi banałami, pozbawionymi już zakorzenienia w rzeczywistości wierząc, że nadal opisują one tę rzeczywistość. Młoda literatura zaś — odrzucając banał, skamielinę myślową — nie poszukiwała innych, alternatywnych sposobów opisywania tego samego: społeczeństwa, miejsca, jakie zajmuje w nim pojedynczy człowiek, roli jego pracy, myśli, emocji, genezy konfliktów mających znacznie szerszą niż indywidualna, skalę. Na przykładzie młodej literatury pokazać można mechanizm specyficznego zniewolenia umysłu kolejnych pokoleń inteligenckich, które dostrzegłszy banał i fałsz oficjalnego myślenia o społeczeństwie, ideologii, kulturze poszukiwały dróg ucieczki, czegoś zupełnie odmiennego — miast myśleć o rekonstrukcji tych samych pojęć, o napełnieniu ich treścią. Co ciekawe: ci, którzy zdecydowali się na izolację od oficjalnego banału poprzez formalne eksperymenty, odmienność tematyki — nie napotykali na zbyt nasilone represje. Odwrotnie: wtedy, gdy starali się odnawiać ów oficjalny system myślenia i kierowania społeczeństwem — odczuwali te represje najsilniej. To między innymi te powody zadecydowały, że przedstawiciele Nowej Fali przechodzili do opozycji i dlatego stopniowo wyeliminowano ich z życia publicznego.

„Klasa”, „narod”, „społeczeństwo”, „konflikt społeczny”, „socjalizm” wreszcie to są słowa używane bez zawstydzienia w publicystyce posierpniowej, w rozmowach prywatnych, w życiu społecznym. Te — zdawałoby się — puste, dźwięki mówią o świecie żywym. Ożywiają terminy ekonomiczne, socjologiczne, tezy filozoficzne — poprzednio zupełnie ludzom obojętne. Słownik martwego języka nagle służy międzyludzkiemu porozumieniu.

Sierpień bowiem umożliwił odkrycie drugiego człowieka, odnalezienie wspólnoty na gruncie wartości najbardziej podstawowych: jednostkowych, narodowych i uniwersalnych zarazem. Ale znów: wartości te nie zaistniały nagle, nie s t w o r z o n o ich, ale jedynie wydobyto, wzmocniono to, co między ludźmi istniało od zawsze. Czemu jednak nie potrafił tego „czegoś” napotkać wędrujący przez wiele polskich miast i wśród wielu Polaków bohater prozy tworzonej przez nową generację?

Sprawę tę należałoby postawić jeszcze inaczej. Nie jestem co prawda zwolennikiem absolutyzowania — jak czyni to często Henryk Bereza — kwestii języka, gdyż owe manipulacje językowe stają się łatwo dymną zasłoną dla intelektualnej płytkości w literaturze, to jednak trudno nie dostrzec, wyrażającej się w stosunku do języka literatury i jej systemu, analogii z opisaniem wyżej (a wysoce dwuznacznym) odnośnikiem się pisarzy nowej generacji do „oficjalnego” sposobu interpretowania świata. Do języka literatury należą jej konwencje: nowa generacja prozaików szczególnie silnie odczuwała ich zużycie, niezdolność do spełniania jakiegokolwiek funkcji komunikacyjnej (tak działało się np. z konwencją powieści produkcyjnej, historycznej, sagi itd.). Jedynym spożytkowaniem tych konwencji mogła być ich destrukcja, parodia — a więc zabiegi niezbyt skomplikowane i... niezbyt świeże. Dochodziło do kolejnej sprzeczności: niemożność znalezienia sposobu mówienia o czymś — dyskredytowała sam przedmiot wy-

powiedzi. Jak u Wittgensteina: granice mojego świata są granicami mojego języka. Społecznie nie akceptowany język wyznaczał obszary nie akceptowanej rzeczywistości. Z kolei ten sam język sparodiowany — degradował to, o czym w danym języku mówiono. (Część krytyki odniosła się do *Trenta tre* Schuberta, a wcześniej do *Konopielki* i *Awansu* Edwarda Redlińskiego jak do groteski językowej, gdy tymczasem u Schuberta skarykaturowany lub też — jak chce Henryk Bereza — „poliglotyczny”²¹ język pokazywał rzeczywistość wcale nie śmieszną, ani nadającą się do kpin).

Nieufność otacza też samą sytuację komunikacyjną literatury. Pisarze nowej generacji są szczególnie mocno uwrażliwieni na fakt, że ich wypowiedzi uczestniczą w tym samym obiegu komunikacyjnym, co oficjalnie głoszone banały, fałsze, strzępy ideologii, która utraciła swoją jasność, urzędowe druki, apele i donosy. Literatura — chcąc ocalić swoją tożsamość — musi znaleźć siebie samą wśród języków już istniejących, chcąc ocalić swoją funkcję — musi obnażyć zniewalającą siłę tekstów, wśród których przyszo jej istnieć. Uczynić to może poprzez ironiczny dystans, także wobec samej siebie, poprzez autodegradację, nasycenie się martwym językiem.

Ale to nie wystarcza. Pisarze nowej generacji nie wierzą w szanse literatury: gotowy, znajdujący się już w oficjalnym obiegu tekst jest symbolem zdrady wobec siebie, wobec swych pierwotnych celów. W „prozie nowych nazwisk” stale obecne jest przekonanie, które wyraża tak silnie Różewicz, że świat urzeczowiony wymaga od literatury samozaprzeczenia, zgody, ograniczenia. Literatura nie może być formą życia, ale co najwyżej jego nie znacząca zbyt wiele cząstką. *Nie realizujemy już naszego życia w planie historii (...) ale we wszystkich planach, poziomach rzeczywistości niczym nie ograniczonej, ciągle aktualizowanej.*²²

A jeśli tak jest istotnie, jeśli już nie diachronia, ale jednoczesna wielopoziomowość jest cechą tworzenia kultury i samorealizacji jednostki i społeczeństw — to brak kontaktu między poszczególnymi planami ludzkiej aktywności znajduje tu — teoretyczne przynajmniej — usprawiedliwienie. Można działać politycznie, a w literaturze — głosić niechęć do polityki. Literatura nie scala tych wszystkich planów, pozwala się zaskakiwać rzeczywistości, nie nadąża za nią, by potem — z pośpieszną gorliwością, nawet za cenę własnej autonomii „skracać dystans”.

Zjawisko tak nieoczekiwanej akceptacji zjawisk posierpniowych nawet przez tych pisarzy, którzy jeszcze niedawno głosili konieczność zerwania z modelem sztuki uspołecznionej nie jest nowe. Z podobną reakcją twórców spotkać się można było w okolicach 1948 roku i po przełomie październikowym. Ale Październik np. przyniósł falę utworów, w których — tak czy inaczej — zapisany został sprzeciw wobec „literatury na służbie”. Po sierpniu brak dojrzałych artystycznie tekstów literackich oddających akceptację twórców wobec zapoczątkowanych robotniczym protestem przemian.²³ Działa tu

²¹ Henryk Bereza: *Język*, (w:) *Taki układ*, Warszawa 1981, s. 388.
²² J. Duvignaud: *Pour entrer dans le XX^e siècle*, cyt. za: Kamilla Rudzińska: *Między awangardą a kulturą masową. Wokół społecznej roli pisarza*, Warszawa 1978, w. 182.

²³ Sytuację tę uznał za dowód słabości polskiej literatury Andrzej Kijowski w swoim wystąpieniu na Kongresie Kultury Polskiej w Warszawie w dn. 11 grudnia 1981.

innego rodzaju mechanizm. Sierpień to spontaniczna akceptacja oficjalności (a więc także oficjalnego obiegu informacji, oficjalnego życia kulturalnego, naukowego). Spowodowała ona wyjście z obszarów pozacenzuralnych szeregu twórców i utworów napisanych przez nich długo przed Sierpniem; tak pojawiło się coś w rodzaju wtórnego nasycenia sztuki elementami politycznymi, społecznymi, zmiana ich funkcji. Widać to choćby na posierpniowej recepcji pisarstwa Miłozsa. Niektórzy sądzą, że wyłącznie twórczość pochodząca z pozacenzurskiego obiegu jest jedynym typem twórczości dla nowoczesnego, rozbudzonego politycznie proletariatu, gdy tymczasem protesty robotnicze 1980 dopiero otworzyły szansę na przyszłą (i nierealizowaną) literaturę dla nowoczesnego, rodzącego się dopiero społeczeństwa. Literatura znów dała się „zaskoczyć” rzeczywistości.

Pisarze nowej generacji traktowali społeczeństwo zbyt „globalnie”, nie dostrzegali tego, co w tym społeczeństwie było najbardziej żywe, niespokojne: świadomego robotnika, który wie, o co mu chodzi, ma jasne cele, jednorodną koncepcję świata. A jeśli dostrzegli — to zabrakło im społecznie akceptowanego sposobu mówienia o takim właśnie bohaterze. Zabrakło zaś dlatego, że sądzą, iż oficjalny stereotyp robotnika, społeczeństwa, tradycji jest jedyny, więc niemożliwy do przezwyciężenia.

Stało się tak, że w posierpniowym okresie większą nośność niż współczesna literatura posiadały teksty XIX-wieczne, należące do klasyki, ba! — do szkolnego kanonu lektur. Stereotypowy sposób myślenia o społeczeństwie, historii, roli artysty i jego sztuki został przełamany przez życie, a nie literaturę.

Negatywne skutki takiej stereotypizacji przewidywała w 1971 roku Kamila Rudzińska: *Rozpoznanie nieadekwatne do rzeczywistości danego miejsca i czasu, demonizacja zjawiska zwanego kulturą masową, wyrażająca się opisem wyłącznie sytuacji granicznych i upadku wartości w świecie przez nią opanowanym — spowodować mogą widoczny rozdźwięk między werbalną krytyką a faktycznym funkcjonowaniem twórczości w ramach realnego organizmu kulturowego; świadomości literackiej groziłoby wtedy, iż stanie się ona klasycznym przykładem świadomości zmistyfikowanej czy fałszywej.*¹⁴

Świat posierpniowy nie był innym światem, ale światem inaczej widzianym. Akceptacja upolitycznienia życia i twórczości przez nową generację pisarzy, której postawę wyrażoną przez literaturę starałem się scharakteryzować w pierwszej części tego szkicu, odbywała się w myśl znanej formuły Irzykowskiego, iż „tylko rzecz nowa godna jest czynu — nowa przynajmniej podmiotowo, jeśli nie przedmiotowo”. Odkrycie tej podmiotowej nowości nie było dziełem samych pisarzy: przyszło z zewnątrz, z tych rejonów rzeczywistości, których oni — zajęci uniwersalnymi, globalnymi konstrukcjami — nie dostrzegali. To prawda, że bez wewnętrznej rewolucji nie byłoby tej odmiany. Bez krytycyzmu, bez zdolności do wewnętrznego oporu wobec zniewoleń płynących z zewnątrz nie byłoby zorganizowanego, stanowczego protestu.

Ale to jeszcze nie wszystko. Przez „okno”, jakim chciała być „proza nowych nazwisk” trudno dostrzec nadchodzący przełom, trudno dociec, co dzieje się naprawdę we wnętrzu społeczeństwa, trudno w zbiorowej świadomości zobaczyć siłę

¹⁴ K. Rudzińska: *Między awangardą a...*, s. 170

zdołną podjąć trud nasycenia starego porządku nowymi znaczeniami i wartościami.

A może jednak diagnoza społeczeństwa i człowieka zawarta w tej prozie okazała się bardziej przenikliwa — jeśliby Sierpień miał być jedynie krótkotrwałym błyskiem? Jeśliby jedność społecznego i jednostkowego przeżywania świata dokonała się na kruchej, bo z mitów tylko, z nowych stereotypów zbudowanej płaszczyźnie?

Zbigniew Bauer

STANISŁAW SADURSKI

Album małego Mazowsza

Przyjechałem tu sennymi równinami
przekroczyłem granice wzniesień, klucz
zapisanych w inwentarzu ziem, wiosek
i przedmiotów z mosiądzu, miedzi i srebra.

Przyjechałem tu błotnistymi drogami
w ramionach deszczu, w świat pelen
szelestu owadów i wiatru.

To co widziałem było mi bliższe
niż odległy Witebsk sięgający nieba.
Ptaki skulone w zimnym powietrzu, szmer
rozmów i blask ognia na ścianach i oknach.

Tu były zapomniane zimy i lata.
Rzędy pękających słoików ułożone w euklidesowym porządku
i sucha geometria liści.

Zbierałem minerały i odcienie południa.
Nazwy rzeczy pozostawiłem rzeczom
same w sobie stawały się echem naszych domysłów
niezaprzeczalną filozofią istnienia, mitologią
a może harmonią padającego światła w otaczający
krąg ciemności.

Album małego Mazowsza II

I tu, w tym miejscu, które mnie wybrało
stoją topole, poruszone liście wiatrem
wezbrane i oddech lżejszy i cień
zbląkany w jarach października.

Co mieliśmy, co mamy, przez ręce
przeglądane widnokreśli ziemi
sfery naszych mieszkań, krążące
przedmioty, podróżny czas

z boku widziany an face
mijanej dziewczyny. To było
i dom coraz wolniej osiada
na progu jesieni i dojrzewają
rozmowy byłych małych dzieci.

Na górnych piętrach przesuвано
meble i w gramatyce odmień się
zdanie, które pozornie jest też
naszą myślą, myślaną za nas
o nas w kręgu zdarzeń, mową
przelotną ze wschodu na zachód
słońce rozjaśniało twarze.

Album małego Mazowsza III

Uchylam z lękiem drzwi Małego Mazowsza
i spod przymkniętych powiek widzę
jasny wieczór i biały pokój i dwie
linie wiersza składane pośpiechem
„Jest wczesny ranek Admet musi umrzeć
tak jak się umiera”. Tak gdy się odchodzi
mówi do widzenia, rozpościera ręce
przygląda w milczeniu miejscom zapomnianym
rozpoznając twarze w miejscu innych twarzy.

To czas już zaprzeszły i przestrzeń zamknięta
szepczesz w ciszy zaspana i senna. Te jego
gymasy, gesty, kształty żalu, nie określają
prawdziwie szalenstwa są to czynności
które można zagrać i fakty na pozór
a ponad przypadkiem trwają nieodmiennie.

Album małego Mazowsza IV

I'a rozmowa z A. na siódmym piętrze
skąd światła miasta blisko w naszych oczach
Te słowa, te ich piętra znaczeń
które określają, albo chcą określić
nas samych we wnętrzu mieszkań
słysząc szum ulicy i wiatr
który wieje może jest historią
może chorobą nie wyleczoną
do końca.

Dwa wiersze dla F.D.K. (1750-1807)

I

Gdzie gwiazda Witebsk, którą biegnie
jej promień i długa Litwa swoją szerokością
otacza horyzont, gdzie wyobraźnia toczy
a jakim gościńcem myśli, nierówny dukt
pisma i skrzypiące pióro czerni marny
papier, trzy zbiory wierszy, ukłony
do Boga bez zwady a jednak niepokój
który dręczy umysł o miłość, Marię
Laury i Filony, o kontusz co wytarty
wytchnienie dla ody która chwali wasy
i sam na sam ze światem, z ludźmi
którzy obcy... Nic stracić, nic zyskać
nie liczyć na Boga i wolno, coraz wolniej
dodawać słowo do słowa.

II

Wszędzie czai się, już śpi, a pod powiekami
narastają obrazy i coraz wyraźniej przenikają
już tylko cisza w uszach przebiega wolno
nieustannie jak idący stępa koń
i te pokrzywy, które zarastają płot
już tylko sierpień dzwoni, a na zewnątrz
słońce w otworzonym niebie i coraz wyższe
kolumny greckie pną się jako pnącza wolne
nieustępliwe chociaż tak swobodnie
czas je goni i zaciera na miedzianej tarczy
pobliskiego zegara. I co jeszcze przez sen
mógł powiedzieć: „Widziałem jako ten goniec
lub raczej olbrzym skrzydlaty”, te ptaki
jak ryciny rozpostarte płasko ponad głowami
ten czas lata w upale gdzie nie biega już
nitka sekundnika.

Dom

Ten sam, szary przestronny z dużą ilością
okien, drzwi, mosiężnych klamek, zamieszkanym
przez wszystkie żyjące tu osoby, cierpiący
w momentach odwiedzin, biały malowany
wapnem pokój jeden z tych tego szarego

domu, oświetlony nieraz świeczką, księżycem
czy kwitnącym kasztanowcem
otwiera się i zamyka
wtedy Anna mówi, że przypomina
niewielkie pudzderko, skąd można wyjąć
i gdzie można schować wszystkie
niepotrzebne drobiazgi.

Dom II

To tylko tu, gdzie można porozmawiać
normalnie po północy, zwyczajnym głosem
bez szeptów i wtulania ramion
tylko jedno, jedno do powiedzenia
wyraźnie, spokojnie jak tylko można
jeszcze nie teraz, może później
jak już będziesz nie tylko przejazdem
lecz dłużej, kilka chwil, a może
tak naprawdę wszystko zostało już
dopowiedziane i nic już nic
nie dobiegnie do końca.

Piosenka dla przyjaciela

P.P.

Tak, o tak te kilka taktów wygrywasz
jak na loterii, bez fantów proszę
graj i jeszcze raz o tak przecież wiem
że smyczkiem nie umiesz grać
i rwij palcami te struny i głośno
i jeszcze raz, nie tak, to lepiej
tę parę fraz tak, tak ze skrzydłami
choć tych Tobie brak i poczuj
pod palcami ten dreszcz
co przesuwają się lekko
i drży jak liść wierzby
potrącany przez wiatr.

Stanisław Sadurski

MAREK SOŁTYSIK

WIELKI SPOKÓJ*

— Coś chyba chciałeś powiedzieć... — Ten pokój jest dosyć rozległy, lecz jakby przykucnął. Przygnębiające: wiadomo, że już nigdy się nie rozprostuje. Równomierny, z powierzchni ziemi się dobywający stukot; to za oknami, o kilkadziesiąt metrów niżej, ktoś prętem żelaznym uderza nie wiadomo po co w metalową huśtawkę dla dzieci. Jeszcze młoda, ale o zmęczonej naprawdę twarzy kobieta siedzi przy stole w ostrym kręgu światła i od kilku minut wpatruje się uporczywie w ruchliwy, i w tych niezbornych ruchach dramatyczny kształt: w półmrocznym rogu pokoju mocuje się z bujanym fotelem szczupły mężczyzna; jego twarz, o niepokojąco nieregularnych rysach, złapała w półobrocie trochę mocnego światła. Leniwie błysnęło białko okrągłego oka... — Wypadaloby — szepcze na przeszłe już odezwanie kobiety. — Niekoniecznie. — Kobieta nadal patrzy na niego nieruchomo; głos jej jest czysty, ani śladu emocji. — Ale tak na początek... — skrzeczy mężczyzna. — Na jakiz znowu początek? — Ona rozgląda się wokół: bez specjalnego celu. Ale robi to chyba z niesmakiem, choć — czy ja wiem? Mężczyzna wglębia się w fotel; półleży tam nieruchomo i daje to wrażenie nie kształtu człowieka, lecz rzuconego bezwładnie ubrania. Tłumaczy powoli, bezpieczny w pomroce: — No, przywlokłem się z miasta. E! na początek. Na początek. Przecież nigdy pierwszy nie słyszę od ciebie słowa powitania. Jak przychodzę, to zawsze ja mam dużo do powiedzenia. — Nikt ci nie każe mówić. — Tak, wiem, ty starasz się niby to wrócić do swoich zajęć, bo kiedy akurat przychodzę, to masz ich masę. Albo biegniesz do łazienki. — Skoro muszę. — Na mój widok. — Głupi. — Mężczyzna znów się mocuje z fotelem; trochę refleksów światła na jego odrastających włosach. — Możesz wracać. Do zajęć. Potrzebuje czasu, żeby ci to powiedzieć. — Czego ty chcesz od mnie? — Ty mnie mrozisz. Czy zdajesz sobie sprawę, że poza tym domem nigdy nie mam zatwardzenia? — Ale poza domem też nie masz sraczkii gadulstwa. — Mężczyzna raz tylko zamachał rękami: — Boże, jaki ten pokój niski! — Trochę pomieszkamy — mówi kobieta łagodnie — ożywimy go sobą, stanie się wyższy. — Oszukamy ten pokój. — Oszukamy go. — Ale pod

* Z tomu *Intymne zwierzenia kilkunastu osób*, który ukaże się nakładem S. W. „Czytelnik”.

warunkiem — bardzo niewyraźnie mówi mężczyzna — pod warunkiem, że się wzajemnie nie będziemy oszukiwać. — Jesteśmy na dobrej drodze. — Kobieta ani na chwilę nie zmieniła dostojnej przy stole pozycji: — Jak się czujesz? — Nietety, fatalnie. — Nagle obraca ku niej zeszpeconą twarz. — Możesz jeszcze tam wrócić. — Kobieta patrzy na niego spokojnie. — Doktor Gawecki zapewniał, że znajdzie się dla ciebie miejsce. — Słyszysz swój głos? — pyta ostrożnie mężczyzna. — Czasami... — Szkoda, że nie można obejrzeć własnego głosu. Teraz byś się zatrzęsła z oburzenia. — Na razie ty się trzęsiesz. — Z obrzydzenia. Z niesmaku. Z własnej bezradności. Z okrutnej świadomości braku bezpieczeństwa. Jeszcze dwadzieścia minut temu... — Kobieta zrywa się gwałtownie, niemal równocześnie z przenikliwym jękiem gwizdka czajnika; od kilku chwil już się czaił ten czajnik; dźwięki musiały dobiegać z kuchni i tam też na pewno znika kobieta. Cisza — cisza? Już nie, bo ktoś na dole ostro trzepie swój dywan. Fotel się trochę rozbujal. Przy każdym niezgrabnym i kanciastym ruchu szczupły mężczyzna pojękuje, syka. Jest chyba rozdygotany; zapewne usiłuje znaleźć dla siebie wygodną pozycję, ale przed chwilą znacznie pochylił tułów. Ręką wodzi po dywanie próbując natrafić na jakiś przedmiot; patrzy tylko na ścianę, na jedną z jej najmroczniejszych płaszczyzn. — Co jest bliżej: koniec czy początek? I jak to właściwie ma być... Po co? — Nieruchomieje. Może mieć najwyżej trzydzieści osiem lat. Skrzeczy z wyrzutem: — Ona daje chyba coraz słabszą żarówkę. Coraz słabszą. Dawniej uwielbiała rześiste oświetlenie, mnie to drażniło, a teraz... — Macha ręką, znów przypadkowo wprawia fotel w niedobre rozkołysanie; powstrzymuje go gniewnie. Z twarzy ociera pot. Kobieta wchodzi z pustymi rękami — i widać dokładnie, że są one puste. Ktoś na dole trzepie dywan w dwójnasób. — Nie zrobiłaś herbaty? — Ach, postawiłam czajnik, ale zapomniałam dolać wody — rzecze kobieta prosto. — Już to naprawiłam. Chwileczkę. — No to o czym ty myślisz? — W głosie mężczyzny wyraźna jest prowokacja. I złość. — Myślę o tobie — odpowiada natychmiast kobieta. — Gdybyś myślała o mnie, myślałabyś też o herbacie, o wodzie. — Przestań! Nie masz prawa tak... — Przepraszam. I jest mi przykro. I wiesz co, podejdź tu do mnie, bliżej, całkiem blisko; co? — A jednak kobieta się rozsiada przy stole; w pozie poważnej a eleganckiej zdaje się być nieporuszona, choć przecież w sprytniej skrytości polyka jakąś tabletkę. — Nie — mówi. — Zaraz będzie wrzątek. — Chodź no tu... — prosi mężczyzna. Półleży nieruchomo, lecz dziwnie sprawia to wrażenie, że się szamocze; co to? — Stałeś się płaczliwy. — Kobieta wcale nie patrzy na niego. — Zabraniam ci tak... tak jak teraz. To ci może pozostać. — Zbyt wiele może pozostać. To ja już nawet nie mam prawa do małej płaczliwości? — Nie jestem stworzona na samarytanke. — Zmus

się. Sytuacja tego wymaga, tak sobie powiedz. — Mam jeszcze dziecko. Nie mogę się rozdzielić. — Nasze dziecko — dorzuca z naciskiem mężczyzna. — Nasze dziecko, które mnie nie poznało. — Dla niego to był szok. Wiesz przecież. Domyślałam się, że tak może się stać, wiesz, domyślałam się u niego podobnej reakcji, ale nie mogłam ci tego powiedzieć. — Ja to rozumiem — mówi mężczyzna miękko. — Tylko się nie rozczulaj. — Kobieta przetyka ślinę. — Jeszcze jedna twoja ła i dostaniesz w papę. — Błady, o bardzo nieregularnych rysach twarzy i o włosach na wsze strony sterczących mężczyzna obraca ku niej głowę: — Już się dzisiaj na to zanosilo. Wracałem autobusem; niełatwo było wsiąść, bo w drzwiach stali władczo trzej młodociani półpijani. Wreszcie mi się udało. Troszkę miejsca w tłoku znalazłem, autobus ruszył i zaraz jeden z tych młodocianych niby to przypadkowo — ale widziałem, jak wziął rozmach — nastąpił mi z całych sił na stopę. Jaki ból! A ja jeszcze mam te strupy, a! A ten gnój takim buciorem na grubej podeszwie, z obcasiskiem... — Zachłysnął się, łapie oddech. — Powiedziałem głośno, żeby uważał. On przeprosił i potem wszyscy trzej udawali jeszcze bardziej pijanych niż byli. Później zaczęli się zmawiać... — Normalka. — Nie bądź taka mądra. A jak wreszcie wysiadłem, to nagle na ulicy w biały dzień znaleźli się przy mnie. Otoczyli ciasno. Chcieli mnie zbić. I wtedy uświadomiłem sobie, że nikt mi nie pomoże. — Spogląda przed siebie bezradnie, mocno zaciska oczy; palcem trze prawą powiekę. — Mimo że mieszkam tuż tuż, nie byłoby sensu na kogokolwiek zawołać, bo nikogo tu nic nie obchodzi. Wszyscy usiłują robić swoje zakupy, wszyscy mają swoje telewizory i problemy z dziećmi, z dojazdami, z czasem. — To dlatego jesteś taki nieswój. — Kobieta patrzy współczująco; na pograniczu ostrego światła i mroku mocno jej się rysują zmarszczki koło ust — w świetle rozproszonym nieznaczące i wówczas tylko przydające seksu. — Tchórze! — Mężczyzna podniósł głos, przy czym mówi wyraźniej: — Wtedy w autobusie udawali potulnych pijaczków, a na ulicy zażądali, żebym ich przeprosił. Otoczyli mnie ciasno... — I co? — pyta kobieta z lękiem. — Nie przeprosiłem. Ale powiedziałem, że wracam ze szpitala. Wyciągnąłem z tarby zaświadczenie lekarskie. Dali mi spokój. Jak odchodziłem, to lżyli głośno. Te ordynarne gesty. Tacy to zawsze są trochę brudnawi, wiesz. Ten brud ich zdradza. Ich ubrania są z cerat i elany. — Kochany. — Nie wolno mi było ryzykować. Nie mógłbym znowu... — Musimy wyjechać. — W tonie kobiety jest prawdziwa stanowczość. — A co będzie z masażystą, z laryngologiem? — Tam też się załatwi masażystę. — Kobieta już nie jest tak pewna, jakiś pyłek strzepuje z piersi. — Lepiej już słyszysz? — Może tak, a może powoli się przyzwyczajam do częściowej głuchoty. — Ale ja nie mówię głośno. — Ale ja nadstawiam zdrowe ucho. A ci pijani w autobusie mówili w gwarze wiejskiej. Natomiast potem ze mną w miarę po-

prawnie. — Pokolenie kameleonów. Myślą, że do nich należy świat. — Do nich należy miasto, do nich należy wieś. Kompleksy pochowalij wszyscy w jednym dole. Leżą tam wraz z wiarą ich dziadków. — Nie wierzą w Boga, nie wierzą w rząd, nie wierzą w żadne ideały, nie wierzą bliskim. Wierzą w łokcie. — Trudno się z tego otrząsnąć — cicho i smutno mówi mężczyzna. Czajnik wszystko zagłusza. Zgrabna, zbacza z trasy do kuchni, żeby znękanego pogłaskać po głowie. W końcu z jakiejś jakby próby miękkości wynika twardość; ta głowa, tamta ręka... Coś. Kobieta znika. Ruch powietrza, jaki w tym wnętrzu rozpełtała, jeszcze nie dogorywa, a w kuchni już się urwał przenikliwy gwizd czajnika. Nie opodał w spazmach ła winda. — Ale jaja! — głośno mówi do siebie mężczyzna. — Jak ja na to wpadłem, żeby im pokazać ten papierek upstrzony pieczętkami, podpisami i z nadrukiem. Intuicja, czy co? No! Jestem współczesny! Jednak! Ha! do czego to dochodzi! Nie mają skrupułów, żeby człowieka zmasakrować w biały dzień na ulicy nowego osiedla, ale mają respekt — i to jaki — przed urzędowym paperskiem! — jak kataleptyk, sztywno się unosi z fotela. Bardzo niezgrabnie przemieszcza się do stołu. W mocnym świetle widać na jego twarzy blizny; ma znaczny niedowład prawej części: szkliste wybałuszone oko i ten kącik uś opuszczony w dół, z nagromadzoną śnieżną pianą. Jego włosy nie tak dawno musiały być całkiem zgolone. Opiera się o blat i zerka bezradnie na krzesło. Wyje winda, lecz mniej dosadnie, bo na niższych piętrach. Kobieta lekko, cicho, zgrabnie i z wdziękiem donosi do stołu dwie szklanki herbaty oraz nowinę: — Dranie. Dwa miesiące od malowania, a ściana w kuchni popękana. Wygląda jak mapa administracyjna. Znowu płat odpadł. — Tu wszystko pęka. Odpada — mówi mężczyzna. Kobieta po chwili: — Wiesz, wyjedźmy. — Ale załatwisz bilety, formalności? — Postaram się. Zawsze ty wszystko to załatwia — urywa, chyba zaskoczona tym, co zamierzała powiedzieć. — No, już, chwileczkę, spokojnie... — I chwyta mężczyznę pod ramię. Pomaga mu usiąść na zwykłym krześle. Jest oburzony, jest rozdygotany: — Mówiłem ci! — Ale ja nie mogę patrzeć, jak ty się męczysz. — Jeszcze nie ochłonęła, choć tak bardzo usiłuje być opanowana. Gdzieś w bloku ktoś żwawo kuje ścianę. — Przy takiej opiece nigdy nie dojdę do pełnej sprawności. — Już rozerwał błyszczące opakowanie gumy do zucia, guma mu niestety upadła na dywan. Kobieta patrzy na tę gumę; i na zielonawy papierek, który, szelestliwie wirując, zaraz opadnie również. Ręce mężczyzny już nie dygoczą; jej drżec zaczęły, zapewne gwoli ogólnej harmonii. Patrzy na twarz mężczyzny, dobrze ukrytą w cieniu. — Dawniej wciąż powtarzałeś, że brakuje ci ciepła. — Teraz tym bardziej mi go brakuje. — Kobieta, zdaje się, o miękkości mówiła twardo; mężczyzna o rzeczach twardych — miękko. Cichy jej głos: — Jesteśmy różni. — Całe szczęście. Ale to wcale nie o to chodzi. — To może ty już mnie nie kochasz... — Kobieta patrzy

w szklanę; powtarza dwa ostatnie słowa, słodzi i miesza herbatę. Mężczyzna podejmuje spokojnie: — Teraz takie pytanie to bezczelność. — Nasze myśli biegną równolegle. Dlatego się nigdy nie zejdą. — Mężczyzna wysłuchał; chichocze w cieniu: — W tym właśnie jest seks perwersyjny. — Posłodzić ci? — Patrzy na nią zdziwiony; już nawet mrok jakoś nie chroni bezbronności na jego twarzy: — Przecież wiesz, że nie słodzę. Co ci jest? — Kobieta się obraca do okna. — Obserwujemy się, Piotrze. — Jesteśmy bardzo uważni. — Lubisz ten dom? — Wymarzyliśmy go sobie przez osiem lat. — Lubisz ten dom? — Powtarza cicho kobieta. — Tu wszystko jest nowe — mówi z lekką niechęcią Piotr — nie czuję się tutaj obco, bo my też staliśmy się inni. Chyba więc pasujemy do tego domu. — Ona jeszcze bliżej się dosuwa do okna: — Nie czujesz, że w tych ścianach zaległ się strach? Całe tygodnie mojego lęku. — O krok się odsuwa od parapetu. — Całkiem poważnie myślałam, żeby wrócić do matki. — Mimo wszystko? — Przecież zostałam. — I ja znów jestem. To prawie cud. — Nie cud. Sukces medycyny. — Frazesy boją mnie bardziej niż rany. — A jak ty byś to nazwał? — Nie wiem. Potrzebny mi dystans. Sukces medycyny, hi! Spójrz na mnie. — Ale żyjesz! Już nie pamiętasz, jak lkałeś z radości. — Teraz wstydzę się tego. — Kobieta zbliża się do Piotra. Pyta, podczas gdy on w geście obronnym zasłania twarz albo osłania głowę: — Gdzie byłeś dzisiaj, co? — Łagodniej: — No, powiedz. — Byłem przed drzwiami Jacka. Chciałem odwiedzić jego rodziców. Ale stchórzyłem. — Kobieta nieruchomieje. Albo ktoś mocno zatrzasnął drzwi samochodu, albo nagle zgasł płomień w palniku kuchenki gazowej. — Stchórzyłem. Przed samymi drzwiami stchórzyłem. Co z tego, że Jacek tak ładnie wyszedł z wypadku? — Rozgląda się bacznie po całym pokoju i daje to wrażenie, iż ma wielu słuchaczy. — Bałem się spojrzeń jego rodziców, przecież to moja wina. Bo to ja ich tak bardzo ukochanego jedynaka naraziłem na szwank. Wiesz, jacy to dobrzy ludzie. No, dobrzy. — Dłońmi o palcach jakby wzajem skłóconych rozciera twarz, oczy. — Mario, kiedy mi wreszcie znajdziesz adres tego sanatorium, gdzie Jacek wypoczywa po — — Ale słuchaj, ja... — ubogo przerywa mu Maria. — On ma do mnie żal? — Nie, coś ty! Ale... Rozumiesz, naprawdę potrzebny mu spokój. Spokój. — Piotr mówi bardzo łagodnie: — Odwiedziłbym go, gdybym się tak nie męczył. To złoty chłopak. — Przetyka ślinę; po dłuższej chwili chrapliwie: — Jak się gdzieś wybierałem samochodem, to ty mnie nigdy specjalnie nie żegnałaś. Ale tamtego dnia stałaś w oknie z Karolkiem i machałaście mi chusteczkami. — Mocno chrząka, wyciąga swoją chusteczkę. — Spojrzałem w okno, chociaż i ja nigdy wcześniej tego nie robiłem. — Maria patrzy na jego zmiętą, wybrudzoną chusteczkę: — Właśnie. Niezrozumiała. — Boże! — Piotr... — Są takie myśli, co nagle strzelają w czaszkę. Wiesz: nagle uządlenie przez osę. — Herbatę ci wystygnie. — Przecież

wiesz, że lubię chłodną. — Jest zaskoczony; zupełnie nie panuje nad twarzą: — Ty! Co ty? — Jestem zmęczona — Maria uśmiecha się do niego — to wszystko. — To skurwysyny! — wybuchają Piotr. — Kto znowu? — pyta niepewnie Maria. — A ci, co mnie napadli. — Patrzy w sufit, w sporą, biegnącą wzdłuż ściany ryś. — Wiesz, gdybym miał pod ręką nóż, to mógłbym ich zabić. — Uważaj. Oni by ci to uniemożliwili. Naiwniaczku. Wiesz, jak łatwo by im przyszło sprawę rozdmuchać?! Już przestań. Do jutra ci przejdzie. — I Maria zaczyna grzebać w torebce. — Mówisz? — Na pewno, mężu. — Piotr patrzy, jak Maria wyciąga z torebki lusterko; spokojnie i bez żadnego ruchu obserwuje, jak poprawia sobie makijaż gestami, które wydają się w najwyższym stopniu naturalne. — Potrzebna ci jeszcze jestem? — Trzask metalicznej zamka w torebce. — Zawsze mi jesteś potrzebna — ocyka się Piotr. — Bo jesteś bezczynny — Maria się wpatruje w torebkę — przypomnij sobie, jak bywało przedtem. — Czy muszę? — Chyba tak. Nie masz nic innego do roboty, a ja idę do teściowej, żeby choć trochę pobyć z Karolkiem. — Kocham go. Biedny. Tak, jakby stracił ojca. Popatrz, gdybym umarł, to też by się z tym musiał pogodzić. Masz. — Wyciąga z kieszeni miniaturowy samochód. — Daj mu to. Pojutrze kończy cztery lata. No, masz. Powiedz, że to od ojca. — Maria wyciąga rękę i natychmiast ją cofa: — Samochód...? — O! — Piotr drży i drga jego krzesło. — Wiesz — mówi po chwili — ja to kupiłem bezmyślnie... Wiesz, że ja to kupiłem bezmyślnie? Tak jakoś... abstrakcyjnie... — Ale on myśli. — Maria jest ostra. — Przy swoich czterech latach — myśli! — Chyba tak — mówi Piotr. Wyrwa samochodzik z rąk Marii — wstając z krzesła raz tylko jeden się zachwiał — z ogromnym trudem sunie ku oknu, zdecydowanie odsuwa storę. Ukazuje się szarosiny pejzaż nie tynkowanych bloków, rzędy okien. Otwiera okno, wyrzuca samochodzik. Nagle, jakby czymś ugodzony, pada na ziemię. Słychać szum; poszum powietrza? Podbiega gwałtownie Maria. — Szybko, zamknij okno! — krzyczy Piotr; leży: dłońmi osłania twarz. — Co się stało? — Maria z wahaniem rękę wyciąga ku klamce. Błagam, szybko, zamknij! — No dobrze, no, już... Słabo ci? — Potwór! — Nie przesadzaj. Po prostu nie skojarzyłeś. Zabawka jak zabawka. — Jaka zabawka? — Ten samochodzik, który kupiłeś. No, zdarza się; odruch. — Ale ptaszysko! — Proszę? — Jak to? Nie widziałaś? — Co? — Przy oknie! — Piotr pełźnie; opiera się o radiator; za chwilę stanie na nogi. — Wyglądałaś, jakby cię wiatr zdmuchnął. Nie martw się, wrócisz do sił — mówi Maria i widzi, że Piotr znów opadł na posadzkę. I czyżby...? Tak: patrzy na Marię błagalnie. — Tak — szepcze, i w niespokojnej twarzy leniwie błyszczą oko. Maria przybliżyła się ostrożnie; z trudem podnosząc Piotra pyta: — Jaki ptak? — Ptak. Rzucił się na mnie. Z okna! — Chodźmy, położysz się, Piotrze, musisz odpocząć. Ty i tak się za bardzo forsujesz. — Odpycha ją zdecydowanie: — Oddalasz

się ode mnie, Mario. — Muszę już iść. — Maria robi półobrot. — Do Karolka. — I ciszej: To prawie sierota. — Nie mów hop. — Nie łap mnie za słówka. — Zamknij się, do kurwy nędzy. — Myślimy równolegle, ale te nasze myśli — — Zamknij się i idź już — przerywa jej Piotr gwałtownie — pragnę spokoju. — Ciężar swego ciała składa na stół; nie wygląda to aż tak nienaturalnie. — Zamówilem na pojutrze tort dla Karolka. Jutro wieczorem masz tu z nim przyjść. Do babci Karolek nie wróci. — Chcesz, żeby chłopiec... — Maria chyba udaje, że szuka słów. — Co: żeby doznał szoku? O ty głupia! O! Jutro wieczorem! Powiedziałem! Jest mi potrzebny. Jest mi niezbędny! — Maria stoi i milczy. Piotr nagle pada na ziemię i obłapia Marię za nogi: — Powiedz, naprawdę nie widziałaś ptaszyska? — Wybacz... — Pytam cię! — Jakaś kobieta wielkim schrypniętym głosem strofuje z okna uparte dziecko. Grozi. — Byłam zamyślona — mówi zwyczajnie Maria. — To idź już sobie, idź, żono. — Maria jest mocna i stoi mocno, bo teraz Piotr wspierając się o jej ciało wstaje na klęczki; trzyma się nadal z trudem, centymetr po centymetrze unosi się na rękach. Szepcze: — Ucałuj Karolka. — Już stoi. Mocno obejmuje Marię: — Tusz ci się pod oczami rozmazał. Popraw. — Daj mi żyć. — Posadź mnie, Mario. — Naprawdę nie masz siły? — Głupie pytanie. — Omal go rzuca na krzesło. — Pocałuj mnie — mówi Piotr. — Musisz zasłużyć — mówi Maria. — Nie powinnaś nadużywać słów. Jeszcze raz się zaczerwienisz, a rzucę w ciebie szklanką. Czemu herbata nie w filiżankach? — Już stłukłeś cztery. — Trzy. A szklanek nie lubię. — No i co z tego. — Możesz kupić takie tanie filiżanki. — Nie będę jak głupia lazić za tanimi filiżankami. — Idź już. — Maria robi machinalnie parę kroków ku drzwiom — trudno powiedzieć, co sprawia, że nawet przez tę chwilę sposób jej poruszania podnieca; specjalny ruch uda, bioder, może brzucha, tułowia? Nic niecodziennego, coś najwspanialej nie zamierzonego... ale zawsze — nagle przystaje i się gwałtownie obraca do Piotra: — Jak ty mnie traktujesz? — Jak zawsze — mówi wyraźnie Piotr. — Wypadek losowy nie zobowiązuje mnie do potulności. — Maria opuszcza pokój. Dudni basowy rytm: o piętro niżej ktoś włączył stereofoniczny odbiornik i słucha sobie muzyki. — Doigrałeś się — także rytmicznie, lecz ostro, trochę skrzekliwie mówi Piotr. Trud, który musi pokonać, aby unieść się z krzesła, rękami opierając się o blat stołu, a potem o inne sprzęty, widoczny jest w każdym jego ruchu — i potwierdzają to wciąż powstające nowe krople potu na jego czole, wokół nosa, na policzkach pod oczami... Okropne. Dociera do biblioteczki. Z łatwością odnajduje książkę. Bardzo ostrożnie zsuwa się na dywan. Nie można na to wszystko patrzeć bez przerwy... Półleżąc, oparty o półki z albumami, czyta, wolną ręką zasłaniając jedno oko. Co chwila wybucha szczerym, dobrym śmiechem. Odrzucił książkę; gwałtownie przeciera oczy. Książkę podejmuje, wertuje ją i wraca do lektury, znowu się śmiejąc...

Odkłada tę książkę i przeciera oczy. Znowu bierze do rąk ten sam tom, oprawny w szary i nieco brudnawy zużyciem papier. Właśnie Maria weszła — w biustonoszu tylko i w majtkach. Ma ładną bieliznę; ma młode ciało. Lekka — bo ma na stopach leciutkie buty na bardzo wysokich obcasach. Nie zwracając uwagi na Piotra, szuka czegoś w licznych szufladach pod lustrem. Czy tylko to lustro sprawia, że są dwie Marie i one obie czegoś nie mogą znaleźć? Każda z nich w końcu znajduje swój grzebień. Już na tle neutralnym ściany jedna Maria ma jeden grzebień, ale coś w tym pokoju nachalnie podpowiada, że grzebień, owszem, tak — lecz może Marie są dwie. Znowu staje przed lustrem. Do licha, wszystko się rozsypało; absurd — miałyby ich być cztery? Bzdura, bzdura. Cicho, spokojnie. Maria czesze się szybko. Drapie się pod pachą, wśród włosków zauważa wyprysk; jest pochłonięta jego obserwacją, po czym starannie i cierpliwie go wyciska. Zaczerwienione miejsce zwilża wodą kolońską. Poprawia ułożenie piersi w biustonoszu; obraca się dwukrotnie na pięcie. — Piękna — mówi z podłogi Piotr z książką w rękę, wciąż przecierając oczy. — Znowu czytasz „Dobrego wojaka Szwejka”? — zapytuje Maria. — Tak. A skąd wiesz? — Nie widziałam, żebyś kiedykolwiek czytał coś innego. — To moja ukochana książka. Mogę ją czytać przez całe życie. — Gdzie ty w tym widzisz humor? No, ty? Ty rozogniony... Ja po piętnastu stronach wiedziałam, że więcej tej książki nie wezmę do rąk. — Nasze myśli biegną równolegle — Piotr patrzy na nią ze zrozumieniem i z szacunkiem — lecz się nigdy nie zetkną. — I całe szczęście — odpięra pojednawczo Maria. — Jeszcze nie wyszłaś? — O co ci chodzi, Piotrze? — Chcę mieć spokój. W twojej obecności czuję się jeszcze bardziej bezradny. — A może wolałbyś wyjechać sam? — Ależ ja nigdzie nie chcę wyjeżdżać. — To czego ty chcesz właściwie? — Chcę przeżyć jeszcze jakiś czas. — Prawa dłoń Piotra jest mokra; przed chwilą ścierał nią z twarzy pot. — Już ci nie grozi — mówi spokojnie Maria. — Gratuluję tak wspaniale głupiego poczucia bezpieczeństwa. Masz, miła, śliczne włosy. — Jesteś kochany. — Dzieci pod blokiem imitują sygnały karetki reanimacyjnej. — Ty też — mówi Piotr szybko. — Idź już. Ucałuj Karolka. — Kie — — ? — Maria przerywa sobie i trudno jej ukryć zmieszanie. — A tak, tak — nakłada następne słowa — no, zawsze to robię. — Coś bardzo starannie wygładza w kąciku ust. — Wiesz, jak on tęskni za tobą. To twój syn; do ciebie podobny i do ciebie szaleńczo przywiązany... — Nie rań mnie, Mario. On nie poznał własnego ojca... — Nie był przygotowany. — Maria nadal dłubie przy ustach. — Więc go przygotuj! — Piotr wyrzuca przed siebie ramię i palcem wskazuje na Marię. — Musicie go jutro przyprowadzić. Ja muszę z nim być! — Znowu, ol, usiłuje wstać. Niepotrzebnie. — A jednak, moim zdaniem, powinniśmy jeszcze trochę odczekać — mówi Maria tonem urzędniczkim — odrosną ci włosy. On wtedy nie będzie miał wątpliwości. —

I ty w to jeszcze wierzysz? — No wiesz? — Niech go babcia szybko nauczy czytać. Pokażę mu wtedy swój dowód osobisty. — Dobrze, he! — A co ty myślisz? On jest człowiekiem najnowszego pokolenia. Skoro chuligani mają respekt przed dokumentem, to co dopiero on. — Głupie porównanie. — Ale mi dzisiaj akurat pasuje. — Ładna jeszcze jestem, co? — W rytm muzyki, dobywającej się ze stereofonicznego urządzenia sąsiada z dołu, Maria obraca się przed leżącym na ziemi Piotrem. — Nie wyglądam na trzydzieści siedem, co? No, powiedz. — Wyglądasz na trzydzieści dwa... — Taak? Ładna jestem. Mam za małe piersi, ale ładna jestem. — Twoje piersi mi się podobają. Są twoje. Pokaż je. — Maria spogląda na zegarek: — Już muszę iść. — Lekko wybiega z pokoju. Piotr szepcze leżąc z mocno zaciśniętymi oczyma: — Nie pokazała mi piersi. Nie lubi Haśka. Nie pozwala mi na widzenie z Karolkiem. Nie chce mi dać spokoju... to Maria. Jej seks jest groźny: wyniszcza — sam niezniszczalny... — Pa! — strzela z głębi głos Marii, i nakładają się nań zgrzyty przekręcanych kluczy. — Pa! — odkrzykuje mężczyzna po chwili. — Pa. — Pełźnie w kierunku stołu. — Nie zaczekała... Wyniszcza... Maria... O Jezus, co za ból! Afs! Ale goi się szybko. W środku też. Ja to czuję. Swoją drogą, jak oni potrafili to zrobić, pozszywać to wszędzie, naprawić... Ja jestem — a samochód już pewnie przetapiają na stal, czy jak tam. Cud, że Jacek z tego wyszedł szczęśliwie. Koło mnie siedział przecież, na miejscu śmierci; nie zwracaliśmy nigdy na to uwagi, śmieszyły nas pasy bezpieczeństwa. Ach, Jacek, zdolniacha, złoty chłopak, no! W tym roku musi robić przewód na adiunkta. Nawet mu nie potrzebuję pomagać. Ja w jego wieku byłem dopiero asystentem. Z nim to się pracuje... Ciepłej mi, lepiej, lepiej... Jacek. Wybrnął. Szczęściarz. No, nie darowałbym sobie, gdyby... gdyby — — Tyłem się wycofuje ku oknu. Nie podnosząc głowy, po omacku szuka stor wyciągniętymi w górę, potem rozłożonymi rękami. Zasuwa story gwałtownie. Kurczowo chwytą się parapetu. W powolnym skupieniu podnosi się na rękach. Stoi. Wyraz jego twarzy może odzwierciedlać ulgę, lub tylko bezmyślność. Albo coś zupełnie innego; coś niekoniecznie do konkretnego nazwania. Słysząc, jak ktoś gra solo smętną melodię na trąbie, niechybnie na myśl przywodzącą uwalniający się od skwaru letni zmierzch w podmiejskim prowincjonalnym albo i z początku wieku parku. Piotr się uśmiecha, płynnie porusza rękami w takt melodii; usiłuje tańczyć i efekt tego jest smutny. Zaczyna być makabrycznie... Opada na klęczki... Zatyka uszy, i melodia natychmiast milknie... Piotr odsłania swe uszy. Przypadek: uwalnia muzykę, która w somnambulizmie staje się natarczywa... Otwiera usta; nucąc powtarza melodię. Melodia wygasa, lecz Piotr śpiewa dalej — coraz głośniejsze i coraz bezładniej. Wszystko to się przeradza w bełkotliwy krzyk. Potem w śmiech. Ostrożnie wraca na swój bujany fotel. Dłońmi zakrywa twarz.

Będzie zupełnie spokojny, kiedy już dłonie złoży na swych kolanach. Potem wstanie z owego fotela, dotrze do rogu pokoju, chwyci grubą laskę i, wspomagając się nią, opuści pokój.

Zszarzała ciemność. Lekki powiew powietrza i łatwo nozdrzom uchwytny przemysłowy smród. Szuranie, stukot. Dźwięk inny: suchy, krótki; wewnątrz ogarnia ostre białe światło; ręka Piotra, ubranego w czystą obszerną pidżamę, opuszcza kontakt. Nie wiadomo, skąd nadlatują ogromne, omal wielkości ucznia pierwszej klasy, ptaszyska: puchate, piaskoworude. Jest ich coraz więcej — więcej i więcej — zataczają kręgi nad głową Piotra. Czynią to rozważnie i bardzo powoli. Piotr teraz ich nie zauważa. Wsparty na lasce stoi na środku pokoju; je kromkę chleba grubo posmarowaną masłem. — Jest wielki dobry spokój — mruczy poważnie. — Ten dom się staje cieplejszy. — Patrzy na boki, przed siebie, trochę gryzie chleb, trochę mówi: — Jej nie ma, jest spokój i mam świadomość, że ona tu później przyjdzie. I z tym jest mi bardzo dobrze. Teraz. Jak ja jej potrzebuję! Ona wie o tym, lecz z trudem przyjmuje do wiadomości, że nasze myśli bieżą tak bardzo równoległe, że nie znajdzie się siła, która potrafiłaby je złączyć. Czasami o tym mówi, ale brzmi to trochę tak, jakby sobie recytowała ładnie, starannie, ale też i bezmyślnie. I może to jest największa tragedia, a nie tamto... — Szeroki gest jego ręki sprawił, że z dłoni wypada mu kromka. Piotr się nachyla... podnosi kromkę, dmucha w nią, strzepuje pył, pobieżnie w końcu całuje chleb. — No tak — a jak miałby spaść? Wiadomo, masłem na podłogę. Jak zwykle. Oczywiście. To mnie przywraca realizmowi, życiu. Coraz bliżej życia! Bliżej życia! Panowie! Bliżej życia!... Spokojnie, stary, spokojnie, spokój. — Patrzy na zegarek. — Nie, nic się nie dzieje, ależ czy tylko ja uległem wypadkowi? Dzisiaj na pewno zwieźli do szpitala tysiące rannych, tysiące tych, co sobie starannie planowali jutrzejszy dzień, wyznaczali sumiennie miejsca dla drobnych pocałunków, małych utarczek w urzędach, dla dokładnie odmierzanych terminów... Jak duszno, jak strasznie duszno... — Zjada szybko resztkę kromki. Jeszcze żując podchodzi do okna, story rozsuwa na granatową ciemność, ostro poprzecinaną prostokątami różnie rozświetlonych okien. Jednym ruchem otwiera spory lufcik. Oddycha głęboko, trochę się krzywiąc z bólu. Laska wypada mu z ręki. Ptaki wylatują za okno. Pozostał jednak niezgrabny, puchaty, rudawy i o brązowych oczach maruder. Co to za ptak? Krąży bardzo powoli wokół ścian. Czasami jakby tracił orientację, jakby słabł; wówczas ociera się nawet o głowę Piotra. Piotr uczy się chociaż bez laski. — Wylizę się — szepcze. — Jest już lepiej... — Nie reaguje na dzwonek brzęczący u drzwi. Prawdopodobnie nie słyszy. Ktoś jest wytrwały, zmienia taktikę i puka mocno. Ptak krąży bezustannie. Pukanie trwa. Piotr rusza na boki głową jak ptak. Nasłuchuje. Podąża ku drzwiom. Wszystko się dzieje normalnie. Ten duży ptak jest w standardowym pokoju

jak gdyby zadomowiony. Aż tak, że nietrudno nie zwrócić na niego uwagi. Ale on jest tam, do licha! jest; krąży. Teraz Piotra wprowadza czterdziestoparoletni i nie narzucający się niczym szczególnym mężczyzna w ubiorze dzinsowym, a jednak utrzymywany w staranności, zgodnej z pewną powagą białej koszuli i ledwo widocznego krawata. Zgoda... w oczywistej niezgodzie. I jeszcze w jego dłoni kwiaty najszlachetniej owinięte w papier u dołu kilkakrotnie spięty zszywkami. — Jest mi dobrze — Piotr mówi. Mężczyzna kiwa głową i się uśmiecha spokojnie: — Mnie też nie najgorzej. — Piotr spod pachy mężczyzny wyrывa swoją rękę. Stara się patrzeć mu w oczy: — Macie tam kłopoty przeze mnie. — Mężczyzna, szczerze zajęty odwijaniem kwiatów, wlepia w wiązankę swój wzrok: — Noo, należysz do ludzi niezastąpionych. — Wkrótce wrócę do was — oznajmia Piotr, twarz obraca do ściany. — No, no, stareńki — mężczyzna klepie go po ramieniu — nikomu się nie śpieszy. Maciek za ciebie egzaminuje z całą rzetelnością. Masz do niego zaufanie, co? No! Całe szczęście, że to się stało tuż przed sesją. Wrócisz w październiku zdrów jak ryba. — A Piotr z zapalem i szybko: — Ty wiesz, że nawet siedzieć nie mogę jak należy! Po piętnastu minutach ten cholerny kręgosłup daje o sobie znać. Muszę się kłaść i uważać, żeby, do diabła, nie zasnąć. Wiesz! — Jeszcze bardziej gwałtownie: — Weź ten, o ten wazonik, idź do kuchni, nalej wody, wrócisz i włożysz te goździki. Dla mnie są one, czy dla Marii? — Dla ciebie. — Bój się Boga! Za co? To Marii się one należą. Kobieta anioł. Życzę ci takiej żony. — Dziękuję serdecznie. — A! z przekąsem! — Bom jest zatwardziały kawaler. — Chichocze. — W sensie, że tak powiem, psychicznym, rzecz jasna. — To życzę ci życia łatwego. Dobra? — Kolega Piotra wychodzi z grymasem i z wazonikiem. Szybko wraca. Rozgląda się na wsze strony; węszy? — Jakiś — stwierdza — przewiew. — Duszno tu było — rzecze Piotr — ale jak bardzo chcesz, to możesz zamknąć okno, mieszczuchu. — Kolega niewprawnie zamyka lufcik. Przysiada na brzegu stołu. — Jeszcze jest przewiew. Czuję jakiś niepokój. — Ptak krąży nad jego głową; gubi maleńkie rude pióro. — Wiesz, co bym teraz musiał zrobić? — Piotr przygląda mu się figlarnie: — No? — Teraz bym sobie zapalił. — To zapal. — Rzuciłem. — Kiedy? Nic o tym nie wiedziałem. — Dwa miesiące będzie za tydzień. Ty wtedy byłeś w szpitalu. — Opowiedzieć ci o szpitalu? — Kolega śmieje się smutno: — Dajesz w dupę. — Poważnie — Piotr jest oparty o ścianę — ja chciałbym. — Masz to poza sobą. — Do rzeczy. Byłeś u Jacka? — Kolega zeskakuje ze stołu: — Jeszcze nie. — Całkiem bez sensu otrzepuje spodnie. — Wybieram się do niego w sobotę, Piotrze. — Szkoda, żeś nie był. Myślę, że Jacek ma do mnie żal. Dla niego to małe zwichnięcie kariery. Mały poślizg. Proszę cię, ty go zapewnij, że mu nie dam zginąć. — Odbija się plecami od ściany; bez większych kłopotów, bo z pomocą laski, idzie w kie-

runku kolegi; już się przybliżył: — Przygotowuję dla Jacka niespodziankę. — Noo...? — Sza! — Ale powiedz. — Za cztery miesiące Jacek zostanie adiunktem. No! A za pięć miesięcy raczej na pewno wyjedzie na dwa lata na stypendium. Chyba nawet nie marzył o tym. — Twarz Piotraomalże styka się z twarzą kolegi; Piotr ma na dolnej wardze spienioną ślinę, a jego lewe oko łzawi; te łzy się mieszają z tą pianą. — Milczysz? Ee, stary... Myślisz, że Hance będzie przykro, aha! Ze takie młodziutkie małżeństwo wystawiam na próbę? No, powiedz! — Może — zdusza ponuro kolega. Nagle odsuwa się od Piotra: — Ech, widzisz, jaki ze mnie ciamajda... — Podbiega z ulgą do stołu, aby się krzątać. — Wodę przyniosłem, a kwiaty jak leżały, tak leżą. O, teraz dobrze. Ich miejsce jest w wazonie, teraz to wyglądają! No. Umęczyły się, biedne. — Jesteście roztrzepani. — Jesteście?! — Nie, nic z tych rzeczy — śmieje się Piotr. — Mówię „jesteście”, bo dopiero co Maria przygotowywała herbatę — wszystko jak należy — tylko że zapomniała nalać wody do czajnika, który jednak postawiła na gazie! — Hm... — ...On przecież będzie tam mógł ściągnąć Hanke po paru miesiącach. — Kolega patrzy z ukosa: — A Maria też tak myśli? — Jej nie wtajemniczyłem jeszcze. — Cichutko: — Ona się mną za bardzo przejmuje. — Zupelnym szeptem, świszczącym: — To ciężar. — Dla niej: nie wątpię. — A dla mnie podwójny. — Ty widzisz po swojemu — od siebie. Ty nie widziałeś tego wszystkiego z jej perspektywy. — Nasze myśli biegną równoległe... — Nie przysparzaj ty jej kłopotów. — Duszno. — Co? — Duszno, kolego. — E! wciąż przewiew. — Przewiew jakiś i duszno. — Idzie na zmianę pogody. — Halny. — Nachalny. — Spiralny. Pożegnalny. Ale mi smutno! — No, no, nie bluźnij, ozdrowieńcze. — Szczęście, że Jacek tak pięknie z tego wyszedł. No! Słyszysz?! — Teraz musisz myśleć przede wszystkim o sobie. — Nie nudź. — Wybacz, drogi, ale nudzisz również. Zajmij się sobą. Ćwiczysz, jak ci doktor przykazał? — Mordega. — Powinieneś wyjechać gdzieś na wieś. — Piotr z trzaskiem pada na krzesło. W kąt rzuca laskę: — Przestań! Przestań! Przestańcie wreszcie! Wy wszyscy! Wszystkim wam chodzi o jedno! Chcecie mnie skazać na banicję! E! mało! Chcecie mnie strącić ze skały, bo nie odzyskałem pełnej sprawności! — Czemu krzywdzisz? — pyta po długiej chwili kolega. — Kogo? Kogo? Ciebie, sybaryto? — Wściekły, palce wpija kurczowo w brzeg kieszeni kolegi. — Ech ty! — Uspokój się — mówi kolega surowo. Piotr jeszcze mocniej zaciska palce na bawełnianej tkaninie: — Nie jestem głupi. No nie, ale... — A ty... ty nie jesteś ze mną szczerzy! — Nie — odpowiada natychmiast kolega. Piotr wreszcie uwalnia jego kieszeń: — Ale czy w tej nieszczerości jesteś choć trochę sobą? — Tak, Piotrze, jestem... — Już o nieco zaróżowionych policzkach w twarzy, na której trochę przesechł pot, Piotr macha rękami, jakby chciał coś odwołać: — Dobrze,

dobrze, wiem, to potrzebne. — Obejmuje gościa. Gość się wrywa. — Piotrze... — Jest ci słabo? — Piotr pyta. — Słabo? Tak, tak, słabo. — To się lecz! — Ja jestem słaby. — To przebac mi głupie uniesienie. — Popatrz, jak ślicznie i nadszodziejanie szybko się rozwijają — całkiem szczerze mówi kolega wskazując na kwiaty. — Jak, jak... jak Jacek — również szczerze dodaje rekonwalescent. — Niepotrzebnie przyszedłem tutaj z kwiatami — twierdzi kolega z żalem. — I ty to mówisz? — rechocze Piotr. — Jak się czujesz, Piotrze? — Hahahaha! — Wybacz, że jestem taki nieswój, ale... — Ale spotkała cię dzisiaj przykreść! — Skąd wiesz?! — A bo coż by cię mogło innego spotkać? — Kolega siada: — Nie muszę być z tobą szczerzy? — Nie powinienes. — Piotr siada z trudem. — Mówisz poważnie? — Tak. Mam dość tego wszystkiego. Chyba od was niebawem odejdę. — Kolega jest w niepokojach: — Przecież już nic ci nie grozi? Twoje zdrowie... — Chyba wkrótce odejdę z uczelni — wyjaśnia zdecydowanie Piotr. — Ach... ale coś ty! — Rudopiaskowy ptak siedzi na lampie jak wielkie zakłopotanie... — Jeszcze trochę, jeszcze cztery, no, sześć miesięcy. Godnie zastąpi mnie Jacek. — Piotrze! — Wiem, wiem, co ty chcesz powiedzieć. Że nie ma ludzi niezastąpionych? Jasne. Jasne też, że bylibyście wspaniałomyślni na tyle, żeby trzymać w uczelni wraka. Czyli mnie obecnego. Miłosierdzie, mój drogi, cuchnęło mi zawsze. Co, nie rozumiesz? Mój biedny ojciec nie z własnej woli siedział w odosobnieniu przez dziesięć lat i jakoś się trzymał. Ale nie wytrzymał rehabilitacji. Już na wolności zachwiał się i umarł. — Mówimy o dwu bardzo różnych sprawach. — Ale w obu jest jedno i to samo słowo: charitas. — Wybacz, ja to rozumiem inaczej. — Wybacz, wybacz! Och, ty człowieku układny! — Piotr mówi szyderczo i złośliwie — co ty wiesz... co ty wiesz... Zostanie Jacek. — Bardzo cię przepraszam, ale... ale Jacek... — Wiem dobrze — nie zważa Piotr — zawsze mu zazdrościłeś... Ja mu też zazdrościłem i zazdroścę, wyobraź sobie. Chłopak nie przechodził już burz żadnych, tragedji, rodzice kochający, dobra atmosfera domowa. No, może zbyt fanatyk, ale to jego sprawa. Jedna dziewczyna. W sprawach miłosnych też spokój i pewność. Wzajemne przywiązanie. Zaufanie. Praca poza tym, praca, praca. Trochę się boję o niego. — Może będzie dosyć. — Co? Mówisz do mnie jak do pijącego; tak jakbyś mi nie chciał nalać więcej wódki. Z kim mam rozmawiać, jak nie z tobą. Czy ja z kimś mogę normalnie rozmawiać? Oni traktują mnie teraz jak kawał ciała i widzą we mnie osobno nerki, osobno płuco, osobno czaszkę, osobno nogi, osobno pośladki, osobno wszystko to, co było otwierane na różne sposoby, naprawiane, przeglądane i zszywane. A Jacek — szczęściarz. Nawet z tego koszmaru się wywinął. I cudownie. Martwi mnie tylko to, że on jest poza życiem... — ...Kolega cały się trzęsie na krześle... — Tobie

chyba coś jednak dolega — gada Piotr. — Zaczynam czuć się podobnie jak w szpitalu, kiedy tak sobie patrzę na ciebie. — Zostaw! — Więc widzisz, życie obok mnie właściwie też przebiegało... obok. Nie jestem oschły, toteż z łatwością mogłem sobie wyobrazić, że na życie mam jeszcze czas. Ze znajdę moment, żeby odpocząć od pracy. Dlatego — wyobraź to sobie — kochając się z Marią najczęściej myślałem, że jest to strata energii, którą lepiej bym wykorzystał pracując. Wiedziałem, że w tym momencie jest mi bardzo dobrze, ale tamte bzdurne myśli nie opuszczały mnie. One mnie nie chciały opuścić! Przyszedł na świat z tego wszystkiego Karolek, to znów myślałem sobie, że jest malutki i że to tylko na razie stworzonko, które kąpać, przebierać, przewijać może byle kto. Nawet się cieszyłem, że Maria jest zajęta, zmęczona, że wiesz, że mniej ode mnie wymaga. — A właśnie wtedy ona oczekiwała twojej pomocy. — Skąd wiesz? — Mam dwoje dzieci, o ile ci wiadomo. Co z tego, że psychicznie pozostałem kawalerem. Kąpiele i pranie zasranych pieluszek to dla mnie normalka. A żona nie jest dla mnie żoną, tylko — jakby to powiedzieć — tylko częścią nas... — Częścią domu — grymasi Piotr. — A wiesz, może i tak. Harmonia... — Najgłupszy instrument. — Widzę, że mi trochę zazdrościsz. — Stary! daj żyć mojej wspaniałomyślności. — Kolega: — A pamiętasz, jak przy tamtej dziewczynie straciłeś grunt pod nogami? Zwierzaleś się potem ze swej głupiej przygody każdemu, kogo choć trochę znałeś. Chodziłeś rozgorączkowany, spalałeś się w oczach. — Piotr: — Gnębiły mnie wyrzuty sumienia. — Kolega: — Byłeś już za daleko od życia. Zatraciłeś granicę między prawością a cynizmem. — Piotr: — A mnie się wydawało, że byłem w tym wszystkim właśnie ludzki. — Jeszcze w to wierzysz? — Oczywiście, że nie. Ale była to sytuacja grząska. Teraz chyba także inaczej bym nie postąpił. — Po chwili, z lękiem: — No, co się tak patrzysz? A! że teraz... No tak, teraz bym nie mógł iść z tą dziewczyną do łóżka... — Ale mogłaby ci chyba zbić konia? — pyta kolega z blykiem. — Jesteś ordynarny. Ale masz rację. Tylko tu znowu wyłazi charitas. — Nie, nie rozumiem doprawdy, co możesz mieć przeciwko miłosierdziu. A wtedy mogłeś chociaż nie ranić Marii. — A lojalność? — Nie ma takiego terminu w układach erotycznych. — Może w seksualnych?! — unosi się Piotr. — Tobie chodzi pewnie o coś innego, ty myślisz prosto. Chodzi ci na pewno o układy seksualne... — Nie, Piotrze. Nie. W erotycznych. — I ostrzej: — Gdyby tylko w seksualnych, nie byłoby sprawy. — Ja nie mam doświadczenia. — To źle. Mężczyzna powinien mieć doświadczenie. Bez tego każdy związek małżeński jest tylko farsą. — Ja cię z tej strony nie znałem. — Boś nie chciał. Potrafisz tylko się śmiać z moich kwiatów. — Teraz za późno... — Biedny, osamotniony, pełen pierwotnej naiwności utalentowany naukowiec patrzący bezradnie na ślady swojej spermy na ciele obcym.

— Nie obcym. O, żeby tak Jacek mógł uniknąć tego, tego...
— Czego? — Tego mojego wstydu teraz. — On tego uniknie!
— Jest niewiarygodnie przystojny, to może jednak... — Czy Piotr się martwi?... Kolega wybucha: — Co ty więcej wiedziałeś o Jacku poza tym, że ci się jako asystent sprawdzał?
— Przyznam, że do tej pory znałem go powierzchownie, ale i tak bardziej niż to bywa w stosunkach docent-asystent. — To i tak za mało. Znam profesora ASP, który z ulubionymi studentami chodzi na wódkę. — Ja w ogóle nie chodzę na wódkę. — To ci się chwali. — Osamotniłeś mnie. — Jak to?
— No, przyszedłeś tu cichcem, kwiaty przyniosłeś, najpierw mnie odsłoniłeś, zerwałeś ze mnie szmaty, a teraz mnie szybko i skrupulatnie usiłujesz zakryć. — Co mam robić. — Ze mną jest coraz gorzej. — Wariat. — Być może. Ptaka dzisiaj widziałem. — Ja też. Wstrętny niezgrabny gołąb żarł sobie na moim balkonie i wydawał obrzydliwe gruchanie. Zupełnie jak stara gruba baba. Chyba zacznę polować na gołębie. Podobno rosół z nich jest pożywny. — A dla mnie upoluj ptaka mojej wielkości. — Takiego ptaka nie widziałem. — Może być nieco mniejszy. Nie ufasz mi? — Ani trochę. — Kolega pokazuje język. Piotr pyta: — Pileś? — Jakie to ma dla ciebie znaczenie? — Bo ja nie piłem, ale widziałem takiego, o ptaka. — Myślałem, że nie ma już takich ptaków. — Przyznam ci się, że ja nie myślałem w ogóle. — To dobrze. — Ty coś ukrywasz przede mną? — pyta Piotr podejrzliwie. — Niepokój — odpowiada kolega. Drżą stopy... — Co? — Piotr chce się upewnić. — No, ukrywam przed tobą niepokój. — Stopy wybrzuszają się w różnych miejscach. Piotr patrzy na nie tak, jakby wpatrzony był w siebie; w głębi siebie jakby. — Skocz no — mówi — proszę cię bardzo, i otwórz okno. — Ale... — mówi kolega realnie. — Skocz! Wypuścisz niepokój. Tak, jakbyś pierdnął. — Lecz kolega się rozsiada wygodniej: — Ale ci się zaczyna pieprzyć. — Piotr jest czerwony, wprost siny na twarzy: — Idź! Otwórz to okno. Zaraz potem będziesz mógł zamknąć. — Kolega wstaje szybko, otwiera cały lufcik; ten duży ptak spokojnie sobie wyfruwa... — Ochłodziło się znacznie — stwierdza kolega zawstydzony. — Teraz zamknij — rozkazuje Piotr. Kolega zamknął okno; siada z powrotem: — No. Lepiej? — Ty głupi realisto... — Może i głupi, ale masz rację, wpadło trochę świeżego powietrza. — Mieszczuchy trzymają w swoich pokojach śmierdzące ptaszyska. — Ładnie to powiedziałeś, Piotrze. Poetyzujesz. — A ty może nie? Szybko zapominasz. Bo my się wstydzimy poezji dopóty, dopóki jesteśmy parami własnych ciał. — Poeta by cię wyśmiał. — Wyśmiałby mnie poeta-udawacz albo zawistny krytyk. — Skąd ty to wiesz? — Otrzymałem w darze od wypadku temperówkę intuicji... — Kolega zatyka uszy. Piotr w ogóle nie patrzy na niego. Mówi dalej: — Ale skoro ty tyle wiesz o życiu, to pewnie zdajesz sobie sprawę z tego, co znaczy poczucie bezsilności. To znaczy: już wiesz, że nie

jesteś w stanie zrobić tego, co dawniej nie wymagało nawet namysłu. Tego, co dawniej dawał nie na zastaw zapal, który pomagał wyzwalać talent. Ojej, jak nie chcesz, jak nie masz zamiaru odpowiadać, to zechciej sobie przynajmniej przypomnieć szkołę podstawową, jak siedzisz wieczorami przy stole, z czerwonymi uszami i straszliwym popłochem w duszy, bo za nic nie możesz rozwiązać zawikłanego zadania z matematyki. I nic — nic o tym nie wiesz. Nie potrafisz sobie wytłumaczyć, że kiedyś jakiś pan też siedział na przykład w domu, siedział z takimi czerwonymi uszami, po to, żeby to zadanie dla uczniów odpowiednio wymyślić, i żalił się w duchu na swą chwilową niemoc, która mu nie pozwala rozpoznać prawdziwych skrzydeł polotu... Ja teraz wszystko to niby wiem, ale nie masz pojęcia, jak mimo to jest mi ciężko. Coś musi tu być w powietrzu, coś musi być w tej atmosferze. Coś, o czym nie możemy wiedzieć, bo gdybyśmy wiedzieli, to... to lepiej nie myśleć. Cudnie, żeś przyszedł. Jest się przed kim wyzalić. Tak, żal: bo to, co robię, nie jest absolutnie zwierzeniem... — Przez cały ten czas kolega patrzył na niego z lękiem i nie uwalniał uszu od rąk. Teraz staje przed Piotrem, odytka uszy, mówi głośno: — Nie słuchałem. — Nic nie mówiłem — twierdzi Piotr zaskoczony. — Ustami ruszałeś — przypomina kolega. Piotr szybko: — Choć raz żałuj, żeś nie głuchoniemy. Z ruchu warg byś wyczytał niegłupie mądrości półkaleki. — No, no! Jakoś sobie sam radzisz. Do niczego ci nie jestem potrzebny. — E, jesteś moim medium. Zmieszczaniałym, tekturowym medium. — Pójdę. — Wykluczone — Piotr wskazuje na wazon — te twoje kwiaty wcale jeszcze nie zdążyły zwiędnąć. — Czekasz na ten moment. — W zawiści siła. — Jesteś zmęczony. — Ty też. — Zgaszę górne światło. — Wyglądam strasznie. — Byłeś piękniejszy. Ale teraz stałeś się bardziej męski. — Bo pękne! — Piotr śmieje się, lecz szybko po jego twarzy spływają łzy. Kolega mówi w zadumie: — Nigdy nie byłeś małostkowy... — Bo nie miałem powodów. Zgasz górne! — Pstryka kontakt. — Lepiej? — Pytasz. Męczyleś się, patrząc na mnie. — Szczerze...? — Szczerze. — Na początku. Przywyka się szybko. Mało — twoja twarz jest interesująca. — Dla tych, co szukają perwersji. — Ja do nich nie należę. Docień to. — Piotr z przekąsem: — Jestem ci wdzięczny. — Kolega próbuje szydzić: — Zbytek łaski. — Ja ci to zapamiętam. Jesteś poczciwy. — Po co to mówisz, Piotrze? — Jeszcze trochę i zaczniesz mi zależeć na układach. Będę dla Jacka nie tylko mistrzem, lecz także protektorem. A cóż wart protektor, który nie ma pleców? — Wszystko to o dupę rozbić — kolega jest poruszony. Piotr mówi cicho: — Pani Zawiść panuje wszechwładnie. — Miotasz się — zauważa kolega. — Tu prawa czułości, tam — układy. Człowieku, wnikiń ty w swoje wnętrze. — Taak? Dobrze. Widzę tam śledzionę, drogą trzustkę, wątrobę, płuca, nerki, a ponad tym wszystkim pośladki, które

wieńczą plecy. — Pochwalasz naturę. Wspomaga cię znacznie. — Kto ma to robić? Tyś przyszedł z kwiatami, ale masz mnie w dupie. — Kto z nas jest słabszy? — Zdejmij koturny. — Jak ty nic nie rozumiesz. — Nie jesteś sobą, sybaryto, dupcyngierze, dobry ojciec rodziny. — W pewnym sensie jestem sobą, do stu piorunów, koturnów nie zdejmę, bo ich nie mam. — Masz cichobiegi, pepegi. — Kolega jest zatrwożony: — Skąd wiesz? — Zart taki. Słowny. Igraszka słowna tylko. — Teraz wiem, że to prawda — mówi serdecznie kolega i podaje Piotrowi miękką dłoń — wiem, że istotnie otrzymałeś w darze od tego wypadku temperówkę intuicji. — Stary — szepcze Piotr — ja tylko tak... — Życie jest życie. Nie wolno małemu sądzić dużego. — Zupełnie cię nie rozumiem. — Bo wielki jest twój świat. Ty teraz nim rządysz. Drobiazgi wprawiają cię wyłącznie w zakłopotanie. Zabawne dla innych. Dla obserwatorów zabawne to zakłopotanie, Piotrze. — Ty mnie zadziwiasz, naprawdę... — Piszczy w rurach i w bloku roznoszą mleko; winda lka. — Boś mi pozwolił wleźć w twój świat. Czegoś takiego się nie spodziewałem — cicho mówi kolega pocierając niewielki kształtny nos. — Lubisz mnie — twierdzi Piotr. — Boję się ciebie — odpowiada natychmiast kolega. Piotr: — Nie kłam. — Kolega: — Coś ty mówił, gdy zatykałem uszy? — Jakie uszy? — Nie zauważyłeś? — Nie. Po co? — Daj mi spokój — mówi kolega z lękiem. — Nie masz go? — U ciebie — nie. — Każ się wypchać. O, boli! — Co... — No, ciało. Przepraszam, ja do siebie. Nie powinienem tak. — Wyrzębiesz się. Jesteś mocny, Piotrze. — Ja? — Póki jeszcze nie wierzysz w układy. — Ja w nie muszę uwierzyć! — krzyczy Piotr. — Rozumiesz, muszę! Bo Jacek... on... — Ty jesteś mocny — powtarza z głuchawym naciskiem kolega — ale w sieci układów z ciebie muszka. Pająkami układów są słabi. A znowuż dla świni pajęczyna to igraszka. A ty muszka byś był. — Zależy ci na mnie — Piotr patrzy na niego poważnie. — Zawsze mi na tobie zależało — odpowiada po chwili kolega. — A mnie zależy na Jacku. Dla niego mogę się nawet ześwinić. — Myśl o sobie. Wtedy się nie zeświniś. — Ale wtedy nie pomogę Jackowi. — Jacek nie potrzebuje pomocy. — Nonsens! — Kolega mówi, patrząc na ręce Piotra: — Nie żaden nonsens. Święta prawda. — I po chwili, tym samym tonem: — Mogę otworzyć okno? — Żądam wprost! A widzisz, duszno! — Jak cholera. — Kolega otwiera okno, cofa się szybko: — Co to? — Wyziewy z huty. Możesz zamknąć. — Kolega kaszle: — Teraz wódka by się przydała. — Jeszcze i to świństwo? — Ona wiele ułatwia. — A trudności są po to, żeby je przewycięzać. Bardzo je lubię. — Kolega usiłuje poprawić węzeł, w końcu rozluźnia krawat i z wahaniem odpina pierwszy guzik koszuli: — Wódka też jest dla ludzi. — Przyszedł i chce mnie wyprowadzić na manowce — Piotr chyba jest rozbawiony; trudno jednak o pewność: — Powiem Marii. Więcej

cię tu nie wpuści. — Odetchnę. — To po co tu u nas bywasz? — Zeby cię ostrzec. — Przed czym? — Przed zbytnią pewnością siebie. — Nie rozumiem. — Jak się wpakowałeś w tamten romans, to wcześniej oprócz Marii nie miałeś żadnej kobiety. To cię zgubiło wtedy; to ci skomplikowało prościutką sprawę, której się domagała natura. — Bredzisz. — Nie piłeś, nie pijesz, a jesteś o krok od alkoholizmu. — Co cię dzisiaj napadło? — Na Piotrze rusza się cienka i w kratkę pidzama. — Ale ty niegłupi jesteś. Muszę cię słuchać. — Masz trochę wódki? — Znajdź sobie inną okazję. — Masz wódkę? — Piotr drobniutkimi ruohami macha palcami nieco wyciągniętych przed siebie rąk: — Zlewasz mi się w ciemną plamę. — Masz wódkę? — naciska kolega. — Nie. — Mogę skoczyć. — Skocz sobie... wiesz na co. — Brojler. — Co? — Brojlera jak wziąć do ręki, to on, nie przywykły, podobno od razu zdycha — ze strachu. Kura w wieku brojlera w tej sytuacji nawet nie pierdnie. Otrzepie się i wróci... wróci do zajęć. Tyś chyba brojler. Aż do śmierci delikatny. Wciąż młody. Ostrzegam cię, Piotrze. Chcę ci dać wódki normalnie i bez przesady. — Mówiłeś to do głupszego? — Nie. — To sobie głupszego znajdź. Szukasz takiej okazji — knajpa na rogu. — Na rogu to byk wynosi toreadora. — Błyskotliwość knajacka. — Może cenniejsza niż jęk brojlera... — Mężczyźni zastygają w ciszy i bezruchu, bo dzwonek u drzwi ozwał się natarczywie: długi, króciutki, bardzo długi, przerwa, krótki urwany... i niebezpieczny odgłos przekręcane go klucza. Piotr jednak, jak gdyby nigdy nic, bo mógł tego wszystkiego nie słyszeć, nachyla się ku koledze: — Przepraszam cię bardzo. — Co? Za co? — Kolega się wierci. — No, miałem cię za trochę ograniczonego, wybacz. Ten twój sposób bycia... Te twoje odruchy, te, wiesz... — Dziękuję — mówi kolega gorzko. Piotr na to: — Ale i tak się nie zrozumiemy. — Bo i po co? — stwierdza jakby weselej kolega. — Piotr chrypi: — Jasne. Ulepieni jesteśmy z tej samej gliny, tylko że w różnych piecach nas wypalali. — Szarża. — Szarża nie jest zła. Groźne bywają jej następstwa. — Skoro wiesz... — Pewne rzeczy wiem. — No to co z tą wódką?... — Piotr wskazuje niedbale w stronę przedpokoju: — Przepadło. — Ktoś przyszedł? — pyta, jak głupi, kolega. — No... ten ktoś tu zaraz powinien wejść. — Kto? Maria? — Może złodziej, może ksiądz. Co cię to obchodzi. — Ja zaraz sobie pójdę — mówi kolega i siedzi bez ruchu. — Dobry duchu — uśmiecha się boleściwie Piotr. Kolega nagle: — Sytuacja wymaga, żebyś mnie objął. — Poważni naukowcy nikogo nie obejmowali! — To znaczy, że odżyjesz. — Przestań błaznować! Każdy ruch to dla mnie udręka. Po co tak żyć. — Ale ćwiczysz, jak ci kazali? — Nie ta cierpliwość. — A Maria cię nie przypilnuje? — wcale nie domaga się odpowiedzi elegancki kolega — zawsze to inaczej, jak ktoś się choćby przygląda. — Ona — mówi Piotr kaszłąc — jest wykończona. Przeze mnie. Ale wciąż młoda i ładna...

— Ktoś w kuchni zabrał się do roboty: brzęczą, brzęczą naczynia. Rozprasza to, irytuje, ale i budzi pełen mdłej melancholii szacunek dla wieloletniej wyprawy w kuchennych czynnościach; szacunek, rzecz jasna, na samym dnie. Echem wielokrotnie pobrzmiwa sygnał optymistycznego programu w telewizji. — Ty masz wyostrzoną intuicję, prawda? — próbuje się upewnić kolega. — Tak, a co? — Nic, nic nic — w tym momencie naprawdę czegoś innego kolega powiedzieć nie może. Piotr wcale nie kpi: — Co się wysilasz? Stary, ja takie ptaki mam, jakich nikt nigdzie nie zobaczy. — Olewasz? — A ty wiesz coś o Marii? — Słyszałem. — Maria postępuje słusznie. — Piotrze, jesteś rozsądny. — Muszę. — Maria chodzi do Waldka. — Waldek chyba mnie lubi. — Och, bardzo. — Miły Waldek. Później, jak nieźle wydobrzeję, dla zasady dam mu w mordę w publicznym miejscu, na przykład podczas rady wydziału. — Ale Maria chodzi do Waldka jak do człowieka, rozumiesz? On jest po prostu pogodny. Nie rozumiesz? On się nie spala. Przy nim tacy ludzie jak my czują się bezpiecznie. Tobie tego poczucia brakowało. — Nie gniewaj się, ale ty jesteś pogodny. Niewiele oczekujesz od życia. — Dlatego życie mi dużo daje. — Jesteś szczęśliwy? — Na swój sposób. — Przepraszam cię. To było głupie pytanie. — Zadałem ci cios. — Ja przecież wiedziałem... Całe szczęście, że to z Waldkiem. — Jestem tego samego zdania. — Piotr robi zdziwioną minę; teraz twarz jego jest twarzą mima: — Ale Waldek jest amatorem dużych piersi? — Zgadza się — żywo potwierdza kolega. Udało się; właśnie na to Piotr czekał. Wybucha ostrym śmiechem. Łapie się za brzuch. Syczy z bólu. Od tego bólu aż gęsto... Nie spostrzegli wejścia grubawej, ale nieco zgarbionej, siwowłosej kobiety, dzierżącej z przesadną ostrożnością słój kompotu i szklanekę. — Syneczku — mówi nagle głosem ostrym, przenikliwym i nieprzyjemnym — co za radość widzieć cię w dobrym humorze! — Piotr się zgarbił, głowa mu opadła na ramię. Poważnieje. Kobieta teraz zwraca się do kolegi z wdzięcznością: — Pan jest chyba aniołem... — Nie. Adiunktem. — Cudotwórcą pan jest. — Nie. — Matka kiwa z zadowoleniem głową: — No, no, wprowadzić Piotra w tak dobry nastrój... Syneczku, kompotu się chyba napijesz...? — Mamusi! — krzyczy Piotr zrywając się z krzesła. — Siedź, siedź, siedź, kochany. O, patrzcież, on się zaśmiał do łez! No widzisz, no widzisz. Pogoda ducha to najlepsze lekarstwo... — I twoje kompoty, mamusi. I twój uśmiech. Wiesz, jak mi potrzebny. A ty się tak rzadko uśmiechasz. — No, skoro myślę, skoro zdaje sobie sprawę, że mój uśmiech mógłby cię zasmucić... tak. — Obraca się najuprzejmiej do kolegi: — Pan to powinien dostać order uśmiechu. — Takie orderzy przyznają, zdaje się, dzieci — mówi kolega niechętnie. — Ha, ha, no to ja mogę chyba panu przyznać. Troszkę już jestem zdzięczniała. — Wtrąca się Piotr: — Co też mamusia! To już raczej ja... — To

w takim razie, Piotrusiu, wspólnie przyznamy panu adiunktowi ten order uśmiechu. Przepraszam na chwilę. — Stara kobieta krzątliwie i po kaczemu wybiega do kuchni. — Jest opiekuńcza — objaśnia koledze zmieszany trochę Piotr. — Codziennie mnie odwiedzała w szpitalu. Jak już mogłem jeść, to przynosiła mi całe obiady. Wiedziałem, że to wszystko w tych termosach jest bardzo dobre i takie jak lubię. Ale musiałem jej odmawiać, nic nie ruszyłem, i to nie dlatego, żebym tak całkiem nie miał apetytu. — Zasady jakieś. — Gówno tam zasady. Ty! Ja się bałem, że przy pierwszym kąsie zacznę ryczeć. — Z kuchni dobiegające trzaski naczyń i sztućców są koncertowe. — Kolega gładzi policzek i mówi: — Mogłeś się trochę opanować. — Nie mogłem. Dawali mi jakieś środki uśmierzające, codziennie. Słusznie — ale one fatalnie wpływały na wolę. — I ty wiedziałeś o tym? — Raczej się domyślałem. Przecież czułem, co dzieje się ze mną. Któregoś razu, zbuntowany, po wyjściu pielęgniarki natychmiast wyplułem tę garstkę prochów. No to związałem się w boleściach i dwa razy traćłem przytomność. — Kolega z rozdrażnieniem zerka ku kuchni: — Zazywasz coś jeszcze? — Wyobraź sobie: nic. Czyli — znaczna poprawa. — Ale ćwicz. Gimnastykuj się, stary. Jak chcecz, to będą przychodził, żeby cię dopilnować. — Robi to Maria. Z oddaniem. — Piotr z trudem podciąga spodnie. Kolega tego nie zauważa, delikatny: — Ona jest dzielna. — Jak długo można być dzielnym? — Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze. — O! — chrypi Piotr. — Co? — Wiem, że to mówisz serdecznie. Ty, dobry z ciebie człowiek! — Gdybym był przy tym choć trochę mocniejszy... — kolega w zamyśleniu znacząco zawiesza głos. — Jeżeli ktoś bardzo dobry jest równocześnie bardzo mocny, to istnieje obawa, że może on kogoś zabić — mówi powoli Piotr i stara się utkwic wzrok w twarzy mężczyzny, który całkiem zmieszany wydusza: — A wiesz, twoja intuicja innie zadziwiał — Eh, gdyby nie te ptaszyska... Wiem, że one są po to, żeby mi coś zasłonić, przyciemnić, zamazać. — Wciąż mówisz o jakichś ptaszyskach. — Są tutaj, ukrywają się, czasem dają o sobie znać. Pilnują mnie. — Chciałbym je też zobaczyć. — Wypluj to! — No, bo inaczej — bąka kolega — to my się nie zrozu — — Piotr ostro: — Wypluj to, wypluj! — Kolega pluje na dywan... Pochyla się i ściera plwocinę... Piotr śmieje się cicho... Kolega kiwa głową: — Piotrze, Piotrze, co z ciebie wyrośnie? — Drzewo krzywe i trochę głupie, wichrzaste. Wierzba z dziuplą. — Ta odpowiedź musiała się bardzo spodobać koledze, bo teraz śmiejąc się głośno dodaje do tego, co usłyszał: — A w dziupli wielkie ptaszysko... — Milcz! — Piotr mówi poważnie, twardo i ostro. — Nie masz żadnego prawa. — ... A jaki pan serdeczny! Pan wnosi do tego domu pogodę... — dobiega się z kuchni lub z przedpokoju przenikliwy głos matki Piotra — ... a ja pana już chyba gdzieś widziałam... — Kolega się odwraca,

wypatruje, a jako że nie dojrzał mówiącej, wykrzykuje w stronę źródła jej głosu: — W szpitalu. Kilka razy odwiedzałem Piotra. — Ach tak! — jeszcze ostrzej krzyczy niewidoczna — przypominam to sobie! — Piotr rzuca przed siebie szorstko i bez żadnej dbałości o dykcję: — Zawsze mi do szpitala kwiaty przynosił! — Ach, to pan! Tak — wibruje głos matki Piotra — Piotr wiele mi o panu opowiadał. — Nie kłam! — Piotr przecina ten głos. — Ależ nie kłamię... — głos kobiety dochodzi z uporem. — Pomyliło ci się widocznie, mamusiu. Ja wciąż mówiłem o Jacku. — W tym samym momencie dobiegł z kuchni dźwięk tłuczonego szkła. I może jęk, a może nie... Chyba nie. — Może pójde pomóc twojej mamie. — Kolega podnosi się skrzątnie. Musiano go kiedyś dobrze wychować; nic więcej. — Siedź tu — powstrzymuje go Piotr — ona by się zdziwiła. Ona chce, żebyś tu siedział. Dzień w dzień przynosiła mi do szpitala świeże obiady. Gotowała je nocami. Opiekuńcza. Kobieta przedwojenna. Pełna poświęceń. — Cenna. — Okazało się to trochę za późno. Popatrz, wymarzyliśmy sobie z Marią to mieszkanie. Dostaliśmy je po ośmiu latach małżeństwa. Mieszkaliśmy tutaj razem wszystkiego cztery tygodnie. Nagle wypadek i... I tak, jakby koniec, kolego. To mieszkanie nie przyniosło nam szczęścia. A myśmy myśleli, że samo mieszkanie już wszystko rozwiąże. — Chrząka. — Ta opiekuńcza matka przez osiem lat dała nam się poznać jako strażnik domowego ogniska. Wtrącała się do wszystkiego, do wszystkiego! Była jak wiatr w otwartym namiocie na szczycie skalistego wzgórza. Nawet schowała klucz do łazienki, żeby się nie było można zamykać. Żeby ona mogła mieć wgląd! Każdy nasz ruch był przez nią krytykowany. Powoli, ale stopniowo zamienialiśmy się w automaty. — Normalka. Dwa różne pokolenia na pięćdziesięciu metrach kwadratowych... — Kolega, speszony swym wejściem w cudzą kwestię, do ładnych czerwonych ust przykładając palec, ponieważ właśnie przed chwilą Piotr zaczął głośniej: — Potem nie zwracała uwagi, że Karolek się przysłuchuje, że obserwuje. A może celowo... Tak jakby nas chciała z nim skłócić. Kiedy myśmy go usiłowali wychować, ona pozwalała mu prawie na wszystko. — Bała się samotności — wноси kolega. Piotr, wstając, gwałtownie: — Lubisz dźwięk trąby? — Nie zastanawiałem się nad tym.. — wyznaje kolega i najpewniej jest zaskoczony. Piotr opada z powrotem na krzesło: — Lubisz albo nie lubisz. Nie ma sensu się zastanawiać. — Więc co z tą trąbą? — A to, że ty akurat nie masz prawa — żadnego, rozumiesz, prawa — żeby mówić o samotności... — Robi się lepko; wchodzi matka Piotra niosąc tacę, a na niej w wielkim porządku ustawione trzy szklaneczki z kompotem. Uśmiecha się ta kobieta dosyć sztucznie; ma zaczerwienione oczy i nos. O wiele lepiej by było, gdyby się nie uśmiechała, choć z drugiej strony wiadomo, że musi. Stawia tacę na stole — niepotrzebnie się nagle pofałdowała

ładna płócienna serweta — dużym ruchem wyciąga z fartucha chusteczkę, wyciera nią nos i, ukradkiem, oczy. Chusteczkę teraz wciska do rękawa, wprawnie zdejmując fartuch i rzuca go na fotel Piotra. Siada na krześle, prościutko; mówi: — A wiecie chociaż, z czego ten kompot? No? Z brzoskwiń. Ze świeżych, z pachnących. No, no, skosztujcie. — Mężczyźni próbują i zaraz mimicznie wyrażają uznanie. Mówi kolega: — Wykwintny. I jakiś w nim jest dodatkowy smak, bardzo subtelny. — A bo ja dodałam jeszcze kilka suszonych fig — kruszy słowa starsza kobieta — ot, cała to tajemnica. — Masz już wprawę w robieniu kompotów — dorzuca Piotr. — Tak, tak. Synu...? — Co, mamusiu? — Czy mogę cię o coś prosić?... — Coś podryguje w twarzy Piotra; trudno powiedzieć, co: — Słucham, ma... — Zrobisz mi, Piotrusiu, przyjemność? — Piotr opada bezładnie na oparcie: — Ale o co chodzi? — Nie będziesz się upierał? — łagodnie naciska matka. Piotr jest zirytowany; rozciera twarz. — Nie gniewaj się, Piotrusiu... — żeby to mówić, matka wcale nie musi go znać. Kolega chwali: — Świetny kompot. Wykwintny — dopija, ociera usta; wstaje i podchodzi do okna. — No i co, mamo? — pyta spokojniej Piotr. Matka niemo wskazuje na obróconego do okna kolegę. — To ma być tajemnica? — głośno domyśla się rekonwalescent. Matka mówi wyraźnym szeptem: — To taka sprawa, wiesz, między nami. On nie musi być przy tym. — Piotr zbliża twarz do twarzy matki; omal bezgłośnie: — Co sobie wyobrażasz? On jest moim gościem. — Ale to ma być sprawa delikatna. — Nie mamy przed sobą tajemnic. — Czy jesteś tego pewny? — Intensywnie i chyba niezdrowo ktoś smaży na dole; mdły a zaborczy zapach tłoczy się do pokoju przez lufcik. Piotr pyta zwyczajnie: — Co ty tam stłukłaś w kuchni? — Ach, e, nieważne. Taką tanią fajan-sową filizankę. — Była tam? — Zostały jeszcze dwie. — Więc były trzy. Myślałem, że już nie ma tych filizanek... — Milczał, jakby zamarł, zamyślił się przez chwilę. — Co to za tajemnica, mamo? — Bardzo przepraszam, ja wyjdę... — to kolega się odwrócił od okna i jest zupełnie przytomny. — Ależ... — protestuje nieszczerze matka Piotra i wciąż sądzi, że nadać twarzy uśmiech można tak prosto, jakby się naciągało na nogę pończochę. — Prosiłem cię, żebyś jeszcze został — zamyka Piotr. — Przepraszam państwa, chciałem wyjść tylko do toalety. — Ach, taki jestem... — Piotr poczerwieniał — ... od przedpokoju pierwsze drzwi na lewo. — A kolega wychodzi uniżony, z uśmiechem... Matka recytuje synowi: — Wiesz, jak Karolek za tobą tęskni. Zamęcza mnie pytaniami o ciebie. — Piotr chrypi: — Wtedy mu nie błysnęło, że to ja? — Matka już przestała ukrywać zmieszanie: — Wiesz, jakoś nie. — Chłopiec cierpi. Wszyscy przeze mnie cierpicie. — Nic podobnego. Było, przeszło. Ale wtedy... Przez pięć dni biło ci serce, a ty nie dawałeś znaku życia. Przez cały ten czas Maria siedziała na korytarzu w oddziale intensywnej terapii.

Dzielna Maria. Cudem z tego wyszedłeś. — Maria mówi, że to nie cud, tylko sukces współczesnej medycyny. — Ona ma dużo racji. Ale Bóg jest nad nami. — Mimo wszystko, mamusi, wierzę w Boga. — Mimo wszystko? — Mimo wszystko — mówi Piotr ostro. Matka wygładza fałdę sukni: — Nieraz mi się wydaje, że jesteśmy blisko, że się potrafimy zrozumieć... — Ja też czasami odnoszę takie wrażenie. Na krótko. Bo rozumiemy się tylko do pewnego punktu. Ten punkt to raczej gruba ściana, przez którą nie przedostanie się nawet to kosmate ptaszysko. — Synku, fantasto, nie histeryzuj... — Kolega w łazience właśnie spuścił wodę — ... Dziwne, wiesz, ale ostatnio czuję się w miarę bezpiecznie tylko w otoczeniu ludzi nie należących do naszej rodziny. Czy ja jeszcze zachowałem cokolwiek z tamtego Piotra sprzed wypadku? — Ja, jako matka, mogę cię zapewnić... — Ale przepompowali mi prawie wszystką krew. — To nie ma znaczenia. — Nie wierzysz w to, co mówisz — Piotr patrzy na matkę badawczo. Słysząc, że w piecyku gazowym buchnęło umiarkowanie; teraz leje się woda i na pewno kolega myje sobie ręce. Może twarz też. Potem będzie wybierał ręcznik. — Nie mam na ciebie wpływu — cedzi starsza kobieta — gdyby była tu Maria, to wystarczyłoby jedno jej słowo albo nawet spojrzenie... — I co? — I przestałbyś się rozklejać. — No, może masz rację. Dobra. Co to za tajemnica? Szybko, bo on zaraz wyjdzie z łazienki. — Sprawiliam ci... — kobieta biegnie do drzwi i już wraca z torbą — ... sprawiliam ci, widzisz... — wyciąga z torby coś ciemnego, włochatego, robiąc przy tym miny niezdecydowane zupełnie — ... otóż sprawiliam ci peruczkę, żebyś sobie ją miał, dopóki ci włosy nie odrosną. Jest bardzo podobna do tamtego twojego uczesania, no, do fryzury, którą zapamiętał Karolek... — Ach, ten Karolek. — Co? — Eh, eh, nie poznać ojca! — Patrzy na matkę, która lekliwie odsuwa od niego swą twarz i nadal w drżących rękach dzierżąc perukę pyta: — No co? no co ty tak patrzysz?... — Miałaś świetny pomysł z tą peruką, mamusi. — Taaak? — Delikatnie bierze z jej rąk perukę, ogląda ją, głaszcze: — Wiadomo, że nikt inny by tego nie wymyślił, to twój styl, taki sobie nieźle dziwaczny, ale zrobiłaś coś... No, nno... To drogie? — Ee... — starsza kobieta opuszcza głowę. — Drogie. Mam teraz włożyć? — Proszę cię. — Piotr wciska na głowę perukę. Pochyla się, podnosi z podłogi laskę i wstaje wspierając się na niej. Kładzie po cichu laskę na stół. W bok wysuwając ręce — zupełnie jakby lawirował na linie — pomału przechodzi do pokoju; raz tylko w półobrocie zerknął w lustro. Mało brakowało, a byłby upadł... Jego matka była wpatrzona w stół. Bardzo dokładnie wypija teraz swój kompot; wpycha do ust brzoskwinie. Pryska coś — eh!

Piotr wróci idąc swoim niepewnym krokiem; będzie niósł pod pachą ogromną kopertę po papierze fotograficznym. Na pidżamę będzie miał narzucony wzorzysty szlafrok; na głó-

wie — trochę jakby zbyt czarną perukę. Jego matka powie: — Dobrze. — Piotr wyrzuci na stół zawartość ogromnej koperty. Szybko znajdzie jedno z największych zdjęć. — No — powie — jestem... tu. — Wybrane zdjęcie, głowa mężczyzny powiększona do rozmiarów nadnaturalnych, to portret Piotra sprzed wypadku. Tego będzie się można domyślić najwyżej z kształtu czaszki oraz z peruki imitującej dawny układ fryzury. — Popatrz, mamusi! — Piotr zdjęcie przytknie do piersi. — Jaki jestem? — Szczerze się spróbuje uśmiechnąć: — No co? Podobny bardzo?... — Jego matka cofnie się o krok.

Omrok. Najjaśniej jest w dużym, szerokim na całą ścianę oknie, bo story rozsunięto zupełnie. Za oknem ciężka chmura olbrzymich puchatych ptaków, które nachalnie się wpatrują w głąb pokoju. Jeden z nich nagle machnął skrzydłem, może rozwarł się właśnie jakiś dziób; tam pióro opada. Kolosalne akwarium...? Kompletnie fantastyczne? Gdzie świat? Czy to może jest świat? Dobrze, dobrze. Piotr ma teraz na sobie granatowy garnitur, koszulę błękitną, wielobarwny krawat. Tak nieruchomo stoi, może patrzy przed siebie — lecz z zablakowanym uśmiechem. Jego matka nie może upchać fotografii do ogromnej żółtej koperty. Jest nadal w tym pokoju kolega. Systematyczny — przechadza się tak: cztery kroki w przód, trzy do tyłu. Znowu i znowu — z założonymi rękami. Piotr ku niemu wyrzuca mały palec: — Teraz dopiero przestraszyłeś się mnie. — Palcem środkowym celuje w matkę: — Widzisz, sama sobie wymyśliłaś tę perukę, czy jak ty tam mówisz: peruczkę, aleś sobie nie mogła zdać sprawy z oplakanych skutków. — Kolega spaceruje rozważnie, Piotr z niedowierzaniem dotyka na głowie peruki, a starsza, siwa i o zmierzwionych włosach kobieta nie chce dać za wygraną: — Oj, nie przesadzaj, synku. Jeszcze kilka miesięcy masaży. O ile już jesteś lepszy! Ten masażysta to stary praktyk, ma złote ręce... — Stracił wzrok podczas wybuchu na kolei. Był manewrowym. Ale jednym okiem widzi przez mgłę. On mi mówił — — Daj spokój — przerywa Piotrowi kolega utrzymując swe kroki w normie — nie masz jeszcze dość? — A właśnie że mam dość! Mam gdzieś to wasze uprzejme zainteresowanie moim przypadkiem, to wasze pokątne biadolenie nade mną! A ja się cieszę, że tak wyglądam. Tak! Ja się sobie podobam, rozumiecie? Mnie to było potrzebne. Skoro jestem brzydszy — na pewno stanę się lepszy. Wiele rzeczy może wreszcie zrozumieć naprawdę?! — Machając rękami, z blyskiem potu na umęczonej twarzy zwraca się tylko do matki: — Czy wszyscy w naszej rodzinie muszą być ładni? — Bluźnisz, synu. — Coś ci się chyba pokręciło. A ja naprawdę stanę się inny. Zaczynam widzieć słońce, jak ono świeci, ptaki jak lecą, tak, ptaki. Ptaki. — Oburącz się chwyta za głowę. — Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ptaki; gdyby nie te ptaki! — Pada na ziemię, wlecze się do okna, gestykulując niezdarnie: — A sio! A sio! A precz!... — Uważaj — przerywa

swój spacer kolega — możesz wybić szybę. — Co z tego? A sio, a sio, wy kanalie! — A to, że to jest dwunaste piętro. — Właśnie dlatego tyle ich tu przylatuje. Gdy one są, czuję potworny ciężar. I wtedy radość pierzcha. Każda... — Pani coś tam widzi? — Pilnując Piotra, kolega cicho zwraca się do jego matki, która bezradnie: — Widzę inne bloki. Może Piotrusiowi trudno znieść ich widok... — Choć pewnie wydaje się spokojniejszy, Piotr nadal wymachuje rękami... — Może — przytakuje starszej siwej kobiecie kolega Piotra; na pewno jest dobrze wychowany, czemu więc teraz sprawia wrażenie chama? Ptaki... Szkoda gadać. — Przestańcie się zgrywać. Was przecież nie mogą interesować ptaszyska, które należą wyłącznie do mnie. Wiem o tym, bo nie jestem aż taki oszalały, za jakiego chcielibyście mnie mieć. Ale i tak poczciwości z was ludzie. Jacka mi tylko brakuje... — mówi Piotr, podchodzi do stołu i ciężko się opiera o krzesło, choć przecie twarz ma pełną ulgi; bez specjalnego wahania można powiedzieć: rozjaśnioną — ... jasne, że powinien mieć do mnie żal, choć do tej pory nie wiem, czemu tamten traktor zjechał nagle na środek szosy. Zawsze jeździłem dosyć szybko — — Jak szalony, synku. — Zdaje się, wszyscy wracają do siebie. — ... Ale zawsze, przecież od piętnastu lat, świetnie panowałem nad kierownicą, znalazłem te sprawy. W ogóle kto jak kto, ale ja znam się na motoryzacji, toteż jak wsiadałem do auta, to nie miałem żadnych, ale to żadnych wyrzutów sumienia. Tak że ten traktor. No. No i ciężarówka; po chwili. Jeszcze na nas. Jak prasą. Tamtemu nic się nie stało. — Różni to różnie tłumaczą — występuje kolega. Piotr się chwytą za głowę: — Gdyby nie ci wojskowi, co akurat przejeżdżali, splonąłbym żywcem wraz z samochodem... Już nie chcę myśleć, co by się stało z Jackiem, który stracił przytomność. Bo, wiecie, on delikatny. W ostatniej chwili świadomości widziałem, jak strasznie zbladł. Czy on się teraz czasami nie wstydzi? — Zapewniam cię, że nie — mówi kolega poważnie. Piotr na to tylko uśmiecha się lekko: — Hardy. Byle kto mu nie zajdzie za skórę. — Słysząc dobiegający z daleka dźwięk trąby; jakies wprawki. Kolega mówi: — Posłuchaj lepiej, jak ktoś gra na trąbie. — Piotr poruszony: — Skąd wiesz? — No bo ktoś gra. — Ktoś gra — potwierdza staruszka — ale nic nie rozumiem. Cóż z tego? — Znowu poprawia suknię. Piotr mocno zatyka uszy; badawczo się wpatruje w obecnych: — Teraz też gra? — Nadal słysząc tę trąbę... — Oczywiście — mówi kolega — ktoś ćwiczy. — Kochani! — krzyczy Piotr; z ulgą. Stara kobieta nudzi, bo znów się obraca do kolegi: — Ma pan na Piotra doskonały wpływ. — I w dodatku nie wiem dlaczego — jednak ożywia się pochwalony. Piotr zdążył odetkać swe uszy; śmiesznie imituje ruchy dyrygenta... Lecz słyszy, jak mówi matka: — Czemu Marii tak długo nie ma? Nie ma i nie ma. Powinieneś coś zjeść. Kolacja zbyt późno jest bardzo niezdrowa. — Przecież — odpięra zdziwiony Piotr — przecież Maria nie

przyjdzie dopóty, dopóki ty tutaj jesteś. — Coś podobnego? Chyba się znowu nie obraziła? — Co ty wygadujesz, mammo? No jak to? Wyobrażasz sobie, że ona zostawi Karolka ot tak, bez opieki? — Nic nie rozumiem, synu. Karolek jest tutaj. — Gdzie?! — No, tu jest Karolek. Przeprowadziłam go, synu. Siedzi w pokoju Marii i ogląda album ryb. — Piotr znowu osiada na krzesło. To krzesło, Boże!... — O!... Czemu go nie wołamy? — On tam siedzi — szepcze matka — i boi się wejść. — Jak to? — No, nerwowe to takie... — Pójdę po niego. — Piotrze! — Lecz Piotr już się zerwał. Chciał biec i równocześnie zetrzeć z twarzy pot, toteż stracił równowagę. Już na podłodze... znajduje laskę. Dąży ku drzwiom. Zagradza mu drogę kolega. — Słusznie, że go pan powstrzymał — władczo odzywa się siwa. — Piotrze — dodaje — trzeba spokojnie. — Piotr usiłuje się wyrwać z ubezpieczających objęć gościa... i gość teraz sprawia wrażenie niezrównoważonego! Nie Piotr! Który jednak nadal chciałby się wyswobodzić: — Nie rozumiem. Jestem w zgodzie z sobą. I jestem pogodny. — Chcesz — wygłasza leciwa — żeby Karolek doznał szoku? — O czym ty mówisz, mammo? — pyta Piotr lekko. Matka natychmiast przytyka do twarzy chusteczkę. W sąsiednim mieszkaniu włączono odkurzacz. Kolega wciąż powstrzymuje pragnącego się wyrwać rekonwalescenta. Dzwonek do drzwi... Natarczywy. Matka wybiega z pokoju. Dalej już tylko przewidywane odgłosy: kroki, drzwi, kroki, szmery, kawalki rozmów, a także dowód, że zsymp w bloku działa... Kawalki... — Kto tam jest, mamusiu? — Z poczty — oznajmia kobieta. — Proszę dalej — mówi Piotr i w tym momencie kolega oswobadza właściciela mieszkania... Listonosz ma twarz nalaną; przed chwilą zdjął czapkę i rozwartymi palcami przeczesał spocone, jasne, może trochę rudawe włosy. Piotr z jego lewej ręki odbiera ołówek i podpisuje druczek. Już. Trzyma w ręku małą, zaklejoną znaczkiem kartkę. Rozrywa ją, przytyka palce do oka: — Z sądu. — Domyślałem się tego — mówi kolega. — Ty!? A dlaczego? — nadal kartkę przegląda wezwany. — Tak, to już! — śpieszy niepytana starsza kobieta. Listonosz rozkłada ręce i trochę przykuca: — Przed blokiem przejechało taką wielką sowę. Sowę-niesowę. Ale ogromne to, kosmate. — Przed chwilą podskoczył. — A tak to człowiek widzi ino gołębie i gołębie — dodaje szybko, zawiedziony lub smutny. Czy tu ktoś go wysłuchał? Salutuje, mimo że ma czapkę pod pachą. Zbiera się do odejścia. Piotr wygrzebuje dla niego monetę, a do drzwi odprowadza go matka... Piotr stuka palcem w kawałek papieru: — Na rozprawę mnie wzywają. — No tak — rzecze kolega. — Co „no tak”? Przecież wszystko zostało formalnie zatwierdzone. — Piotr się obraca do okna i tężeje mu twarz: — O Boże, znowu te ptaki! Rozgoń je, rozgoń! — Kolega chyba wie, co mówi: — Nie żądaj ode mnie rzeczy niemożliwych. — Wybacz. — Jestem za słaby. To ty mi przebac, Piotrze. — Bardzo cię lubię. A ty mnie? — Kolega opuszcza głowę: —

Też. — Maria mnie bardzo oszukuje — patrzy na niego Piotr. Kolega głowy nie podniósł: — Wszyscy się jakoś oszukujemy. — Ona ma chyba do tego duże prawo — twierdzi Piotr miętosząc w palcach wezwanie. — Życie bez oszustw byłoby takie nudne — powoli zaczyna podnosić głowę układny gość. — Bez drobnych oszustw nie byłoby życia. Maria poszła, żeby sobie z kimś obojętnie pogadać. W tym domu wisi czarna płachta. Ona ją widzi, tak jak ja widzę ptaszyska. — Z łękiem znów patrzy ku oknu; wrzeszczy: — Kysz, kanalie, potwory! Stwory zle! — Kiedy masz się stawić? — Do sądu? Na rozprawę? Czekaj... — rozkłada, rozprostowuje papier i znów palcem przyciska niewidzące oko — ... dwudziestego trzeciego. Za tydzień... — Ty się nie domyślasz, czemu jednak będzie rozprawa? — jakby próbował kolega. — A, pewnie jakieś tam bzdurne formalności. Ale wiesz, z jednego się cieszę. Zobaczę wreszcie Jacka. Musi występować jako świadek. — Nie musi! — Piotr stęka, wskazując na okno: — Nawet z tymi obrzydliwymi stworami można się żyć. A ty mimo wszystko jesteś taki oporny. Nic się złego nie dzieje, a minę masz nędzną... — Uspokój się, proszę! — Piotr patrzy na niego badawczo: — Czy może wątpisz w mój entuzjazm? — Nie — mówi kolega — ale on mnie przejmuje dreszczem! — To proszę. Już siadam. Mogę cię wysłuchać. Wygarnij mi wszystko. — Nie mogę. — Nie możesz? Mnie? — Niel! Jestem za słaby. — Nie nudź! — I wrzaskliwie: — Mamoo! — Czego tam chcesz? — głos matki, chyba z kuchni, świszcząco. — Karolka mi tu, mamoo, przyprowadź! — Ciszej! Karolek zasnął na atlasie ryb słodkowodnych... — Kolega zakrywa twarz dłońmi. Nie może powstrzymać drżenia głowy? Piotr się wymyka z pokoju. Ptaki trwają za oknem. Tu wpada matka Piotra; jest zaaferowana lecz przytomna; mówi do kolegi, który powoli odkrywa twarz: — Tylko sza! Do jego kompotu wypiłam proszek uspokajający. — Nie rozumiem — mówi kolega — więc to już? — Tak postanowiłam. — Kobieta go chwytła za rękę. Tak się składa, że mimo ogólnego pomroku mocne światła padają na ich czoła, nosy, podbródki i dłonie... — Budzi to jednak niesmak — stwierdza mężczyzna. — Co? — pyta siwowłosa kobieta. — Ten pani sposób. — Co? — Tak. Budzi niesmak. To niewybredny podstęp. — Stara opiera się całym ciałem o ścianę; dyszy; utrzymuje równowagę, ale z widocznym trudem: — Proszę już nic... już nic nie mówić. — Rozumiem panią, ale... — Niech pan zamilknie — płacze kobieta. — Proszę, proszę, ach, proszę... — mężczyzna usiłuje jej wcisnąć bibułkowe chusteczki, lecz padają one na ziemię. Z pozorów bezwolną, udaje mu się ją doprowadzić do stołu... Kobieta już siedzi i rozumuje jasno: — Położył się obok Karolka. Żeby tylko nie zasnął. — Proszę panil... — Niech pan teraz do mnie nie mówi. Proszę, niech się pan zajmie sobą. Teraz nic!... — Siedzą przy oknie. Za oknem trwają ptaki.

Minuty lecą. Ptaki wydają się bardzo realne. Przez chwilę ktoś fałszywie wygrywał na trąbie niezgrabną karykaturę marsza. Rytm. Ktoś inny w swojej kuchni pobija ostro mięso na jutrzejszy obiad. — Urósł. Zmężniał — mówi Piotr wchodząc. — Dziecko jeszcze — czule odzywa się matka. — Coraz bardziej podobny do Marii — stwierdza Piotr. — Jest tak przywiązany do ciebie — dodaje stara kobieta. — Mówisz mi to do znudzenia, a jak tylko przychodzi co do czego, to ty... — Piotr nie kończy i jest mu ciężko. Matka dobitnie: — Wiem, co robię. — Piotr rzuca niedbale: — Masz swój rozum. — I ostrzej: — Oraz swą wolę. — Synu, cóż człowiek znaczy bez woli. — Mamoo — chwytła ją Piotr za rękę — jak ja się cieszę na spotkanie z Jackiem! Nieważne, że w sądzie... — Jacek nie żyje — cicho mówi matka Piotra. — On wtedy zginął na miejscu... — Poszum. Ptaki odlatują zza okna. Jeden jeszcze przez chwilę wirował; znika także. Okno jest teraz granatowoczarne. — Co... co powiedziałaś? — Piotr patrzy i patrzy na matkę, która skinieniem — skinieniem jakby całej siebie — nieznacznie, a jakże dobitnie, potwierdza wiadomość. Nie ma na to siły: Piotr płacze donośnie. Jest sobą, jest piękny i nic tu teraz nie ma do rzeczy zniekształcona twarz... Kolega żegna się z matką Piotra i wychodzi z mieszkania. Piotr przestaje płakać; patrzy w wolne od ptaków okno, wydając przeciągły krzyk... Przez chwilę był sam. Dwie kobiety się przy nim zjawiają: objuczona torbami Maria i matka, która robi krok naprzód — i daje to wrażenie, że Maria się o dwa kroki odsunęła od tego wszystkiego. — Piotrze, wybac... — matka robi jeszcze trzy małe kroki. — Mamoo — lka duży mężczyzna — jesteś najdzielniejsza, mamusiu. To ty mi wybac. Bo ja to chyba przetrzymam... Wiecie co? — chce opowiadać szloch — wiecie? Uciekły wszystkie ptaki... — Jest coś strasznego w jego nagłym uśmiechu, w tym polykaniu lez, w tym... w tym promyku. — Piotrze miły, Piotrze kochany... — czule ze swego stanowiska mówi Maria. Pewnie trudno jej ruszyć z miejsca, bo torby w rękach o żyłach nabrzmiałych przyniatają ją do ziemi. Być może również; lecz Maria na pewno ma swoje ważne racje, dalekie rozumowaniu krwistego realisty. — Przrzekam wam — dławi się Piotr; mówi głośnie: — przrzekam, że szybko wrócę do normy. — Rozsiada się w głębokim, z lekka wytartym fotelu, przytula do siebie obie kobiety, które mogła tu przywieść hipnoza albo stan domagający się osobnych książek. Mówi z ulgą: — A teraz mi powiedzcie, kto przyszedł na pogrzeb Jacka. Kochani, kochane mojej! — Co z tego, że lka. — Rektor, na pewno rektor wygłaszał mowę; to dobrze.

Marek Soltysik

PIOTR SZEWC

O istocie sztuki

Po śmierci człowieka jego bezsilne ciało skazane jest na samotność. W tym czasie dusza dobija się do niebios, zaświadcza o swej wierze, mówi o niewinności, dowodząc, że była lojalna, prosi o przebaczenie.

Przedmiot, ucięta gałąź, przestaje szeleścić zeschniętym liściem. Nie skomli dopraszając się łask Ojca. Nie eksploduje tlenem. Jest to śmierć jedyna i ostateczna. Umiera dla drzewa, dla niebios i świata.

Co innego posąg. Ten nawet skruszony wobec śmierci zachowuje godność i niezależność. Kawałek torsu, odłamane ramię, żyje, oddycha całym ciałem i historią epok.

Ból

Którzy musieli wybierać między snem a jawą, inaczej między śmiercią a życiem, wybrali życie. Jak dawniej ich muzyką był śpiew nakręconych ptaków, słodki jęk syren przed pójściem do pracy oraz głos werbla.

Stąd mieli wielki kłopot: ból, co począć z bólem w obliczu niemożności. Na pewno nie mogli zachować się biernie.

Ale tu właśnie rozpoczął się dramat przemożnej chęci i niemożności. Bo czynić z bólem nie było w ich mocy. Jeszcze raz się otarli o ból i o wybór. Teraz ich ciała pozostały same. Dusze odeszły pod kopułę błękitu.

Czarnoksięstwo

Była noc onieśmiałony przystawałem za krańcami miasta jak ktoś kto staje na pobrzeżach świata

Gwiazdy mrugały porozumiewawczo ale nie wiedziałem do kogo i o czym mówiły ani co znaczą ich tajemny język

Oto królestwo którego bram nigdy nie dostąpię

Te słowa ściagały mnie jak zaklęcie straszne i nieustępliwe
ilekroć próbowałem czytać otwartą księgę królestwa
Ale nie cierpiałem jak cierpią ci którzy pragną
Bo była we mnie nadzieja że pojmem rozblysłk oniemiałej
gwiazdy która spadając świeci tak jak oko Boga

Yvette

Yvette, na klaczy siwej, goni pośród wrzosów,
Pod niebem rozgwieżdżonym, okrytym chmurami.
A chmury suną nisko szeleszcząc w gałęziach,
A jesień się dopala strzelając gwiazdami
Podobnymi do iskier. A wokół czas syczy,
Wirując w suchych liściach, a może to włosy
Yvette, perłowe, które wiatr splątał i poniósł,
Płoną sycząc wśród wrzosów, we wrześnie minionym.
Powiedz, kto włosy płacze, kto zagłada w twarze,
Kto śmieje się, i kryje za plecami żywych?
Tymczasem sfera milcząc biegnie, węszy nisko,
Milczy jak księżyc, który stoi nad chmurami.
Niekiedy pies podnosi pysk ku księżycowi,
Cicho skomli, i znowu sunie blisko ziemi.
Nic nie wiem, lecz wiem jedno: Yvette znów powróci
Niespodziewanie, jak wówczas, kiedy odchodziła,
Nikły uśmiech na ustach skrywając palcami.
Zegnała się, powróci. Yvette! Tak być musi!
Wrócisz z białą podwiązką, i włosy zapachną,
Popatrz!

Znów odwrócona klepsydra, a piasek
Opada tak jak liście w ciemne krzewy wrzosów.
To piasek twój. A młodość twoja czy powróci,
A czy wiosna promienie złoży na twych dłoniach?
A czy spotkasz się z tamtym, którego kochałaś?
Yvette! Nie szlochaj! Jest tak jak być musi! Teraz
Zapach twych perfum, włosów, sfera pilnie węszy.
Odchodzisz znów, odchodzisz, wraz z kwiatami wrzosów.
Komu czas prześcigany przez sferę cię niesie?
A podwiązkę, co leży pod stopami, w trawie,
Kto podejmie, kto wsunie lekko na twą nogę?
Teraz śmieję się, śmieję Yvette, siedząc na swej klaczy,
Z przeszłości w przyszłość biegnąc.

Teraz, dziś, wieczorem,
Odnajdą cię, z pewnością, zaszczutą przez księżyc,
Przyszły badacz zachwyci się twą małą stopą.
A ten co ciągle czeka niech cię raz zobaczy.
Niech szuka, niech odnajdzie podwiązkę wśród wrzosów.
Niech sfera głośno skomli goniąc za chmurami.

Księżę

Już świta Za oknami dokazują rozbudzone ptaki
Bezsenne Księcia męczą kolejne pasjanse
Ze starej księgi wylatują postrzępione kartki
Ja umieram ale i świat marnieje w moich oczach!
Mówi stary Księżę dotykając boleśnie uśmiechniętej twarzy
Kabała niczego nie wyjaśnia i to złości Księcia
Jest zresztą zmęczony i chętnie stanąłby w cieniu własnego
majestatu

Ale zanim Księżę umrze musi dokonać swoich powinności
Wbrew pozorom nie jest to łatwe i nie pomogą wszystkie talie
Nie wie na przykład czy ma otruć brata czy też jemu zapisać
dobra w testamencie

W istocie Księżę jest dobry i mylą się ci którzy sądzą inaczej
A przydałaby się choć odrobina wyrozumiałości
Odrobina czułości serca odrobina przychylności
I zawiedziony Księżę na stole znów rozkłada karty
Jest późno Księżę zsuwa się z krzesła Poddani śpią spokojnie

W obronie astrologii

Pogasły gwiazdy i astrolog obmyśla fałszywy horoskop
Będzie ci sprzyjać Panna wystrzegaj się Bliźniąt
Z ciemnych ogrodów wychodzą butni barbarzyńcy
Słychać piszczałki kotły maszerują w rytmie bębna
Za ich plecami przeszłość ogromnieje
To gra pozorów bo naprawdę wszystko jest jak było
Wciąż w pieczarach buzuje jak buzował ogień
Horoskop taki sam jak zwykle i nie przechytrzy go astrolog
Wielki Wóz się zatrzymał i skończyła się Mleczna Droga
Ze szczytu wzgórza rozlega się śmiech barbarzyńców
W dole strateg spisuje plany genialnej ucieczki
Możesz iść możesz zostać choć cię nikt nie trzyma

* * *

Dobranoc.

Odejdź.

Niczemu nie sprostasz.

Daleko gdzieś, o świecie, niech ptaki zakrzyczą
Na twoje pożegnanie. Albo powitanie.
I o tym samym świecie niech cię zbudzi klakson.
I o tym samym świecie jego głos zmieszany
Z szeptem twoich kasztanów, niech ptaki zagłuszą.

Drżące powietrze wiosny niech szumi i śpiewa
Szybując w młodych liściach w ostatnich dniach kwietnia.
A wtedy zanurz dłonie w długie pasma trawy,
A wtedy rzeźwa rosa splucze twoje dłonie.
A to wszystko już w tobie, a tyś już skupiony,
Z księgi obłoków czytasz, z migotliwych strzępów:
Księga Czasu i świata na niebo rzucona,
Księga snów i bezsennej nocy pod gwiazdami.
Taki sen. Czy będziesz kim jesteś. Kiedy wrócisz.
Pośród gwiazd komu bywać i obłoki liczyć.
A czyj płacz zaplątany we mgłę i listowie.
A to Czas tak powraca ruchem wahadłowym.
Dobranoc.

Odejdź.

Taka chłodna noc.

Piotr Szewc

SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK

„Z istoty w się istoczenie”

(O poezji Dominika Opolskiego)*

Kiedy w *Teatrze Społeczeństwie* Andrzeja Falkiewicza czytamy o jednej manii ludzkiej, o gromadzeniu, mogą przystać na tę formułę tylko pod warunkiem, że nie miałyby ona ambicji uniwersalnej.

Rozumiem, iż „tu i teraz”, a zatem w warunkach rozkładającej wiele dziedzin ducha entropii (dziedzin takich, jak język, życie społeczne, wiedza, religia, kultura) budowanie kolekcji wartości czy walorów jest zajęciem koniecznym jak ocalenie i naturalnym jak oddech. Lecz poza tą sytuacją i oprócz tych funkcji rytuał gromadzenia opisuje niewiele już więcej. Pamiętam z mojego okresu filatelistycznego a potem także z epok lepidopterologicznej i mineralogicznej przede wszystkim nie przyjemność posiadania, żądę gromadzenia, lecz radość otrzymywania i dawania; podniosły i znający swoje prawa rytuał wymiany. Mogłoby się co prawda wydawać, że wymiana jest tylko jednym ze sposobów uzyskiwania egzemplarzy do kolekcji, że zatem czynność gromadzenia jako silniej teleologiczna a pojęcie gromadzenia jako obszerniejsze podporządkowuje sobie czynność i pojęcie wymiany, ale wówczas — gdyby przyjąć takie rozumowanie — trzeba by odrzucić co najmniej dwa spośród niezbywalnych imperatywów kolekcjonerstwa: irracjonalizm i bezinteresowność. Efekt jest już łatwy do przewidzenia: wyzbyta takich imponderabiliów mania staje się zwykłą żądzą i mówić należy nie o gromadzeniu, lecz o bogaceniu się, i nie o kolekcji, lecz o tej czy innej postaci kapitału. Dlatego rytuał wymiany, a nie nawyk gromadzenia jest tą jedyną uniwersalną manią ludzką (każdy coś otrzymuje i coś daje), która najpełniej przechowuje kształty międzyludzkie świata.

Odwieczny i czynny we wszystkich prawie postaciach humanistycznej rzeczywistości („prawie”, to jest nie poza dziedzinami, w których się nie przejawia, tylko poza dziedzinami, w których nie umiemy go jeszcze wykryć) rytuał jest bohaterem *Antropologii strukturalnej* Claude Lévi-Straussa, gdzie na kanwie irracjonalnych często i bezinteresownych reguł wymiany wykryte zostają struktury międzyludzkiego świata. Rytuał wymiany czyli (mówiąc innym terminem) akt komunikacji jest dla Lévi-Straussa, jak wiadomo, źródłem życia zbiorowego, a więc fenomenem kształtującym nie tylko strukturę ludzkich pokrewieństw, mitów, religii, wiedzy, kultury, lecz także strukturę języków. Lévi-Strauss podejrzewa zatem dalej (i zbiera rozmaite dowody ugruntowujące te-

* Fragment zbioru esejów pt. *Głowa Orfeusza*, który ukaże się nakładem MAW.

zę), że nie tylko między jednym określonym językiem a jedną określoną kulturą, ale także między mową a kulturą w ogóle istnieją wykrywalne stosunki czy reguły podobieństwa, tożsamości, a nawet identyczności; język bowiem można traktować — w zależności od wybranego punktu widzenia — bądź to jako wytwór, bądź jako część, bądź też jako warunek kultury. Jest on złożony — o czym nasza językowa współczesność kaze nam wielokrotnie zapominać — nie ze znaków, lecz z wartości, a więc i „odbija” strukturę wymiany (rytuał wymiany jest praformą, pamięcią i światem obiegu wartości), strukturę międzyludzkiej komunikacji. Można przypuszczać w konsekwencji, że struktury danych języków mogą być, choćby w przybliżeniu, opisane w tych samych lub równoważnych terminach, którymi opisać można struktury kultur i społeczeństw regionów, posługujących się danym językiem, co — udowodnione — byłoby wstępem do spójnościowej analizy stosunków tożsamości między mową a kulturą w ogóle. Trop ten został dziś już podjęty w wielu dociekaniach tak natury antropologicznej jak i socjolingwistycznej, fundując kontur językznawstwa antropologicznego („antropolingwistyki”).

Lecz my udajemy się tropem innym, śledzimy inna jeszcze nadzieję Lévi-Straussa, instalując ją w kontekstach naszego „tu i teraz”, przybliżoną (i przybliżonego!) w przedziwnych, filozoficzno-lirycznych, rozległych, pojęciowych i inspirowanych hipotezami współczesnych nauk (ze ścisłymi włącznie) traktatach Dominika Opolskiego¹.

Gdyby struktura mowy dała się opisać w kategoriach używanych w analizie struktur kulturowych, *bulibulnny w stanie zrozumieć* — powiada Lévi-Strauss — *pewne fundamentalne analogie między na pozór bardzo oddalonymi od siebie przejawami życia społecznego, takimi jak język, sztuka, prawo, religia. Dzięki temu moglibyśmy żywić nadzieję na przezwycięzenie w przyszłości antynomii między kulturą, która jest sprawą zbiorowości, a ucieleśniającymi ją jednostkami; w tej nowej perspektywie rzekoma świadomość zbiorowa okazałaby się bowiem występującym na poziomie indywidualnych myśli i zachowań przejawem pewnych czasowych uszczegółowień powszechnych praw, które rządzą nieświadomą działalnością umysłu.*²

To napięcie — pomiędzy „świadomością zbiorową” a występującym na poziomie indywidualnych myśli i zachowań przejawem pewnych czasowych uszczegółowień praw, które rządzą nieświadomą działalnością umysłu” — pojawia się teraz w wierszach Dominika Opolskiego. I jest władne powiadać się jeszcze przede wszystkim w poezji, w jednej z ostatnich dziedzin ducha ludzkiego, która „pamięta”, że rytuał wymiany (i akt komunikacyjny) tworzy strukturę złożoną z wartości, irracjonalnych i bezinteresownych. *Wszyscy wiemy, że słowa są znakami; poeci są ostatnimi pośród nas, którzy wiedzą, że były one również wartościami.*³

Dlaczego nie „są”, lecz „były”? Dlaczego „tu i teraz” odkryta możliwość i nazwane warunki zapośredniczenia świadomości zbiorowej z jej uszczegółowionymi czasowo indywidualnymi ekspresjami nie wybuchają w żywiołowym, niezależ-

¹ D. Opolski, *Bohater*, Lublin 1977; *Poczekalnia*, Warszawa 1978; *Przechowalnia bagażu*, Lublin 1980.

² C. Lévi-Strauss, *Antropologia strukturalna*, tl. K. Pomian, Warszawa 1970, s. 192.

³ Ibidem, s. 123.

nym i świątecznym rytuale wymiany? Co — pytam dalej — jest zakazem wspólnoty, cenzurą międzyludzkiego przymierza, zaporą buforową zbiorowego aktu komunikacji? Członek „przezroczystej”, demokratycznej, nie podlegającej wewnętrznym manipulacjom językowym pierwotnej i już utraconej wspólnoty nie znalazł takich pytań; obywatele manipulowania językiem i świadkowie i uczestnicy manipulowania językiem i manipulowania za pomocą języka w reżimach totalitarnych i (...) w kulturze masowej, gdzie schematyczne wzorce podsuwane są z różnych stron, wzorce, które siłą rzeczy zmierzają do zatarcia rysów indywidualnych w użyciach języka. a więc, z założenia, ograniczają swobodę wypowiedzenia negatywnie oddziałują na intencję językową mówiącego — ci obywatele-świadkowie i ci obywatele-uczestnicy muszą sobie takie pytanie zadawać bezustannie, i muszą też podejmować próby odpowiedzi na nie w artystycznym lub naukowym języku refleksji nad językiem (w rzeczy samej odpowiedzi udzielać może tak np. poezja lingwistyczna, jak językoznawstwo w studiach z zakresu tzw. semantyki ogólnej, w rozprawach typu *Langages totalitaires* J. B. Faye'go, *Linguistic Alienation Problems* F. Rossi-Landi, *L'alienation linguistique* H. Gobarda czy u nas w pracach Głowińskiego o „nowomowie” i Barańczaka o językowej funkcji perswazyjnej).

Opolski drugą część opublikowanego w *Poczekalni* utworu pt. *Kilka kadencji sezonu* otwiera mottem Simone Weil, jak gdyby zwięźlej i ogólniej utrzymując tajemnicę zreferowanego przez Lévi-Straussa rytuału wymiany: „Jesteśmy częścią, która ma naśladować całość”. Poemat ten dobrze uwypukla tragedię wydanej na pastwę społeczno-językowo-kulturowej entropii wspólnoty ludzkiej; stara się niejako wychwycić to miejsce, w którym w formule Lévi-Straussa pojawia się czas przeszły dokonany („słowa [...] były również wartościami”), a w aforyzmie Simone Weil czas przyszły niedokonany, imperatywny „część [...] ma naśladować całość”):

*Podzielimy kromkę chleba na strefy czasu
strefy klimatyczne, rezerwy pogody
strefy bezpieczeństwa i strefy niepokoju
strefy upojenia i strefy trzeźwości
strefy przyciągania lub odpychania
na strefy wpływów —*

*Na terytorium prawa i bezprawia
strefy okupacyjne i strefy, w których można otrzymać patent
— głodu lub sytości
Ukrywać się można lub też ujawniać
czas wypełniony i czas oczekiwany, strefy, w której
przed otrzymaniem obywatelstwa musimy się uczyć własnego
języka [...] (podkr. moje: SSW)*

Utwór jest wyraziście napromieniowany pamięcią języka wartości (inny jej obraz, z *Miejsc napiętnowanych*: *W zyłach przemykają się cienie | przodków nie przywykłe do pokory | uwalniają zapomniane krajobrazy i gesty | przywracają Pamięć*); wiersz więc buntuje się za głosem tej pamięci przeciw zakazom, cenzurom, zaporom wspólnoty; i to po równo w as-

⁴ M. Głowiński, Wstęp (do antologii) *Język i społeczeństwo*, Warszawa 1980, s. 19—20.

pekcie językowej wspólnoty komunikacyjnej i kulturowej wspólnoty wymiany. Jest niepokodzeniem się z taką sytuacją, w której — jak w *Kulcie grawitacji* — „źródła bez ujścia dławia się | własną wodą”, pradawny rytuał wymiany jakoby przyczyna — zostaje pozbawiony możliwości skutkujących: w której enklawy wspólnoty są „miejscami napiętnowanymi”. Rytuał wymiany pojawia się w poemacie wielokrotnie (jako leitmotiv), a uświadomiony sobie we współczesnym rozkładzie jego irracjonalności (zastąpionej bezlitosną logiką perswazji) i bezinteresowności (zastąpionej zimnym wyrachowaniem) — jest wręcz przyczyną sprawczą poetyckiego oskarżenia „stref wpiwów, terytoriów bezprawia, stref okupacyjnych”. Pojawia się — najpierw — jako wielki, nadrzędny, irracjonalny i bezinteresowny akt otrzymania i dawania; wzniesiony zostaje w pobliże Boga: najpierw w obrazie eucharystycznego „podziału kromki chleba”, potem w niodelitewnej inwokacji:

*[...] A ja nie mogę
wypuścić ani zaczerpnąć powietrza
ani przelknąć śliny, ani głosu wydać —
Nie chcę abyś dawał — ale nie odbieraj
miejsca naszego powszedniego
gdym nade mną jeszcze bochen cały czuwa. (podkr. moje: SSW)*

To jest jednak rytuał wymiany zapisany w trybie życzeniowym, w inwokacji, zatopiony w „przeszłym” i „przyszłym”, wyjęty z pamięci i z wewnętrznej gotowości powtórnego uczestnictwa. Wystąpią także klisze współczesne, klisze bezlitosnego rozpadu komunikacji i klisze rozpaczliwego wclania „o światło”, które wyprowadzi z tunelu, z nocy, z labiryntu, ze ścieżek (jak w *Miejscach napiętnowanych*), które „się ukrywają Giną | w oczach (zarastają”):

*[...] Głos nasz jest wołaniem
o światło dla drogi, która nas przesywa
i jest traktem kupców szukających wiatru*

Zauważmy: w miejsce zarezerwowane dla niezbywalnie irracjonalnych i bezinteresownych uczestników wymiany wkraczają interesowni i racjonalni „kupcy szukający wiatru”, w miejsce komunikacyjnych zapośredniczeń jak w innym wierszu wpływa „statek handlarza korzeniami mowy”; rytuał wymiany jest targowiskiem zwykłej żądzy, akt gromadzenia — bogacenia się, kolekcja staje się swoim zaprzeczeniem — jedną z form kapitału. Rzecz jasna, kwestia ma zatem naturę już nie tylko kulturowo-językową, ale przede wszystkim jest problemem moralnym i chociaż — przynajmniej w poezji — będzie musiała rozstrzygnąć się na gruncie językowym, o decyzjach czy wyborach zadecyduje imperatyw etyczny:

*Daj im łuczywo i złoto — niech świeci
Przy pierwszym przejrzą — oślepną przy drugim*

W blasku „złota” rytuał wymiany przeradza się w handel wymienny, a handel wymiany objął też sumienia! Nie jest już grzechem przy kłamstwie obstawać. Przejrzyć zatem — to znaczy: znaleźć wyjście, światło, wybrać „łuczywo”. Wynaleźć sposób przepływu zapośredniczeń, przywrócić więź, wy-

przec język znaków (w którym słowa zachowały tylko brzmienie | nie mogą ustalić własnej jednoznaczności: | rzeczy i zdarzenia Istniały w starym języku. Przestrzeń się rozpadła; Do granic wytrzymałości) — nowym językiem wartości. Sposób jest wiadomy. Odbudować język wartości — to znaczy: ujawnić | czas wypełniony; czas oczekiwania, strefy, w której | przed otrzymaniem obywatelstwa musimy się nauczyć własnego | języka; a w konsekwencji — wyznaczyć granice między światłem i ciemnością | prawdą i złudą, między krwią własną i krwią cudzą | między stopą i śladem, cieniem i tym, co w cieniu | żyć nie może dłużej.

Sposób jest wiadomy; rozstrzyga się w oku czasu (w Miejscach napiętnowanych: Wszystko, co ukrywaliście w głębi siebie przed sobą | znalazłem w rzece Czasu, którą jesteście, | Napiętnowani). Dotyczy wprowadzenia w realną teraźniejszość pamięci i nadziei, „czasu wypełnionego” Lévi-Straussa i „czasu oczekiwania” Simone Weil. Opolski narzuca więc bohaterowi swoich wierszy najpierw rolę biernego oponenta, wkłada mu w ręce konstytucję czuwania, instaluje go w „poczekalni”. Jesteśmy rozdarci między zachłannym pragnieniem poznania a uwieńczającą poznanie rozpacz — mówi, wraz z nim, słowami René Chara — *Żądło nie rezygnuje ze swych rozjątrzeń, my — ze swojej nadziei. I dalej. Wiedz, wielkie słowa z czasów gdy działanie | Jeszcze widzialne było, nie są dla nas — mógłby pouczać go, i nas, głośnym przesłaniem Rejuiem Rilkego — Kto mówi o zwycięstwach? Przetrwac, oto wszystko. Kilka diagnoz i raportów z sytuacji. O biernym oporze, o milczeniu: Ujawnij teraz zapasy | milczenia, które odziedziczyłeś po tułaczach | i wojownikach | za wolność woli (w Rażonym pulsem). O czuwaniu: Nadal stoimy na kotwicy Oczekujemy | na potwierdzenie naszej tożsamości (w Do granic wytrzymałości). O nadziei (w Rażonym pulsem):*

Z tego oczekiwania na dnie oceanu
na spuszczenie dzwonów mogących nakarmić powietrzem
z powierzchni i odpowiednim jego ciśnieniem z zapartym
tchem, oddechem zatrzymywanym wciąż na ostatnią chwilę
zrodziła się potrzeba zatrzymania sił do czasu wyjścia
z mielizny, która zmyje nas z nas samych

Staliśmy się jednocześnie
esencją statku i mielizny
piętnem, bez którego łatwiej wydostać się ze źródeł
światła oślepiającego i ujawniającego nieodczowność
pęknięcia w gęście, w rytuale, w liturgii grawitacji
w opadaniu obłoczku pary z ust ostatniego wydechu, który
został zaopatrzony w sakrament węgla i wody

Sposób jest wiadomy — ale nie skuteczny: gdzie najpierw jeszcze w przecuciach, potem w zupełnie już wyrazistych formułach narasta podejrzenie, że wspólnota czuwania ma strukturę ziarnistą, ułożoną na kierunku przeciwnym do kierunku ziarnistej, lecz ziarnistej inaczej, struktury wspólnoty wymiany; ułożoną mianowicie na kierunku rozpadu, alienacji w milczeniu, obcości, a nie na kierunku więzi, komunikacji. W „poczekalni”, w umowie biernego oporu możliwe są jeszcze tylko proste, biologiczne rodzaje wspólnot, wspólnota spożywania („zbiorowa stolówka”) i wspólnota wydalania (rzeki | połączone kolektorami z wewnętrzną kanalizacją

naszych ciał), wspólnota narodzin i śmierci, a zatem wspólnoty o charakterze zwierzęcym. Podnoszenie ich do rangi wspólnot ludzkich jest bowiem tylko „doskonaleniem rytuału jedynie własnych interesów” (jak w Ulepszaniu narzędzi), a Ten związek nie potrafi powiązać nas w problem o randze ponadindywidualnej (w Poczekalni I). „Tu i teraz” możliwe są przede wszystkim dwie walczące wspólnoty duchowe: antropologiczna wspólnota „rany po odciętej pępownie” z Początku genealogii — i socjologiczna wspólnota gniewu z Rażonego pulsem, której duch-Bóg, żyje z gniewu [...]. Kto rozjuszy Boga przedłuży w nim życie.

Antropologiczną naturę wspólnoty „rany po odciętej pępownie” Opolski odkrył już wcześniej; teraz odkrywa dla siebie także socjologiczną wspólnotę gniewu.

Oto bowiem — Rażony pulsem — bohater liryczny spoztrzeża i językowo odczuwa, że powtórne „nauczanie własnego języka” odbywa się już powszechnie, lecz nie w imię wypełnienia międzyludzkiej pustki nowym rytuałem wymiany, ale w imię „pozurowego zagęszczenia | przestrzeni życiowej”. Powszechnie w użyciu jest już co prawda „wspólny” język, język nowy, nowomowa, ale nie jest on językiem wartości, lecz językiem pustych znaków; nie jest mową własną, lecz mową cudzą; i me funduje go odwaga wznoszenia fundamentów zakazanej wspólnoty, lecz właśnie lęk przed wspólnotą. W Miejscach napiętnowanych: Kłamstwa w labiryncie — ze strachu | przed Minotaurem przyznają się do prawdy która | je niweczy — Bo nie ma kłamstwa | co ze swej natury miałoby odwagę | jakiej trzeba prawdzie. W Ulepszaniu narzędzi: język biegnie wstecz, wbrew logice, na opak, jego nowy władca najpierw wymyślił nowy rodzaj kary | teraz pracuje nad odpowiednim przewinieniem. Co się dzieje?!

To pracuje platońskie dynamis, polityczny ośrodek językowej mocy, tyran słów, Minotaur. Dla «tyranii słów» w naszym stuleciu — przepisuję z Barańczaka — reprezentatywne są już nie podręczniki retoryki, lecz takie dzieła, jak słynna „Lingua Tertii Imperii” Victora Klemperera, przejmujący opis sytuacji społecznej w okresie hitleryzmu, powodującej, że cały naród poczyną mówić nowym językiem [...] — tj. językiem w ogólnych zarysach tym samym co dotąd, ale obarczonym tak wieloma diametralnie odmiennymi konotacjami emocjonalnymi poszczególnych jednostek leksykalnych, że wytwarzającym całkiem nowy system wartości i nowy sposób myślenia o świecie.⁶ Inny czas i inna przestrzeń — inne dynamis i inna moc — zasada pozostaje zasadą.

Poszukiwanie współczesnego odpowiednika rytuału wymiany (ujawnianie nowego potencjału jego komunikacyjnych możliwości), osadzone początkowo w buncie, we wspólnocie gniewu, jest przecież dla poety nadal poszukiwaniem takiego wyzwolonego języka wartości, który mógłby dać skuteczny odpór narzucenemu językowi znaków. Wprawdzie — powie Opolski — między mną i moimi ustami postawiono mur graniczny, lecz już też między mną i moimi wargami unosi się chmura gradowa; i to nie tylko zapowiedź gromu z jasnego | nieba moich ust, mogącego rozbić przybytki; przeczekiwania,

⁶ S. Barańczak, Problematyka funkcji perswazyjnej tekstów literackich i parali-trackich w świetle tez semantyki ogólnej (general semantics), „Studia Polonistyczne”, Poznań 1977, ss. 155—156.

bunt okazuje się aktywnością twórczą, *chmura gradowa* | *według umowy uczonych naładowana (jest) dodatnio*. Co najmniej dwie prawdy przewidują — w sytuacji „tyranii słów” nawet — możliwość skutecznego przewyciężenia znaków wartościami. Przede wszystkim z samej swej natury „Język najdłużej stawia opór” (*Rażony pulsem*). Drugą okolicznością jest pewna szansa, zawarta w wymienionych przez Lévi-Straussa relacjach kultury i języka: otóż w sytuacjach „tyranii słów” język jest jednym z wielu wytworów określonej koncepcji kultury, podczas gdy np. w poezji można go potraktować jak w a r u n e k pożądaney i dopiero wykluwającej się kultury, wspólnoty wymiany, której intencją jest wskazany w języku poetyckim rytuał komunikacyjny.

Powiem i o takim językowym wskazaniu i o takim rytuale komunikacyjnym, ale za chwilę. Nie mogę się bowiem właśnie teraz oprzeć pokusie pewnego kulturowego wtrącania, które czynię z najwyższym zdumieniem odkrywwszy, że Opolski w smakowicie błyskotliwy sposób zbliża się do decyzji językowych od strony symboliki antropologicznej! Nie spodziewałem się już tego, sytuacja jest śmiertelnie poważna, symbole natomiast dowcipne, w sumie rzecz warta refleksji.

Pytanie nie zahacza o teorię języka, lecz o teorię kultury: *jakiego mam użyć | rytuału Jaki kostium wybrać | dla zbiega z więzienia liturgii* (w tym samym „językowym” *Rażonym pulsem!*). Wiersz pochodzi z tomu pt. *Poczekalnia*, zawierającego także taki jednolity obraz „poczekalni”.

[...] *Powszechnie bowiem wiadomo*
że Czas jest zmęczony: w chwili dotarcia
do zdarzeń chce wracać do ust otwartych, jak u wieloryba
który oczekuje ławicy śledzi: Droga do stołu besadnego
prowadzi przez labirynt morza; wszystkich poczęstowano
solą — oczy poczęstowano obrazem światła

(*Kult gwałtowny*)

Cóż to jest: spożywają kryształ soli — a częstują się obrazem świata. Kryształ soli jako synekdocha? Jako przedmiot, obiekt synekdocheiczny, ale jak gdyby nie językowy, lecz kulturowy? rozpoznawany nie przez językoznawstwo, tylko przez antropologię? Otóż to w *Początku genealogii*: „Na język położono mi ziarno | polknąłem drzewo”. Zaraz, zaraz. Ten tu „polknął” — a tamci nie jedli, nie częstowali się, „wszystkich poczęstowano”, posiłek wykonał się w imiesłowiu bezokolicznikowym, w tym też trybie „na język położono ziarno”, „polknął drzewo” z ziarna d a n e g o, samoprzysłego jak do tamtych sól, jak do oczu obraz świata, jak do ust zdarzenie a do wieloryba ławica śledzi. Samoprzysłego — i s a m o w y s z ł e g o z nicości, „z labiryntu morza”, z czegoś odwiecznego więc i pradawnego, ale wciąż rezydującego w otchłani tajemnic. Trzeba chyba wykryć najpierw model tych wszystkich wymian. Jest! Relacja „zmęczonego Czasu” ze „zdarzeniami” zostaje porównana („jak u”) do relacji otwartej paszczy „wieloryba” z „ławicą śledzi”. Ha! system komunikacyjny opisanych w obu wierszach rytuałów wymiany ukryty jest w obrazie „wieloryba”: wieloryba z otwartą paszczą, „który oczekuje ławicy śledzi”. Obrazek — jak książka — mógłby być zatytułowany po prostu *Poczekalnia*; „poczekalnia” byłaby umowną nazwą modelu sytuacji komunikacyjnej.

A teraz — dalej — chcę wiedzieć, dlaczego ten obrazek

przedstawia akurat żerującego wieloryba; przypadek? licentia poetica? A może licentia antropologica? Właśnie. Z wymienionych przez Lévi-Straussa w *Antropologii strukturalnej* symboli rytuału wymiany, przechowanych w przekazach magicznych i w świadectwach ikonograficznych, szczególnie do gustu przypadł mi „wąż o ciele wypełnionym rybami”.⁸ Ależ to może być ten trop! „wąż Lik” — żywy w przekazach „pochodzących z odległych okolic i przedzielonych przez wiele stuleci”, w kulturze prekolumbijskiej, w tradycji ustnej Toba i Pilaga — u Siuksów w Ameryce Północnej występuje pod postacią „wodnego potwora o ciele pełnym bizonów”, u Irokezów pod postacią „potwora o grzywie pełnej ryb”, a u Opolskiego pod postacią „wieloryba o ciele pełnym śledzi”. (Czy antropolodzy nie udowodnili jeszcze, że biblijnym odpowiednikiem „węża Lik” mogłaby być wypełniona manną Arka Przymierza, tak samo żywiąca i zabijająca profanów swej tajemnicy?)

Lecz — czytam u Lévi-Straussa — Yacovleff podejmuje się dowieść, że realistycznym wzorcem symbolu „węża Lik” była straszliwa ryba, *Orca gladiator*. Nie zgadza się; wieloryb mało ma z orką wspólnego i chociaż i jej ciało wypełnione jest rybami — polują przecież inaczej, wieloryb biernie, orka aktywnie. Czytam dalej:

[...] *wszystkich poczęstowano*
solą — oczy poczęstowano obrazem światła Powszechnie
bowiem wiadomo, że sól konserwuje
zachowajmy wieloryba do spożycia w terminie późniejszym.

A jednak: „wieloryb” (komunikacyjna „poczekalnia”) zostaje odrzucony, zachowany na lepsze, spokojniejsze czasy, „za-konserwowany”. Tu się wyrafinowanie i w nieco ezopowym języku zakłada moją czytelniczą znajomość tropu „węża Lik”, przedstawia mi się perfidnie jego zaprzeczenie, które zaraz potem odrzuca, każąc wiedzieć, że bierność „wieloryba” będzie od tej chwili zastąpiona aktywnością „orki”, oczekiwanie — agresją, jeden typ rytuału wymiany — innym, że „drzewo, morze” nie będą d a n e, lecz w y n i k n ą z „ziarna, soli”. Że język zamierzy tylko lub może nawet u f u n d u j e jakiś nowy, nieznaną kształt kultury.

W nawiązaniu i przeciwieństwie do *Poczekalni* następny tomik nosi tytuł *Przechowalnia bagażu*; tam panował bezruch, oczekiwanie i nadzieja (figura „wieloryba”) — tu, inaczej, wszystko jest w ruchu, w wymiennosci, w ataku (figura „orki”). Tutaj język jest wypełnionym wartościami płodem, który rozwija się | *w nie spotykanym dotychczas tempie: | wróży sobie (lecz nie | Sprawcom siebie) — wcześniejszą | świadomość* (w *Farszu*). „Choroba polękowa” z *Poczekalni* stopniowo ustaje, aby „przeistoczyć się w cnotę podejrzliwości”, „rany” zamieniają się w „stygmaty”, kondycja dokumentalisty wyparta zostaje kondycją charyzmatyka. Dokonuje się ozywca tracheotomia językowej komunikacji: sens wypełnia prawdę, przybliża rzeczywistość; — *rzeczywistość | (Cóż to takiego?)* *Próbuję schwytać na tym | jak się dzieje w moim myśleniu, czuciu i w przeczuciach.*

„Jak się dzieje” zatem w żywej myśli, w języku, w m o w i e żywego myślenia?

⁸ Por. C. Lévi-Strauss, op. cit., ss. 357—362.

W normalnych warunkach tożsamość ludzka absorbuje w płynącej rzece wydarzeń to, co ją po prostu potwierdza; tam właśnie (i wtedy) *Teraźniejszość* | jest tylko zasadą selekcji | w wąskim gardle wieloryba, przez które | ocean przelewa się w sobie samym (w Strefie wyboru z Przechowalni bagażu). Tu jednak (i teraz) proces tożsamościowy wymaga jak gdyby zdwojonej aktywności: jednej, skierowanej na przebicie narzuconego przez język oficjalny „muru między mną i moimi ustami”, i drugiej, zaangażowanej w proces „trawienia” i absorpcji tego, co potwierdza świadomość i osobowość. Różnice owych sytuacji — tej „tam i wtedy” i tej „tu i teraz” — narzucają stopnie językowo-tożsamościowej aktywności (i są różnicami pomiędzy figurami komunikacyjnymi „wieloryba” i „orki”). Oto pytanie: w jaki językowy sposób można by się wydostać spod mocy manipulującej przedmiotowo traktowaną osobą ludzką „tyranii słów”? jak — na powrót — stać się podmiotem rzeczywistości?

Pewnikiem jest, iż wybór nie dotyczy teraz odróżnienia zjawisk językowych (literackich?) od zjawisk niejęzykowych (pozaliterackich?), lecz że bronić się będzie język poetycki przed formami czysto znakowymi, niesemantycznymi; przed agresją oficjalnego antyjęzyka, w którym to, co miało szansę zostać rzeczywistością | jest wciąż obłączone przez fikcję. Obdarzony wysoką dyspozycją pojęciotwórczą Opolski tej agresji antyjęzyka przeciwstawia zatem autoemisję nieskrępowanej i jak można sądzić odpornej na zewnętrzne naciski energii myślowej. Wymienić język — powiada, wskazując nowy rytuał wymiany — jeśli chcesz żywy | powrócić do siebie (w Bohaterze). Powstaje perspektywa jak gdyby pojęciowego języka wartości, mowy żywego myślenia; Opolski myśli i mówi traktatowo czynnym strumieniem mentalnym. Konstruuje (może jeszcze nie idealną) wersję szyfru poetyckiego, który niekiedy budził już nadzieje wysokiej prawdomówności znakowo-znaczeniowej, gdy nazwany był (i oczekiwany) „językiem semantycznym, językiem myśli” (Apresjan), „idealnym intelektualnym językiem-identyfikatorem” (Bally) czy „myśleniem strukturą” (Ważyk).

Oto odpowiedź: „mieszkać we własnym Sie” (Uczucia zakazne), w wystaczaniu, we własnym in statu nascendi. W Farszu: *Ulepszać własną tożsamość [...] przez zwiększenie świadomości, że zmniejszam | odległość (w dążeniu do zatarcia granicy) między bytem | a pustką; „próbować w stosunku do siebie | być aktualnym”*. W Uczuciach zakaznych: „Przełykać [...] obecność na zewnątrz siebie”. W Strefie wyboru: *wyjaśnić związku | wyobraźni z frustracją i frustracji z chaosem | przytomności z obecnością i obecności z przypadkiem | przypadku ze świadomością i świadomości z istoczeniem się; być znowu w czasie kiedy słowa dorastały, mądrzały, | nabierały pełnych znaczeń, uświadamiały | się same, nasensowniały*. Przechodzić od stanu rzeczy do wystaczania rzeczywistości...

....z istoty w się istoczenie”. Martin Heidegger (we fragmencie wziętym na motto Przechowalni bagażu): *To, co rzeczywiste, jest skutkujące, uskutecznione; czymś, co w działaniu tym wydobywa i jest wydobywane w wystaczaniu*. «Rzeczywistość» zatem pomyślana wystarczająco szeroko, znaczy: iż dane jest oto coś, co zostało wydobyte w wystaczaniu; znaczy także: dokonane w pełni w sobie samym wystaczanie się te-

go, co samo się wydobywa. Rzecz prosta, „rzeczywistością» pomyślaną wystarczająco szeroko” jest jej sens.

Opolski wydobywa (wystacza, „się istoczy”) „prawdziwość sensów sensowności prawd”. Sprowadza rzeczywistość językową do jej wartości imponderabilnych, do załazni, prajedni, ziarna, embrionu. Językowym wskazaniem tej poezji okazuje się być „pęd | który jednocześnie niszczy i buduje | wolność — natura kiełkowania”. Istoczenie się — oto rowy rytuał komunikacyjny, a | wymiany, obejmujący tylko to, co w języku ludzkim memaniulowane, niezależne i trwałe: załaznię.

Teraz znaczenia będą się zbiegać w sensy, zdania w pojęcia, rzeczywistość — jak w ideogramologicznym Raporcie akuszerki — „sprawdzi, czy ma rozmiary takie, jakich była pewna”. Mowny strumień żywej myśli zestrzeli się w aforyzm. Człowiek przemiażdży się w kroplę krwi. *Światy przyłapanie na ucieczce | rozproszone w wędrówce przez mgławice | zbiorą się w jeden ognisty punkt*. Wieczność przejawia się w „mgnięciu chwili — jakby gwiazdy się zroiły | za przykładem pszczoł”. Linie horyzontu odwzorują się w kształcie linii papilarnych. *Tłum | istnieje tylko we mnie — sam jestem wówczas — istotą | tłum, esencją*. Przestrzeń | ogniskuje się w „zagęszczone światło słońca”. I „każda wypowiedź będzie tylko streszczeniem”.

Już Każdy podejrzany | nosi w sobie nieodkryte strony świata, nieznane | strony medalu, niepodbite kraje | niezlikwidowanego agenta opozycji: | żyły są już opustoszałe | ulice pełne krwi. Zaród, nasienie, „przechowalnia bagażu”, embrion świata — znów jest gotowy do powtórzonego porodu: język wartości staje się powtórzonym warunkiem nowego rytuału wymiany. I być może wówczas wyistoczą ziarńisty duch rzeczywistości ponownie obumrze w zarodzie.

Lecz ziarno obumiera, aby wydać owoc.

Sergiusz Sterna-Wachowiak

PIOTR GRAUMAN

*Gdyby można było przekazywać
myśli bez słów —
z listu Kleista*

Boso

I wszystko tkwi w naszej zdolności znikania, unoszenia się ponad tą drogą, którą rzekomo kroczymy naprawdę, która rzekomo wiedzie nas do nieba.

Dobry cel pozornie jest łatwy, cel szlachetny nie przybliża do celu, to co celne rzadko bywa trafne, to co trafne jest zbyt często błędne.

Droga zawsze jest jedna i trwa, nie w przestrzeni i czasie, bo znaki nie wskazują tu pożegnań, łączą tylko w sercu dwa wszechświaty.

Wzrok jest jeden lecz obraz jest różny, oczy mamią swym czasem i barwą, słuch zamyka z trzaskiem bramy na szlak.

To się staje gdy zdołałeś dotknąć siebie, czujesz znane pulsowanie nieba, morska trawa zarasta ci piersi, stopa sięga napowietrznych schodów.

Nieśmiertelność przeraźliwie niebieska, wieczna śmierć uśmiechnięta zielono, tak się zdaje zmysłom że szukają, umysł lekko już Boga odnalazł.

Droga wiedzie nas o tyle o ile, każde z nas się wiedzie wciąż przez siebie, wtedy w pył się sypią wszelkie bramy.

Wszystko tkwi w naszej zdolności zjawiania się, w polu drogi pod czyimiś stopami, wlatywania z gęstym kurzem tej drogi, którą wiemy aż do nieba.

Deszcz

Kiedy pada deszcz, wydaje mi się, że wszystko skończyło się już raz na zawsze, i nic się już nigdy nie zacznie...

Nagle chcę umrzeć, to jest pierwszy odruch, nawet nie pragnienie — to wtedy, gdy dopiero zaczyna padać...

Potem myślę o nieruchomości powietrza, o zatrzymanym czasie, o zablokowanym zegarze, o powrotach z podróży i ich niezmiennej melancholii, o ułudzie przemieszczania się w przestrzeni i niby-obecności gdzieś tam, podczas gdy tu...

Opada mnie wtedy zmierzch, myślę o wszystkich jego możliwościach, które nigdy się nie spełniają, prócz tej jednej: nocy; myślę o wszystkich możliwościach, które daje zmierzch..

Jest coraz gorzej, wraz z kroplami spływającymi po szybie — spływa także czas, chociaż tylko mój czas, bo to ja płynę, lecz...

I wtedy opada ze mnie coś, na kształt wszelkich rzeczy, ludzi i zdarzeń, które były i będą...

Jest nagle zimno, drży całe ciało, i czyje to ciało? słabość nieubłaganie zre od środka, by wydostać się na zewnątrz. w postaci? zdrętwiałe palce ociekają mrozem...

Staję tak przed lustrem ostatecznego rozwiązania:

I nie wiem — czy to wtedy pojawia się we mnie płacz, czy to tylko deszcz był od początku tym płaczem, a może to ja, może to tylko mój płacz był tym deszczem, jest tym deszczem...

Ale wiem przecież, że deszcz nie jest mną...

I ten płacz zabija mnie...

Ale trzeciego dnia, jak zwykle, budzę się znów w pełnym i tak znieawidzonym przeze mnie słońcu...

Odlot (z zapisków zaginionego)

... Gdy wszedłem dziś rano do miasta, zrozumiałem, że nie ma nic. Ścieżki wydeptane tu przez tych, co nigdzie nie doszli — me mogły już dłużej zwodzić. Moje kroki nagle wrosły w ziemię, a stopy szybko zapuszczały korzenie. Wiedziałem już, że aby to miasto zaistniało po raz pierwszy — potrzebny mi

klucz. Klucz odlany z błękitu powietrza i wody, klucz wystrugany z ognia, klucz utoczony z ziemi...

Klucz do tego — z tego, co poza tym.

Klucz do wszystkiego — z tego, co poza wszystkim.

... Potem przyszła noc. Zastałem ją w tym miejscu. Klucz rozrastał się w ciemności nocy i ciemności mojej głowy, poprzez ich szepty, barwy, ruchy. Myślałem o nim, i myśl, że on nie musi wcale myśleć o mnie — przestała mnie już niepokoić. Pytałem jeszcze o tych, którzy błędzili będąc tu tylko gośćmi, których sami nie znali: zagubieni w sobie — szukali się na tych ulicach.

„Gość przynosi wszystko ze sobą, i wszystko zabiera”

— taka była odpowiedź ciemności.

... Tamten świt był odsłoną nocy tego miasta: uwolnione z ciemności — istniało już — nieodwołalnie. Zamknąłem oczy, ale kiedy znów je otworzyłem, zrozumiałem, że tym razem zbudziłem się już naprawdę. Wszystkie ulice tego miasta żyły teraz we mnie, ale siebie samego nie widziałem już nigdzie. Nie było mnie w tym miejscu, w którym stałem, spałem i budziłem się w poszukiwaniu klucza. Teraz już nikt nie może wejść do prawdziwego miasta — pomyślałem. Ale też co to za miasto? Nie ma tu żadnej łączności. Klucz najpewniej utkwiał gdzieś we mnie. Jest zupełnie pusto...

Świt

Bierze się to stąd, że jesteśmy tam, gdzie nas nie ma — teraz wiem to z jakąś jasnością, a nie chodzi przecież o to nikłe światło padające na kartkę rozpostartą na murze, kiedy piszę te słowa...

Bo najpierw usłyszałem dźwięk gitary, a było jeszcze ciemno, było to jakiś czas temu, gdy dwanaście strun nałożyło się na siebie ponad tą obecnością, którą przemierzałem — to wtedy usłyszałem głos gitary, bo dźwięk już dokładnie rysujący słowa, słowa, które rozumiałem i które, jak teraz rozumiem — były słowami ludzkimi...

Tamten moment był końcem przedświt, był pierwszą światłością, i ujrzałem nagle jasno miejsce, które zajmowałem. miejsce, które było puste — nie było mnie tam — czułem to jak ból, jak klęskę, jak wszystko to, o czym rozmawialiśmy i co nas wcale nie wiąże — nie ma mnie tu — powiedziałem to nie za cicho i nie zbyt głośno, powiedziało się to jakby samo, ostro i jednocześnie łagodnie, wywahałem to z siebie. wyszło to ze mnie i wcale nie było widoczne w powietrzu...

A teraz to już nie działa, teraz tylko idę przed siebie, mijając puste miejsca, przystając tylko od czasu do czasu, aby rozłożyć tę karikę na murze, napisać pare słów tego listu — czuję wtedy ten ból, to nieszczęście; to, co pulsuje pod skórą każdego domu, pod każdym kamieniem — nie ma już głosu gitary — głos gitary jest głosem nas wszystkich...

Dopiero przed chwilą przypomniałem sobie twoje słowa o tym samym więc posłuchaj; bierze się to stąd, że jesteśmy tam, gdzie nas nie ma — byłabyś szczęśliwa, gdybyś wypełniła sobą jakieś miejsce — chyba tylko po to piszę ten list. i nie wiem, dokąd mam go wysłać...

Jeśli gdzieś jesteś — napisz gdzie...

Nie wiem, dokąd masz wysłać swój list...

Na Dzień Dziecka

To, że patrzysz poprzez moje oczy:

To, co widzisz moimi oczami — myślisz, że nie wiem co widzisz, ale ty nawet tego nie widzisz, to tylko ja widzę to za ciebie.

Widzisz siebie, pragniesz siebie, a nawet nie wiesz, że to tylko ja ciebie widzę — i tylko to jest twoim pragnieniem, tylko to jest twoim wzrokiem.

To, że słuchasz poprzez moje uszy:

To, co słyszysz moimi uszami — myślisz, że me wiem co słyszysz, ale ty nawet tego nie słyszysz, to tylko ja słyszę to za ciebie. Słuchasz siebie, pragniesz siebie, a nawet nie wiesz, że to tylko ja ciebie słyszę — i tylko to jest twoim pragnieniem, tylko to jest twoim słuchem.

To, że mówisz poprzez moje usta:

To, co mówisz moimi ustami — myślisz, że nie wiem co mówisz, ale ty nawet tego nie mówisz, to tylko ja mówię to za ciebie. Wymawiasz siebie, pragniesz siebie, a nawet nie wiesz, że to tylko ja ciebie wymawiam — i tylko to jest twoim pragnieniem, tylko to jest twoją mową.

To, że myślisz poprzez mój umysł:

To, co myślisz moim umysłem — myślisz, że nie wiem co myślisz, ale ty nawet tego nie myślisz, to tylko ja myślę to za ciebie.

Wymyślasz siebie, pragniesz siebie, a nawet nie wiesz, że to tylko ja ciebie wymyślam — i tylko to jest twoim pragnieniem, tylko to jest twoją myślą.

Jeszcze masz nadzieję...

A zawsze będziesz tylko mną — choć ja nigdy nie będę tobą...

Wiatr Wschodni

Coś mówi do ciebie, jak gdyby wznosiło wciąż w tobie niewidzialny ołtarz, przekazywany potem innym, z ust do ust. Pamięć zawodzi pamięć i pragnienie, lecz mimo to pamiętasz. Chęć wypowiedzenia wszystkiego (wszechświata?), co było tylko twoim urojeniem (tobą?). Te dwa są jednak nierozdzielne, bo to sama rzeczywistość, jak i te słowa, i ten twój do nich dystans...

Nie wiedziałeś tego, czego nie mogłeś wiedzieć, znając zbyt dobrze. Tytoniowy trans brałeś za gorączkę kosmosu, a zejście do piwnicy nocy uważałeś za przyrodzony bieg rzeczy. Myliłeś się tak, jak mylisz się i dziś. Porażka nauczyła cię cierpliwości i spokoju: nic nie jest zbędne i złe, gdy nie ma nic innego; oby tylko nie wpaść w sidła wymyślonego naprędce dobra... Lecz to także tylko twój wzrok, nic nie jest takie czy owakie, nic prócz twoich myśli. I gdy walczysz i gdy się zgadzasz — jest nie tak. Zbędny jest sam sąd, a tego nie można pojąć, trzeba to wiedzieć od siebie. Spłonie wtedy twój zwykły błąd i zgaśnie błędny ogień twojej zgody...

Życie pozwala nam żyć, pozwala nam żyć tak, jak nam na to pozwala, nic więcej. Nie czujemy się zwierzętami zatrzaśniętymi w ciemności własnej skóry, bo nie wierzymy w ciemność, choć wiara nie sprowadza światła, i nie czekamy na nie. Strach nawiedza nas tak, jak nawiedza błękit nieba, które w sobie nosimy. Wszechświaty nieustannie pulsują w nas, powołując wciąż do życia obrazy nie zaistniałego w naszych umysłach świata. Spójrz na nas — nie musimy nic wiedzieć i mówić o wolności, bo nią jesteśmy, jak i ty, który nie wiesz nic a musisz wiedzieć wszystko. Uwaga uczyni cię płomiennie beznamiętnym. Nie będziesz zaglądał w serca innych ludzi, gdy zrozumiesz, że wszystko jest niczym i każdy jest wszystkim. To, czego nie ma, istniejąca pustka bez nadziei — to jedynie może być twoją pełnią i nadzieją. Czeka cię daleka droga, z której nie możesz zawrócić, i nie możesz się nigdzie zatrzymać, nawet wtedy, gdy padniesz...

Coś mówi do ciebie, jak gdyby wznosiło wciąż w tobie niewidzialny ołtarz, przekazywany potem innym, z ust do ust.

Słuchaj więc!
Mów!

Zrównanie

Tam gdzie śniegu nie widać, bo szyby wciąż niosą, a zamiast światła

mrok z oczu prześwieca, i schnie ciemny chleb —
Tam gdzie już się grzebie to, co nie zakryte, a słowo

gdy głos myśl porzuca, i myśl myli ton — na stół pada

Tam gdzie już ręka odstaje od ręki, a coś roślinna

człowiekowi zwierza,

i zmarzłe zwierzę tuli się pod płot —

Tam gdzie się twarze dwie w jedną składają, a serce dziecka się swej

siły boi, i ktoś już klaszcze szybko, składa broń —

Tam gdzie jest wielka cisza, a w nic już nie wnिकnie,

zasypała uszy, a w ustach kwitnie niema pleśń — i głuchą mową

Tam gdzie jest zawsze wszystko, a nigdy nic nie ma,

lecz także jest ktoś — i wciąż jest coś.

Gdzie ani to, ani tamto, ani nic —

Ani wszystko, ani a, ani i —

My się spotkamy.

Jedna Strona

Jedno spojrzenie — i widzisz wszystko to, czego nigdy na prawdę nie widać. Jedno słowo — i upadek w rzeke słów, mówiących wszystko i nic. Jedna myśl — i otchłań tego wszystkiego, co jest nie do pojęcia. Wszystko jest obrazem w twoim oku, słowem w twoich ustach, myślą w twoim ciemnym umyśle. Świat zasloniłeś lustrem, które odbija tylko ciebie, to, co umiesz, świat jest twoim dziełem — odtąd dotąd. Kłamstwo, które uspokaja nie ciebie, tego, który boi się ciebie, przeczuwając i spodziewając się ciebie niejasno — nie

chce cię znać. Cięży ci maska twarzy, słowo w ustach, myśl w twoim — cudzym umyśle. Obcość udziela się ludziom, którzy stają wobec twego lustra. Nie chcą z tobą przegrać, nie chcą z tobą wygrać — walczą o swoje — ani lepsze, ani gorsze — także lustro.

Jedno spojrzenie — i widać to, czego nigdy nie widzisz. Jedno słowo — i słyhać głos, którego nigdy nie słyszysz. Jedna myśl — i jest to, czego nigdy nie rozumiesz. Nic nie jest obrazem w twoim oku, słowem w twoich ustach, myślą w twoim jasnym umyśle. Jesteś lustrem, w którym odbija się wszystko, świat jest twoim dziełem, tym wszystkim, czego nie umiesz — znikąd donikąd. Prawda, która nie uspokaja tego, co nie wie, czym jest odwaga i strach, co nie musi wcale się znać. Nie ma żadnego umysłu, żadnych oczu, uszu i ust. Nie zniszczy cię nikt, kto cię nie zna, kogo kochasz, kogo znasz. Widzą to ludzie, którzy ujrzeli w tobie swój świat — i w których ty ujrzałeś własny — ani lepszy, ani gorszy — wasz. I odbite światło...

Zawsze

Modlą się za nas kolorowe chusty, rozpostarte dniem i nocą nad ziemią, nad nami.

Czekają aż coś powiemy, czekamy aż coś powiedzą, nad nami trwa milcząca i nieruchoma chusta nieba.

I wieje ten wiatr, wieje i obraca modlitewny młynek, wieje i wieje tak przez nas, nie do nas.

Modlimy się za kolorowe chusty, modlimy się za każdą barwę tak samo, mówią za nas jakieś bębny dalekie i liście nad głowami.

I wieje ten wiatr, wieje i ożywia ten podniebny młynek, wieje i wieje tak przez nas, nie do nas.

Nic nie słyhać.

Wszystko jest.

Nikt nie czeka.

Piotr Grauman

JERZY SPRAWKA

PIĄTY DZIEŃ LATA

Nie znającym dzieciństwa

Tak naprawdę — nosił prawdziwe nazwisko i imię, jak każdy chłopak, chociaż chyba sam o tym nie wiedział, gdyż reagował na najbardziej wymyślne zawołania. Miał kilka imion — nie imion, na które reagował z jednakową obojętnością. Opiekująca się nim ciotka, nie wołała na niego inaczej, jak Lusiek. Jej mąż, pan Ciemłoński zwracał się do niego po prostu — Najduch. Pan Ciemłoński nie cieszył się niczyją sympatią. Był niski, gruby, miał okazałą głowę pokrytą rzadkim, siwym meszkiem, co jakiś czas starannie wygalanym brzytwą. Po takim zabiegu widać było, jak dumny był ze swojej połyskującej glacy i stąd przydomek nadany mu przez dorosłych.

Denerwujące dla wszystkich było wywyższanie się państwa Ciemłońskich nad pozostałymi mieszkańcami domu. To że byli rodowitymi warszawiakami, przetrwali Powstanie i utracili wszystko prócz dumy, dla najstarszych chłopaków nie miało znaczenia, dla państwa Ciemłońskich zaś było bohaterstwem, co przy każdej okazji starali się podkreślić. Nie rozumeli się. A jeszcze ten niewydarzony siostrzeniec bez imienia i nazwiska.

Dali mu imiona. A więc mogli wołać Chudek, Cyganek, Czubek — aha, Czubek to dlatego, że podczas zwykłej zabawy w Indian, odtrącany przez chłopaków Chudek zdobył się na brawurowy czyn połknięcia znalezionej pocisku karabinowego. Reagowałby na najbardziej obraźliwe przezwisko bez gniewu, byle tylko uczestniczyć w organizowanych przez chłopaków zabawach. Ale nikt go nie chciał.

Mieli zgraną paczkę. Chodzili do tej samej szkoły, a nawet klasy. Ich rodzice znali się od przedwojny i wszystko było jasne, to też niechętnie znosili towarzystwo zaniebanego, popyczanego i wyzywanego przez opiekunów Cyganek. Był starszy i mądrzejszy od pozostałych chłopaków, ale mimo to, że to on właśnie robił najlepsze proce i rozdawał za darmo, ze pokazał jak można upiec dwa trzy kartofle w „katalajce”, nie potrafili go polubić. Pętał się za nimi w pewnym oddaleniu, co często gniewało chłopaków. Oberwał przez to wiele razy, ale nigdy nie rezygnował z towarzystwa. Znosili go jeszcze na początku wakacji. Podwórko sąsiedowało z wielkim,

zasobnym ogrodem należącym do sióstr szarytek. Był to naprawdę wspaniały ogród. Rosło w nim wszystko i to dzięki Chudkowi właśnie jedli twarde jak kamyki, niedojrzałe czerwone, jabłka, porzeczki i agrest.

Paczka zwoływała się gwizdaniem sygnałem. Zbierali się zawsze za domem w ich, a właściwie Szumlańskich, komórce. Mieli w niej swój arsenał składający się z luków, drewnianych szabel i karabinów. Po zbiórce wyruszali za rogatki miasta na włóczęgę ciągnąc za sobą ogon w postaci Cyganka, który zawsze starał się nie przegapić wymarszu.

Lato 1950 roku było upalne, toteż nikt nie chodził inaczej, jak w krótkich spodenkach i na bosaka. Rodzice przechowywali tenisówki na niedzielę do kościoła. Zresztą do szkoły większość chłopaków chodziła bosą. Ileż to drzazg znalazło w stopy z drewnianej podłogi, nasączonej co jakiś czas ropą.

Tym razem wybrali się na glinianki. Tak nazywali ogromną kopalnię gliny i przyległą do niej cegielnię.

— Mam cztery kule — pochwalił się głośno wszystkim Ludek Szpakowski.

— Co z nimi zrobimy?

— Dobrze? — z powątpiewaniem zapytał Zyga, różowlutki grubasek sapiący jak lokomotywa.

— Dobrze, na pewno. — Obruszył się Ludek.

— Pokaż! — zakrzyknęli chórem.

Zatrzymali się wokół dumnego Ludka i czekali z niecierpliwością. Ten zwlekał wskazując głową kręcącego się w sporej odległości Cyganka — udawał, że patrzy w niebo.

— Przegońcie Czubka to wam pokażę — powiedział stanowczo Ludek i odwrócił się od pozostałych.

— Ależ on nic nie zobaczy — oponował piegowaty Krystek Szumlański. Powtarzał klasę i od nowego roku szkolnego będą chodzić wszyscy do trzeciej „a”. Krystek zawsze starał się o przewodnictwo, ale nie mógł dorównać młodszemu Witkowi Popiołkowskiemu, który miał najwięcej indiańskich i kowbojskich książek. Pożyczał je chętnie, ale woleli jak opowiadał je sam. Fajnie opowiadał i za to właśnie bardziej słuchali Witka niż Krystka, który musiał zbierać niedopałki dla swojego chorego dziadka aby miał czym napchać cuchnącą fajkę.

— Zobaczysz i co wtedy? — droczył się Ludek. — Wyda nas. Odgońcie go, już wam mówiłem, że inaczej nie pokażę.

— Chudek, pryskaj do domu — krzyknął cienko płaski Rysio Kroplicki noszący przezwisko Łaciaty z powodu włosów o dwubarwnym odcieniu, tworzącym plamy na całej głowie.

— Patrzyli jak Cyganek odwrócony tyłem wybija piętą dołek w spieczonej ziemi.

— On nie patrzy. Wcale go nie obchodzi, co robimy — powiedział Witek Popiołkowski. On także pragnął dotknąć prawdziwej amunicji.

— Nie bądź głupi — wtrącił się Krystek — on tylko udaje.

Nie pokazuj Ludek, bo będzie draka.

— Oj, pokaż — prosili wszyscy.

— Nie pokazuj — ostrzegał Krystek wykrzywiając piegowatą buzię w jakimś złośliwym grymasie.

— Co ty masz do rozkazywania — rozgniewał się Zyga. Sapnąwszy głośno dorzucił — Witek decyduje, nie ty!

— Witek, Witek, co on może decydować? — zaczepnie odparował atak Krystek. — Chcesz żeby ojciec Ludkowi sprawił manto? Chcesz tego Ludek?

— Co ty — z przestachem odparł Ludek. — Lepiej wam mnie pokażę wcale. Chodźmy.

Zawiedzeni ruszyli w dalszą drogę oglądając się za osamotnionym Cygankiem. Mieli do niego żal. Docierali do pierwszych wiat, pod którymi suszyła się uformowana w kształt cegły glina. Olbrzymie liście łopianów rosły wzdłuż płytkiego wykopu służącego za odprowadzalnik deszczowej wody. Teraz skapywały do niego tasiemki rozpuszczonej upałem smoły. Weszli pod wiat i gęsiego kroczyli po długich stalowych paskach blachy. Chłodna stal dawała ulgę bosym stopom.

— Skąd masz te kule? — zapytał Zyga.

— Cicho! — ofuknął go Ludek zatrzymując się w miejscu aż wpadli na niego. — On może usłyszeć, na pewno skrada się za nami.

Rozejrzeli się podejrzliwie. — Uciekniemy mu — rzucił Witek — każdy w inną stronę. Spotkamy się koło Pożaczki.

— Dobra — zgodzili się chętnie.

Zadudniły bosa stopy o stalowe kładki i chłopcy rozbiegli się. Przeskakując rowy przedzierali się przez zakurzone łopiany i chwytlive, pelgające jeżyny. Zgrzani, dyszący, z białymi rysami na opalonych nogach zebrali się w gęstym żywopłocie drobnych wisienek. Czekać na zwykle spóźniającego się Zygę zrywali ledwie różowiejące owoce. Smakowały wybornie. Słyszeli już zbliżającego się grubasa. Pokazał się z wykrzywioną twarzą, utykał. Obejrzeni rozharatane kolano i pocieszała poszkodowanego chwając się licznymi bliznami po dawnych urazach.

— Pokaż wreszcie te kule — poprosił Zyga, manipulował brudnymi paicami przy ranie, odrywając paznokciami przylepioną glinę i krzepnącą krew.

— No to patrzcie — zgodził się Ludek. Wyjął z kieszeni lekko spatynowane pociski.

— Jakie to, niemieckie? — zapytał Łaciaty.

— Na pewno ruskie — zawyrokował Krystek — kiedyś miałem takie same i dziadek powiedział, że ruskie.

— Miałeś? — nie dowierzał Witek — nigdy nie mówiłeś.

— Byliście maluchami, a teraz przypomniało mi się i mówię.

— Bujasz. I co z nimi zrobiłeś?

— Dziadek wyrzucił do pieca.

— Do pieca? Ale bujasz. Rozwaliłoby wam piec.
 — No tak, ale to było w lecie.
 — No to co? Bujasz Krystek.
 — Nie bujam. Wyjąłem z pieca przed zimą i gdzieś schowałem, nie pamiętam.
 — Ale te nie są ruskie — powiedział Ludek.
 — Skąd wiesz?
 — Mówił mi chłopak, który zamienił się ze mną. Dałem mu znaczki za te kule.
 — Coś ty? Zamieniłeś znaczki za te kule? — zdziwił się Witek.
 — Zamieniłem.
 — Ale ty miałeś fajne znaczki — powiedział pochylony nad rozbitym kolanem Zyga.
 — Ludek, nigdy nie chciałeś oddać swoich znaczków — niedowierzał Witek. — Ja bym ci dał za nie swoją łyżwę.
 — Naprawdę?
 — No pewnie. Ty miałeś przecież brakujące do mojej serii Kongo Belgijskie i Dahomej z tym Murzynem i czerwonego tygrysa z Malajów, albo Barbados, no o innych nie bardzo pamiętam, ale na pewno oddałbym ci tę łyżwę.
 — Przepadło — zaskomlił Łaciaty. — Jak bym wiedział, że chcesz zamienić, dałbym ci zeszyt z piłką nożną i boksy.
 — No widzisz, a jak chciałem Luisa to powiedziałeś, że to mistrz świata, i że za niego dałeś Cieślika i Szymkowiaka.
 — Co zrobisz z tymi kulami?
 — Nie wiem. Ten chłopak powiedział, że wie gdzie jest schowany pistolet. Może...
 — Co ty?! — wykrzyknęli zdumieni.
 — Ciszej. Powiedział, że za „Orli Szpon” i „Wodną Lilię” postarałby się o ten pistolet.
 — Witek, ty masz te książki! — Wpatrywali się w Popiołkowskiego z niepokojem i nadzieją.
 — Nooo, mam — odparł.
 — Witek, zamień się. Będziemy mogli sobie postrzelać, co?
 — Przecież nie umiemy strzelać — bronił się niepewnie.
 — Ja umiem strzelać — padło tuż obok nich. Zerwali się. Chudek stał w żywopłocie odchyliwszy gałęzie wisierek i najwyraźniej czekał.
 — Szpiegujesz nas — krzyknął Ludek. — Nie dajesz spokoju i śledzisz. Po co tu przylazłeś? No po co?
 — Chcę się z wami bawić.
 — Nie potrzebujemy Najducha — rzucił Krystek. — Po co się chwalisz, że umiesz strzelać, jak nigdy nie widziałeś pistoletu.
 — Ja nie widziałem? — zapeszył się Chudek. — Ja? Strzelałem z karabinu i rzucałem prawdziwymi granatami. Co wy tam wiecie. Słyszeliście o Powstaniu? Jak mieszkalem w Warszawie...

— Znowu wyjeżdża z tą Warszawą, jak jego ciotka — przerwał wyzywająco Krystek. — Pryskaż stąd, no już!
 — Nie wygnajcie mnie chłopaki, ja wam pokażę jak się strzela. Wuj ma schowanego gnata i naboje. Zakoszę mu, zobaczycie.
 Zaniemówili. Nawet napastliwy, piegowaty Krystek stracił rezon. W duchu zazdrościł Cygankowi, że on sam nie może pochwalić się czymś takim, a wtedy Witka zakasałby z pewnością.
 — Kiedy zakosisz? — zapytał poczerwieniały Zyga.
 — Postaram się jak najprędzej. A te pestki co macie, to do kabeka. Do gnata się nie nadają.
 — Co ty? — pisnął Łaciaty ze smutkiem.
 — Na pewno? — nie dowierzał Ludek ściskając swój skarb.
 — Chłopak, który zamienił się ze mną, mówił że te kule pasują do wszystkiego.
 — Nieprawda. Wierzcie mi. Jak w Warszawie było Powstanie nosiłem najróżniejsze pestki i znam się na tym. Tatusz nauczył mnie rozpoznawać, które do czego.
 — A gdzie jest twój tatuś? — zapytał Witek.
 — Nie wiem. I mama też nie wiem gdzie jest. W Warszawie było Powstanie i pogubiliśmy się. Dziadzia to, dum przysypał.
 — Ty, Chudek, powiedz prawdę, strzelałeś?
 — No pewnie, chłopaki!
 — I nie bałeś się?
 — Jeszcze jak!
 — I zabiłeś Szkopa?
 — Nie wiem. Wszędzie było pełno trupów.
 — Bałeś się trupów?
 — Gdzież tam.
 — Przecież to trupy.
 — No to co?
 — Opowiesz nam kiedy o Warszawie?
 — No pewnie — odparł zachwycony. — Chcecie? Naprawde?
 — A dlaczego przyjechaliście do Lublina?
 — Nie przyjechaliśmy, uciekliśmy. Tam nie było co jeść i gdzie mieszkać, a u was tak dużo całych domów. I drzew dużo, wesoło.
 Patrzyli na chudego Cyganka z zapartym tchem. O podnieceniu świadczyły wypukłe i błyszczące oczy chłopców. Piegowaty Krystek mrugał oczami i wreszcie wypalił. Przecież ty nie możesz pamiętać Niemców. Ja jestem tu najstarszy i nie pamiętam, a mam już dziesięć lat.
 — Naprawdę? A wiesz ile ja mam lat? Nie wiesz, to wam powiem — trzynastcie. Chociaż ciocia mówi, że mam czterdzieści i doświadczenia starego chłopca. Byłem pucybutem i gaziarzem, wolałem latać z gazetami niż glansować szwabskie oficerki. W Powstaniu nosiłem butelki, granaty, meldunki i pestki. Wierzcie mi!

— Uhm — mruknęli ogłuszeni z podziwu. — Zaraz — podjął Krystek — jak wojna się skończyła to ty miałeś dziesięć lat?

— Tak.

— I rodzice puszczali cię na wojnę?

— Sam poszedłem. Ale to było Powstanie. Bili się wszyscy. Chłopaki z całego Powiśla zebrali się na Książęcym, w lochach koło sadzawki. Potem pogubiliśmy się. Strasznie było, mówię wam.

— Słuchaj no. Z tym gnatem twojego wuja to nie lipa? — zapytał Krystek.

— To chyba wszystko lipa co on tu opowiada — skwitował Ludek i manifestacyjnie chowając swoje kule odwrócił się od pozostałych.

— Nie zwracajmy na niego uwagi — dodał Krystek. — Chce się do nas przyłączyć, żeby dowodzić i wymyśla te bajdy.

— Wcale nie zmyślam — bronił się Chudek. — Wuj na pewno przechowuje pistolet i pestki. Ciągłe mówi do cioci, że wojna się nie skończyła i tylko patrzeć, jak Szwaby ruszą na naszych i ruskich.

— Mój ojciec też tak mówi — zgodził się Łaciaty. — A wtedy mama zaczyna płakać i krzyczy żeby ojciec się zamknął, bo niedługo będę miał siostrzyczkę.

— No dobra — powiedział Witek — kiedy będziesz mógł przynieść tę spluwę?

— Nie wiem. Najpierw muszę ją znaleźć. Wuj na pewno dobrze ją ukrył.

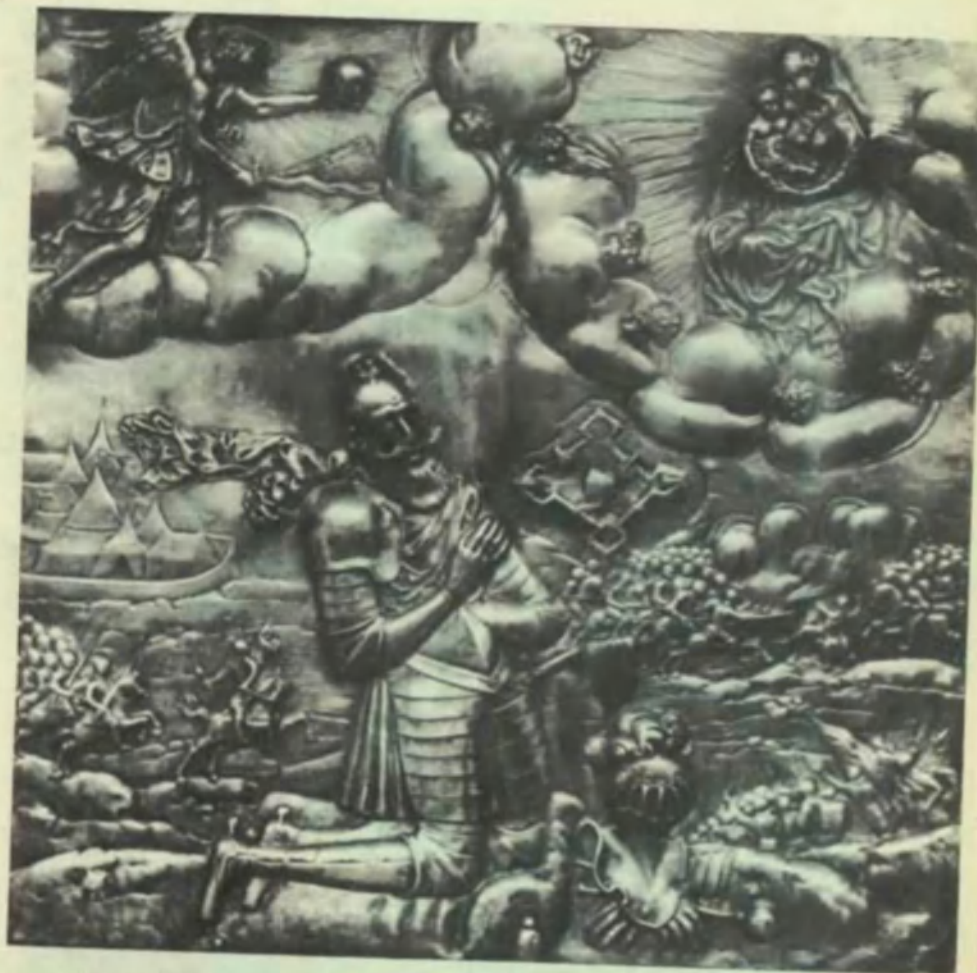
— Czekać! — wykrzyknął Zyga. — Zdaje mi się, że i ja będę mógł coś skombinować. Za tydzień wyjeżdżam do dziadków na wieś. Jak byłem w tamtym roku, to pamiętam, że pies jadł w niemieckim hełmie, a w drewni na belce leżały dwa bagnety. Poszperam, może znajdę coś do strzelania. Dziadek mówi, że w tamtych lasach były największe partyzanckie bitwy.

— Tak, ale wrócisz pod koniec wakacji i też nie wiadomo, czy coś znajdziesz — zauważył płakliwym głosem Rysio Kroplicki — Łaciaty.

— Za parę dni znajdę tego gnata. To parabelka, widziałem ją dawniej. Zobaczycie wtedy, czy bujałem. — Zapewnieniem tym przerwał dalszą rozmowę. Wspiął się na palce usiłując dościsnąć dojrzałe owoce.

Stracili ochotę na zabawę. Ociężale szli w kierunku miasta. Ciężyła im wyższość pogardzonego przez wszystkich Cyganka. Przez zazdrość starali się pomniejszyć jego znaczenie, a nawet wątpić w prawdziwość. Niepokoila ich myśl o danej obietnicy, w którą pomimo pozorów uwierzyli.

Ludek Szpakowski szedł obok Krystka Szumlańskiego i nerwowo potrząsał ukrytymi w kieszeni nabojami. Na podwórku



Jedną z najpiękniejszych plakiert wotywnych epoki sarmatyzmu przechowuje klasztor jasnogórski; w ten sposób Jan Chreptowicz dziękował Matce Boskiej Częstochowskiej za wyzwolenie z niewoli po bitwie pod Złotymi Wodami (1648).



Rozmaitość dawnych deworów sarmackich; interesującą zjawiskiem jest także karczmę, tak ważną w życiu „Sarmatów”; karczma w Siewkowie.



Wielkie barokowo-romantyczne uroczystości, rycina z drukarni Tarnobrzegskiej, wzniesionego korony obrazu Michała Bonieja Berdyczowski (rycina z r. 1767).

rozeszli się do domów bez zwykłego umawiania się na wieczór.

Od wczesnego ranka z pobliskiej ulicy, przez otwarte okna do mieszkania wdzierał się hurgot chłopskich wozów. Hałasowały żelazne obręcze kół o kocie lby jezdni. Synogarlice nawoływały się przelatując z cichym wizgiem skrzydeł. Witek Popiołkowski wstał z łóżka i podszedł do okna. Niebo różowiło się. Na tle czerwonej mgły obserwował czarne punkciki przelatujących wron.

Rzadko budził się o tej porze, to też z ciekawością spoglądał na krzątającego się dozorcę pana Jamlonka i jego nastroszoną głowę. Widział też idącego do pracy pana Kroplickiego ubranego w kolejarski uniform. Przy olbrzymim, bielonym na białym śmietniku żerowały psy, których nigdy w czasie dnia nie było. Drgnął. Do śmietnika zbliżał się Chudek. Psy rozbiegły się przestraszone machnięciem ręki, widział jak jednemu oberwało się miotłą od pana Jamlonka.

Chudek rozjerzał się i błyskawicznie wyjął coś z zanadza. Upchnął to w szczelinę między ścianą śmietnika i komórki, narzucił trochę papierów i wrócił do domu. — A więc nie kłamał — powiedział do siebie Witek. Ależ zrobią miny — pomyślał o chłopakach. Ubrał się w wielkim podnieceniu i cichutko otwierając drzwi wymknął się z domu. Rześkie powietrze przywróciło mu równowagę. Przystanął na ganku wdychając silne zapachy z sąsiedniego ogrodu. Wśród krzewów porzeczek i agrestu, gdzie znajdowały się grędy warzyw poruszały się czarne habity dwóch zakonnic, ich białe nakrycia głowy szybowały nad zielonymi krzewami jak łabędzie.

Korciło go wydostanie ukrytego przez Cyganka przedmiotu i jednocześnie ogarniał lęk. Postanowił ochłonąć. Poszedł za dom do ich warowni, komórki Szumlańskich, która z założoną tylko kłódką zawsze była otwarta. Zdziwił się brakiem kłódki. Pociągnięte drzwi nie ustąpiły zamknięte od wewnątrz na zaszczepek. Szarpnął mocniej nad słuchując mrocznego wnętrza. Pewien był, że znajduje się tam któryś z chłopaków, a najpewniej Krystek. Ucieszył się na tę myśl szarpiąc zdecydowanie rozchwierutane drzwi. Nagle one same otwarły się, tak że mało nie upadł do tyłu i w ciemnej czeluści stanął dziadek Krystka. — Czego chcesz? — warknął. — Po co dobijasz się do cudzej komórki, he?

Nie wiedział co odpowiedzieć. Spoglądał na poszarzałe kalessony, na bosa stopy z poślizniętymi, połamanymi paznokciami i milczał. Dienne światło rozjaśniło trochę wnętrza, ujrzał pozawieszane na gwoździach łuki, drewniane karabiny, strzały i dumę Krystka — ułamaną szablę, własność dziadka z czasów służby wojskowej.

— To nasza komórka — wykrztusił wreszcie.

— Wasza komórka?! A to dobre. Wasza komórka, smarkacz! Wynoś się — krzyknął. W tym czasie złapał go atak kaszlu. Dziadek Krystka — zawsze z rana musiał odkasłać swo-

je, potrafił tak dziwnie kasłać, wyc przy tym i piąć przez godzinę. Niedobrze było wtedy być blisko niego. — Zaczekaj! — krzyknął w przerwie kaszlu i poddając mu się z powrotem, przywołując skinał ręką. Witek nie miał ochoty na to zaproszenie i wycofał się szybko.

Zatrzymał się na ganku opierając łokciami o drewnianą, porzniętą balustradę. Przypatrywał się wyciętym inicjałom, znakom, którymi najczęściej były hitlerowskie swastyki i nieprzyzwoite wyrazy. Nie miał odwagi spojrzeć w stronę śmietnika choć pragnął tam pójść, przekonać się o czymś, czego właściwie był pewien. — Chłopaki jeszcze śpią — pomyślał odsuwając chęć zwołania zbiórki. Jakiś czas przysłuchiwał się odgłosom kaszlu starego Szumlańskiego i odchodząc do domu powiedział półgłosem — Jak można tak okropnie kasłać?

Na piętrze spotkał schodzącego z góry starego kawalera, panna Romanka. Ubrany jak zawsze w angielski mundur, w którym przed rokiem przyjechał z Zachodu, spieszył do pracy w wojskowych warsztatach samochodowych. Pan Romanek był wesołym człowiekiem i wcale nie starym, ale wśród dorosłych często padał pod jego adresem wyraz — stary kawaler i tak się utarło. Ileż to było uciechy dla przywykłych do kom i dorożek chłopaków, gdy pan Romanek zajeżdżał na podwórko olbrzymim, ryczącym motocyklem. Raz był to „charley” z kierownicą jak rogi byka, innym razem „puch”, albo „zündapp” z przyczepą. Pozwalał wsiadać na maszynę i baraszkować do woli, a bywało, że ku zgrozie rodziców zabierał pięciu, sześciu chłopaków i gnał za miasto na niedługą przejażdżkę. Bardzo lubili pana Romanka, zwłaszcza gdy śpiewał wojskowe piosenki i opowiadał o dalekich krajach, w których był, a które znali z pocztowych znaczków.

— Cóż to smyku, już na nogach? — zapytał pan Romanek tarmosząc Witka za ucho. — Jak się uda, to przyjadę dzisiaj Willysem i wybierzemy się do Starego Lasu, no jak?

— To byłoby cudowne — odparł Witek, w którym osoba pana Romanka zawsze wywoływała podziw.

— Specjalnie na to nie licz — rzucił na odchodnym pan Romanek — chociaż zrobię co będę mógł. Serwus!

— Cześć!

— Witek! Witek! — usłyszał swoje imię. Spojrzał w dół między balustradę. Z głową zadartą do góry nawoływał Chudek. — Chodź tutaj, coś ci powiem.

Bez pośpiechu liczył wydeptane, drewniane schody. Postanowił udawać, że o niczym nie wie.

— Zdobyłem to, wiesz? Mam go, ale cacko mówię ci. Jest też ze sto pestek. Dzisiaj pokażę wam jak się tym posługiwać. Dopiero Piegus (pozwolił sobie na ironiczny epitet wobec Krystka) sklapuje. Do tego trzeba mieć łapę, jak moja — pochwalił się. — Wam pourywa te pulchne rączki. Choć pokażę ci.

— Nie potrzebuję — odparł oschle Witek. — Nie podoba mi

się taka zabawa. — Czuł, że mówi wbrew sobie, myślał zupełnie inaczej, lecz coś kazało mu się zbuntować, przeciwstawić. Być może odczuł nutkę pogardy w słowach Cyganka i aby pogrążyć zdumionego chłopaka dorzucił: — To, czym tak się przechwalasz może sobie leżeć w śmietniku. Nikomu niepotrzebna jest wojna i powiedz swojemu Glacy, że jest głupi, a ty już lepiej wyrzuć to w sam środek śmietnika żeby smieciarze mogli go wywieźć z naszego podwórka. I uważaj, nie chwal się tym więcej. — Przeskakując po kilka stopni wpadł do mieszkania. Jeszcze z dołu dosłyszał szydercze: — Ciężki frajer.

Do południa przesiedział w domu. Przeglądał ulubioną książkę „Młody Wagnanec” marzył o przygodach Serca Prawego. Nie reagował na umówione sygnały chłopaków. Żałował słów jakie wyrzucił z siebie pod wpływem uniesienia, żałował, bo tak naprawdę chciałby zobaczyć prawdziwy pistolet, a może nawet wystrzelić z niego. Ukryty za firankami obserwował opuszczających podwórko kolegów z Cygankiem na czele. Myślał był przy nich, korciło go by zawołać i pognać za nimi, jednakże duma i żal za zdradę, jakiej dopuścili się wobec niego trzymały go w miejscu. — Niech idą, niech się powystrzelają — krzyknął zrozpaczony i przestraszył się ostatniego słowa. — Nie, nie, tylko nie to — pomyślał i splunął na podłogę, aby odczynić „czar”.

Opuścił stanowisko przy oknie i zatrzymał się przed biblioteczką ojca. Kluczyk tkwił w zamku, co było niesłychaną rzadkością, jako że ojciec skrzętnie zamykał biblioteczkę w obawie, by Witek nie rozwlóczył książek wśród kolegów, a miał podstawy do obaw, gdyż książki będące Witka własnością często nie wracały na swoje miejsce. Tak było na przykład z „Duchem puszczy”, „Kiddim dziecięciem obozu”, „Tropicielem śladów” i wieloma innymi książkami, których już nigdy nie ujrzy.

Zainteresowały go wielkie tomy stojące najniżej. Wyciągał je i odczytywał tytuł: „Pamiętniki Leona Dembowskiego z czasów Księstwa Warszawskiego i wojny 1831 r.”, były to dwa opasłe tomy, dalej „Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r. przez Ignacego Prądzyńskiego generała kwatermistrza b. wojsk polskich”, „Dzieje Polski w 24 obrazkach”, „Album biograficznie zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX”, „Herbarz rycerstwa W. X. Litewskiego, czyli o klejnotach albo herbach których familie stanu rycerskiego w Prowincjach W. X. Litewskiego zażywają” i znowu kilka zeszytów pt. „Wojna Polsko-Ruska 1831. przez A. K. Puzyrewskiego jener. — lejtenanta”.

Przerzucał kartki wilgotnymi z wrażenia rękami i wydawało mu się, że wkroczył w świat najcudowniejszych baśni. Czego nie kryła ta szafa. Z trudem wyciągnął leżącą na płask wielką księgę w przepięknej oprawie odczytując jej tytuł:

„Album Jubileuszowy” Henryka Sienkiewicza. Główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel Henr. Sienkiewicza w 20 ilustracjach, wykonanych w heliograviurach według rysunków: Brandta, Chelmońskiego, Kamińskiego, J. Kossaka, Kotarbińskiego, Pochwalskiego, Rosena, Siemiradzkiego, Stachiewicza i Wodzinowskiego, z wstępem krótkim Stanisława hr. Tarnowskiego, oraz wyjątkami z dzieł Henryka Sienkiewicza.

— Dlaczego tatuś chowa to przede mną, dlaczego muszę oglądać te wspaniałe książki ukradkiem — zalił się przed pięknym obliczem Heleny Kurcewiczówny, wyczarowanym przez Stachiewicza. Podziwiał surowe twarze mężczyzn w futrzanych czapach i drżał nad scenami malowanymi przez J. Kossaka.

— Ha! A to ci dopiero mol — usłyszał nad głową i wystraszył się niespodziewanego głosu. Był to pan Romanek. Czuł go było smarami i benzyną. — Zbieraj się chłoptasiu, walimy na wycieczkę. Na powietrze, na powietrze! Czuć tu stęchlizną aż głowa boli. O! Widzę żeś rozpalony.

— Te książki... no, tatusia książki są takie piękne...

— Za małyś ty szkrab na takie foliały — przerzucił obojętnie kilka ksiąg i dodał — za mądre dla mnie com pół świata przemierzył, a cóż dla takiego baka, jak ty? Rozchorujesz się tylko i kłopot rodzicom sprawisz. Chowaj to, acha, gdzie reszta baków? Podwórko wyludnione, cicho, myślę — wystawili mnie. Uwierzyć nie mogłem a ten tu ślęczy i oczy marnuje. To jak, jedziesz?

— Jadę, ale jestem sam. Chłopaki poszli... gdzieś... me wiem — tłumaczył się.

— Pewnieś im nic nie mówił? No?

— Nie, nie mówiłem. Pokłóciliśmy się — skłamał.

— To z ciebie taki ancymon? Trudno, zbieraj się pojedziemy sami.

Uprzątnął zasłaną książkami podłogę, starannie zamknął biblioteczkę i niechętnie wyszedł za panem Romankiem. Wiedział, że nie prędko nadarzy się okazja do bezkarnego szperania po bibliotecze, ale nie mógł przecież odmówić ofiarnemu panu Romankowi.

Samochodzik podskakiwał po wyboistej jezdni. Pan Romanek miał fantazję i w chwili gdy mijali chłopskie furmanki naciskał klakson, wówczas boczące się konie wpadały w panikę i ponosiły, albo cofały w poplochu łamiąc dyszle. Mieli z tego dużo uciechy, furmani klęli i ich, i swoje konie, a oni zanosili się śmiechem. Witek dumnie unosił głowę ponad przednią szybę, aby oglądający się ludzie mogli go dokładnie obejrzeć.

— Za gorąco dzisiaj na spacer po lesie — zauważył pan Romanek. — Pojedziemy wykąpać się w Bystrzycy, chcesz?

— No pewnie — zgodził się szybko.

— Widzę, że i do piekła pojechałbyś bez namysłu, co? — zartował klepiąc Witka po głowie. — Klawo.

Witek przyglądał się ulicom, przez które jechali. Nie znalazł dobrze swojego miasta, a w tej części jeszcze nigdy nie był. — Co to za kościół? — zapytał o stojące mury tuż przy ostrym zakręcie szosy.

— To nie jest kościół, to prawosławna cerkiew. Widzisz ten krzyż z podwójnymi ramionami? Tam się śpiewa „Gospodi pomiluj” — zaintonował siląc się na głęboki bas. — Pięknie jest tam wewnątrz. Namów matkę, żeby zabrała cię do cerkwi na Boże Narodzenie, nie pożałujesz.

Witek obiecał to panu Romankowi oczami.

— Pojedziemy pod młyn Krausego, woda tam głęboka w sam raz dla mnie. Miejsce to nazywają Mytwa, ty zostaniesz za mostem, będziesz mógł się bezpiecznie pochłapać, klawo?

— Klawo — zgodził się Witek ściągając koszulkę, bo oto ukazał się drewniany most.

Z chwilą gdy zatrzymali się nadbiegła gromada chłopaków. Podziwiali błyszczącego Willysa i widać było, że mają ochotę na przejażdżkę. Pan Romanek obiecał im to pod warunkiem, że przedtem nie rozbiorą samochodu. Weszli do wody, a kilkunastu chłopców oblepiło samochodzik jak pszczoły plaster miodu, tylko dziewczyny suszące włosy spoglądały pogardliwie w tamtym kierunku.

Obiecana przejażdżka po nadrzecznych łąkach była wspaniała. Skorzystały z niej także co śmielsze dziewczęta nie różniące się budową od chłopców, zdradzały je tylko piskliwe okrzyki i długie, rozpuszczone włosy.

Pan Romanek odwiózł Witka do bramy i z rykiem silnika pojechał odstawić samochód. Ku wielkiemu zdumieniu nie spotkał żadnego rówieśnika. Przezornie ominął stanowisko zajęte przez pana Jamlonka, Szumlańskiego i Glacy wygrzewających się na staroświeckiej, bogato udekorowanej ornamentami ławce, która nie wiadomo skąd znalazła się na podwórku.

Czuł się głodny. Przy powitaniu z mamą zorientował się, że dzisiejszego dnia widzą się po raz pierwszy. Odpowiadając mamie na pytanie rzucił się na świeżutkie, pierwsze w tym roku czereśnie, które właśnie oplukała. — Nikt nie pytał się o mnie? — zapytał z nadzieją.

— Masz na myśli kolegów? — zapytała matka.

— No tak.

— Dziwni wy jacyś jesteście — powiedziała. — Znikacie na cały dzień z domu i jeszcze jedni o drugich nic nie wiecie. Zostaw te czereśnie na deser, już daję obiad. Na ojca nie będziemy czekać, pojechał na trzy dni w teren.

— To świetnie — wykrzyknął radośnie, co wywołało u mamy groźne zmarszczenie brwi.

— Jak to? — zapytała zdumiona. — Cieszysz się?

Speszony szukał wykrętu. Nieobecność ojca otwierała przed nim możliwości dalszej penetracji biblioteczki, ale przecież nie

mógł wyznać tego mamie. Z pewnością zabroniłaby mu tego.

— Nie, nie cieszę się mamusiu, tak mi się tylko wyrwało.

— Ależ ty byłeś wyraźnie zadowolony, jakby spotkało cię nie wiem jakie szczęście. Wytłumacz mi to.

— Naprawdę nie wiem, dlaczego tak powiedziałem mamusiu, może dlatego, że miałem taki fajny dzień. Pan Romanek powoził mnie wojskowym samochodem, kąpaliśmy się w rzece i w ogóle było wspaniale.

— Coś mi się wydaje, że kręcisz. No, ale mniejsza z tym — powiedziała pojednawczo. — Zjedź szybko, to pójdziemy do cioci. Musisz się przedtem porządnie umyć i przebrać.

— Och mamusiu, czy muszę iść do cioci? — zapytał niezadowolony. — Tam jest tak nudno, same dziewczyny.

— To twoje siostry, drogie dziecko. Poza tym trzeba przymierzyć sweter, który ciocia zrobiła specjalnie dla ciebie. Potrzebny ci będzie, bo wiesz? Tatuś weźmie urlop i pojedziemy nad morze.

— Hurr! Naprawdę? Mamusiu, zobaczę prawdziwe statki i marynarzy?

— Zobaczysz synku, a może i popłyniemy statkiem.

— Hurr! Kocham was.

— Już dobrze, puść mnie bo udusisz. Należy ci się nagroda za dobre świadectwo.

— Ale chłopaki zrobią miny.

— A oni? Zostają w mieście przez całe wakacje? Zaden nie wyjeżdża?

— Ludek Szpakowski wyjedzie chyba na kolonie, Zyga wybiera się na wieś do dziadków — tu przypomniał sobie o wczorajszym postanowieniu kolegi i przestraszył się. Zamilkł.

— Co się stało? Dlaczego przerwałeś?

Znowu nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie mógł przecież wyjawiać prawdy, po raz drugi musiał skłamać i dlatego cierpiał. Przypomniał mu się Chudek i wszystko z nim związane.

— Mamusiu, nad morze będziemy jechać przez Warszawę?

— Oczywiście. Będziemy tam mieli nawet przesiadkę, dość czasu by obejrzeć miasto. Byłam w Warszawie przed samą wojną, ach, jakie to było piękne miasto, a teraz jedno pustkowie. Ale dlaczego pytasz?

— Chudek, ten z sutereny od Ciemlońskich opowiadał nam o Warszawie, o Powstaniu. On się bił mamusiu, strzelał do Niemców.

— Zaprzyjaźniliście się? — patrzyła na niego z zainteresowaniem. — To bardzo dobrze. To taka nieszczęśliwa rodzina. Tak, to prawda, że ten malec walczył w Powstaniu. Pani Ciemlońska to trochę nerwowa, ale w gruncie rzeczy porządna kobieta. Opiekuje się tym chłopcem i na swój sposób chce żeby miał jak najlepiej, tylko skarży się, że mały ciągle żyje wojną, Powstaniem, śmiercią. Cieszę się, że zaprzyjaźniliście się, żal mi go było, gdy patrzyłam na jego samotność i wasze

samolubstwo, ale najlepiej jak dzieci same dojdą do porozumienia. Zaproś go kiedyś do siebie. Masz tyle interesujących rzeczy, może czymś go zainteresujesz. Dobrze byłoby, aby zapomniał o tamtych latach. On właściwie nie miał dzieciństwa, to bardzo nieszczęśliwe dziecko, synku.

Poszedł się umyć. Cały czas myślał o tym, co powiedziała mama. Jak miał jej wytłumaczyć, że sam chętnie bawi się w wojnę, że wszyscy chłopcy najbardziej lubią tę zabawę, a jeszcze dzisiaj z prawdziwym pistoletem — muszą mieć świetną zabawę.

— Jakoś cicho dzisiaj na podwórku — zauważyła matka wyglądając przez okno. — Od razu widać, że was tam nie ma.

Nie mógł się doczekać końca tej wizyty. Zabawa z dziewczynami nie kleiła się. Mama rozmawiała z ciotką o czymś ważnym, bo pochylone do siebie szeptały tylko. Może dlatego, żeby nie przeszkadzać wujowi w nasłuchiowaniu Londynu z nowo nabytego „Pioniera”. Zastanawiał się, co też wuj tam słyszy wśród trzasków i pisków, i dlaczego mimo panującej ciszy co jakiś czas podnosił uciszająco rękę. Nudy.

Odetchnął gdy pożegnali się wreszcie. Podziękował za sweter, słysząc ciotcine „ach, jakież ten Wicio grzeczny chłopczyk, a ładny smyk — będziesz miała kłopoty”. W tym czasie wuj wymachiwał niecierpliwie ręką, przy tym miał taką minę, jakby błagał o życie.

Było późno, więc mama zdecydowała, że pojedą dorożką. Z ulicy Weteranów do domu był spory kawałek drogi. Przez cały czas milczeli. W miarę jak malała odległość dzieląca ich od domu, był coraz bardziej niespokojny.

Opuścili kolebiącą dorożkę i już w bramie natknęli się na grupę sąsiadów, nieznanomych cywilów, wojsko i milicję.

— Pani Chyłowa, co tu się stało? — zapytała matka pierwszą z brzegu sąsiadkę.

— A bo ja wiem? Rewizja! — odrzekła arogancko sąsiadka.

— Podobnie chłopaki się postrzelali. Paninego tam nie było?

— O Boże! — jęknęła pani Popiołkowska i przycisnęła Witka kurczowo do siebie.

— Wytrzasnęli skądś kopyto — wtrącił się dozorca, pan Janlonek — poszli w pola postrzelać se i postrzelali, niech szlag trafi te utrapione bachory. Za co cierpim teraz rewizję? A bo na tym się skończy? Z ubekami ni ma żartów. Ciemlońskiego, tfu, tego Glacę już zabrali. I tak będzie po kolei. Wszystkie pójdziem na Zamek. O, patrz pani prowadzą już Szpakoszcza, o i dziadka Szumlańskiego, a to dopiero. Kroplicki ma szczęście, że służba mu wypadła, ale ona, Kroplicka... strach mówić, to taka płaksiwa baba. A co z paninym, nie było go tam? Nie. Widzę z panią tu jest. Jak to się stało, że nie poleciał z nimi. We łbach im tylko karabiny, wojna, szlag by trafił. O, i chłopaków prowadzą, tylko jednego nie wyprowadzą, tego grubasa Kotowiczów, podobnie ledwie zipie. Ooo, ale

i waszego zabiorą na spytki, dobiorą się i do niego, już wiem co mówię. Acha! Nie mogą znaleźć tego Luśka, czy jak mu tam. Cyganka od Ciemłońskich, skrył się czort, może aż do Warszawy wywiał? Wynipią go i tam, nie taki on cwaniak, za granicę nie ucieknie. Ale idźże pani do domu, bo tam się dobijają z godzinę, jeszcze nie daj Bóg drzwi wywalo.

Przed drzwiami natknęli się na milicjanta, z paskiem pod brodą. Nikt nie wyważał drzwi, jak przypuszczał pan Jamłonek, tylko w suterenie słychać było jakiś rumor i dużo głosów.

Witek przestał się bać. Opanował lęk i dumny był z tego. Martwił się o chłopaków i zastanawiał co będzie musiał powiedzieć, a co zataić.

Długo trwało to przesłuchanie. Najpierw w mieszkaniu, a potem mimo protestów matki w komisariacie.

Zwolniono wszystkich chłopaków. I tu też nie sprawdziła się ponura przepowiednia dozorczy z czego wszyscy byli zadowoleni. Nie wrócił tylko pan Ciemłoński, jego żona opuściła dom, a Chudek zapadł się pod ziemię.

Drzwi mieszkania w suterenie były długo oklejone paskami papieru z jakimiś stemplami, dopóki nie sprowadzili się do niego nowi lokatorzy. Zaglądali najpierw długo przez okno osłonięte poczerniałą firanką, ale panujący w mieszkaniu mrok nie odsłaniał niczego.

Witek spędził miesiąc z rodzicami we Władysławowie. Przy końcu wakacji spotkali się w komplecie, radośnie witając wyleczonego Zyge. Jak dawniej bawili się w wojnę, Indian, podchody. Nikt wprawdzie nie wspominał Cyganka, ale każdy czuł, że brakuje im jeszcze kogoś do pełnego kompletu.

Jerzy Sprawka

LÉCH ISAKIEWICZ

Pogoń i ucieczka

Błądząc wśród labiryntów zrujnowanych ulic
Wychodzę wciąż na plac zalany słońcem.
A przecież to tylko przybliżenie nocy;
Mroczny lęk tajemniczej łaskawej pamięci.

Czas natarczywie koszmar snów przybliży,
Nieskończenie bolesne lśni w nim zapomnienie;
Miłość, obecność Boga, radość czystego poranka,
Krucze słowa w podróży łodzią charonową.

Błądząc wśród labiryntu gubię obraz Boga,
Którego część niewielka pozostaje zewnątrz.
Rozległy świat jest we mnie; labirynty ulic,
Miłość i prawa; projekcja przyszłych oswojonych dni.

grudzień 1980

Powrót

Która mnie wzrusza, czy to tylko pamięć —
Nazbyt łaskawa, choć do żartu skora?
Uparta, niezbyt silna, a tak często mglista;
Zwarta w teraźniejszości, sprzęgnięta z czułością.

Wszystko jest we mnie: nieufność i wiara;
Sen i zmęczenie późnym popołudniem;
Głosy zza ciężkiej, opuszczonej story;
Uśmiech dziewczynki sprzed dziesięciu lat.

Szlachetność z tytułowych szpalt znów mnie dopada
Rozpięta między przeszłym tamtego wieczora,
A brzegiem dzisiejszej wrzawy — tak radosnej..
Radosnej? Powrót możliwy tylko z obolem na oku.

styczeń 1981

Duch absolutny

Od kiedy to jestem więźniem
Swojego ciała
Zbyt szybko podniesionego
Do godności duszy?

— Pytam

Patrząc sobie prosto w oczy.
Uśmiech namydlonym policzkiem
Znad ostrza żyletki
Nieruchomieje w grymas.
Perskie oko lęku
Spogląda w głąb duszy
(której jestem więźniem)
Zbyt szybko podniesionej
Do godności ciała.

Taniec

W zagrożeniu, najgłębszą jego treścią jesteś sam.

Gdy światło przyszłość objaśnia zbyt kruchą,
By ją wydobyć z korzeni dzieciństwa;
Zapach, który jest dźwiękiem lub tkliwą miłością,
Muśnięcie ostrza, wielkość albo sen —
Wybierasz taniec, a więc żyjesz.
Żyjąc, zaryzykuj siebie jeszcze raz.

Gardzienice, maj 1981

Pęd ucieczki

Co o czwartej rano wyznacza twój czas
W klatce pędzącego samochodu?
— Przybór wód o świecie,
Rozwiedziona zbyt wczesnie radość,
Zatrzymany w pamięci obraz niczyjego snu?
Co wyznacza granicę,
Która nie pozwala dłużej trzymać stopy
W pozycji gwarantującej szybkość,
Albo głośną śmierć?

Modlitwa

Ta wyobraźnia jest wyłącznie moja,
A nie tego pana z drugiej strony snu.
Ten pan nosi wiele imion, a każde z nich — Bóg
I uśmiecha się do mnie zza chmury.

Za chwilę słońce objaśni nas swoim uśmiechem.

I ta modlitwa jest wyłącznie moja,
A nie mojego wesołego Boga,
Który beczelnie śmieje się zza chmury
Udaje, że nie wie, iż nie wierzę w nic.

Kogo za chwilę będzie objaśniał, i w czym?

październik 1981

Zamach

Judejski namiestnik rzymskich cesarów
Prowincjonalnym gestem obmywa ręce.
Namiestnik innej prowincji terroru
Naciska spust browninga
Na rzymskim placu świętego
Znanego z chwilowej słabości.
Umyjesz ręce?

14 maja 1981

Lech Isakiewicz

PAWEŁ BYTNIIEWSKI, WŁODZIMIERZ SPASIEWICZ

»NATURA« I »KULTURA« dwa paradygmaty filozofii języka

Badnia dotyczące języka zawsze wykraczały poza problematykę ściśle lingwistyczną. Wydaje się, iż związane jest to z nadziejami na uzyskanie przynajmniej częściowej wiedzy odnoszącej się do tego, co dość ogólnikowo bywa określane jako „istota człowieka”. Fakt, iż ludzie posługują się artykułowanymi dźwiękami będącymi nośnikami znaczeń i sensów — tak banalny i tak oczywisty dla świadomości potocznej — staje się istotnym i wieloaspektowym problemem przy próbie poważniejszego jego potraktowania.

O ile językoznawstwo skupia swe zainteresowania przede wszystkim na samym języku, o tyle filozofia traktuje rozpoznanie natury języka jako klucz do zrozumienia człowieka a zwłaszcza jego działalności poznawczej. Dla lingwisty najważniejsze jest pytanie, czym jest język jako fakt; filozof zapyta inaczej: co umożliwia język, jakiego rodzaju dyspozycje czy też umiejętności człowieka sprawiają, iż jest on możliwy i konieczny? Rozstrzygnięcie pytania o naturę języka wiąże się zatem z rozstrzygnięciem pytania o naturę człowieka.

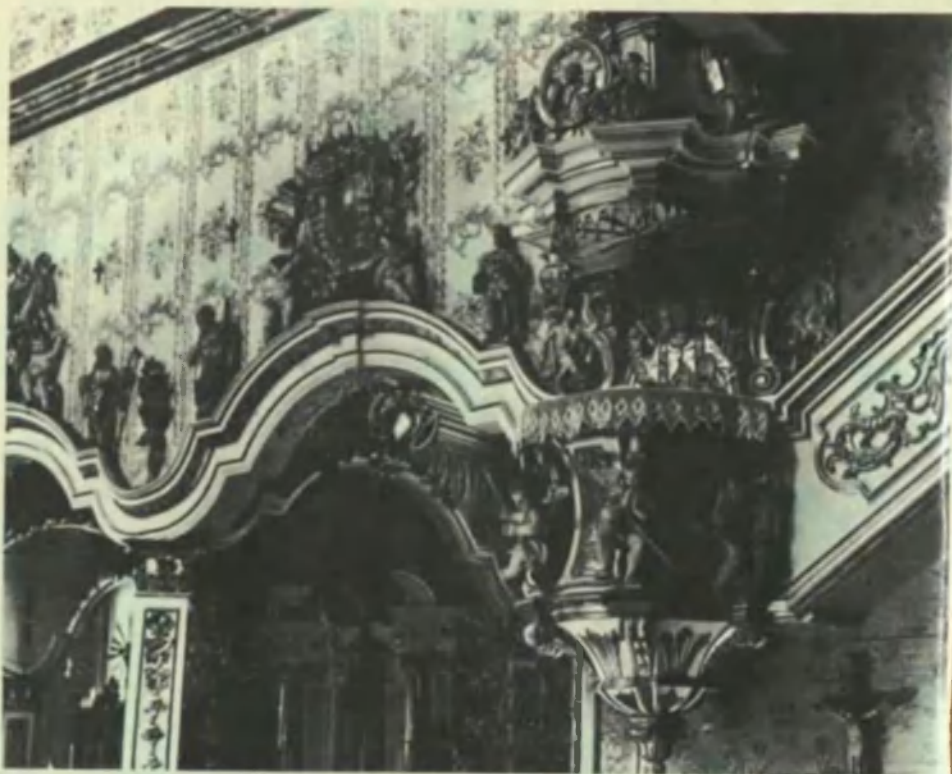
Przez całą historię refleksji nad językiem przewija się pewien istotny z punktu widzenia filozofii wątek: spór o to, czy język jest dziedzictwem biologicznych, naturalnych predyspozycji człowieka, czy też jest wytworem szeroko pojmowanej kultury. Istota problemu tkwi w tym, że język jest faktem pierwotnie ludzkim w tym sensie, iż każde, nawet najbardziej opóźnione w rozwoju cywilizacyjnym społeczeństwo dysponuje tym doskonałym i niesłychanie skomplikowanym środkiem ekspresji i komunikacji. Ludzie, którzy nie wynaleźli tkanin, którzy mieszkają pod dachami z plecionych gałęzi, nie czują potrzeby odosobnienia, nie przeszkadza im brud i na kolację przyrządzają sobie pieczeń ze swoich wrogów, posługują się jednak podczas swych bestialskich uczt językiem równie gramatycznym jak greka i równie potocznym jak francuskim¹.

Pozorna czy rzeczywista luka między działaniem praktycznym a działaniem symbolicznym człowieka była i jest dogodnym polem spekulacji filozoficznych dotyczących podstaw języka. U podstaw pytania o pierwotne źródła ludzkiej aktywności symbolicznej leżało przez szereg stuleci utwierdzone prze-

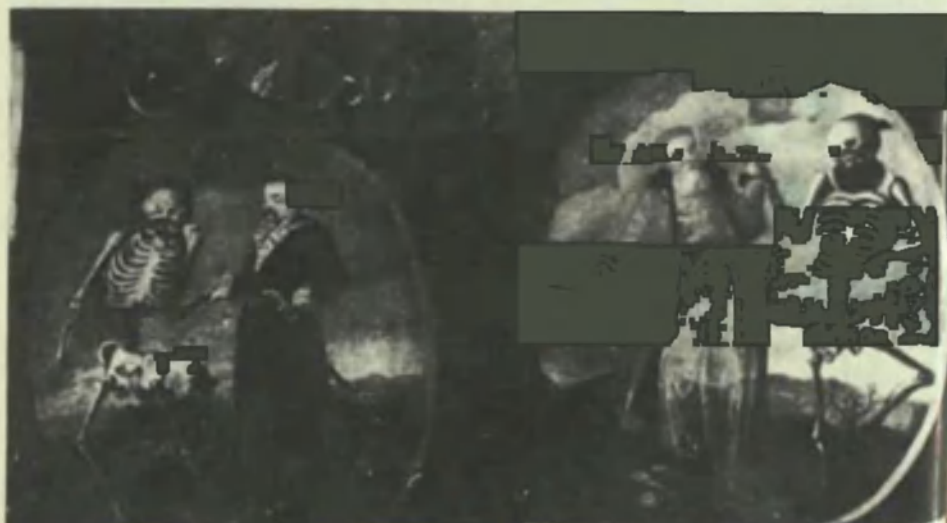


Fundacja mieszczańska o wiele większy kładł nacisk na ozdobność fasad niż fundacje szlacheckie; Lwów — kaplica Holmów.

¹ S. Lenger: *Nowy sens filozofii*, Warszawa 1976 s. 174.



Odsłonięte były cechy nie tylko wielkich świątyn mitologicznych ale i drewnianych wspaniałych hoteliów, czego wyjątkowo malowniczym przykładem jest Szalowa.



Jako się tuw Suche Kosci
Lękały na me Wolności
Me pozwałam w taniec z ioba
Ty waz przecie cępażysz z Sobą?

Darmo się w Spierdasz no... buki
Udy wterz Smiercia rżesz; skoki
Rusz się skrzesa choc me raczysz
Gdy te skoczkie w Dępien baczysz

Również była jedyną ze scenami mitologicznych w epopejach „Sarmatów”, nie naprawdę dotyczyły tylko spotkania z bogami; fragment dywanu „Tancerz śmierci” w nocie Bernardina w Krakowie — imię rzucająca ze szlachectwem i magmatem.

konanie o dyjunktynym charakterze pojęć „natura” — „kultura”. Jednocześnie przy pomocy różnych konstrukcji myślowych starano się wykazać naturalne łączy też kulturowe zakotwiczenie ontyczne ludzkiej zdolności symbolizowania. W ten sposób utworzyły się dwie tradycje, dwa paradygmaty myślenia o języku.

Najstarsze ślady takiego właśnie usytuowania problemu można odnaleźć w starożytnej Grecji. W kulturze greckiej przesiąkniętej racjonalizmem dominowało przekonanie o istnieniu wewnętrznej zasady porządkującej świat. Owo przekonanie wpłynęło na ukształtowanie się idei o naturalnej więzi języka z rzeczywistością. Centralną kategorią, która cementuje tę więź jest „logos”, współwyznaczający ontologiczny charakter obu tych elementów. Dla Greków logos to zarówno język, słowo posiadające znaczenie, jak i wszechogarniający rozum, wewnętrzna zasada bytu. Racjonalizm kultury greckiej stawiał myśli warunek dyskursywności, z drugiej strony zdawano sobie sprawę z faktu, iż forma języka nakłada na nią pewne ograniczenia. W ten sposób doszło do odkrycia relacji język — myślenie — rzeczywistość (początkowo język — rzeczywistość) i wszystkich uwarunkowań, jakie ona za sobą pociąga. Najistotniejszą jest tutaj więź między jej skrajnymi członami, która — jak sądzono — może mieć wszakże dwojaki charakter: naturalny lub konwencjonalny, oparty na umowie. Jedni filozofowie przekonani o naturalności, inni o umowności języka wiodli odtąd spór, który miał okazać się szczególnie trwały

Pitagoras z Samos, który zapoczątkował ów spór a także Hieraklit z Efezu wyniki swych rozważań o „arché”, przasa-dzie bytu, przenieśli na grunt rozważań o języku: w różnorodności językowej, tak jak i w różnorodności świata zmysłowego, musi istnieć jakiś wewnętrzny porządek, jakaś zasada. Istnieje zatem stała proporcja między rzeczywistością a językiem, naturalna więź umożliwiająca poznawcze odniesienie, którą da się odkryć na drodze etymologicznych dociekań.

Drugi nurt w filozofii języka, który można nazwać antropologicznym zapoczątkowany został przez sofistów. Znaną dewizą Protagorasa z Abdery głosząca, iż *wszystkich rzeczy miarą jest człowiek, istniejących, że istnieją, a nie istniejących, że nie istnieją*, oznaczała odwrócenie dotychczasowej perspektywy filozofii: sofisci pytanie o naturę zastąpili pytaniem o człowieka. Wedle sofistów zależności jakie zachodzą między elementami „ludzkiej” rzeczywistości muszą mieć z konieczności konwencjonalny charakter, ponieważ sama rzeczywistość wynika z konwencji. Stąd język jako składnik świata ludzkiego podlega również prawom umownym. Istotnym elementem rozważań sofistów jest zwrócenie uwagi na rolę człowieka, który w procesie poznania staje się aktywnym czynnikiem, a tym samym stanowi zasadnicze ogniwo w relacji język — myślenie — rzeczywistość, jaka pojawiła się wcześniej.

Filozofia starożytna nie dała zadowalającej odpowiedzi na pytanie o naturę języka, jednak pozostanie jej zasługą to, że sformułowany został problem w całej jego złożoności, aktualny do dzisiaj.

Znaczenie filozoficznej refleksji nad językiem wzrasta ponownie u progu czasów nowożytnych. Gorące spory o naturę człowieka, jakich świadkiem był wiek XVIII, postęp w badaniach porównawczych nad samym językiem, nowe podejście do problematyki teoriopoznawczej — wszystkie te okoliczności stworzyły korzystną atmosferę dla spekulatywnego nurtu

rozważań podjętego na nowo przez dwu niemieckich filozofów i językoznawców Johanna Herdera i Wilhelma von Humboldta.

Herder odrzuca zarówno supranaturalistyczną koncepcję boskiego pochodzenia języka jak i pogląd o jego instrumentalnej jedynie roli w procesie myślenia, zwracając uwagę na fakt, iż przecież w nim to zawarta jest wiedza i doświadczenie pokoleń przekazywane w drodze wychowania za pomocą słów. Myślimy więc nie tylko w jakimś języku lecz i za pośrednictwem jakiegoś języka. Język zatem nadaje kształt naszemu myśleniu ale jednocześnie go ogranicza. *Jeśli jest prawdą, że nie potrafimy myśleć bez myśli i że uczymy się myśleć za pomocą słów, tedy język wyznacza granicę i zarys całego ludzkiego poznania*². Skoro myślenie to nic innego jak mówienie, a mówimy zawsze w określonym języku — języku ojczystym, przeto powinien on być kluczem do zrozumienia kultury narodowej. Myśl ta stała się później bazą dla rozlicznych spekulacji na temat tak zwanego „ducha narodu” (Volksgeist): *W jakim stopniu język Niemców pozostaje w harmonii z ich sposobem myślenia? W jakim stopniu język wywarł wpływ na kształt ich literatury? Jak można poznać po ich mowie, jej elementach, wymowie i mierze sylabicznej, po jej całej naturze wreszcie, że została ona ukształtowana pod niemieckim niebem, aby pod nim mieszkać i działać*³?

Podstawą do koncepcji Wilhelma von Humboldta, następcy i w pewnym sensie kontynuatora myśli Herdera, były dwie idee niemieckiej filozofii klasycznej: Kantowska idea aprioryczności poznania i Hegłowska idea Absolutu, którego rozwój jest poszukiwaniem najbardziej adekwatnej formy wyrazu. Zasadniczym jednak celem Humboldta było stworzenie antropologii porównawczej na gruncie badań językoznawczych, gdyż — jak sądził — człowiek i język powstają i ewoluują razem. Podtrzymując ideę uniwersalizmu doby Oświecenia o istnieniu jednego źródła ludzkiej mowy twierdził, iż języki etniczne są wariantami, konkretnymi wcieleniami jakiegoś języka w ogóle. Język narodowy zatem jest wynikiem oddziaływania języka w ogóle i „ducha narodu”. W każdym języku zawarty jest pewien światopogląd nadający kształt myśleniu jego użytkowników. *Słowo (...) jest odbiciem przedmiotu nie jako takiego, lecz obrazu wytworzonego w duszy przez przedmiot. Ponieważ wszystkie obiektywne postrzeżenia zawierają nieuchronnie pewną domieszkę subiektywizmu, wobec tego można już niezależnie od języka uznać każdą ludzką indywidualność za własne stanowisko światopoglądowe. Jednakże indywidualność rozwija się przy tym jeszcze bardziej poprzez język... ponieważ w tym samym narodzie oddziałuje również na język podobny subiektywizm, tedy w każdym języku tkwi swoisty pogląd na świat*⁴. W takim rozumieniu język staje się tworem nie tylko niezależnym od rzeczywistości przedmiotowej ale wręcz posiada własność kreowania świata, jest siłą (dla jej określenia Humboldt używa nazwy „forma wewnętrzna”), która przekształca świat. Nieprawdziwe jest zatem przekonanie, iż różne języki oznaczają ten sam obiektywnie istniejący byt.

² J. G. Herder: *Fragmente über die neuere deutsche Literatur*. Cyt. za A. Schaff: *Język a poznanie*, Warszawa 1964, s. 15.

³ *Ibidem*, s. 16—17.

⁴ W. von Humboldt: *Über die Verschiedenheit des menschlichen Sprachbaues*, Cyt. za A. Schaff: *op. cit.*, s. 19.

Teoria W. von Humboldta spotkała się z zarzutem spekulatywizmu, co nie doprowadziło bynajmniej do jej odrzucenia. Przeciwnie, pomysły jego znalazły podatny grunt wśród lingwistów i badaczy kultury, głównie z kręgu amerykańskiej szkoły antropologicznej Franza Bossa. Istotne znaczenie posiadają w tym względzie prace Edwarda Sapira i jego ucznia Benjamina L. Whorfa. Zaslugi tych uczonych powiększa fakt, iż poglądy ich wyrosły na solidnych podstawach badań empirycznych i weryfikowane były później przez innych badaczy. Sapir wychowany w tradycjach językoznawstwa europejskiego (w Niemczech, gdzie się urodził, studiował germanistykę i indoeuropeistykę) zmuszony był dokonać zasadniczej zmiany metody badawczej z historyczno-porównawczej na synchroniczną (deskryptywną) — przedmiotem badania były dla niego bowiem języki Indian amerykańskich realizujące się wyłącznie w żywej mowie, stąd niemożliwość penetracji źródeł tekstowych. Nie ograniczał się jednak do suchego opisu, jak to czynił zgodnie z rygorami skrajnego empiryzmu (behawioryzmu) Bloomfield, lecz starał się przede wszystkim wyjaśnić znaczenie ukryte pod powierzchnią zjawisk dostępną bezpośrednim obserwacjom. Za ów mentalizm był ostro krytykowany, lecz krok, jaki w tym kierunku uczynił, przyniósł mu po latach uznanie. Ponieważ, jak sądził Sapir, język jest nie tylko medium komunikacji kulturowej, ale także głównym ośrodkiem jej tworzenia — lingwistyka jest nauką o strategicznym znaczeniu dla humanistyki.

Podstawową własnością języka — twierdzi Sapir — jest to, iż stanowi on system symboli zdolnych przekazywać uczucia i myśli a także wyrażać treści kulturowe. Mówiąc inaczej, zasadniczą jego cechą jest „lekkość”, to znaczy niezależność od działań bezpośrednio-przedmiotowych. Miarą tej „lekkości” jest: stopień swobody języka, pozwalający wyrażać w równej mierze wszystkie treści danej kultury. Język zatem posiada wprost nadzwyczajne możliwości wykraczania poza to, co dane bezpośrednio. *Jeśli człowiek, który w ciągu całego swego życia widział tylko jednego słonia, mówi mimo to o milionie słoni czy też o stadzie słoni albo o słoniach kroczących parami czy trójkami lub wreszcie o pokoleniach słoni, to jest oczywiste, że język ma moc wyodrębniania w doświadczeniu teoretycznie izolowanych elementów i tworzenia z aktualnego świata owego potencjalnego świata, który pozwala istotom ludzkim wychodzić poza to, co bezpośrednio dane w indywidualnym doświadczeniu ludzkim i osiągać powszechne porozumienie*⁵. Jednakże procesowi „uwalniania się” od tego, co jest faktem, procesowi wchodzenia w sferę możliwości towarzyszy tendencja przeciwstawna. *Jest rzeczą nader ważną zdawać sobie sprawę, że z chwilą, gdy forma języka zostaje ustalona, język ten może podsuwać swoim użytkownikom znaczenia, których nie można wysledzić w samych tylko danych doświadczenia, a tłumaczyć je trzeba w znacznej mierze jako projekcję potencjalnych znaczeń na surowiec doświadczenia*⁶. Język zatem nie tylko uprzedmiotawia myśl (eksterioryzuje ją), ale sam także posiada swoistą przedmiotową oporność. Można pokusić się o twierdzenie, iż wszelkie działania symboliczne konstytuowane jest przez dwie przeciwstawne a jednocześnie przenikające się tendencje: procesy

⁵ E. Sapir: *Kultura, język, osobowość. Wybrane eseje*, Warszawa 1978, s. 38.

⁶ *Ibidem*, s. 38.

petryfikacji i dziedziczenia przez myśl inercji medium, zaś z drugiej strony przez procesy przewycięzania bezwładności znaku, co umożliwia fakt, że wszelkie działania symboliczne zawsze odnosi do czegoś, jest przezroczyście. Toteż rację ma Sapir twierdząc, iż język w swym faktycznym funkcjonowaniu nie jest ani niezależny, ani równoległy wobec bezpośredniego doświadczenia, lecz całkowicie je przenika⁷. W pewnym sensie można wręcz twierdzić, że „doświadczenie bezpośrednie” w ogóle nie jest możliwe — każdy akt specyficznie ludzki uwikłany jest w pewien system pośrednich odniesień, którym jest kultura. Skutkiem takiego stanu rzeczy jest odczuwanie identyczności lub bliskiej odpowiedzialności słowa i przedmiotu, co utrudnia całkowite oddzielenie obiektywnej rzeczywistości od nazw, które się do niej odnoszą, gdyż doświadczenie nasze „przesycane jest werbalizmem”.

Taka interpretacja zasad relatywizmu językowego może zrodzić przypuszczenia, iż mamy do czynienia ze skrajnym zdeterminowaniem świadomości przez język. Mimo że Sapir w twórczy a jednak niespekulatywny sposób odnosi kategorię możliwości do języka, to słabością jego koncepcji jest pomijanie kategorii k o n i e c z n o ś c i. Język traktowany jest przez niego po prostu jako fakt, a ewentualne pytanie o źródła konieczności tego faktu nie mieści się w jego horyzoncie teoretycznym wyznaczonym przez programowy deskryptyvizm. Jeśli odrzucić wszelką postać jakiegos „antropologicznego solipsyzmu”, to pytanie o przesłanki konieczności symbolizowania, artykułowania przez człowieka własnej podmiotowości mogłyby stać się pozytywną podstawą do twierdzeń o względnej nie zaś absolutnej zależności myślenia od języka. Tak więc Sapir nie głosił poglądu o całkowitym zdeterminowaniu myśli przez jej formę, ale też i nie uzasadniał poglądu o jej względnej tylko zależności od języka.

Język — jak sądził Sapir — nie uniemożliwia interpretacji doświadczenia, ale może ją utrudniać, a także ułatwiać i sugerować. Wynika to z faktu, iż charakteryzuje go „formalna zupełność”, która polega na tym, że język jest tak zbudowany, iż niezależnie od tego, co pragnie zakomunikować mówiący, jakkolwiek oryginalna czy wręcz dziwaczna byłaby jego myśl, język potrafi wywiązać się ze swego zadania⁸. Mimo że świat dla różnych języków jest jeden, to formalne metody wyrażania go, a co za tym idzie obrazy świata zasadniczo się od siebie różnią.

Czy jednak teza o niewspółmierności różnych obrazów świata nie implikuje wniosku, iż formalne środki językowe mogą się wyczerpać, co pociągałoby za sobą „uśmiercenie” myśli? Jak sądzi Sapir jedyną obroną przed taką jałowością byłoby poszukiwanie nowych środków ekspresji (tkwiących według niego w językach prymitywnych) zdolnych przełamać monopol skamieniałych słów i znaczeń funkcjonujących w naszej świadomości pod postacią „rzekomych bytów”.

Niekonsekwencje i niedopowiedzenia koncepcji Sapira na swój sposób wykorzystał jego uczeń, B. L. Whorf. Jego relatywizm językowy jest bardziej konsekwentny, ale też i bardziej skrajny w stosunku do propozycji swego poprzednika; nie da się — twierdzi Whorf — utrzymać jakkolwiek pojmowanej obiektywności językowego obrazu świata. Przyrodę

rozkładamy bowiem na dwie części zgodnie z wytycznymi, jakie nam kreśli nasz rodzimy język. Kategorie i typów, które wydzielamy ze świata zjawisk, nie znajdujemy tam dlatego, że każdemu obserwatorowi rzucają się one w oczy. Odwrotnie, świat przedstawia nam się jako kalejdoskopowy strumień wrażeń, który nasze umysły muszą dopiero organizować — i to przede wszystkim za pomocą systemów językowych tkwiących w naszych umysłach. Przyrodę poddajemy sekcji, organizujemy ją w pojęcia i przypisujemy im znaczenia w określony sposób — w dużej mierze dlatego, że jesteśmy kontrahentami umowy, która każe organizować ją w ten sposób, umowy, która obowiązuje całą naszą społeczność językową i jest skodyfikowana w postaci wzorców języka⁹.

Tak sformułowana zasada względności językowej — twierdzi Whorf — nie jest bynajmniej gołosłowna i znajduje swe potwierdzenie w konkretnych badaniach empirycznych. Otóż okazuje się, że Indianie z plemienia Hopi posiadają nie tylko odmienny język i światopogląd w stosunku do standardu europejskiego (SAE) ale i jemu przeciwstawny. O ile nasz system językowy nakazuje ujmowanie rzeczywistości jako zbioru rzeczy (także często me uświadamiamy sobie absurdalności tego faktu), to Hopi przeciwnie, pojmują ją jako zbiór zdarzeń. Wiadomym jest przecież fakt, iż reprezentanci różnych kultur — niekoniecznie odległych — nie są w stanie porozumieć się, to znaczy przekazać istotnych a zarazem nieekwiwalentnych treści kultury.

Można sądzić, że wnioski płynące z hipotezy Sapira-Whorfa idą zbyt daleko, lecz nie można również w świetle wniosków badań całej etnolingwistyki utrzymać zdroworozsądkowego poglądu na rolę języka jako tego elementu kultury, który jest pośrednikiem między wewnętrznym światem każdego człowieka a rzeczywistością przedmiotową.

Zasadniczo odmienne stanowisko reprezentuje inny badacz amerykański — Noam Chomsky. Jego koncepcja języka nawiązuje do obcej Sapirovi tradycji antyempirycznej Chomsky często i z urzędowaniem powołuje się na tradycję spekulatywnych badań nad językiem zapoczątkowanych w średniowieczu, a w nieco innej wersji kontynuowanych przez filozofów z kręgu szkoły Port-Royal. O ile Sapir, w oparciu o bogaty materiał z badań terenowych, stawia hipotezę o niewspółmierności różnych kultur, o tyle Chomsky'ego interesuje to, co poświadczałoby — niezależnie od historycznych i kulturowych okoliczności — uniwersalną naturę człowieka.

N. Chomsky konstruowanie swej własnej koncepcji rozpoczyna od ostrej ale też i głęboko przemyślanej krytyki empiryzmu (a konkretnie behawioryzmu), który jako metoda i ideologia panował niepodzielnie w amerykańskim językoznawstwie już w latach trzydziestych naszego wieku. Krytyczna i destrukcyjna w stosunku do dotychczasowego językoznawstwa część wywodów Chomsky'ego podoorządkowana jest tezie, iż empirycznie nastawione językoznawstwo nie tylko nie jest w stanie wyjaśnić czym jest język, ale także nie potrafi go adekwatnie opisać. Argumentację tej tezy Chomsky rozpoczyna od wyliczenia i opisu tych wszystkich cech języka, których nie uwzględnia językoznawstwo tradycyjne.

⁷ B. L. Whorf: *Science and Linguistic*. Cyt. za A. Schaff: op. cit., s. 102.

⁷ Ibidem, s. 39.

⁸ Ibidem, s. 100.

Przed wszystkim dotychczasowe badania nie dają dostatecznego opisu tej cechy języka, która sprawia, iż zamknięta struktura, jaką on jest, może produkować nieskończoną ilość zdań; każdy użytkownik języka potencjalnie jest w stanie wypowiedzieć więcej zdań niż wynosi liczba sekund w jego życiu. Drugim istotnym faktem, który umyka uwadze badacza o tradycyjnych poglądach jest istnienie mentalnych, bezpośrednio niewidocznych głębokich struktur organizujących każdą wypowiedź w pewną całość. Zadane badania ujęte w behawiorystyczny schemat bodziec-reakcja nie są w stanie opisać ani wyjaśnić istnienia tych mentalnych twórców, bo też nie da się ich wprost wywieść z jakiegokolwiek próbkę języka.

Chomsky swą krytykę dotychczasowego językoznawstwa kończy konkluzją następującą: *Ilość niepowodzeń, jakie teoria ta ponosi w próbach opisu zachowania werbalnego służy jednocześnie za rodzaj miary, wyznaczającej ważność czynników pominiętych w badaniach a także za próbiez, wskazującą nam, jak niewiele wiemy naprawdę o tych nadzwyczaj złożonych zjawiskach*¹⁰.

Chomsky odrzuca nie tylko wyniki badań językoznawstwa tradycyjnego, ale także jego filozoficzne przesłanki, toteż stara się stworzyć własną perspektywę filozoficzną dla swych rozważań lingwistycznych. Wyjaśnić czym jest język, i to nie ten czy inny, ale język w ogóle, znaczy dla niego odpowiedzieć na pytanie bardziej fundamentalne: czy podstawy ludzkiej aktywności językowej tkwią w rzeczywistości podmiotowej, subiektywnej czy przedmiotowej, obiektywnej? Odpowiedzią na to pytanie jest konstrukcja modelu przyswajania języka.

Od dawna znane jest pod nazwą „eksplozji językowej” zjawisko polegające na tym, iż dzieci w wieku 2—3 lat dokonują rewolucyjnego dla ich dalszego życia „wynałazku” języka. Fakt, iż proces ten dokonuje się w niesłychanie krótkim czasie przy niewielkim udziale otoczenia, skłania Chomsky'ego do wniosku, iż u podstaw mechnizmu przyswajania języka leżą mentalne a zarazem w r o d z o n e struktury, schematy operacyjne, w które wyposażony jest każdy człowiek. W pewnym sensie można mówić o tym, że istotnym aspektem umysłu ludzkiego są wielce wyspecjalizowane mentalne twory stanowiące swego rodzaju „urządzenie” umożliwiające opanowanie języka. Według Chomsky'ego założenie istnienia tych struktur wyjaśnia z jednej strony zjawisko eksplozji językowej, z drugiej zaś stanowi podstawę do twierdzeń o istnieniu uniwersalnego wyposażenia umysłu, które gwarantuje jednorodność natury człowieka. Oczywiście owe wrodzone mechanizmy nie decydują o tym, jaki język może być przyswojony przez dziecko, stanowią one model pewnej „wiedzy”, kompetencji językowej, które określa jedynie formę i granice języka w ogóle. Tak więc zadanie lingwisty sprowadza się do opisu language acquisition device (mechanizmu przyswajania języka) będącego wrodzoną teorią języka. Zawiera ona — zdaniem Chomsky'ego pewne reguły interpretacji tego, co jest istotne ze względu na składniki fonologiczne i syntaktyczne języka, czyli uniwersalną teorię fonetyczną i definicję opisu strukturalnego zda-

¹⁰ N. Chomsky: Recenzja z „Verbal Behavior” B. F. Skinnera. (w:) *Linguistyka a filozofia*, Warszawa, s. 27.

nia, zasady wyznaczające gramatyki możliwe, czyli definicję gramatyki generatywnej. Aby dziecko zdolne było do przyswojenia języka, którym posługuje się jego otoczenie to otoczenie ta powinna nadto zawierać jakiś sposób przypisywania językowi ojczystemu jednoznacznego opisu strukturalnego zdania, a także to, co Chomsky nazywa „miarą ewaluacji”, czyli pewną strategię wyboru najbardziej adekwatnej gramatyki ze względu na docierające do dziecka dźwięki mowy”. Tak więc wewnętrzna, wrodzona struktura umysłu człowieka jest skomplikowanym „urządzeniem”, którego zadaniem jest zbudowanie na podstawie ułamkowych i nie zawsze poprawnych „danych” (to znaczy wypowiedzi docierających do dziecka) pełnego modelu gramatyki jakiegoś konkretnego języka.

Jednakże zarysowane tu pokrótce główne elementy proponowanej przez Chomsky'ego koncepcji języka i umysłu nastroczą szereg pytań, z których istnienia zdaje on sobie sprawę, a jednak nie daje na nie jednoznacznej odpowiedzi. Główny problem natury filozoficznej dotyczy statusu ontycznego wrodzonych struktur mentalnych: jak i jako co one istnieją? Koncepcja Chomsky'ego jest na tyle ogólna, iż dopuszcza szereg różnych, a nadto i sprzecznych ze sobą odpowiedzi na to pytanie.

Według pierwszej z nich wszelkie twierdzenia odnoszące się do zakładanych wrodzonych struktur umysłu należy traktować instrumentalnie, to znaczy uznać za pewien sposób mówienia raczej, niż za opis realnie istniejących mechanizmów czy struktur. „Wrodzone wyposażenie umysłu” to jedynie wygodna fikcja, środek przy pomocy którego w sposób zwarty i elegancki można opisać i interpretować pewne fakty. Z drugiej strony można całkiem poważnie traktować tezy Chomsky'ego jako twierdzenia opisujące pewne realne zjawiska i procesy. Jednakże i w tym przypadku jego stanowisko nie jest pozbawione dwuznaczności. Można więc przyjąć, iż Chomsky zakłada najbardziej radykalną i zarazem najbardziej tradycyjną wersję mentalizmu — mentalizm kartezjański. Choć takiej interpretacji sama koncepcja nie wyklucza, Chomsky jej nie głosi prawdopodobnie ze względu na spekulatywny i nienaukowy charakter dualizmu kartezjańskiego. Zatem pozostaje jeszcze jedna z możliwych interpretacji: rzeczywistość mentalna w swej istocie da się sprowadzić do poziomu procesów neurofizjologicznych. Jedyne problem sprowadzałby się do przekładu terminów mentalizmu na terminy neurofizjologii. Jest rzeczą oczywistą, że to nie tylko problem techniczny.

Paradygmat „natury”, będący jakby matrycą filozoficzną dla Chomsky'ego, nie pozwala mu na dostrzeżenie społeczno-kulturowego kontekstu języka. Toteż odrzucając skrajność dualizmu kartezjańskiego sam popada w skrajność przeciwną — redukcjonizm biologiczny. W sumie, bez względu na to jaką interpretację teorii języka i umysłu wybierzemy, istota stanowiska Chomsky'ego i jego kontynuatorów¹² sprowadza się do twierdzenia, iż u podstaw zdolności posługiwania się językiem leżą zadane biologicznie struktury mózgu czy też kodu genetycznego.

¹¹ Por. N. Chomsky: *Preliminaria metodologiczne*, (w:) *Linguistyka i filozofia*, Warszawa 1977, s. 219.

¹² Por. np. prace D. McNeill i E. Lenneberga (w:) *Badania nad rozwojem języka dziecka*, Warszawa 1980.

Zarówno Chomsky jak i Sapir w swych rozważaniach daleko wykraczają poza granice samej lingwistyki — chcąc odpowiedzieć na pytanie o naturę języka obaj wikłają się w spór o istotę człowieka. Dla Sapira język jest kulturowo określonym instrumentem kategoryzacji świata, a także ważnym czynnikiem organizującym społeczne zachowania człowieka. Chomsky przeciwnie — podkreśla naturalny, biologiczny charakter struktur, których jedynie przejawem są konkretne fakty użycia języka. Tak więc spór o biologiczne czy też społeczno-kulturowe podstawy języka jest ważnym wątkiem w sporze o naturę człowieka.

Zatem dwa paradygmaty w filozofii języka — paradygmat „natury” i „kultury” — są sobie w dotychczasowej tradycji przeciwstawne. Ich opozycja opiera się na przekonaniu o zasadniczej sprzeczności tego, co w człowieku naturalne, biologiczne i tego, co jest dziedzictwem kultury — specyficznym ludzkiego sposobu istnienia.

Pomimo istotnych różnic w swych koncepcjach E. Sapir i N. Chomsky dostrzegają pewien istotny rys w działalności człowieka — obaj zwracają uwagę na fakt, z punktu widzenia filozofii znamienity, że działalność ludzka ma charakter zapośredniczony. Dla Sapira tym co pośredniczy między człowiekiem a otaczającym go światem i co — posługując się marksofskim językiem — czyni przyrodę ciałem nieorganicznym człowieka są schematy i wzorce kulturowe. Według naturalistycznej interpretacji Chomsky'ego są to wrodzone mechanizmy i schematy operacyjne umysłu (mózgu?). Jest wszakże język pomostem, ogniwem łączącym bezpośrednio — przedmiotową sferę działalności człowieka ze sferą działań symbolicznych. Jakże często wskazuje się na zasadniczą różnicę między bogactwem świata idei, myśli, symbolu, a działalnością przedmiotową człowieka. Fakt niewspółmierności obu tych istotnych obszarów działalności ludzkiej podtrzymuje opozycyjność pojęć „natura” — „kultura”. Być może droga do zredukowania owej (pozornej czy też rzeczywistej) szczeliny wiedzie właśnie przez analizę języka.

Paweł Bytniewski, Włodzimierz Spasiewicz

WOJCIECH KRAWCZYK

* * *

Jakbym wybierał się w podróż —
Weź jeszcze ręcznik
Kupiłam trzy nowe ostatnio
I jeszcze cała paczka żyletek
Pasta do butów nie będzie potrzebna
Mam już zapakowaną jedną
Zaczęta
Ale zachowała świeżość

No to co
No to będę uciekał
Usiądźmy jeszcze
Wypijmy strzemienną herbatę
Siedzimy w milczeniu
Jak Rosjanie przed podróżą

Myślę —
Kiedy przyjdzie tamten mężczyzna
Tuż po mnie
Czy dopiero wieczorem
Czy od ręki zdejmą z drzwi wizytówkę
Z moim nazwiskiem

Myślę —
Jak ułożyć książki w pustym pokoju
Na peryferiach
Wzdłuż ściany czy jedną na drugiej
Po raz ostatni przekraczamy
Barierę intymności —
Czy swędzi cię jeszcze blizna
Po wszytym esperalu
Mówię że trochę mniej ostatnio
Po prostu uwiera
Twardy guzik pod skórą

Jakbym wybierał się w podróż —
Skończywszy milczeć
Rozmawiamy
O niczym o wszystkim

* * *

Kto by przypuszczał:

Więc można się jeszcze bronić?

Mieszkańcy Państwa Środka *

Zdumiewają się nad ostatnią wiadomością

O stłumieniu buntu tragarzy w prowincji Yunan

Zdumienie wyraża się poprzez gestykulację

Powolnemu

Wyraźnie zaznaczonemu gestowi rozpaczy

Towarzyszy przejęty

Zakłopotany gest nadziei

Na ścianach pergaminowych domów przedmieścia

Podświetlonych herbacianym światłem lampionów

Odbywa się tej nocy kontestacyjny spektakl teatru cieni

Przywiązanie do gestu

Oznacza wiarę w jego bezszereśny sens

Konieczność wygestykulowania prawdy

Wynika ze świadomości migowego fałszu

Słowo wypowiedziane wytycza granicę nicości

Niemy spektakl związany z wydarzeniami w Yunan

Ma szansę stać się kiedyś

Głośną odmianą teatru gestu

Może nawet

Kto wie

Wyraźną opozycją wobec jego przedyunańskiej wersji

Na razie życie kształtuje jeszcze

Tę domniemaną konwencję:

Oto w Pałacu Mandaryna

Za pergaminowym parawanem

Delator przedstawia pracowicie

Co było grane na przedmieściu

Ostatniej nocy

* Sincocentryzm uznać można za azjatycką odmianę mesjanizmu

Borges

Ani Bocian

Odkrył wreszcie zagadkę Laon

Tego niewielkiego zaułka pragreki

Zadanie nie było trudne

Rozwiązywał je dzięki zrezygnowanej cierpliwości

Kilkunastu lat studiów porównawczych

Dostępne dlań słowa języka Laon
Opasywały podstawę czaszy naczynia
O nieznanym przeznaczeniu

Jak dociekł później

Nie była to waza

Z której nalewano wino w Sali Oracji

Czara była jedną z kilku

W których płukano ręce przy stole Heklesa

Przebiegłego kupca

W ciemnościach

Bierze często do rąk naczynie

I opuszkami palców upewnia się

Znaczenia znaków

Nie znajduje napomnienia o możliwości Początku

Domniemania kształtu Ziarna

Prawdopodobieństwa Przyczyny

Słowa układają się niezmiennie

W wyrazy karle i ciemne:

Bydłęcy nawóz miara jęczmienia targi oliwy dzban krwi

— I pulsują gorąco

* * *

Wieczorem zobaczy ich cała Polska

Trzech mężczyzn i dwie kobiety

Wszyscy w wieku lat osiemnastu

Wiatr mógł rozwiewać włosy szatynki

Niespokojnie układać ich pasma

Na tylnej szybie samochodu

Warkocz blondynki kołysał się zapewne ciężko

Martwa treska kupiona tanio od fryzjerki

Być może blondynka

Siedziała przez całą jazdę wyprostowana

Nachylając się tylko do ucha kierowcy

Prosząc: powiedz coś do mnie szybko

Kamera obwąchuje z daleka zimny wrak samochodu

Krótko skupia się na twarzy mężczyzny który mówi
Ze „wóz owinął się wokół drzewa”

I wędruje do wnętrza półciężarówki

Gdzie leży cała piątka starannie i czysto

Owinięta w foliowe worki

Ukradkiem podnoszę treskę po blondynce

Poprzebijaną szpilkami sosny

Pamiętkę po innej kobiecie

Której znudziły się już długie włosy

Wojciech Krawczyk

JOHN BARTH

LISTY*

C: Jakub Horner do Jakuba Hornera. Jego życie od czasu „Końca drogi”. Zdumiewające a ponowne pojawienie się Josepha Morgana z ultimatum na Farmie Rehabilitacyjnej.

Od: Jakuba Hornera, Farma Rehabilitacji, Fort Erie, Ontario, Kanada

Do: Jakuba Hornera, Farma Rehabilitacji, Fort Erie, Ontario, Kanada.

Cyrano de Bergerac, Elisabeth Barret Browning, Ring Lardner, Michał Anioł: sto lat z okazji rocznicy urodzin. Alamo poddało się „Świętej Annie”, garnizon wybito do nogi. FDR zamknął banki. Krążownik „Baleary” należący do floty Franco zatopiono przy wybrzeżu Kartaginy. Napoleon wrócił z Elby: zbliżamy się do pierwszego dnia Stu Dni.

W pewnym sensie, pozostajesz Jakubem Hornerem. Za poradą Doktora porzuciłeś zawód nauczyciela w 1953 roku: przez jakiś czas nauczałeś gramatyki w liceum pedagogicznym Wicomico w Marylandzie, które obecnie wchodzi w skład Uniwersytetu stanowego Marylandu.

Doktor doprowadził cię do pewnego punktu w Oryginalnym Planie Terapii (było to 27 października 1953 roku: w rocznicę proklamowania przez Madisona proklamacji o aneksji Zachodniej Florydy i w rocznicę rozvodu Wally Saimpsona. w rocznicę urodzin kapitana Cooka, Paganiniego, Teodora Rosevelta, Dylana Thomsa, Katarzyny Walońskiej) a ponieważ wykroczyłeś poza jego wskazówki najprawdopodobniej zapładniając żonę twego jedyne go przyjaciela i załatwiając nielegalną skrobankę, której pani Morgan nie przeżyła, a także wcielając się w parę uczciwych postaci po drodze, powiedział w końcu: „Jakubie Horner, nie powinienes już pracować. Przez jakiś czas musisz posiedzieć beczynninie”.

Ogoliłeś się, ubrałeś, spakowałeś manatki i zadzwoniłeś po taksówkę, która miała cię zawieźć na dworzec, skąd wraz z innymi pacjentami doktora miałeś udać się na wycieczkę na północ. Czekaając na taksówkę kiwałeś się w fotelu i paliłeś papierosa, ostatniego. Nic nie czułeś. Kilka minut później zatrąbiła taksówka: wzięłeś obie walizki i wyszedłeś, zostawiając

* Fragment książki pod tym samym tytułem, która ukaze się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

popiersie Laokoona tam, gdzie stało, na kominku. Zostawiłeś też samochód, bo wydał ci się niepotrzebny — zostawiłeś go pod domem, jak stał, i wsiadłeś do taksówki.

Podróż ciągnęła się bez końca, w górę Susquehanny i Juniaty, w chłodne, odarte z roślinności góry Alleghenny. Przeważaliście w pobliżu indiańskiego rezerwatu Cornplater w północnozachodniej Pensylwanii. Wiosną, dowiedziawszy się od indiańskich pacjentów, że wynajęty przezeń dom wraz z wioską i najbliższą okolicą znajdzie się pod wodą w związku z zakończeniem budowy nieodległej zapory Kinzua, Doktor przeniósł Farmę nieco bliżej granicy stanu, i ostatecznie granicę tę przekroczył usadowiwszy się na dobre w ładnej miejscowości opodal Lily Dale w stanie Nowy Jork, w spirytualistycznej stolicy Ameryki. Tam zostałeś dziesięć lat do chwili przeprowadzki do Kanady, gdzie Farma mieści się obecnie, po drugiej stronie Mostu Pokoju jadąc z Buffalo.

Wieczorem 25 października 1954 roku — w setną rocznicę szarży lekkiej brygady pod Bałakławą, w 1651 rocznicę ściegienia bliźniaczych świętych Kryspina i Kryspiana, w 142 rocznicę pokonania okrętu jej królewskiej mości „Macedonia” opodal Azorów przez komandora Decatura, w pierwszą rocznicę śmierci Renee Morgan skutkiem udławienia się kiszoną kapustą zwymiotowaną pod narkozą w trakcie skrobanki — nowy asystent doktora wywodzący się spośród Indian Seneków wykonał na tobie obustronne podwiązanie nasieniowodów, co sprawiło, że stałeś się bezpłodnym, pozornym mężczyzną. Wieczorem 4 października 1955 roku, na dwa lata przed sputnikiem, sto lat po Fryderyku Remington, ćwicząc skryptoterapię, zaczęłeś spisywać historię swej bezwolności, leczenia i zapaści, zatytułowaną „Co zrobiłem nim przybył lekarz”. Nieznana ci jeszcze koleją rzeczy (rękopis zaginął, wraz z częścią archiwum Doktora, przy przeprowadzce z Pensylwanii do Nowego Jorku), opowieść ta stała się kanwą blahej powieści „Koniec drogi” (1958), która w dziesięć lat później zainspirowała dzieło filmowe pod tym samym tytułem, równie niewierne powieści, jak powieść niewierna była twej relacji, a twoja relacja — faktycznej naturze trójkąta Horner-Morgan-Morganowa obserwowanej z pozostałych kątów widzenia.

Niedługo po opublikowaniu książki jej rdzeń fabularny, skręcony niczym skorupa ślimaka albo węzeł gordyjski, zdziwaczał niczym „Klarysa Harlowe” a to skutkiem rozwoju, legalizacji i rozpowszechnienia doustnych środków antykoncepcyjnych oraz złagodzenia amerykańskich przepisów prawnych dotyczących skrobanek. Mimo to Rennie Morgan i jej nienarodzone a być może prawowite dziecię nadal nie żyli.

Nie miałeś pojęcia co się działo z Józefem Morganem: z tobą nie działo się dosłownie nic od 1954 roku. Południowowietnamski premier Ky opuścił paryską konferencję pokojową protestując przeciwko „ostrzeliwaniu miast w jego kraju przez artylerię północnowietnamską”, astronauta amerykański

Schweickart wykonał spacer po przestrzeni kosmicznej w czasie orbitowania „Apolla-9”, na uniwersytecie stanowym trwały zebrania protestacyjne przeciwko zaangażowaniu USA w południowowschodniej Azji, ale większość zajęć odbywała się bez zakłóceń. Wybrałeś sobie horoskop i zasiadłeś w bujaku na werandzie Farmy Rehabilitacyjnej. Było to po kolacji i towarzyszyli ci pozostali pacjenci — Pocahontas, Monsieur Casteene, Bibi i inni. Przyglądałeś się spienionej wodzie jeziora Erie pędzącej spod lodu ku Niagarze, gdy Tombo X, nowy pierwszy pomocnik medyczny Doktora (i jego syn) obwieścił przybycie nowego pacjenta: biednego skurwiela w średnim wieku o bladej twarzy i wyglądzie Tima Leary po nieudanych seansie narkotycznym, a z nim dwóch małych, którzy mieli sobie wynieść blade ryje z powrotem do USMFA. Jako pomocnik administracyjny Doktora poszedłeś do recepcji w towarzystwie M. Casteene'a.

Joe Morgan przyglądał ci się z maniackim spokojem: miał warkoczyki, wisiorki, nosił skórzaną kurtkę i wyglądał jak zasuszony. — Przepiszesz Historię, Horner — oświadczył. Był to ten sam dźwięczny, spokojny głos, którym zakończył naszą ostatnią rozmowę w 1953 roku. — Zmienisz przeszłość. Przywrócisz Rennie do życia.

Podobnie jak wówczas, nie mogłem odpowiedzieć. Litościwy, wszędobylski Monsier Casteene, zachmurzony Tombo X i dwóch nieruchomych młodzieńców (synowie Morgana, na Boga!) zaprowadzili go do sali Postępu i Poprawy na wstępny wywiad, a ty wróciłeś na werandę aby napisać niniejszy list.

Jutro Luther Burbank Day, Madame de Staël ucieknie z Paryża do Coppet, swej szwajcarskiej posiadłości, uchodząc przed Napoleonem. Franco zbombarduje Barcelonę zabijając tysiąc ludzi. Niemcy pogwałcą układ z Locarno i zajmą Nadrenię, a wojska USA przekroczą Ren przez most w Remagen. Jakub Horner, jak sobie z przyjemnością wyobrażasz, wejdzie do zatrutej rzeki i przemknie pod rozsypującym się mostem, obok trujących fabryk Forda i kanałów, którymi czerpią źródła swej energii, w dół lodowatych prądów przy Goat Island, wreszcie z biegiem załamujących się, przewalających Amerykańskich Wodospadów

złam kark

T: Jakub Horner do Jakuba Hornera. Postęp i Porada
Do: Jakuba Hornera, Farma Rehabilitacyjna, Fort Erie, Ontario, Kanada

Od: Jakuba Hornera, Farma Rehabilitacyjna, Fort Erie, Ontario, Kanada

Do Marlona Brando, Doris Day, Henryka XV, George'a Herberta Washingtona Irvinga; najlepsze życzenia urodzinowe. Dante znalazł się zagubiony w Ciemnym Lesie. Napoleon oku-

puje Rzym. Studenci uniwersytetu w Palm Springs buntują się. Pascha zaczyna się po zachodzie słońca. Ekspres konny zaczyna kursować od dziś między Sacramento i St. J-Missouri. James Earl Ray odwołuje się od 99 lat wyroku, oddziały „ONZ” wypierają Chińczyków poza 30 równoleżnik w Korei, USA zaczęły działania wojenne przeciwko wodzowi Czarny Jastrzab aby odrzucić Indian Fox i Sac za Missisipi. Rokowania pokojowe w kwestii wietnamskiej rozpoczęły się w Paryżu: brak postępów. A ty znów nie zdołałeś popełnić samobójstwa, rozpoczętego pomyślnie w 1953 i ponownie obiecanego w liście z 6 marca

Kryptoterapia.

Od czasu wysłania tamtego listu „Arka” i „Gołąb” dotarły do wybrzeża Marylandu z pierwszymi kolonistami lorda Baltimore'a. Hannah Dustin wpadł w ręce Indian w Haverhill, Massachusetts, Hieronim poddał się generałowi Crookowi w Meksyku i zbiegł. Patrick Henry wygłosił swe przemówienie o „wolność albo śmierć” do rewolucyjnego zgromadzenia w Richmond, a zgromadzenie wołało to pierwsze. Jakub Horner urodził się w 172 rocznicę urodzin prezydenta Madisonsa, w swoje 28 urodziny ukończył uniwersytet (Madison miałby 200 lat), został wyrwany z bezruchu przez Doktora i skończył 46 lat w 218 rocznicę urodzin Madisonsa, nie spodziewając się z tego powodu niczego. Okręt wojenny USA „Szerszeń” przechwycił „Pingwina”. Andrew Jackson pokonał Creeków w Horseshoe Bend; Jean Laffitte spalił Galvesto. i znikł ze swymi Barańskimi. Prezydent Madison (mając lat 60) ujawnił listy Henry'ego Kongresowi. „Monitor” uszkodził „Merrimaca” w Hampton Roads. Napoleonowi zostało 86 ze stu dni. Parlament za późno odrzucił podatek pocztowy. Oliver Hazard Perry rozbudowuje swą flotę na jeziorze Erie w Presque Isle, Pensylwania. Nie wspominając już o wkroczeniu Blüchera i sprzymierzonych do Paryża, spaleni pałacu w Tuilleries przez Komunę, ewakuacji Petersburga i Richmondu przez konfederatów. Abdykacji cara Mikołaja, pierwszym pokazie filmu dźwiękowego de Foresta w Rivoli w Nowym Jorku, założeniu Rhode Island i marynarki wojennej USA, wypowiedzeniu wojny Portugalii przez Niemcy, wystrzeleniu pierwszej rakiety na paliwo ciekłe przez dr Goddarda w Auburn, Massachusetts, aneksji Austrii przez Hitlera, okupacji Czech, i odrzuceniu Traktatu wersalskiego, decyzji Lyndona Johnsona by nie kandydować ponownie na prezydenta, marszu Martina Luthera Kinga z Selmy do Montgomery, zamordowaniu Sieur de la Salle'a przez własnych ludzi w Teksasie, poddaniu się Madrytu generałowi Franco, pierwszej pogawędce przy kominku prezydenta Roosevelta, sprzedaży Alaski Stanom Zjednoczonym przez Rosję, blokadzie Berlina i inwazji Persji, zdobyciu Iwo Jima przez USA, inwazji na Okinawę, i stłumieniu powstania na Filipinach, napadzie Pancho Villi na Columbus w Nowym Meksyku i wyprawie generała Pershin-

ga do Meksyku w celu zabicia lub pojmania tegoż. Kiedy byłeś, w pewnym sensie, Jakubem Hornerem, interesowałeś się, za poradą Doktora, takimi wydarzeniami. Obecnie wyłącznie przyjmujesz do wiadomości kalendarzowe zbieżności, rocznicowy pogląd na historię, i katalogujesz je alfabetycznie.

„Dlaczego alfabetycznie, Horner?” spytał Doktor w dorocznej rozmowie w sali Postępu i Porady. Było to 17 marca, w osiemnastą rocznicę odbycia pierwszej z takich rozmów i innych wydarzeń. „Kiedy nie byłeś w stanie dokonać wyboru, podałem ci trzy zasady. Może zapomniałeś”.

Wiem, że nie zapomniałeś niczego z tamtych semestrów w Wicomico. Powtórzyłeś zasady Leworęczności i Wcześniejszości: jeżeli dwa człony alternatywy leżą jeden przy drugim, wybieraj lewy, jeżeli następują po sobie w czasie, wybieraj wcześniejszy, jeżeli nie można zastosować żadnej z tych zasad, wybieraj możliwość, której nazwa zaczyna się na wcześniejszą literę alfabetu.

„Ale często mam problemy z wyborem zasady, którą winienem zastosować” — odparłeś. — „Czy w porządku, w jakim mi je pan podał — Leworęczność, Wcześniejszość, Alfabetyczność? Leworęczność jest na lewo, najwcześniej bywa odczytywana, ale bynajmniej nie przoduje alfabetycznie. Wcześniejszość także nie jest alfabetycznie i leworęcznie wyróżniona. Wtedy zacząłem prowadzić notatnik Hornera i układać spisy alfabetyczne przedmiotów. Posługiwałem się więc najpierw zasadą alfabetyczności, potem wcześniejszości, a na koniec leworęczności. Alfabetyczność jest wówczas zarówno na lewo, najwcześniejsza jak i alfabetycznie pierwsza. Tej zasady się trzymam”.

— Jakubie Horner, jesteś głupcem.

Dotykając się kolanami w sali Postępu i Porady wpatrywaliście się w swoje cygara.

— Masz 46 lat — rzekł Doktor.

— Od wczoraj.

— Choć rozmawiamy tu tylko raz do roku i w zasadzie prowadzisz administracyjnie tę farmę od śmierci pani Dockey, wciąż jeszcze uważasz się za mojego pacjenta?

Uśmiechnąłeś się smutno — „Obawiam się, że tak”.

— „Obawiam się, że tak” — zakpił Doktor. — Nie zrobiłeś żadnego postępu w ciągu osiemnastu lat, Horner. Jesteś w tej samej Pustce, z jakiej cię wyciągnąłem w Baltimore w 1951, z tym, że się postarzałeś, i w dodatku zajęło ci to więcej czasu niż większości z nas. Zostaniesz tu do śmierci.

Nie odpowiedziałeś.

„Pani Dockey przewidywała to już w 1953 — ciągnął Doktor — i to, że twoje poczucie winy związane ze śmiercią pani Morgan nie było samobójcze, chyba, że w przenośni. Przewidywała, że będziesz miał życie długie i bez treści”.

— Musi panu brakować pani Dockey — zaryzykowałaś ze współczuciem.

Doktor zastanowił się. „Użyteczna starucha. Przydałaby się w tych czasach”. Przerwał. „Ale nikogo mi nie brakuje”.

Skoro już była mowa o seksie, w rozmowę wkradła się dygresja od właściwego wywiadu dotyczącego przeglądu pacjentów na terapii heteroseksualnej. Tombo X z zasady obsługuje kobiety — pacjentki poniżej czterdziestki, które mają taką terapię w planie, o ile nie wymagają Namiastki Ojca, w których to wypadkach Doktor sam się tego podejmuje, o ile krzyżówka rasowa nie jest przeciwskazana, bo wtedy musi je obsługiwać Monsieur Casteene albo ty, na kogo wypadnie. Twoje zasługi są największe w zakresie terapii dla kobiet starszych, zwłaszcza tych sympatycznych wdówek protestanckich, które spędzają lato w zakładzie Chautauqua, kołysząc się z osiwiałą koleżeńskością na wiklinowym umeblowaniu werand w Atheneum, ale które zamierają w czasie okropnych zim nad wielkim jeziorem, od których ze względu na skromność zasobów, nie są w stanie uciec. Skoro je przekonać (artykułami w Readers Digest o rozpustnych emerytkach albo nowej gerontologii), że wszystko jest jak należy, jeśli im ospała krew zawrze w żyłach, znajdują ogromną przyjemność w słodyczy uroczystego cudzołóstwa. A na ogół mniej się czują winne i bardziej im się podoba rehabilitacja z tobą niż z partnerem bliższym ich świętej pamięci nieodżałowanym małżonkom.

Popadłeś w pisanie. Zatrzymaj się.

Ale Tombo X ogłosił, że nie staje mu już na widok Pocahontas — kościstej, czterdziestoletniej rozwódki — białej, anglosaskiej i protestanckiej Marylandki, która ogłosiła, że potrafi sobie poradzić z pułkiem gwałcicieli. Zalecił albo najęcie bandy na motocyklu żeby ją wygrzmocili do nieprzytomności, albo ujawnienie przed nią samą utajonego lesbijstwa pod pretekstem prośby o pomoc w innym kłopotliwym przypadku — Bibi, nimfomanki, alkoholiczki i ex-gwiazdeczki filmowej. Ale pierwszą możliwość Doktor odrzucił jako nieterapeutyczną dla nikogo poza samym Tombym, który zawsze pragnął odwetu, a drugą jako wywołującą więcej problemów niż mamy obecnie. Seksualizm nie jest podstawą otępienia Pocahontas. Jego zdaniem potrzeba jej obecnie większej ilości jaj do kolekcji: jeżeli przeleci wszystkich mężczyzn z załogi i pogardliwie odrzuci wszystkich pracowników z autorytetem, może uda się wymyślić dla niej program prawdziwej terapii. Do tego czasu, ponieważ nie sposób polemizować z opornymi penisami, zastąpisz Tomba X jako jej Rehabilitant, pamiętając zawsze o tym, że kobiety w wieku Pocahontas i w jej sytuacji do każdego związku heteroseksualnego podchodzą z podwójną ambiwalencją, a więc zarówno nieodpowiednia agresywność jak i bierność są równie nieterapeutyczne. Pacjent, mężczyzna o twoim w przybliżeniu charakterze (to znaczy uległy ale nie bierny), będzie lepszą wodą na jej młyn, niż ktokolwiek spośród personelu. W pewnym sensie. Ponieważ nie mamy obecnie kogoś takiego, a ty, jak sam mówisz, jesteś co prawda

we wczesnej fazie leczenia, ale zawsze jesteś pacjentem — nadajesz się. Baw się dobrze: te od niedawna wyzwolone białe anglosaskie protestantki, tuż przed klimakterium, potrafią być całkiem ładne i z ikrą w łóżku. Ale bądź zawsze czujny: mają serce z kamienia i w odróżnieniu od os, potrafią użądlić wiele razy.

Mówiłeś, że się nie nadajesz, skoro poznaliście się przelotnie w czasach studenckich, z byłym mężem Pocahontas, pisarzem Ambrozym Menschem.

— Nie zawracaj mi głowy Historią — odparł Doktor. Ale zadał sobie trud pytania mnie o to, czy Pocahontas przy tym nie było... — Nie. O ile pamiętam, chodził wtedy z tą dziewczyną Mackow. Tą, na którą wołają Bibi.

— Nie do wiary. Obie są tu jednocześnie. Czy wiedzą o tym? Odpowiedziałeś, że o ile ci wiadomo, Marta Mensch i Bea Golden (nie Jeanine Mack z Marylandu) nie znały się i nie wiedziały o tym, co je łączy.

Ponieważ Doktor z zasady nie interesował się poszczególnymi przypadkami, więc nie dodawałeś już, że Angielka, z dobrej rodziny, w średnim wieku, związana z uniwersytetem, którą przywiózł na Farmę M. Casteene i poddał terapii pod nom de guerre Lady Russex, jest już prawdopodobnie przyjaciółką Ambrożego, ponieważ prosto z Farmy pojechała aby nauczać w Marshyhope w Marylandzie, gdzie została jego koleżanką po fachu. Prawdziwa więź między tą trójką nie wiąże się jednak z Twoim byłym znajomym, ale ze śp. Harrisonem Mackiem (ojcem Bibi, przyjacielem lady Russex, fundatorem uczelni w Marshyhope jak i Farmy Rehabilitacyjnej, a przeto pośrednim pracodawcą Ambrożego Menscha i Twoim, a w gruncie rzeczy także ojcem radykała Drewa Macka, dzięki zabiegom którego Farma staje się — wedle Twojej prywatnej opinii, najwyraźniej nieznanej Doktorowi, ale znanej Tombo X — podziemnym ośrodkiem rehabilitacyjnym całkiem odmiennego rodzaju, którego tajnym dyrektorem jest nasz błyskotliwy i całkiem zdrów M. Casteene).

Odrzucając Historię, Doktor traci możliwość radowania się takimi interesującymi związkami.

Ale poczekaj: przecież to pisanie.

„Czy nie utrzymuje już Pan korespondencji z Mężem?”

Nie korespondowałem z nikim, poza Tobą, przyznałeś, od 27 października 1953 roku.

„A więc nie ma żadnego powodu, by się obawiać, że powtórzymy fiasko Morgana” — podsumował Doktor — „a o tym właśnie myślisz. Tak czy owak, nie jesteś płodny, a Pocahontas, jako rozwódka, nie może cudzołożyć. Jeżeli tobie się nie powiedzie, umów ją z jednym z naszych porządnie wyglądających dezertków”.

W starszym wieku, zwłaszcza od czasów przeprowadzki z Nowego Jorku do Ontario, Doktor stał się cokolwiek szowinisty-

czny w tradycyjnym sensie i jest zwolennikiem jastrzębi w kwestii zaangażowania USA w Południowo-Wschodniej Azji. Przyjmuje postawę zawodowej niechęci do nadużywania cennego słowa „ruch” dla określenia programu antywojennego, którego podstawową taktyką jest obstrukcja bezruchu poprzez sit-in i blokady. Nawet ruch na rzecz praw obywatelskich dla Murzynów, wcześniejszy od antywojennego, zaszczyca tym określeniem tylko w marszu, a nie w czasie, gdy siedzi, toteż nie zgadza się zaśpiewać „We shall overcome”, chyba że w zdwojonym tempie. Dla młodych dezertków, którzy uciekają tłumnie przez Most Pokoju ze Stanów Zjednoczonych, żywi wyłącznie pogardę. Jest ich paru pośród pacjentów, ale tylko nieliczni, według Ciebie, cierpią na bezwład w sensie klinicznym. Doktor zgadza się i określa ich jako „kinetycznych hipochondryków”, ale wiadomo, że znaleźli się tu dla innych przyczyn.

„Co Ci przypominają liczby: 64502, 79673, Horner?”

W sali Postępu i Porady możesz już spokojnie założyć nogę na nogę w sposób, który nie jest ani męski ani kobiecy.

„Ta druga liczba to kod pocztowy — ryzykujesz — gdzieś w Texasie. Może koło Abilene. Pierwsza to liczba mieszkańców Clifton w stanie New Jersey wg spisu z roku 1950 z małym odchyleniem. W roku 1960 było ich ponad 82 tysiące.

„Horner”

Westchnąłeś: „Kod pocztowy i ludność z roku 1960 małego miasta w północno-zachodniej Missouri”.

„Miasto nazwano imieniem pierwszego wielkiego rogowca w tradycji chrześcijańskiej. Czy masz go w swoim Hornotatniku?”

Kiwnąłeś głową: „Po Jazonie, a przed Kareninem, Alexis. Jako święty może być chyba pod „S” razem z Szariarem z „Tysiąca i jednej nocy”.

„Albo pod „M” z Menelausem?”

„Oraz Harrisonem Mackiem i Malatestą — dodałeś pospiesznie. — Chodzi o Giovanniego Malatestę, męża Franceski da Rimini, nie o jej kochanka Paolo Malatesta. A także z królem Markiem, mężem Izoldy. Oraz mężem Atlanty, Melaniusem czyli Hipomenesem, któremu przygotowili rogi Ares lub Meleager, nie pamiętam który. Oraz Minosem z Krety. Ale męża Mary umieszczam pod „J” ze względu na pierwszeństwo alfabetyczne”.

„Hm. Ponieważ śp. Rennie Morgan nie była Żydówką, przypuszczam, że mąż po prostu zabalsamował jej zwłoki, chyba że obawiał się, iż przedsiębiorca pogrzebowy rozniesie plotki o skrobance. Oznaczałoby to jednak, że działa wyjątkowo nieracjonalnie, zważywszy, że prokurator i tak wiedział o wszystkim. Bez względu na to, czy ciało, w którym znajdowałeś tak nieterapeutyczną przyjemność, zostało zabalsamowane, czy nie; wiesz Horner jak ono wygląda dzisiaj, szesnaście lat po pogrzebie?”

Opanowałeś się.

„Ja też nie” — przyznał Doktor. „I nie chcę wiedzieć. Niech gnije w pokoju. Przypuszczam, że freudyści powiedzieliby, że nasz św. Józef został historykiem sublimując swą nieświadomą nekrofiliją. To dość prawdopodobne, ponieważ nekrofilija należy do zawodowego ryzyka historyków”.

„Ja zaś przypuszczam — zasugerowałeś spokojnie — że Joe głęboko kochał swoją żonę”...

„Powinien był równie głęboko ją zakopać”.

„...i że nigdy nie pogodził się z jej śmiercią”.

„To dlaczego tu wylądował? Czy naprawdę zwariował, czy też zamaskował coś innego?”

Nie bez pewnego rozbawienia spytałeś, czego Doktor się obawia, skoro zarzut morderstwa i nielegalnej skrobanki uległ w przypadku Rennie przedawnieniu. Odpowiedział rozdrażniony, że „św. Józef” nie zważa na przedawnienie w myśl prawa, by wyciągnąć spluwę i pomścić utratę żony, jeżeli naprawdę zwariował. A jeżeli udaje, to może Farmie sprawić kłopoty wobec miejscowej administracji.

„A ostatnia i najmniej ważna sprawa — dodał — to opóźnienie twojej kuracji o jakieś piętnaście lat spowodowane jego przybyciem. A o tym mieliśmy rozmawiać. Możesz mi nie wierzyć, Horner, ale istnieją ludzie, którzy cieszą się życiem. Ja do nich należę. Farma to też przedmiot mej troski. Mniej nam tu przeszkadzają w Fort Erie niż gdziekolwiek w Stanach. Zainwestowałem tu i ówdzie. Za dwa-trzy lata pójdę na pokazną emeryturę do Szwajcarii albo St. Croix, a ty i mój syn róbcie sobie co chcecie z tymi słabeuszami i dziwakami. Ale do tej chwili nasze losy są połączone. Czy jesteś całkiem pewien, że ten Morgan jest tym, za kogo się podaje?”

Nie ma wątpliwości, niestety, oświadczyłeś — aczkolwiek zmienił naturalnie powierzchowność, a nawet postawę: wyznanie, że jest Morganem tylko „w pewnym sensie”, to szyderstwo. Wprawileś Doktora w zakłopotanie krótkim przypomnieniem historii św. Józefa: J. Patterson Morgan, urodzony w 1923 roku w Bostonie, potomek Pattersonów z Baltimore, spośród których najbardziej znana przedstawicielka rodu zaślubiła brata Napoleona w 1803 r. służył po maturze w marynarce podczas II wojny światowej. Skończył filozofię na uniwersytecie Columbia w 1949 r. i obronił pracę magisterską w dziedzinie historii na tymże uniwersytecie w 1950 roku (dzięki bezpłatnym studiom dla byłych żołnierzy). Tamże poznał i poślubił Renee MacMahon z Wicomico w Marylandzie: mają dwóch synów, urodzonych w 1950 i 1951 roku; doktorat zrobił z historii Ameryki na uniwersytecie Johns Hopkins w latach 1950—1952, ale go nie obronił. Temat pracy: Wybawicielska rola niewinności i energii w historii politycznej i gospodarczej USA. Asystent na wydziale historii w Studium Pedagogicznym w Wicomico w Marylandzie w latach 1952—1953,

gdzieście się spotkali i gdzie nawiązała się fatalna więź między wami i panią M. Rektor John Schott wymógł na nim rezygnację 27 października 1953 r. dla zatuszowania skandalu po śmierci Rennie.

Tyle wiedziałeś z pamięci, a wynikało z tego, że wszystko zaświadcza o niezłomnej i niewinnej (acz nieoryginalnej) racjonalności Morgana, jego energii intelektualnej i fizycznej, niehipokrytycznej prawości charakteru i trzeźwej pogodzie Jankesa, intensywnym (męczącym także i ostatecznie katastrofalnym) przywiązaniu do żony, jej duchowego i intelektualnego rozwoju, do czystości i prawości ich związku.

Assez, Horner, assez, na miłość boską.

Reszty dowiedziałeś się z drugiej ręki, głównie od Monsieur Casteene'a, który zdawał się zawsze wszystko wiedzieć — i który prawdopodobnie odegrał jakąś niewiadomą rolę w pojawieniu się Morgana na Farmie. Znali się co najmniej dzięki spotkaniom na gruncie zawodowym: Casteene upatrywał swego pochodzenia w emigrantach franko-kanadyjskich, o których Morgan napisał ongi artykuł. Był to jeden z wielu zwięzłych, tryskających bogactwem myśli szkiców wydobytych z niedokończonego doktoratu i opublikowany został w piśmie historycznym ku podziwowi Casteene'a oraz historyków. Ty sam nie znalazłeś tych publikacji, ale wydała ci się prawdopodobna uwaga Casteene'a, że zawsze przewijały się w nich dwa wątki — wielcy oszuści i intryganci w stylu Henry Berlingame'a III i Comte'a de Crillon, oraz historycznie doniosłe fałszerstwa, niczym przesyłka Lacanala i listy Henry'ego. Niewątpliwie żaloba Morgana (o której Casteene zdaje się nie wiedzieć) zafascynowała go mocami irracjonalizmu, tego, co niewysłowione, co intuicyjnie przebiegłe, przewrotne, cynicznie skompromowane.

— Gówno prawda, Horner — zda się, że słyszysz starego, tj. młodego Morgana, jak prycha: „Rozumiałem to już zanim skończyłem dwadzieścia lat. Wy romantycy również przeceniacie irracjonalność przez duże „I”. Nie byłeś Jagonem, tylko skurwysynem Hornerem, który odkrył moją słabą stronę”.

Tak czy owak, to go interesowało (musisz pamiętać o wpisaniu Jago do Hornotatnika, aczkolwiek mamy tylko jego niejasne podejrzenia, w akcie I, że Otello przyprawił mu rogi z Emilią).

Z Wicomico Morgan wrócił do Baltimore, znalazł pracę w Maryland Historical Society (Towarzystwie Historycznym Marylandu) i od czasu do czasu dawał wykłady publiczne na uniwersytecie stanowym. Dzięki publikacjom dostawał raz po raz i czasami przyjmował oferty pracy na dobrych uniwersytetach, ale stałego etatu przyjąć nie chciał. Jego rosnąca reputacja w towarzystwie historycznym sprawiła, że zostawał konsultantem programów renowacyjnych, muzeów historii regionalnej, filmów historycznych, oraz festiwali, korowodów i pomników w byłych trzynastu koloniach. Ta działalność zet-

knęła go z kolei z takimi wysoko postawionymi rodzinami jak Harrisonowie Mackowie (pani Mack także twierdzi, że pochodzi od Betsy Patterson), którzy wybrali go na rektora nowo założonego uniwersytetu na wschodnim wybrzeżu Marylandu. Było to stanowisko, donosił Casteene, które nie odpowiadało osobistym upodobaniom Morgana, przyjął je z wdzięczności dla Fundacji Tidewater za finansowanie swych badań historycznych w latach ubiegłych, a być może także dlatego, że jakieś resztki akademickiego idealizmu rozbłysły w nim na nowo na wieść o założeniu małego elitarnego ośrodka badawczego.

— Merde, Horner — słyszysz jak św. Józef odpowiada na ostatnie sformułowanie. — Chcesz ze mnie zrobić naiwnego racjonalistę, choć w gruncie rzeczy wyznawałem tragiczny pogląd na instytucje ludzkie — łącznie z uniwersytetami i małżeństwami — od chwili gdy miałem 19 lat.

Tak czy owak, gdy rada nadzorcza fundacji mianowała Johna Schotta z Studium Pedagogicznego w Wicomico jego zastępcą, Morgan musiał wyleczyć się z takiego idealizmu. W walce o władzę Schott albo odgrzebał albo zagroził, że odgrzebie skandal ze śmiercią Rennie. Morgan zrezygnował i zaszył się na północy jako wykładowca w Amherst...

— Nie zaszył się, Horner — słyhać go jak protestuje. — Szowiniści w Massachussetts są równie zaczepni jak w Virginii. Pojechałem do Amherst bo mnie zaproszono, a jeden z moich synów tam studiował. Drugi jest w Chapel Hill.

— Gdzie radykalnie zmienił osobowość, albo w konsekwencji zażywania LSD albo równoległe do jej zaznania. Od racjonalizmu do swoistego mistycyzmu...

— Podobnie jak Platon czy William James. Można mi wypominać cytowanie Blake'a albo Suzuki'ego ale nie „Rozmów z Don Juanem” Castanedy.

...od eleganckich garniturków do skórzanych kurtek...

— Raczej od modnych krawców do modnych dzinsów. Strój, jaki nosiłem przebywając tutaj, był podarunkiem od Indian Seneka, których odwiedzaliśmy z Casteenem gdy zaśląblem.

— To dlaczego jeszcze to nosisz, Joe? — Taka była Wasza pierwsza rozmowa, przeprowadzona wczoraj, w dniu urodzin Hansa Christiana Andersena, F. A. Bartholdiego, Carmena Basilio, G. J. Casanowy, Maxa Ernsta, Aleca Guinnessa, Bedrzychy Smetany, Emila Zoli. Przez pierwszy miesiąc pobytu Joe ledwie cię zauważał: ty, który na ogół także go nie zauważałeś, po raz pierwszy od szesnastu lat boleśnie zdałeś sobie sprawę z tego, że on żyje. Codziennie spotykał się z Tombo X, rzadziej z Doktorem, a żaden z nich nie mówił ci, o czym była mowa. Najczęściej przebywał w towarzystwie Casteene'a, ale udało ci się podsłuchać tylko rozmowę o wojnie francuskiej i indiańskiej nad Niagarą w roku 1812: była to rozmowa czytane go amatora i skromnego zawodowca. Morgan podobał się

i Pacahontas i Bibi, lubili go też dezenterzy, rozmawiał z nimi metaforycznie, ironicznie, nieinteligentnie, niemal wcale. Grał w piłkę nożną i palił marihuanę z młodymi ludźmi (jeżeli to im przepisano, albo dozwolono), w brydża z kobietami (którym czytał także heksagramy I Ching i kładł pasjansa), uprawiał też jogę, mimo że Doktor nie pochwalał tego ostatniego („to nie bezruch” argumentował pogodnie Morgan, ale „zawieszony ruch”. I ku twemu zdumieniu Doktor uległ). Odłożyłeś samobójstwo na później, czekając aż dokończy rozmowy z tobą, rozpoczętej ultimatum na temat przepisania historii, wskrzeszenia Rennie...

— Nie wskrzeszenia, Horner, odrodzenia. Nie chcę ekshumować żony. Chcę, żeby się narodziła ponownie.

I nagle zjawił się wczoraj w twoim biurze równie spokojnie jak ongi w Wicomico, aby przedyskutować uwiedzenie jego żony przez ciebie. Od dawna już porzuciłeś bujak, gdyż bujanie bardziej prowadziło do bezruchu, niż zeń leczyło. Siedziałeś na twardym stolku, kontemplując pustą kartkę pod literą „U” w swoim Hornotatniku. Podciągnięcie Odyseusza pod „O” było kontrowersyjne: to tylko wczesna, wulgarna wersja mitu powiada, że Penelopa zdradziła go ze wszystkimi 108 zalotnikami, plus dziewięciu służących, bard Femiusz oraz pasterz Melantus. Podwójne zaksięgowanie go także jako Ulisesa wyglądało na pójście na łatwiznę. Morgan przyjrzał się nagim ścianom i podłodze małego pokoiku, oknu bez zasłon wychodzącemu na wartką rzekę.

— A więc to jest twoje życie, Jake.

Nie potrafiłeś natychmiast dobrać głosu.

— Casteene mówił mi, że od czasów Wicomico byłeś z tym lapiduchem.

Odłożyłeś Hornotatnik. — W 1953 — odpowiedziałeś stanowczo — postanowiłem popelnąć samobójstwo. I popelnilem je.

— Joe oparł się o ścianę, z założonymi ramionami i prychnął pogardliwie. — Umieranie to co innego. Umieranie to coś. A to jest nic.

Czekałeś.

— Szesnaście lat — powiedział — minęły i prawie cię nie tknęły. Przyglądał ci się. — Fryzura z epoki wczesnego Eisenhowera. Welniany garnitur. Krawat wążutki. I biała koszula. Pochylił się by spojrzeć na twoje stopy pod nieozdobnym biurkiem gdzie prowadziłeś księgowość farmy i załatwiałeś korespondencję oraz własną skryptoterapię. — Z białymi skarpetkami? I niskie półbuciki! Potrzeba ci tylko pliku klasówek studenta pierwszego roku na biurku i czerwonego ołówka za uchem. Gdyby Rennie tu weszła, poczułaby się od razu u siebie.

Naturalnie nie odpowiedziałeś.

— Ze mną nie znalazłaby wspólnego języka, jak sądzę, nawet gdyby mnie rozpoznała. — Rozpromienił się, ale niezyczli-

wie. — Rewolucja seksualna, Jakubie! Otwarte małżeństwo! Konstytucyjna ochrona skrobanki na życzenie! I pigułka antykoncepcyjna, Jakubie! Nawet uczennice dostają je na receptę od lekarza domowego w naszych czasach. Nasze stare kłopoty wyglądają przy tym równie dziwnie jak Przysięga Lojalności i egzystencjalny Angst, prawda?

Ale Algera Hissa nie ma już w Departamencie Stanu — odpowiedziałeś wet za wet — a Rennie nadal nie żyje. Po co ten cały szal na hippisów, Joe?

Odpowiedział jak wyżej, dodając radośnie: — Głos mają dziś Indianie, Jakubie. Są modni na uniwersytetach, których zresztą nie rozpoznałbyś. Nie trzeba znać gramatyki, żeby zdać egzamin wstępny! Nie ma stopni! Swobodne dyskusje zamiast wykładów, wstęp wolny, doktoraty typu zrób-to-sam, maoistowskie kadry zamiast żeńskich orkiestr, seanse na haszu zamiast kaców po piwie, daleko posunięta koedukacja w akademikach!

— Słyszałem — odparłeś sucho. — Ale trudno mi sobie wyobrazić, żebyś się tym zajmował.

— Zajmował — powtórzył Joe z zainteresowaniem. — A więc zajął czas jednak cię tknął!

— Dlaczego tu jesteś? Joe?

— Fatalny hasz u Seneków po drugiej stronie rzeki — odpowiedział. — Trochę pejetlu i gadania o nacjonalizmie Indian z przyjaciółmi moich synów, którzy prowadzą nad tym niezależne badania. ISP wpadło w szal. Usłyszeli o tej farmie od swoich ludzi w Ruchu.

— Nie popadłeś w bezruch.

Wzruszył ramionami. — Nie bardzo mogłem się poruszać o własnych siłach przez pewien czas. Ale ty ruszałeś się i to sporo między swoimi napadami.

Nie zadawałeś sobie trudu, by sprostować, że to nie o napady chodziło, ale o brak jakiegokolwiek napadu. — No więc jestem — powiedziałaś po prostu.

— Jesteś. I zastanawiasz się, czy przyszedłem po to, żeby wreszcie wyciągnąć starego Colta 45 i wypalić ci w łeb. Pamiętaj tę scenę?

„Nie jestem odpowiedzialny ani za książkę, ani za film” — poczułeś się mimo wszystko zmuszony oświadczyć. „Napisałem coś na kształt raportu w roku 1955, nazywamy to skryptoterapią. Zostawiliśmy raport w Pensylwanii kiedy trzeba się było w pośpiechu wyprowadzać”.

„Nigdy nie grzeszyłeś odpowiedzialnością” zauważył Joe. „Może chciałbym zobaczyć jak wygląda ciało po szesnastu latach. Może pracuję pokątnie jako konsultant techniczny przy kręceniu filmu o wojnie 1812 roku. Może organizujemy z Casteenem Drugą Rewolucję, która ma się zbiec z obchodami Dwóchsetlecia Stanów Zjednoczonych. A może chcę po prostu nastraszyć ciebie i tego twojego Doktora”.

Czekałeś, zastanawiając się, które z tych przypuszczeń ma alfabetyczne pierwszeństwo.

— Może chciałbym, żebyś na nowo przepisał historię. Dopisał inne zakończenie do raportu.

Czekałeś.

— A dlaczego nie spróbujesz terapii historiograficznej?

Nie chciało ci się już przypominać i klioterapii, tradycyjnej pozycji w kuracji wielu pacjentów, mimo wstępu jaki Doktor odczuwał do analizy etiologicznej.

— My historycy zawsze reinterpretujemy przeszłość — ciągnął Joe. — Ale skoro historia jest koszmarem, może trzeba ją wyśnić na nowo.

„Trzeba” — powiedział Doktor, gdy doszedłeś do tego miejsca relacjonując waszą rozmowę — „śnić na jawie a na noc brać pastylki nasenne. Do rzeczy, Horner. Nie interesuje mnie napięcie narracyjne. Czego chce?”

Nie umiałeś odpowiedzieć, jako że św. Józef na tym skończył rozmowę z tobą, przytoczyłeś jedynie swój pogląd, że nie wyglądał na „zagubionego” (acz epizod z Indianami Seneka miał prawdopodobnie taki przebieg, jaki opisał), i że choć przynębiła go porażka w walce z Schottem w Marshyhope, nie zalał się. Jakaś kara — dla ciebie za rozerwanie małżeństwa, dla Doktora za wykonanie fatalnej skrobanki — mogła mu chodzić po głowie, ale nie byłeś przekonany, że to właśnie ona sprowadziła Morgana na Farmę. Dowiedziałeś się od Monsieur Casteene'a, do którego bezstronności nie miałeś zaufania, że reżyser filmowy nazwiskiem Prinz faktycznie pracuje nad filmem, w którym znajdują się sceny z wojny 1812 r. w zatoce Chesapeake i nad Niagarą, być może także wysadzenie w powietrze fortu Erie, albo zdobycie przez Brytyjczyków fortu Niagara, albo spalenie Buffalo. Możliwe, że konsultowali się z Morganem w sprawie tych scen. Casteene też miał nadzieję zaczepić się przy nich, skoro nadjadą latem, jako że jego przodkowie mieli, jak utrzymywał, odegrać pewną rolę w przedstawianych wydarzeniach.

— Ale ten Casteene — zakonkludowałeś. — Czy wiadomo, kim właściwie jest?

Doktor skrzywił się. — Bez niepotrzebnych ontologii, Jakubie Horner. Nam wystarczy nazwisko „Casteene”. No dobrze. Podobnie jak ty, znajduję iż św. Józef jest całkiem racjonalny, z pewnością wrogo nastawiony, ale chyba niegroźny. Zapłacił z góry za kwiecień, tak że jeszcze trochę tu pobędzie. Jeżeli nas niewymorduje albo nie każe zaarrestować — sędzę, że byłby zdolny wykonać i jedno i drugie, ale to mało prawdopodobne — jego obecność może nam się przydać. Na pewno korzystnie wpłynął na Bibi i na Pocahontas, choć widzę tu problem, jeżeli zdecydowanie przedłoży jedną nad drugą. Ale co z tobą?

Czekałeś.

— Znów się zamknąłeś, co?

— Nie zamknąłem — poprawiłeś. — Wyczerpałem. Kiedy Joe mówił, że trzeba prześnić historię na nowo, obaj patrzyliśmy przez okno. Czekaliśmy, aż to wyjaśni, a zarazem przyglądałem się przepływającej wodzie, która zaczynała się jako czyste źródło w jeziorze Superior, by popłynąć przez Huron i Erie. Heraklit mawia, że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki: mnie wystarczyłoby wejść raz. A Horacy mówi o człowieku, który stoi na brzegu rzeki, z butami w ręku, wiecznie czekając na pierwszy krok, dopóki nie przepłynie wszystka woda. Jestem tym człowiekiem.

„Literatura” powiedział pogardliwie Doktor.

„Przypomniało mi to o wyłączeniu wodospadu Niagara w tym roku po stronie amerykańskiej: saperzy chcą sprawdzić, czy nie można by jej poprawić, tak by dorównała kanadyjskiej. To najbardziej amerykański plan o jakim słyszałem. Ma to być wielki dziw natury in minus, olbrzymia atrakcja turystyczna. Potem zacząłem myśleć o negatywizmie, o tym jak pozytywny byłby w antyświecie, gdzie entropia byłaby ektropią, a my prowadzilibyśmy Farmę Antyrehabilitacyjną...

„Horner, Horner”

„Trwało to do chwili gdy Tombo X zastosował swoją terapię Brzytwy”. Ów młody człowiek zwykł straszyć zapadających w odrętwienie i zmuszać ich do ruchu poprzez raptowne wyciągnięcie brzytwy, przewrócenie oczami i błysnięcie zębami, po których następuje złapanie pacjenta za krocze i obietnica, że pewnego dnia uwolni go od jego zgniłych jaj. A wszystko to w slangu Murzynów z południowych plantacji. „Któregoś dnia posunie się za daleko”.

„Pewnego dnia — rzekł Doktor — każesz mojemu synowi zabrać łapy precz i zapalisz krzyż na trawniku. Tego dnia zacznie się rozmowa”.

„Oszukuje” — narzekałeś. — „Bo ściska. To nie lęk przed kastracją mnie poderwał, ale ból”.

„Nie szkodzi. Siedziałeś nieruchomo przez pięć godzin. Jeszcze byś tam siedział gdybyś nie uciekał przed Pocahontas. Jak za dawnych czasów?”

„Dokładnie tak samo. Zdawałem sobie sprawę ze wszystkiego co się dzieje, ale siedziałem w odrętwieniu. Nie mogłem zdobyć się na ruch. Buddyści Zen mówią o powietrzu, które tobą oddycha”...

— Na miłość boską, Horner, nie dorzucaj Buddyzmu Zen do swoich białych skarpetek i wąskich krawatów. Mamy rok 1969. Masz 46 lat. Większość ludzi z twojej sfery i z twoim wykształceniem ma już dzieci na studiach, a i te już się uporały z młodzieńczym mistycyzmem. Jesteśmy tam, skąd wyruszyliśmy.

Czekałeś. Doktor też się nie spieszył. Jego włosy i wąsy, całkiem białe, urosły zgodnie z modą, doszła do nich także mała kozia bródka: wygląda jak łysy i czarny pułkownik

Sanders, albo wyretuszowany negatyw Alberta Einsteina. Umysł zaczął ci wędrować, potem rozmywać się. Aczkolwiek nie przyłączałeś się do Pokolenia, poważnie powtórzyłeś same-mu sobie ostatni test własnej świadomości:

Życia jeszcze przed tobą szmat
a pepsa może ci wiele dać

Potem i to zapadło w pustkę. Przez niezmierzone pustkowie Doktor powiedział: „Nie mam brzytwy. Ale z ochotą złapię cię za krocze o ile się nie obudzisz”.

OK.

„OK. Twój przyjaciel św. Józef ma dobry pomysł, niezależnie od tego, czy jest tym samym Joe Morganem, czy nie”.

„To ta sama osoba”.

Doktor uniósł brwi. „Powiedzonko Heraklita jest prawdziwe dwojako: nawet gdyby rzeka nie płynęła, ty płynąłbyś. Przypomniałem sobie, jak to Morgan odesłał żonę z powrotem do ciebie, kiedy nie był w stanie strawić jej pierwszej niewierności. Jak gdyby powtórka miała coś wyjaśnić...”

Doktor odsunął krzesło, wstał, zapalił wygasłe cygaro. Rozmowa była skończona.

„Robi wrażenie, ten twój przyjaciel. Ale to Widertraumerei to niebezpieczna sprawa. Chcesz upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, a czasem palisz całą chałupę. No dobrze. Zapomnij na razie o tym, co postanowiliśmy a propos ciebie i Pocahontas i zaczekajmy aż św. Józef się zdecyduje. My musimy znów się spotykać co tydzień, jak za dawnych lat”.

Zmarszczył się. „Ponowne odegranie. Ale skoro dzisiaj nie trzeba już znać gramatyki, aby zdać egzamin na studia, nie ma też gramatyki przepisowej. A ty powinieneś mieć stały etat. Czego będziesz uczył!?”

Przekład: Sławomir Magala

OD TŁUMACZA

Mimo wyraźnego kryzysu liberalizmu w dobie globalnego interwencjonizmu państwowego John Barth, autor *Listów*, z których zaczerpnięte zostały fragmenty prezentowane powyżej, jest nieuleczalnym liberałem (liberalizm oznacza tutaj szczytowy punkt humanizmu stosowanego do ideologii politycznych).

Listy Jakuba Hornera pisane do samego siebie w otwartej klinice psychiatrycznej (jest to bardziej komfortowa instytucja psychoanalityczna, niż zakład szpitalny) przynoszą wiadomości o pokoleniu lat 50-tych, które poznaliśmy już — wraz z Hornerem — na kartkach powieści *Koniec drogi* przełożonej na polski. Bezruch liberała, niemożność działania w świecie, zyskują dramatyczne i filozoficzne uzasadnienie — powieściowe rzecz jasna, „modelowe”. Ale czyż nietrafne?

S. M.

✿ plastyka ✿

TADEUSZ CHRZANOWSKI

SARMATYZM mity dawne i współczesne

Kiedy zrodził się mit o sarmackim pochodzeniu Polaków (a ujmując ściślej — stanu szlacheckiego, bowiem w tamtej epoce szlachcic nie uważał się za współplemieńca chłopca i łyka)? Nie jest to zupełnie pewne. Poglądy historyków na ten temat są tylko na pozór sprzeczne, bowiem nie jest istotna geneza terminu w pismach średniowiecznych, ale moment w którym pojęcie zaczęło funkcjonować w świadomości społeczeństwa. To zaś dokonało się w wieku XV, najwyraźniej w drugiej połowie tego stulecia i sam Długosz swym autorytetem przypieczętował „mit o początku”.

Tu jednak zaczyna się pierwsza odrębność owego mitu, który wyróżnia go spośród podobnych, wyrastających na glebie narodowych ambicji i tęsknot (takim był francuski „galikanizm” czy skandynawski „nordyzm”). Narastanie świadomości narodowej, o której tak wnikliwie pisali — przed wojną Stanisław Kot, ostatnio — Janusz Tazbir, dokonywało się bowiem w państwie federalnym, połączonym unią personalną i dopracowującym się powoli jednolitego systemu praw i struktury administracyjnej, w państwie budującym ustrój do niczego istniejącego dotychczas niepodobny (odwołania do tradycji republikańskich starożytnego Rzymu były w dużej mierze zabiegiem retorycznym), szukającego po omacku największych rozwiązań, wobec zwalczających się gwałtownie sił: królewskiej, magnackiej i mas szlacheckich. A jeszcze na dobitkę w państwie tym żyli ludzie mówiący różnymi językami i całkiem odmiennie chwalcący swego Boga.

Wprawdzie świadomość odrębności, a także głębokie antagonizmy dzieliły w wielu przekrojach Litwinów i Koroniarzy, ale państwo mieli coraz bardziej wspólne, coraz wyraźniej szło ku unii. I tu właśnie dopatrywać się należy pewnej szczególnej właściwości sarmatyzmu, który dość niefrasobliwie przeskakiwał ponad różnicami etnicznymi i językowymi, stosunkowo pobłaźliwie traktując inne, nieprzyrodzone odmienności, jak np. wyznanie. Autorytet pisarzy starożytnych to jedna sprawa, a druga to po prostu potrzeba pewnego mitu cementującego jakże różnorodne części składowe państwa idącego w kierunku Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Ktoś Polskę określił mianem państwa paradoksów. Nie bra-

kowało ich też w przeszłości (niektóre z nich ukazał przekonywająco Stefan Zabłocki w jednym z esejów składających się na tom *Od prerenesansu do Oświecenia*). Należy o tym pamiętać podejmując rozważania nad sarmatyzmem, bowiem przez cały ciąg swego istnienia obfitował on w zadziwiające, uporczywie niedostrzegane sprzeczności wewnętrzne. Nie ustalając dokładnie daty narodzin „mitu o początku” należy stwierdzić, że wyrósł on ze specyficznego nań zapotrzebowania przez państwo tworzące jedność z wielości. Był początkowo może nawet bardziej mitem służącym idei dynastycznej Jagiellonów niż wyrazem aspiracji mas szlacheckich, w miarę jednak upływu czasu, a zwłaszcza wówczas, gdy na tronie zasiadać zaczęli monarchowie elekcyjni, stał się orężem w rękę szlachty, nota bene obosiecznym, skoro później wykorzystanym doskonale przez magnaterię w jej rozgrywce o władzę. I o tych funkcjach sarmatyzmu należy pamiętać, jeśli pragnie się mówić o nim w odniesieniu do zjawisk kulturowych. Bowiem współcześnie zaczyna kiełkować kolejny mit. Mit o micie. Mit o sarmatyzmie jako stylu, mit o sarmatyzmie tworzącym normy kulturowe.

Sarmatyzm rozlał się bardzo szeroką falą po rozległej Rzeczypospolitej, sięgnął nawet do tych części społeczeństwa, dla których nie był przeznaczony, bowiem silne wpływy sarmatyzmu odnajdujemy pośród mieszczaństwa, jak to wykazała Maria Bogucka. Dotknął bardzo wielu przejawów życia dawnej Polski, ale nie jako styl lecz jako refleks pewnych postaw i zamiłowań, które opierały się o ideologię. I tylko tak należy rozumieć sarmatyzm. Nie ma — co podkreślił jeszcze Tadeusz Dobrowolski, a co niedawno przypomniał i uzasadnił Adam Małkiewicz — portretu sarmackiego, ale portret epoki sarmatyzmu, nie ma ubioru sarmackiego, ale ubiór epoki sarmatyzmu. Zbyt lekko upraszczamy w mowie pewne pojęcia, zacieramy wyrazistość semantyczną dla ułatwienia sobie życia.

Sam tu nie jestem bez winy, bowiem przed kilku laty ogłosiłem w miesięczniku „Twórczość” esej zatytułowany *Eschatologia sarmacka*, ale byłem przekonany, że żaden inteligentny czytelnik nie odczyta tytułu wprost i nie uwierzy, że istniała rzeczywiście i dosłownie eschatologia stworzona przez Sarmatów-szlachtę braci. Chodziło mi o przedstawienie pewnych postaw wobec problemów ostatecznych, które cechowały naszych przodków. Nagrobki stawiali sobie czy epitafia mniej więcej takie same jak te, którymi upamiętniano zmarłych w innych krajach naszego kręgu kulturowego, odbywano te same efemeryczne barokowe uroczystości, owe tak świetnie przez Juliusza A. Chrościckiego opisane „*pompae funebrae*”, zdobiono wnętrza kościołów wizjami sądu ostatecznego i przemijania jak w Hiszpanii, Włoszech czy Niemczech, a jednak — tak przynajmniej wydaje mi się — brzmi tu nieraz nieco inna nuta. Forma jest ta sama, co gdzie indziej, formę zawsze importowaliśmy, tylko później przepajaliśmy ją własną treścią. To jest w moim przekonaniu podstawowa sprawa w rozumieniu sarmatyzmu — szczególnie w sztuce czy w literaturze. Zadaniem historyków kultury nie jest uzupełnianie wielkich opracowań syntetycznych wstawkami, zazwyczaj bardzo pobieżnymi o tym, co to jest sarmatyzm, trzeba natomiast pokazać na wybranych przykładach jak on funkcjonował w poszczególnych dziedzinach: w architekturze i muzyce, w malarstwie i kuchni, w obyczaju domowym i politycznym, a z takich eksplikacji uzbiera się całościowy obraz tego zjawiska.

Dalszym nieporozumieniem, które się często pojawia, gdy

pada słowo „sarmatyzm”, jest stawianie znaku równania pomiędzy tym pojęciem a barokiem, ściślej zaś — wiekiem XVII. To oczywiście prawda, że ów dziwny, niespokojny, tyle wspaniałych zapowiedzi i tyle klęsk niosący ze sobą wiek był apogeum owej ideologii szlacheckiej, ale nie zmienia to w niczym faktu, iż sarmatyzm jako konkretny mit-program ukonstytuował się i funkcjonował w wieku XVI, (stąd można by równie dobrze mówić o sarmackim charakterze wielu dzieł renesansu i manieryzmu) a następnie przedłużył się w głąb wieku XVIII, może już nie odblaskiem ale częściej cieniem obejmując obszary sztuki rokokowej. Ostatnie wielkie manifestacje o bardzo wyraźnym sarmackim zabarwieniu to z jednej strony Konfederacja Barska z jej wspaniałą poezją i o wiele mniej błyskotliwą wojaczką, a także finał I Rzeczypospolitej. Tu zaś natrafiamy na ostatni, ale jakże znamienity paradoks: sarmackimi byli w swych deklaracjach zarówno ci posłowie szlacheccy, którzy uchwalili Konstytucję 3 Maja, jak też sprzedawczyca podpisujący Konfederację Targowicką. I właśnie przy tym ostatnim paradoksie można postawić to zasadnicze pytanie: czym chciał być, czym mógł być i czym był w rzeczywistości sarmatyzm?

Ale ferować wyroki łatwo wówczas, gdy się widzi jeden wycinek zagadnienia (i cóż stąd, że szczególnie ważny?), o wiele trudniej odważyć się na nie, dostrzegając zjawisko w całej jego złożoności. Nie zachęcam nikogo do amorficznego, całkowicie beznamiętnego stosunku do przeszłości i jej świadectw. Także w sztuce: nie rozumiem tych moich znakomitych kolegów po fachu, którzy wyłącznie interpretują, ale nigdy nie wypowiadają się o dziele sztuki w kategoriach osobistego przeżycia. Ostrzegam tylko przed sądami lekkomyślnymi i globalnymi. Oceniamy przeszłość, niech nam będzie ona bliska w dobrym i złym, tylko starajmy się najpierw zrozumieć, potem wysłuchać obu stron, a wreszcie odmierzyć sprawiedliwość owemu widzialnemu-niewidzialnemu światu.

Według moich obserwacji sarmatyzm trwał bardzo długo, niemal trzy stulecia, przeobrażał się (choć nieustannie sam siebie okłamywał swą fikcyjną niezmiennością), rozszczepiał. Było i tak, że obok siebie rozwijały się jakby co najmniej dwa sarmatyzmy: prawdziwy szlachecki i pozorowany sarmatyzm magnacki. Proszę pamiętać, że magnateria swą walkę w XVI wieku z masami szlacheckimi przegrała, że ruch egzekucyjny odniósł połowiczne, ale jednak zwycięstwo. W następnych stuleciach, a już szczególnie w XVIII „starsi bracia” (bo tak się pośród szlachty mawiało o magnatach) brali za tamtą przegraną odwet, ale własną wiktoryę doskonale wpięrowali zakamufłowali sloganami, ową niebezpieczną retoryką o „złotej wolności”, która nas często tak rozpija i „rozaniela”, że stajemy się wobec każdego niebezpieczeństwa bezbronni.

Te rozległe rozważania ogólne wydają mi się niezbędne, bowiem zbyt się uprościło i zawęziło pojęcie sarmatyzmu w momencie gdy weszło w powszechne użycie: byle sumiasty konterfekt, a już sarmatyzm, byle karabela czy po turecku lub persku wzorzyste przybranie — już sarmatyzm. To nie były tylko wąsy, choć nie lubiący ciemnych mas szlacheckich Stanisław August mawiał z przekąsem „les moustaches sarmates” (sarmackie wąsiska) i nie tylko kontusze, pasy słuckie i szable. To było znacznie więcej a to, co dostrzegamy jako zewnętrzne znamiona, płynie z pewnych postaw, jest tylko odbiciem (czy cieniem) wielkich ogólnonarodowych celów.

To fakt, że państwo domniemyanych Sarmatów runęło i to niepięknie, nie tyle rozbite przez wrogów, co przez nich popchnięte, gdy wewnętrzna erozja sprawiła, że trzymało się tylko nierządem. A ściślej: że owo pchnięcie dokonało się właśnie w tym momencie, gdy państwo zaczynało się odradzać, zdrowieć, wypełniać nową tkanką społeczną. W stojącej się historii można niestety liczyć tylko na samego siebie. Wyłącznie samemu można zabezpieczyć własny dom. Złudzenie „Sarmatów”, że Polska jako Rzeczpospolita Obojga Narodów istnieć musi, bowiem jest europejskim języczkiem u wagi, było naiwnym złudzeniem. Pierwsza próba odnowy doprowadziła do klęski, bowiem w tej sytuacji, która się utworzyła w wyniku z gruntu błędnej polityki wielu naszych królów — nie tylko potępionych Sasów ale i Sobieskiego — potężna niegdyś Rzeczpospolita mogła już pomiędzy nowymi mocarstwami (czy kandydatami na takowe, jak małe lecz wojownicze wówczas Prusy) wyłącznie wegetować: bezbronna, wydana na cudzą łaskę i niełaskę.

Przejdźmy jednak wreszcie do zagadnień związanych z kulturą artystyczną, zwłaszcza ze sztuką epoki sarmatyzmu. Spośród rozmaitych cech do najważniejszych zaliczyłbym: wielość przy dość dużym stopniu unifikującego, powszechnego konsensu, wielokierunkowe orientowanie się i dochodzenie przez to do swoistego eklektyzmu, zamilowanie do bogactwa i sutości raczej niż finezji, a wreszcie specyficzny typ uczuciowości, na której się nadbudowuje mentalność pełna dziwacznych sprzeczności.

Aby wyjaśnić te może niezbyt jasno sprecyzowane cechy zatrzymam się na chwilę na odrębności struktury społecznej, będącej następstwem formułowania się owej „demokracji szlacheckiej” tak charakterystycznej dla I Rzeczypospolitej. Opisał ją i scharakteryzował Andrzej Zajączkowski (*Główne elementy kultury szlacheckiej w Polsce. Ideologia a struktury społeczne*, Wrocław 1961) określając trafnie mianem „struktura małych sąsiedztw”. Otóż równoległe do procesu absolutyzacji wszystkich niemal większych państw Europy Zachodniej, Polska — poczynając od XVI w. — nie tyle się decentralizuje, co dezabsolutyzuje. Każda zasadnicza komórka owej struktury, którą tworzy własność jednego szlachcica, staje się mini-projekcją całego państwa: pan, czyli szlachcic (obojętne czy na przysłowiowej zagrodzie, czy na iluś tam wioskach) wytwarza swe własne „państwo”, którego staje się ośrodkiem, suwerenem, czymś pośrednim między pomazańcem a patriarchą. To dlatego bardzo często o kluczach majątków mówiło się w dawnej Polsce właśnie — państwo: państwo zamoyskie, państwo lubomirskie, państwo muszyńskie (klucz dóbr biskupów krakowskich). Ale dotyczyło to nie tylko latyfundiów lecz i mniejszych jednostek. Proponowane przez staropolskich teoretyków i ideologów idealne państwo to jednowioskowa komórka, w dużej mierze samowystarczalna, zamknięta w swej zastarzałej formule gospodarczej, ale funkcjonująca nadal w zmieniających się czasach dzięki urodzajności ziemi, która cierpliwie karmiła i „pana” i jego „państwo”, a nawet pozwałała nieraz na spore ekstrawagancje.

Gdy gdzie indziej tworzyły się potężne dwory monarsze i obejmowały dyktat w zakresie obyczajów i mody, a także literatury i sztuk plastycznych, w Rzeczypospolitej takich „ośrodków dyspozycyjnych” na dobrą sprawę nie było. To znaczy: były ale jakby osobne, jakby ponad czy obok „struk-

tury małych sąsiedztw". Mówi się u nas o „sztuce Wazów”, Karpowicz opisał wnikliwie „sztukę oświeconego absolutyzmu” — obejmując tym pojęciem zjawiska mecenatu elity intelektualnej czasów Jana III, przedsięwzięcia artystyczne Sasów też były — przynajmniej w zamierzeniach — znaczne, ale wszystkie te inicjatywy monarsze tworzyły się obok nurtu, który często bywa określany mianem „rodzimego”, a ponieważ nie lubię tego wieloznacznego określenia, więc powiem po prostu: obok nurtu sarmackiego. Niezupełnie oświeconego, niezupełnie zgodnego z wzorami, z których czerpał, oglądającego się pilnie na przemiany mody, a jednocześnie zastygłego w tradycji.

Obserwujemy w sztuce polskiej specyficzne zjawisko długotrwałości w powtarzaniu pewnych wątków, które początkowo przyjmują się jakby z oporem, niechętnie, a potem eksplodują setkami kopii i mutacji. Weźmy najpospolitsze przykłady: ową wielką rodzinę kopułowych kaplic (dokładnie opisanych przez Jerzego Z. Łozińskiego) przystawionych do starszych kościołów lub budowanych wraz z nimi, które tak swojsko i znamienne wzbogacają proste w zasadzie sylwetki naszych świątyń. Ta pierwsza — Zygmuntońska — dość długo musiała czekać na potomstwo, ale kiedy się potem ono wysypało, było tak liczne, jak owe rzędkie klęczących figurek na renesansowych epitafiach polecających opiece boskiej zmarłego wraz z całą pozostałą po nim rodziną.

Przechodzimy dość obojętnie obok tych rozmaitych kopuł, tych dobudówek, tej specyficznie polskiej rozłożystości, która nigdy nie pięła się nadmiernie w górę, za to bez skrępowań rozszerzała, jakby rozsiadała coraz wygodniej, coraz przestronniej. Pamiętam pewną bardzo interesującą wycieczkę do Bretanii: wybrałem się tam w poszukiwaniu słynnych rzeźbionych kalwarii i surowego, granitowego krajobrazu. A więc egzotyki, czegoś niezwykłego w swej inności. I rzeczywiście — jest to kraina fascynująca i rozumiem to uciekanie w jej zacisza artystów z Paryża (a między innymi Władysława Śliwińskiego i Tadeusza Makowskiego), ale jakież było moje zdumienie gdy w tej egzotyce odnalazłem pewne cechy wspólne z moim własnym krajem. Cała sceneria była różna: o ileż surowsza w swej skalistości, o ileż archaiczniejsza w swej kamiennej rzeźbiarstwie, a przecież... Uderzyło mnie to po raz pierwszy w Pleyben: tamtejszy kościół to też zlepek różnych przybudówek, to takie szeroko rozsiadłe domostwo Pana Boga — gospodarza, narastające pokoleniami — a w tym skupisku różnokształtnych brył i kopuł oczywiście nie brakowało. Potem jeszcze okazało się, że wnętrza tamtejszych świątyń przechowują suto złożone i aniołkami-gołodupkami oblepione ołtarze, ambony czy stalle, które gdzie indziej wymiotła Wielka Rewolucja albo doktrynerstwo i antyestetyczna postawa konserwatorów. I wreszcie, że w tym skalistym, celtyckim skrawku pełno lokalnych, nikomu nie znanych świątych (np. św. Fiakr — patron bynajmniej nie doróżkarzy, lecz ogrodników) czczonych pod postaciami świątków nie mniej pałubowatych, wylupiających i czarujących jak te, które niegdyś wypełniały nasze przydrożne kapliczki, dopóki nie wymietli ich „kolekcjonerzy”.

Inne przykłady trwałości pewnych wzorców, to np. nagrobek z półleżącą postacią (tzw. poza sansovinowska), który rozpoczyna się wraz z wawelskim monumentem Zygmunta Starego, eksploduje setkami około roku 1600 i wegetuje w

baroku aż po tak urocze efemerydy jak rokokowa Amalia Mniszchowa w Dukli. Albo typ ołtarzy o kręconych kolumnach, bogatych ornamentach naddatków i zwieńczeń, pełen świątych i owych aniołków-dzieciaków. Albo typ dworu z gankiem kolumnowym, który choć nadspodziewanie późnej daty (ukonstytuował się około r. 1800) ale rozsypał po całym kraju w setkach egzemplarzy, które wszelako dziś — po wszystkich naszych konserwatorskich osiągnięciach — stają się pojedynczymi rarytasami. Tu także — do owych wielkich rodzin układających się w serie, tak trafnie poddane metodologicznej analizie przez Georga Kublera w *Kształcie czasu* — należy portret trumienny, a więc to co się powszechnie uważa za najbardziej sarmacki przejaw polskiej sztuki.

Reasumując: „struktura małych sąsiedztw” sprawiła, że się tu u nas pewne obce impulsy przyjmowały z opóźnieniem, ale poddane procesowi adaptacji wytwarzały pewnego rodzaju społeczny konsensus, który rodził liczebnie bardzo znaczne serie, serie może nawet liczebniejsze w przestrzeni niż w czasie.

Fakt, że nasi przodkowie podejmowali napływające do nich z dala impulsy, sprawia, że obraz naszej kultury renesansu i baroku ma poniekąd wtórny, niesamodzielny charakter. Nie znaczy to jednak, że nie zawiera odrębności. Przecież nie decyduje o kształcie kultury li tylko fakt, że się ją tworzy samemu, czy że się ją z zewnątrz przyjmuje, bowiem wówczas okazałoby się, że owych samodzielnych ośrodków kulturotwórczych jest niewiele, że całe ogromne połacie świata są nietwórcze, wtórne, że są konsumentami a nie producentami. Tymczasem również i te rozległe obszary współtworzą kulturę w inny, pośredni sposób: przetwarzając cudze nauki i propozycje. W naszym przypadku należy pytać co braliśmy i skąd, a następnie co z tymi importami robiliśmy sami. I obawiam się, że pomimo rozległych badań w tej dziedzinie, wciąż jeszcze daleko do syntetycznego obrazu.

Przed wszystkim panują u nas pewne stereotypy i dziwaczne sentymenty. Najchętniej przyznajemy się do czerpania z Włoch — Italia była zawsze dla Polaków Arkadią, owym mitem ziemskiej szczęśliwości, ową starszą siostrą. Bez większych też oporów godzimy się na importy francuskie: sam poniekąd należę do pokolenia, które mówiło po francusku, tak jak dziś mówi się po angielsku, więcej — w konsekwencji stosowało się niegroźne w swej groteskowości gallikańskie makaronizmy. Francja stawała się dla nas w marzeniach jakąś ogólnonarodową Marysienką Sobieską: kobietą pełną powabu, zniewalającą najpotężniejszego herosa. Ale już trudniej przechodzi nam przez gardło że coś wzięliśmy od Niemców, Austriaków, Czechów czy Skandynawów. Podobnie jest z naszą orientacją wschodnią: tak jakbyśmy nadal wierzyli w nasze stepowe, waleczno-nomadyczne pochodzenie, gotowiliśmy przyznawać się do wymiany z Persją, Kaukazem nawet ze sprośnym Turczykiem, ale będziemy wypierać się długów zaciągniętych wobec kultur ruskich narodów. Te wszystkie sentymenty i resentymenty fałszują obraz całości, który jest bardzo skomplikowany, ale który da się rozpoznać i przeznaczyć.

W każdym razie w moim przekonaniu epoka sarmatyzmu odznaczała się szczególnie chłonnym i wielokierunkowym eklektyzmem. Odznaczała się umiejętnością przejmowania rozmaitych impulsów i jednoczenia ich we wspólnym tyglu własnie sarmackiej adaptacji. Sarmatyzm nie stworzył odrębnego

stylu, odrębnej sztuki czy literatury — ale sarmatyzm dał szczególną umiejętność doboru i przystosowania. To jego wielka zasługa i pośród różnych cech czy znamion, które należy osądzić krytycznie, ta z pewnością może być prezentowana w obronie owej ideologii.

Eklektyzm? Fastrygowanie obcych wpływów? Tworzenie papki z rozmaitych pokarmów? Otóż w moim przekonaniu właśnie ta cecha należy do najcenniejszych w kulturowym obrazie I Rzeczypospolitej. Dlaczego — wyjaśnię najprościej. Bowiem ów eklektyzm był konsekwencją modelu kultury otwartej, nieksenofobijnej, nie zawężonej nacjonalistycznie, tolerancyjnej i w swej bardo głębokiej istocie demokratycznej. Jest to po prostu następstwo renesansu, humanizmu, wielkiego XVI stulecia polskiego, które słusznie od dawien dawna zwykło się określać mianem wieku złotego. Ta postawa wobec świata i samych siebie funkcjonowała bowiem nadal, pomimo powolnego wykoślawiania się owego modelu otwartego i przeobrażania w zamknięty, pomimo narastania rozmaitych fobii, pomimo że struktura małych sąsiedztw zaczęła się niestety przeobrażać w strukturę wielkiego zaścianka. Poza tym może być eklektyzm nietwórczy, mechaniczny, powierzchowny, ale może być i taki, który spaja w sposób nowy i świeży stare i znane elementy.

Już w twórczości rzeźbiarskiej Jana Michałowicza z Urzędowa dochodzi do głosu owa tendencja łączenia czynników heterogennych. Czy rzeczywiście rzeźbiarz ten nie wyjechał poza granice kraju? Czy możliwe jest przejmowanie tak wyraźnie niderlandyzujących motywów bez ich bezpośredniej znajomości? Boć włoskie mógł istotnie poznać na miejscu, od działających w Rzeczypospolitej przybyszy z Italii. Ale ci importowani mistrzowie w porównaniu z synem małego miasta na Lubelszczyźnie wydają się dość jednostronni i... nudni. To dopiero Santi Gucci, o jedno pokolenie młodszy od Michałowicza jest twórcą w pełni oryginalnym.

Można cytować wiele przykładów mieszania się i przetapiania różnorodnych wpływów w tyglu sarmackiego społeczeństwa. Może szczególnie wyraziste formy przybierało to we Lwowie, w tym ekumenicznym mieście gdzie katedra łacińska sąsiadowała nie tylko z grecką, ale i ormiańską, gdzie artyści przybyli z Niderlandów (Henryk Horst z przydomkiem Zgodliwy), Flandrii lub Burgundii (Bernard Dickembosch z przezwiskiem Gallus) mieszały się z przybyszami z Niemiec (Herman Hutte-Czapka z Akwizgranu), Śląska (Jan Pfister) no i oczywiście z miejscowymi, do których chyba należy zaliczyć Sebastiana Czeszka, Aleksandra Prochenkowicza czy Stefana Osowicza-Przyjaznego. Ten tygiel, gdzie i Włochów oczywiście nie brakło, dodatkowo wzbogacił się o różnorodność pojawiającego się w środowisku mecenatu: obok bowiem kresowych magnatów występowały patrycjusze — też różnego pochodzenia i rozmaitych wyznań: Boimowie i Kampianowie, Korniaktowie i Szolc-Wolffowicze. Kaplica Boimów jest tylko kulminacją pewnych tendencji, tak jak jest inną tego rodzaju kulminacją dekoracja kamienic zamojskich czy kazimierskich, jak jest nią wspaniale bujna twórczość pińczowskich mistrzów, których wykształcił Gucci.

Wszędzie w tych manifestacjach spontanicznej bujności, bogactwa, nawet gawędziarstwa przemieszanego z retoryką dostrzeżemy, jak się harmonijnie łączą impulsy żywiołowego, chciałoby się rzec materialistycznego włoskiego renesansu z

wyrozumowaną, spekulacyjną abstrakcją północnego, szczególnie zaś niderlandzkiego manieryzmu. To nic, że rolwerki przeobrażają się w tym „murarskim renesansie” w nieco piernikowe, obłe formy, a akant kapuścieje czy dostraja do rodzimych krzewów, pozostaje owa eklektyczna lecz własna i niewątpliwie zasługująca na uznanie wersja sztuki stojącej na stylowym rozdrożu, ale wpisana w rzeczywistość psychiczną kraju, w którym ją stworzono.

Zacytowane przykłady są powszechnie znane i mogą budzić w wielu przypadkach wątpliwość: boć przecież większość wymienionych dzieł powstała w kręgu mecenatu mieszczańskiego, a więc w kręgu tego stanu, którego szlachta nie uważała za wywodzącego się od Sarmatów. Inna jednak sprawa za kogo sami uważali się owi patrycjusze, tak często jeszcze w XVI w. — później coraz rzadziej — przenikający do stanu szlacheckiego, a przynajmniej naśladowujący go w stroju, obyczajach, a nawet starający się zdystansować właśnie bogactwem, ostentacyjnym bo fasadowym bogactwem swych fundacji. Magnaci — jak Firlejowie w Bejskach, czy Uchańscy w Uchaniach — cały niemal wysiłek zdobniczy w swych kaplicach ukierunkowali na wnętrze. Anonimowy autor *Krótkiej nauki budowniczej dworów, pałaców, zamków podług nieba i zwyczaju polskiego z 1659 r.* wyraźnie wskazuje, że rezydencji wiejskiej nie należy nadmiernie zdobić na zewnątrz, bo i klimat nie stosowny i podziwiałych niewiele, więc lepiej skromniej a solidniej i o wygody wnętrza raczej zadbać. Ale mieszczanin mógł swe bogactwo i swój gest pokazać od razu setkom widzów-przechodniów. I z sarmackim zaiste gestem z tej możliwości korzystał.

Chciałbym jednak wskazać na jeszcze jedno interesujące w moim przekonaniu zjawisko: otóż u Panien Klarysek w pięknym Starym Sączu działał na służbie klasztoru w drugiej połowie XVII stulecia malarz (a może dwóch malarzy) który w dobie rozkwitłego baroku, w dobie Tylmana z Gameren i Baltazara Fontány, w dobie owych oświeconych „Sarmatów”, do jakich Karpowicz zaliczał w pierwszym rzędzie Jana III i Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, tworzyli obrazy tablicowe (tzn. malowane na deskach), potraktowane płaszczyznowo, statycznie, ze złotymi, wytłaczanymi ornamentami tłami. Powie ktoś — tradycje gotyckie, trwanie na prowincji cechowego obyczaju średniowiecznego... Nie zgadzam się z taką opinią. W pierwszej połowie XVII w. wyraźnie wygasają ostatnie zjawiska trwania tradycji gotyckiej i owe starosądeckie malowidła z lat 70-tych, 80-tych a nawet 90-tych tego stulecia nie są żadnym objawem odżywiania gotyku. Są one wyrazem pewnego rodzaju wymiany doświadczeń pomiędzy malarstwem ruskim a łacińskim. Drogą wzdłuż górskich polonin dotarł już dawno na sądecką klin ludności, która samą siebie miała w przyszłości określić mianem Łemków. Zasiadli oni pustacie, między innymi owo wspomniane „państwo muszyńskie”: majątki biskupów krakowskich rozciągające się w okolicach Muszyny, Tylicza, Wysowej.

To nowe pastersko-rolnicze społeczeństwo wytworzyło nowe jakości kulturowe. Wraz z tymi wyznawcami prawosławia, którzy już w I połowie wieku XVIII mieli przystąpić do unii z kościołem łacińskim, przybyli artyści — na razie dość prymitywni wychowankowie prowincjonalnych ośrodków „bohomazów” — jakichś Radymn, Rybotycz, Ustrzyk. Wkrótce w miastach tego regionu powstawać zaczęły pracownie malarskie,

służące zarówno łacinnikom jak i grekom. Ikony zaczęły się latynizować, a malarstwo kościelne na odmianę — „bizantynizować”. Niezwykle sarmackie wnętrze kościoła Panien Klarysek w Starym Sączu jest tego doskonałym przykładem: obok takich właśnie, ikonowych obrazów w ołtarzach bocznych — w głównym znajdujemy obraz — nie obraz: srebrną, trybowaną i polichromowaną blachę z wyobrażeniem Trójcy Świętej.

Zwyczaj ubierania w srebro obrazów, najpierw koronami, potem berłami, aureolami, a wreszcie całymi bogato i kwieciste zdobionymi sukienkami też ma swe wyraźnie wschodnie powinowactwo. Że wreszcie cały obraz wykonano ze srebra w starosądeckim kościele zakonnym, to tylko dalsza konsekwencja rozmiłowania w blasku kruszcu raczej, niż w malarzkich walorach dzieła sztuki.

I właśnie wnętrze owej świątyni — z jej barokowym snycerstwem (słynna ambona w kształcie Drzewa Jassego to też swoisty przykład dosłownego przetransportowania w rzeźbę „sarmackiego” kazania), z jej ikonowymi obrazami i „obrazem” srebrnym, z naiwnymi rokokowymi malowidłami ściennymi i średniowiecznymi pamiątkami bł. Kingi, którą również upamiętnia wielka chorągiew procesyjna o srebrnolitym hafcie — to niezwykle wnętrze daje świadectwo sarmackiej eklektycznej syntezy.

Wielokrotnie przychodziło mi podkreślać ozdobność sarmatyzmu. W tej dziedzinie zgodni są wszyscy zajmujący się tym zagadnieniem, poczynając od świetnej, pierwszej syntezy dokonanej przez Tadeusza Mańkowskiego (*Genealogia sarmatyzmu*, Warszawa 1946). I przyszło mi też wskazać na małe stosunkowo zainteresowanie jakościami estetycznymi o bardziej wysublimowanym charakterze. „Choć nie wisi u mnie nowy żaden lanczoft rubensowy, kunterektów też niewiele i nie żadne Dolabelle” — wyznaje najznakomitszy poeta rozwiniętego baroku — Wespazjan Kochowski, któremu w jego własnym domu wystarczają zamiast dzieł sztuki — szpalery (tkane obicia lub zawieszenia na ścianę) i spokojne sumienie.

Dlatego o wiele znakomitsze jest w XVI, XVII, XVIII w. tzw. rzemiosło artystyczne niż sztuka przez duże S: malarstwo czy rzeźba. Traktowano z równą powagą ozdobność wnętrza dworów czy pałaców, jak też ozdobność sprzętów. Ważniejszy był okazały strój (z tą całą męską biżuterią, której tyle znakomitych przykładów znajdujemy w staropolskich portretach), ozdobna broń, srebrna zastawa stołowa. Pewnego rodzaju ozdobna efemeryczność unosi się nad całą epoką. Coraz więcej tworzy się dekoracji jednorazowych, sztuki przeznaczonej do zniszczenia a nie do trwania. Od początku w. XVII powoli zanikać zaczynają okazałe nagrobki, które były renesansową afirmacją wiecznotrwalej sławy jednostki. Im dalej w głąb baroku, tym silniej pragnie się werbalnie i okazjonalnie ową jednostkę uczcić, zachwycić zebranych, zapominając na dobrą sprawę o potomnych. To dlatego ów rozkwit okazałych pogrzebów (*Pompa funebris* Chrościckiego), ale także zaślubin, urodzin, uroczystości państwowych (koronacji, intrad, ślubów monarszych) czy kościelnych (procesje, beatyfikacje, koronacje obrazów itd.). Sztuka epoki sarmatyzmu jest jak wielki sejm, czy mniejszy, ale nie mniej hałaśliwy sejmik: większość z tego ulatuje wraz z retorycznymi popisami, zostaje na stałe o wiele mniej, utrwała się tylko drobna część. Gdyby sztuka naszego baroku i rokoka utrzymała całą wspa-



Ikona św. Onufrego w zbiorach Muzeum w Nowym Sączu, to przykład malarstwa z obrazem lombowickiego grawitującego ku motywowi barokowemu, ale ograniczającego je w duchu sztuki ludzkiej.



(Jeszcze ciemno: gromadzące się nad Rzeczpospolitą były dostrzeżone przez wiatrosłuchających ludzi; oto i namiot frontopu politycznego u wosku Jana Dymła Sokołowskiego i charakterystycznym mottem: „DOM RZECZY POSPOLITEJ — DOM DOBROJ WŁADY”).

niałość tamtej epoki, poruszalibyśmy się pośród istnego lasu zabytków. Ale ponieważ wylądowała się na efemerycznych pokazach, błakamy się pośród niezbyt licznych przekazów opisowych, jeszcze rzadszych ikonograficznych oraz pośród bezbrzeżnych pustaci naszego zachowanego krajobrazu kulturowego: pełno tych łysin, pełno poręb i ugorów — pozostałości następstw niezycziwej historii ale i własnego niedbalstwa.

Ozdobność ta kojarzy się niepodzielnie z zamiłowaniem do wielosłownia, do tej retoryki, którą należało osiąść możliwie najpełniej, najblyskotliwiej, jeśli się chciało wspiąć w hierarchii społecznej. Domniemani Sarmaci lubili się utożsamiać ze starożytnymi, nasze herbarze dawnych wieków pełne są dziwacznych wywodów, z których wynikało, że poszczególne rody biorą swój początek od Rzymian, a niepowtarzalny ksiądz Wojciech z Konojad Dębolecki całą naszą nację wywiódł od Adama i Ewy i przyznał jej najpierwsze miejsce w świecie. Demostenes i Cicero zajęli więc niepoślednie miejsce w panteonie polskim: obok sarmackich Marsów, polskich Herkulesów, słowiańskich Horacych, bowiem w tych pseudogenealogiach mit mieszał się z historią równie łatwo, jak ornamenty importowane z Włoch, Niderlandów czy Persji.

Kiedy kasztelan krakowski synów na zagraniczne studia przygotowywał, to udzielił preceptorowi wskazówki, by się przede wszystkim obcych języków uczyli, by trochę tańca i muzyki liznęli, bo to się może na dworze królewskim przydać, a logiki i metafizyki wcale nie zalecał, zaś „dialektyki życzę, aby tylko tak słuchali, żeby im do retoryk pomocna była...” Widać skuteczne były to rady, skoro jeden z kasztelanów aż do korony monarszej dotarł: był nim bowiem Jan Sobieski. Gdy mówię o ozdobności, nasuwa mi się jeszcze inne określenie: sutość. W kraju Sarmatów lubiano dużo i tłusto jadać, dużo a nawet bez miary pić, stąd ta powszechność podagry na stare lata, o ile się w ogóle starych lat dożywało. To odzwierciedla się również w sztuce. Zwróciłem uwagę, że nie przepadano w naszym kraju za zbyt abstrakcyjną, zbyt wykoncypowaną dekoracją. Nienapisanym traktatem w polskiej historii sztuki jest traktat o kwiatach polskich. Wyczuł to intuicją poety Julian Tuwim i początek jego poematu, w którym opisuje polski bukiet („wiązany wzwyz i stromo”), przychodzi mi zawsze na myśl, gdy oglądam malowidła ścienne kościołów wiejskich, hafty na szatach liturgicznych, późne miniatury, nawet snycerstwo. Pełno w naszej sztuce kwiatów, i to specyficznie polskich, nie wysubtelnionych, wyrafinowanych czy egzaltowanych, ale pełnych, bujnych, rozwierających się ku nam całą swą barwnością. Kapy, ornaty, antependia zachowane w klasztorze w Żarnowcu na Pomorzu (gdzie panny Benedyktynki dziewczęta szlacheckie do zbożnego a pożytecznego żywota pościwego także przy pomocy igły sposobily), kipiące kwiatami bordiury ogromnego i kolorowego Gradualu krakowskich karmelitów z 1644 r., ołtarze boczne z początku wieku XVIII w jakże ślicznej i jakże sarmackiej farze krosieńskiej, a także setki rozmaitych po całym kraju rozsianych zabytków przyozdabia kwiecistość i sutość. Kwiaty bowiem swą bujnością dobre wróżą plony, a plony to była podstawa bytu (i podstawa rozrzutności) „żyznego Sarmaty”.

Każdy naród ma jakiś swój epos: starożytni Grecy zaprezentowali nam się poprzez Homera jako naród wojowników i chytrusów nielada, Germanie jako nigdy nie syci krwi stróże

ukrytych skarbów Nibelungów, jedni chwalili się bohaterstwem, inni bogactwem uczuć, Czesi wystawili sobie pomnik przy pomocy Szwejka, a my... w opisach biesiad.

Już u Reja znajdziemy niby to przestrogi, ale z jaką lubością opisane objawy grzechu obżarstwa i opilstwa: stoły uginające się od sarmackich martwych natur. Opis jądła, żeby nie wiem jak wymyślnego, ale przecież zwykłego jądła osiąga apogeum i uzyskuje wymiar poetycki u Mickiewicza.

Bowiem należałoby postawić pytanie: dobrze, Sarmaci miłowali bogactwo, zwłaszcza to, w które zaopatrywał ich ten żyzny kraj, zachwycali się pięknem tego jednowioskowego własnego „państwa”, przeciwstawiając je na obcą modę strojonym belwederom stolicy (Wacław Potocki), cenili sute biesiady w gronie „dobrych towarzyszy” (stąd znany cykl obscenicznych fraszek Kochanowskiego *Dobrym towarzyszom gwo-li*). Powinno więc było w naszym kraju kwitnąć malarstwo krajobrazowe, malarstwo martwych natur — niczym w Niderlandach. Ale — aż po wiek XIX wcale nie kwitło. I jeden z mało znanych poetów XVII w. dal proste wyjaśnienie tego zjawiska: to tylko mieszczenie potrzebowali malowanych „lanczoftów” (pejzaży), bo ich sami w mieście nie mieli, a szlachcicowi wystarczyło odewrzeć okno lub wyjść przez próg, by wzrok nasycić owym pięknem krajobrazu. I to samo można było odnieść do martwych natur: ceniono tylko te, które istniały rzeczywiście, po które można było sięgnąć ręką, aby nasycić głód czy pragnienie. A — jak mówi stare przysłowie — apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Więc ozdobność wyrażała się u Sarmatów nie w naśladowaniu tego, co było osiągalne wzrokiem czy ręką, ale w dodatkowym przybieraniu tego, co się przybrać dało: przywdziewano sute stroje, na zastawione jądłem stoły dokładano ozdobne, drogocenne naczynia: srebrne dzbany, szklane roztruhany, kryształowe kielichy, przybierano po jubilersku broń, jakby nie do walki służyła w pierwszym rzędzie, lecz do parady. Długi korowód „rolki sztokholmskiej”, ilustrującej wjazd Katarzyny Austriaczki do Krakowa na ślub z Zygmuntem III, znany miedzioryt Della Belli z wjazdem poselstwa Ossolińskiego do Rzymu, ilustracje dekoracji wykonanej z okazji koronacji Matki Boskiej Berdyczowskiej (w dziele G. Trześniowskiego *Ozdoba i obrona ukraińskich krajów...*, Berdyczów 1767) i dziesiątki innych tego rodzaju przekazów ukazują nam jakąś egzotyczną: azjatycko-afrykańską wizję dziwacznych jeźdźców i niezwykle ozdób.

I tu leży przyczyna specyficznego rodzaju recepcji Orientu w kulturze, a zwłaszcza w sztuce minionych stuleci. Przecież ten daleki i nawet jeszcze dalszy niż Persja wschód: Chiny, Japonia — intrygowały i fascynowały zachodnią Europę. I tam raz po raz przechodziły fale mód na egzotykę, więc tworzono rozmaite „chinoisseries”, „turqueries”, „maroquineries” czy wręcz dekorację małpią: „singeries”. Fajanse delfckie możliwie najdokładniej podrabiały motywy chińskie, a wytwórnia w Miśni też od orientalnych motywów zaczynała wielką karierę porcelany europejskiej. Ale u nas Orient to nie było tylko naśladowanie, imitacja czy adaptacja, to był styl życia, to była część tego życia. Z niezwykłą niefrasobliwością dawni Polacy przyjmowali, zarówno swe azjatyckie pochodzenie jak i antyczne grecko-rzymskie koligacje. Każde kolejne pokolenie Sarmatów rodziło się nie tyle „z buławą w tornistrze”, ale w todze i z buzdyganem w rączkach, goto-

we spełniać misję antycznego senatora-republikanina i azjatyckiego wojaka na rączym wierzchowcu.

Orient był po prostu częścią codziennej rzeczywistości Sarmatów mniemanych, tak jak była ich codzienną rzeczywistością żyzność ziem Rzeczypospolitej, jej od Boga ustanowiona moc i chwała, jej dziejowe posłannictwo przedmurza przeciwko poganom. Bowiem ani tych kilka wybranych aspektów sarmatyzmu, ani wszystkie pozostałe nie dadzą się zrozumieć i wyjaśnić bez całościowego spojrzenia na przeszłość naszego kraju i na może zbyt skomplikowane, ale za to niewątpliwie dwoiste cechy charakteru narodowego.

Sarmatyzm wyrósł z potrzeby uzasadnienia ideologicznego: najpierw dynastycznych a więc federacyjnych zamierzeń jagiellońskich, później demokratycznych aspiracji mas szlacheckich, jeszcze później stał się orężem sloganów w rękach zwalczających się stronnictw i frakcji, a wreszcie przeobraził się w puste klisze, absurdalne, irracjonalne, ale zakotwiczone mocno w „czerepach rubasznych”. Sarmatyzm z ideologii promieniował na styl życia, na postawę wobec Boga i innych ludzi, wobec całej Rzeczypospolitej i wobec własnego „państwa”. I wreszcie sarmatyzm przeglądał się — jak w zwierciadle — w wytworach kultury duchowej, w literaturze, w sztukach pięknych, w muzyce i swoistym teatrze, skoro teatrem nazwiemy tu również owe wielkie efemeryczne uroczystości baroku. Żeby w pełni zrozumieć sarmatyzm trzeba lepiej dotrzeć do psychicznych pokładów warunkujących światopogląd „statystycznego Sarmaty”, a to wymagałoby dalszego rozwijania wątku, nie wiadomo jak jeszcze długo, bowiem owa psychika, jak zaznaczyłem, niezbyt może skomplikowana, ani nadmierne sofistyczna, ani też mistyczna, lekce sobie wążąca logikę na rzecz dialektyki, a sprawy najdonioślejsze usuwająca w cień rozmaitych prowidencjalizmów i mesjanizmów, ta psychika na tyle jednak była wewnętrznie sprzeczna, zbudowana z przeciwieństw, iż niesposób ją w krótkie ująć formuły. Staralem się to zresztą zrobić już przed kilku laty, w książeczce *Zywe i martwe granice*.

Nie zamierzam się jednak powtarzać i kończąc chciałbym na jedno zwrócić uwagę. Sarmatyzm od dawna oceniany był krytycznie. Sama nazwa wyrosła z ducha krytyki oświeceniowej („Monitor”, komedia Zabłockiego). Później, kiedy zaczął poprzez swe refleksy w sztuce fascynować, nie wyzbył się piętna współuczestnictwa w procesie rozkładu Rzeczypospolitej. Stawia się znak równania nie tylko między sarmatyzmem a barokiem czy kontrreformacją, ale także między sarmatyzmem, a anarchią, nierządem, „liberum veto”.

I znów popełnia się pewien błąd utożsamiając szerokie pojęcie z jakimś wycinkiem naszych dziejów. Sarmatyzm to rzeczywiście i „liberum veto”, i anarchia, i wreszcie Targowica. Ale sarmatyzm to też ruch egzekucyjny, idea federacyjnego i parlamentarnego ustroju, postawa otwarta tolerancji i wolności. Po prostu sarmatyzm to wielka szkatuła naszych narzeczonych sprzecznościami dziejów. To była doniosła i prekursorska zapowiedź, którą sami wywiedliśmy na bezdroża. Z nauk sarmatyzmu brały później inne narody i można rzec śmiało, że wówczas gdy nasze państwo wielonarodowe, wielowyznaniowe i mimo wszystkich wypaczeń — demokratyczne runęło w gruzy i wykreślone zostało z map, wówczas dopiero ta wolnościowo-federacyjna idea zaczęła sobie torować drogę, burząc krok za krokiem wspinały ale niemniej od sarmatyzmu zmurszały absolutyzm europejskich monarchii.

Jednym z ostatnich — przed Sejmem Czteroletnim, Konstytucją 3 maja i Targowicą — przejawów politycznych owej sarmackiej ideologii była Konfederacja Barska. Ocena jej jest raczej negatywna: może idee były piękne, wspaniała niewątpliwie poezja, ale nieudolność przywódców i bezradność uciekających nieustannie wojowników — przytłaczają i jeszcze dziś odbierają otuchę. Ale oto jeden z bohaterów tej wojenki, Kazimierz Puławski oddający życie za niepodległość innego kraju: Stanów Zjednoczonych. Ten przykład niech wystarczy, by unaocznic jakie były rzeczywiste dążenia sarmatyzmu. dokąd prowadziły zarysowane przez niego perspektywy. Warto sobie uświadomić tę gorzką lekcję historii, gdy próbujemy oceniać własną przeszłość.

Nie należę do ślepych obrońców sarmatyzmu, staram się nigdy nie poddawać ubezwłasnowolnieniu przez temat, który podejmuję. Widzę wyraźnie wszystkie błędy i wszystkie szkody popełnione w cieniu tej ideologii. Widzę z tym większym smutkiem, z im większą dumą spoglądam na te wszystkie wartości, które — przed wiekami — ojczyzna moja wniosła w dorobek całej ludzkości.

Tadeusz Chrzanowski

teatr

MARIAN RAWIŃSKI

Oniryczny teatr wizjonerski od Strindberga do Artauda

Jest moim zamiarem dać możliwie przejrzysty zarys jednej z wielkich perspektyw rozwoju jakie przed współczesną dramaturgią i teatrem otwierał okres przełomu stuleci.

Granice współczesności w prezentowanym ujęciu wytycza moment wejścia teatru w przymierze z naturalizmem, z jego programem „poparcia dla szerokiego ruchu prawdy”. Odkrywając mechanizmy wyobcowujące człowieka ze środowiska kultury realizm teatralny zaprzeczy jedności tego co podmiotowe i przedmiotowe. A właśnie ta jedność, artykułowana poprzez akcję, wedle Hegla konstytuuje dramat, ukształtowaną historycznie strukturę literacką. Późne arcydzieła Ibsena i Czechowa wyznaczają dla tej struktury krytyczną, ewolucyjnie przełomową fazę „unieruchomienia” bohatera, inaczej: dysocjacji przedmiotowej charakterystyki „środowiska” i wewnętrznych, podmiotowo-psychicznych przeżyć, nie obiektywizowanych w akcji. Możliwość działania zwróci bohaterom dramatu ich przypisanie wyobcowanej sferze stosunków przedmiotowych, co ma miejsce w poibsenowskim realizmie teatralnym.

Możliwe wszelako jest inne z alternatywnych rozwiązań „kryzysu dramatu”, utwierdzające „ja” subiektywne w strukturalnie suwerennej roli podmiotu. Problemem, przy takim rozwiązaniu, staje się dotarcie dramaturga do głębszych, nie-dość jeszcze wyeksplorowanych warstw psychiki: *Jak można poznać ukryte motywy czyjś czynu (...)?* Ci autorzy — powątpiewa Strindberg — którzy z pomocą swej skąpej znajomości psychiki usiłowali zobrazować, choćby szkicowo, życie duszy, pozostające w rzeczywistości ukryte, nie popchnęły dotąd naprzód wiedzy o człowieku¹.

Właśnie bowiem „ukryte życie duszy”, często własnej duszy autora, wyznaczać będzie przestrzeń symboliczną dziania się. W jej granicach tracą ważność stare rygory formy dramatu, i uchylony zostaje, siłą faktu, arystotelesowski aksjomat: wymóg prawdopodobieństwa, wsparty przecież o logiczne i racjonalne (najczęściej zdroworoządkowe) sprawdzenia

¹ Cyt. wg C. E. Dahlstrom: *Strindberg's Dramatic Expressionism*, Ann Arbor 1930, s. 99.

ny. Zainteresowania twórców, w omawianym nurcie scenopisarstwa, odważniej kierują się ku sferze pierwotnych energii i pragnień, będących w stosunku konfliktu ze światem autorytetów społecznych, z kulturą w ogólności, i usuniętych z pola świadomej percepcji wewnętrznej. Kryje się za tym czujna nieufność wobec instancji *c o g i t o*, przez Freuda zdemaskowanej w roli regulatora dostępu do „rzeczy samej”, do prawdy. Autorzy szukać będą sensów niejawnych, znaków ukrytej rzeczywistości, w treści przeżyć uświadomionych i w tym co bezpośrednio udostępnia się percepcji: poprzez marzenia senne, przekazy folkloru i mitologii, wreszcie urojenia stanów paranormalnych (histeria, obłąd). Tym ostatnim przypisuje się pozytywny walor aktów swoistej rewindykacji, niezgody na konformizujące osobowość naciski i restrykcje kulturowe.

Sen, ze zrozumiałych przyczyn, uznany jest za domenę życia psychicznego najwięcej obiecującą, nie tylko gdy idzie o szanse poznawcze sztuki, ale i o możliwość samoekspresji, o sterowanie w tym kierunku procesem twórczym. Nie sposób przy tym przecenić inspirującą rolę psychoanalitycznej interpretacji snów, która przynieść miała wiedzę o mechanizmach „wypaczeń” i „przesunięć”, owych dróg oporu jaki muszą pokonać tłumienia, by ujawnić się w postaci marzeń sennych. W świetle odkryć Traumdeutung rysują się frapujące analogie między „pracą” snu (we freudowskim rozumieniu pojęcia) i twórczą pracą artysty. Oznacza to zasadniczy przełom w artystycznym sposobie użycia marzeń sennych. Zwyczajowo bowiem motyw snu wiązał się z elementami alegorii, w funkcji nośnika określonej „wizji świata”, w której dana epoka bez trudu mogła rozpoznać własne oblicze.

Sprawcą przełomu nie jest nadrealizm, jak sądzi się często, choć istotnie on pierwszy w dziejach myśli estetycznej wywodził swą koncepcję z teorii marzeń sennych i stanów delirycznych. Spekulacje teoretyczne Bretona w tym przedmiocie wyprzedza o dobre ćwierćwiecze praktyka dramatopisarska Augusta Strindberga, autora sztuk o charakterze gry snów. W dramacie pod takim tytułem, notą „od autora” dekretuje Strindberg istnienie nowej, onirycznej struktury literacko-teatralnej:

Autor próbował w niniejszej sztuce naśladować nieskoordynowaną, lecz pozornie logiczną formę snu. Wszystko może się wydarzyć, wszystko jest możliwe i prawdopodobne. Czas i miejsce nie istnieją. Na błażej podstawie rzeczywistości fantazja snuje i tka nowe wzory: mieszanie wspomnień, przeżyć, swobodnych pomysłów, nonsensów i improwizacji. Osoby rozdwarzają się i podwajają, są dublowane, roztapiają się, zaszczają i jednoczą. Lecz ponad wszystkimi stoi jedna świadomość: Poety. Nie ma dla niego żadnych tajemnic, żadnych niekonsekwencji, żadnych skrupułów, żadnych praw. Nie wydaje wyroków ani nie uwalnia, tylko relacjonuje¹.

Fragment powyższy odsyła do głębokich pokładów jaźni jako właściwych źródeł inwencji twórczej: w tym zamiarze przecież akcentuje paralelność przebiegów „pracy” snu i pracy poety — dramatopisarza.

Wszelako w przeżycie wizjonerskie artysty wpisuje się określone „przedrozumienie” symboli onirycznych odmienne od koncepcji Freuda, który skłonny jest rozpatrywać wszelkie przejawy nieświadomości, z artystycznymi włącznie, w „ekonomicznych” kategoriach stosunku pragnienia i spełnienia,

¹ A. Strindberg: *Wybór dramatów*, Ossolineum 1977, s. 733.

przypisując je nadrzędnej, przystosowawczej funkcji powściągnięcia libido, poskramiania „zasady przyjemności” na rzecz „zasady rzeczywistości”. Ograniczona w podobnej roli — wedle przeświadczenia twórców — sztuka grzęzłaby w konformizmie, utrwalając stan kultury nadmiernie represywnej, nieprzyjaznej funkcjom życia.

U podstaw istnienia teatru onirycznego dostrzegamy krytykę kultury, o tyle radykalną, o ile perspektywę jej odnowy wiązać się będzie z nakazem aktywnej rewindykacji cennych i wartościotwórczych własności człowieka, takich jak pragnienia, kreatywna siła wyobraźni, uczucia metafizyczne etc. Estetyka „formy snu” wikła zatem wyobraźnię w anamnestyczny wysilek ożywiania treści nieświadomych, w ruch zstępujący ku archaicznym pokładom duszy, aż do mitycznych praźródeł kultury, by stamtąd kierować — jakkolwiek paradoksalnie będzie to brzmiało — odrodzence posłanie do współczesnych. Symbolika oniryczna ujawni takim sposobem nieprzeżywany wymiar „mowy przynależnej *sacrum*” (Eliade).

O ten wymiar, obcy hermeneutyce Freuda, głośno upomni się „metapsychoanaliza” religioznawcza, idąc najwyraźniej w sukurs dramaturgii:

Wymykając się swej historyczności, człowiek nie abdykuje ze swej godności istoty ludzkiej, aby zatracić się w „zwierzęcości”, odnajduje on mowę, a czasami doświadczenie „raju utraconego”. Sny, sny na jawie, obrazy tęsknot, pożądań, zapalów itp. — wszystko to siły, które przenoszą istotę ludzką, historycznie uwarunkowaną, w świat duchowy nieporównanie bogatszy niż zamknięty świat „chwili historycznej”. (...) Tak zwana podświadomość jest znacznie bardziej poetycka i, dodalibyśmy, bardziej filozoficzna, bardziej „mityczna” niż życie świadome².

Trzeba więc mówić o dwoistym jakby ukierunkowaniu symboli, jednocześnie „retrospektywnym” i „prospektywnym”, co zwykle się określać mianem *predeterminowania*. Rozumiemy pod tym pojęciem, za Paulem Ricoeurem ową zdolność właściwą prawdziwym symbolom, która pozwala nam przeżyć powtórnie w marzeniach sennych, na sposób onejryczny, nasze dzieciństwo i być może również dzieciństwo ludzkości, będąc jednocześnie projekcją naszych możliwości³.

W nowej estetyce formy snu, z uwagi na tę własność symboli dramaturg zyskuje użyteczny instrument przewyciężenia relatywizmu „chwili historycznej”. Przez kontakt z głębokimi pokładami psychiki, aktywizujący jej przymioty i funkcje wartościotwórcze, jej energię „formacyjną”, *g r a s n ó w* teatru ma w mniemaniu autorów objawić inną rzeczywistość („wyższą”, „absolutną”, „ostateczną”), metafizyczną jedność „ja” i całego bytu, rodzaj „nadrzeczywistości”, czy jak jeszcze nazwie się ów nadrzędny, metahistoryczny układ odniesienia. Stanowi on w każdym wypadku, niezależnie od nazwy i wykładni interpretacyjnej — konsekwentnie laickiej, bądź religijnej czy ezoterycznej — właściwy korelat twórczych, wizjonerskich przeżyć artysty; korelat, w realizacjach czystych modelowo, świadomości zreintegrowanej z nieświadomością.

Nasuwa się analogia z mechanizmem „narodzin jaźni”, w fa-

² M. Eliade: *Sacrum, mit, historia*. Wybór esejów, Warszawa 1974, s. 22.

³ P. Ricoeur: *Ekzystencja i hermeneutyka*, Warszawa 1975, s. 88.

zie zwieńczającej jednostkowy wysiłek indywidualności — jak prezentuje ów proces antropologia Junga. Oczywiście pominać wypadnie w tym miejscu aspekt psychologiczny zjawiska, dla nas pozamerytoryczny. Znaczący przecież i godny podkreślenia wydaje się fakt, iż języki analizy psychologicznej i artystycznej syntetyzują, operując na paralelnych płaszczyznach, posługują się tożsamymi kategoriami odrodzenia, odnowy, przemiany etc.

Istotnie te pojęcia leżą w centrum słownika snów teatru. Stanowią, w odniesieniu do wielu sztuk, wykładnik jedności tematu, określają explicite przedmiot „akcji”. Ale też dotykają, implicite, sedna funkcjonowania dramaturgii w nurcie „gry snów” zawsze przecież obliczonej na aktywizowanie „sił integracyjnych w umyśle każdego pojedynczego widza” (M Es-slin).

Zauważyć trzeba ponadto iż teatr, pośród innych środków przekazu, legitymuje się sobie tylko właściwym przywilejem: jest dla artysty tym czym język dla poety, „przedłużeniem jego zmysłów” (określenie Sartre’a), bardziej rzeczą aniżeli znakiem, przekazem w większym stopniu niż przekazywaniem.

Konkretny język — przekaz, uykający artykułowanym w mowie znaczeniom, stwarza możliwość fizycznego wymuszenia na widzu efektów metafizycznych.

Sztuka marzeń sennych, niejako z istoty swej odrodzencej misji, skazana jest na bytowanie w ścisłej symbiozie ze sztuką teatru. Stąd autentyczna troska pisarzy o stan tej ostatniej, i uporczywe próby jej reformowania (zarówno w teorii, jak w praktyce reżyserskiej), wysiłki ponawiane z myślą o „totalnym” języku teatru, o scaleniu tego co duchowe i materialne, „fizyki” i „metafizyki”, w zwarty rytuał widowiska.

Współistnienie z teatrem, ożywcze dla dramaturgii, otwiera przed nią bogate możliwości rozwoju. Stosownie najpierw do postaw myślowych autorów, rozmaitych ideologii, w punkcie wyjścia twórczości; przede wszystkim jednak, w jej punkcie dojścia do stopnia w jakim duchowa, symboliczna przestrzeń dramatu ulega zawłaszczeniu przez czynnik autobiografii.

Miejsca graniczne, na tej skali wyborów pisarskich, wyznaczają będą ekspresjonizm i nadrealizm. Między subiektywizmem Ich-Dramatik i uniwersalizmem projektu Artauda rozciąga się obszar możliwych urzeczywistnień estetyki formy snu.

Rozwój nurtu wizjonerskiej, onirycznej dramaturgii zapoczątkowuje dzieło jej prawodawcy: Augusta Strindberga.

Przypomnieć trzeba, iż sztuki o charakterze „gry snów” odgranicza od wcześniejszej fazy zbliżenia z naturalizmem wyrazista cezura biograficzna „kryzysu Inferna”. Miał on przynieść — niejako w ozdrowieńczym efekcie „doświadczenia schizofrenicznego” — doniosłe przewartościowanie ogólnowiatopoglądowe, radykalne nie tylko w odczuciu samego pisarza (deklarującego nawrót wiary) ale i z uwagi na artystyczne implikacje. Pozytywistyczny kanon „prawdy nauki” zastąpi inne zgoła jej rozumienie, uporczywie weryfikowane w pracy pisarskiej, ale też na gruncie wielostronnych dociekań badawczych mistyka i przyrodnika, „prawowitego następcy Celsjusza, Linneusza i Swedenborga” (określenie T. Manna).

Heretycki paradygmat chce godzić autorytet nauki i żarliwą

postawą neofity, poznaniu stwarzać ma gwarancje bezpośrednich przeżyć wewnętrznych — najwyraźniej w duchu tradycji myśli gnostycznej, gnozy wschodniej i zwłaszcza chrześcijańskiej, nobilitującej myślenie symboliczne w funkcji narzędzia dostępu do tajemnic duszy, do zagadkowo dynamicznej psychiki pozaświadomej. Biblia i jej hermetyczne wykładnie, filozofia teozoficzna, religia hinduizmu, pisma Swedenborga wreszcie — wyznaczać będą, w obrębie wspomnianej tradycji, krąg lekturowych fascynacji silnie inspirujących twórczość Strindberga. One w dużej mierze określają język mitologiczny trylogii *Do Damaszku*, *Gry snów*, *Sonaty widm* i podsuną nowatorski sposób użycia symboli, w drodze śmiałej subiektywizacji przestrzeni dramatu.

Programowy subiektywizm w żadnej chyba sztuce nie realizuje się z konsekwencją tak zupełną jak w preekspresjonistycznej trylogii *Do Damaszku*. Ale też żaden inny dramat nie nosi równie silnego piętna uwarunkowań biograficznych. Echa udreńczających przeżyć „kryzysu Inferna” sumują się tu w całość z założenia konfesyjną, w świadectwo duchowego przełomu.

Mechanizm projekcji „ukrytego życia duszy” statuuje w tym dramacie zasadniczy chwyt formalny. Nieświadomość narzuca się spostrzeżeniom bohatera jako obcy świat, zobiektywizowany w zewnętrznym oglądzie. Na szlaku wędrówki, wytyczonym pośród sennego pejzażu, Nieznajomy napotyka osoby będące aspektami jego psychiki, urobione z materii słumień i symptomów kompulsywnych, urazów i kompleksów. Przy ewidentnie autobiograficznym nacechowaniu symbolika oniryczna objawia również swój sens prospektywno-proroczy.

Funkcja prospekcyjna wyraźnie zaznacza się w kontekście odniesień do Biblii a co za tym idzie w moralitetowym kształcie „dramatu stacji”, z Nieznajomym — „Każdym” w roli jedyne-go protagonisty. Jego droga „do Damaszku” — o tym przesądza całokształt konotacji nowotestamentowych, zresztą sugerowanych w tytule — wiedzie ku przeżyciu konwersji, a więc specyficznie religijnemu doświadczeniu sacrum.

Wszelako projekcyjny mechanizm, wiodący ku owemu przeżyciu znakomicie współbrzmi z danymi psychologii nieświadomości; spełnia, innymi słowy, motywacyjne rygory jakie ex post dopiero określi myśl analityczna jungizmu.

Rygory kompozycji moralitetowej „Stationendrama” (tak użytecznej potem dla nurtu dramaturgii „ja”) ulegną rozluźnieniu i modyfikacji w kolejnych sztukach onirycznych.

I tak *Gra snów* realizuje najwierniej, w sposób niejako modelowy, reguły estetyki formy snu. Przywileju instancji podmiotowej, określającej ramy tematyczne i przestrzennoczasowe szeregu scen wizji, nie zawłaszcza tutaj żadna z postaci. W sensie formalnym, co orzeka odautorska nota, pozostaje on wyłączną domeną „jednej świadomości: Poety”, śniącego medium.

Owe przemieszczenie centrum świadomości nie jest bez związku z zasadą, explicite przez Strindberga formułowaną, iż „żadna określona forma nie powinna wiązać autora, bo motyw określa formę”⁵. Jakoż koncepcja snu scenicznego znajduje w sztuce „motywowe” właśnie uzasadnienie: przynosi je, w obrazowej postaci mitu, scena kulminacji dramatycznej:

⁵ A. Strindberg: *Memorandum reżysera do członków zespołu Intima Teatren*, (w:) *Wybór dramatów*, op. cit., s. 1061.

Córka Indry

W zaraniu czasów, zanim rozblęsnęło słońce, Brahma, boska, prapierwotna moc, dał się nakłonić Mai, matce świata, do splodzenia potomstwa. To zetknięcie się boskiego prapierwiastka z pierwiastkiem ziemskim było grzechem pierworodnym: nieba, Świat, życie i ludzie są zatem tylko fantomem, przywidzeniem, sennym widziadłem...⁶

Motywowana kosmogonia pretenduje nie przypadkiem do miana rozwiązania „zagadki świata”. Mit upadku boga „w zaraniu czasów” ma być tutaj czymś w rodzaju podstawowej figury rozumienia człowieka. W tej przeciwieśnej intencji scala on długi szereg onirycznych przedstawień w syntetyczny obraz conditionem humanam. Religijne — z ducha gnostycyzmu — otwarcie na „zaświat” nakazuje ów obraz rzutować w czasozestrzeń dramatu kosmicznego, umiejscawia go w fazie alienacyjnej („widziadlanej”) bytowania ludzi: między Upadkiem, „w zaraniu czasów” i perspektywą zbawienia, u ich kresu. Przy tym kosmogonia najściślej koresponduje z psychologią. Brzemie upadku odciska się piętnem bolesnych powikłań duchowej konstrukcji człowieka, co też wprost objawia Poezie Córka Indry, już u kresu wędrówki przez kręgi ziemskiego piekła.

Rozwiązanie zagadki bytu, jakkolwiek nosi cechę rewelacji quasi-mistycznej, brzmi zdumiewająco nowocześnie: tajemnica, w wymiarze psychicznym egzystencji, wyklada się poprzez wzór formuły współ- i przeciwdziałania konfliktowych pragnień, oscylujących „między podnieceniem ciała i pokutniczą udręką”, między popędem miłosnym i dążeniem do ascezy, popędem śmierci wedle freudowskiej nomenklatury.

Tytułowa „gra snów” prekursorska wobec zamierzeń nadrealizmu, daje wgląd już nie w tajniki jednostkowej duszy, lecz w mechanizm uniwersum psychiki, z ukrycia sterujący postępowaniem ludzi. Przy tym jednoczy w całość „oksymoronicznej wizji świata” elementy biegunowo przeciwne: mistycyzm iluministyczny i racjonalizm odkrywczych intuicji psychologicznych.⁷

Świat z piętnem grzechu pierworodnego, o silnym zagęszczeniu rysów zła i brzydoty, obrazują również późne „sztuki kameralne” z *Sonatą widm*, najwybitniejszą z cyklu. Urzeczywistnia ona dyskretniej oniryczne reguły estetyki. Od *Gry snów* najistotniej różni ten utwór zastosowanie symbolu wywodzące się m.in. z doktryny odpowiedników, idei przenikania się planów bytu, współodpowiedzialności duszy ludzkiej, zjawisk świata fizycznego i makrokosmosu. *Sonata* przywraca w związku z tym do praw pewne elementy realizmu, z realiami miejsca, zarysu akcji i charakterów, by nałożyć na me gęsto utkaną sieć symbolicznych „analogii”. Miejska sceneria „nowoczesnego domu”, najzwyczajniejsza na pozór, nabiera stopniowo niesamowitych „widziadlanych” cech w atmosferze jaką rodzi ów symbolizm. Ma on więc odsłaniać w manifestacjach „chwili historycznej” metahistoryczne tajniki egzystencji. Fraępująca autora *Gry snów* „zagadka świata” tutaj przybiera wyrazistszą teatralnie artykulację — tajemnic domu, „szanowanego domu (...) gdzie zebrały się piękność, wykształcenie i dobrobyt”, i gdzie mimo to, albo raczej z tego powodu, „nikt nie jest tym za kogo chce uchodzić”⁷. W maskaradowej sy-

⁶ Tamże, s. 846.

⁷ A. Strindberg: op. cit., s. 961, 967.

tuacji słowa służą raczej zatajeniu myśli aniżeli ich komunikowaniu: „Mowa to szyfr”, oznajmia współbiesiadnikom „kolacji widm” Stary (alias Hummel), „i ten kto znajdzie do niego klucze rozumie wszystkie języki świata”.

W uzurpatorskim geście deszyfratora Hummel wymusza na innych demaskację, zanim sam nie zostanie zdemaskowany jako żądny władzy i posiadania „złodziej ludzi”, „wampir” wysysający krew ofiar. Lokatorów domu zniewala i uzależnia wzajem, niczym królewską rodzinę kronik Szekspira, „łańcuch zbrodni, tajemnic i winy”.

Mocne nacechowanie aksjologiczne czyni postać Starogo, centralną w gronie „widm”, nośnikiem atrybutów formacji kultury późnomieszczańskiej, której bezprzykładnie surowy osąd wkłada autor w usta Studenta, rezonera spoza kręgu domowników. Jego przymioty „gnostyka” — ewangeliczno-ezoteryczna wiedza i zdolności jasnowidzenia — okażą się jedynym kluczem do „szyfru” mowy, dają rękojmnię porozumienia, jednak bez nadziei przeżycia miłości w „tym świecie złud, win, cierpień i śmierci”... Ezoteryczny symbolizm, aktywowany głównie środkami pozasłownej ekspresji, nadaje stylowej polifonii *Sonaty* cechę jednolitej w nastroju wizji eschatologicznej; wizji świata, w którym — wedle trafnej charakterystyki Raymonda Williama — *Bóg jest nieobecny, albo obecny jedynie w braku, ale w którym zło i wina są bliskie sobie i wspólne, nie tylko w szczególnych zachowaniach, ale jako rodzaj siły życiowej; czynnik który ujawnia się niezależnie od jednostkowych aspiracji i przekonań*⁸.

Pośród rozrachunkowych wizji katastrofy kultury, dość przecież licznie artykułowanych w dramaturgii naszego stulecia, *Sonata widm* jest chronologicznie najwcześniejszą, i po dziś dzień jedną z najbardziej znaczących.

Estetyka „gry snów” odsłania w dziele szwedzkiego dramaturga zaskakująco rozległe perspektywy urzeczywistnień. Współistnieją istotnie w tym teatrze, jak zazwyczaj u sprawców przełomów artystycznych, propozycje rozwiązań rozdzielone z czasem między różne szkoły czy prądy, „paralelne” bądź nawet „przeczące sobie”, z punktu widzenia przyjętych schematów klasyfikacji historyczno-literackiej.

Ten naturalista i neoromantyk jest również prekursorem ekspresjonizmu, zasługując na wdzięczność całego pokolenia, które hołdowało temu kierunkowi, i jest zarazem pierwszym nadrealistą — pierwszym w każdym tego słowa znaczeniu — zauważa Tomasz Mann⁹.

Zapewne nie mała w tym zasługa Strindberga, iż ekspresjonizm zarówno jak nadrealizm, jako jedyne spośród „izmów” awangardy, znaczą trwale swą obecność w dziejach dramatu i teatru naszego wieku.

Niemiecki ekspresjonizm, rzecz niezwykła we współczesnej dramaturgii, jest kierunkiem licznej generacji twórców. Młodych promotorów ruchu, debiutujących w okolicy roku 1910, jednoczy tożsamość losu „wyrzutków” społeczeństwa, jednostek wyobcowanych — w roli pisarzy właśnie, jak ją ukształtuje rodzima tradycja kultury literackiej — z systemu instytucji mieszczańsko-junkierskich Niemiec. Sytuacja twór-

⁸ R. Williams: *Modern Tragedy*, s. 115.

⁹ T. Mann: *August Strindberg*. (w:) *Eseje*, Warszawa 1964, s. 443.

ców bez publiczności boleśnie nabrzmiewa w atmosferze roz-
budzonego w przededniu wojny nacjonalizmu.

Łatwiej zrozumieć w tym kontekście osobliwy klimat tea-
tralny „odurzenia Strindbergiem” (Strindberg-Taumel), cha-
rakteryzujący fazę wzrostu dynamiki ruchu. Twórczość
szwedzkiego pisarza, bijąca na scenach niemieckich rekordy
popularności zniewala bezprzykładną otwartością z jaką wy-
raża jednostkowe doświadczenie psychiczne „złego samopoczucia
w kulturze”.

Ekspresjoniści przyswajają sobie technikę Stationendrama
w funkcji „pełnoprawnego formalnego wyrazu dla izolacji
człowieka” (Szondi).

I tak kolejne „stacje” drogi przez obcy świat. drogi bio-
grafii duchowej pokolenia, przemierza za przykładem nie-
znanego z trylogii Strindberga cały poczet bohaterów, za-
zwyczaj bezimiennych: a więc Syn (*Der Sohn Hasenclevera*),
Zebrak (*Der Bettler Sorgego*), Młody Człowiek (*Der Junge
Mensch Johsta*), kontestator Egon (*Der Refraktair Sacka*),
Ulan (*Vor der Entscheidung Tritza von Unruh*), Kasjer
(*Von Morgens bis Mitternachts Kaisera*). Rzeczywistość
przedmiotowa jawi się jako projekcja subiektywnych treści
psychiki. w tej mierze w każdym razie, w jakiej formowana
jest przy użyciu środków estetyki formy snu. Jej ekspresjo-
nistyczny atrybut, można by rzec swoiście niemiecki, uwi-
dadnia się w pewnym ukierunkowaniu tematyki, poprzez wybó-
r: images essentielles sennego pejzażu. tj. miejsc
i etapów podróży egzystencjalnej, naznaczonych piętnem
obcości. Do nich należą przede wszystkim dom i szkoła, z ana-
chronicznie represyjnym systemem edukacji: nienawiść do
autorytetów ojca, bądź preceptora, wyładowuje się niekiedy
w ekstatycznym geście zabójstwa (m.in. u Hasenclevera i
Johsta. także w *Ojcostwie Arnolta Bronnena*). Inne leitmo-
twy ekspresjonizmu to wielkomięjski świat ekstremów. dna
nędzy i złudnych blasków, i wreszcie koszmar krajobrazów
wojny.

W pewnym uschematyzowaniu „drogi” bohatera, z założenia
subiektywnej (a więc oryginalnej), i również w skłonności
do nadużywania retoryki, pośrednio wyraża się bardziej fun-
damentalna właściwość ruchu: dwoistość funkcji. wpisana nie-
jako w quasi-moralitetowe ramy kompozycyjne dramatu sta-
cji. Dla ekspresjonisty bywa on narzędziem sondowania uwar-
nień duszy, i odnajdywania na tym gruncie tożsamości
„ja”: ale ma również oddziaływać z trybuny teatru na masy
odbiorców. w intencji zespolenia „ja” artysty z innymi. Aspi-
racje wychowawczo-agitatorskie, jednostronnie eksponowane,
wciąż muszą w nieuchronną kolizję z konstytutywną dla sztuki
marzeń sennych, z jej radykalizmem estetycznym, zasadą
„arbitralnej wolności” tworzenia.

W rzeczy samej logika rozwojowa ekspresjonizmu w odnie-
sieniu do dramatu wydaje się być wewnętrznie sprzeczna.
W miarę bowiem jak konsoliduje się i umacnia. z upływem
wojny, ruch pacyfistyczno-rewolucyjny, w dziedzinie twór-
czości dramatycznej ma miejsce znamienne zjawisko przesun-
nięcia podstawowej ekspresjonistycznej zasady wizji i projek-
cji (*visualisation*) wewnętrznych stanów mentalnych w sferę
etyczną i utopijno-polityczną¹⁰. Oznacza to, iż szlak subiek-

¹⁰ W. H. Sokel: *The Writer in Extremis Expressionism in Twen-
tieth Century German Literature*, Stanford University Press 1959,
s. 111.



Orient był w I Rzeczypospolitej integralną częścią ówczesnego życia. Patrol Aleksandra Jona Jabłanowskiego z końca XVIII w. (Wawel).



Ozdobność kwietna: tę gotycką figurkę Matki Boskiej z Dzieciątkiem w Rywaldzie przybrano w okresie baroku w srebrne kopyta, natomiast w haftowane szaty, pod figurką umieszczone wielkie srebrne wotum wyprasza o zdrowie dla matki i dla ich domowych zwierząt.

tywnej „drogi” protagonisty sukcesywnie wymyka się spod kontroli instancji jednego „ja”, „jednej świadomości (śniącego) poety” (Strindberg).

Luźna sekwencja scen odnajduje jedność na poziomie ideału utopijnie programującego odnowę człowieka. Autorzy, co słusznie zarzuci im Robert Musil, mityzują ideał rewolucyjny dehistoryzując go zarazem. Wpisany weń obraz jednostki ludzkiej redukuje się nierzadko do czczej abstrakcji człowieczeństwa:

*W nowej sztuce — głosi manifest K. Edschmida — staje się (człowiek) niczym innym jak istotą najwznioślejszą i najżałobniejszą: staje się człowiekiem (...) Tu nie ma już (społecznych) kontekstów przesłaniających obraz człowieczeństwa*¹¹.

Tymczasem poważna, ilościowo przeważająca część twórczości dramatycznej daje się tematycznie przyporządkować wspomnianemu nośnikowi abstrakcji, i układa się w nurcie mesjanistycznego ekspresjonizmu, w łóżysku zespolonych, bliskich sobie „orientacji”: religijno-komunistycznej oraz polityczno-aktywistycznej. Obydwie, co przecież trzeba zapisać na poczet zasług, zdecydowanie dystansują się wobec pewnych obszarów macierzystej tradycji kultury — jak junkierski kult ludzi pięści i nadludzi, zastarzały „szowinizm teutoński” — w szczególnym stopniu odpowiedzialnych za aktualny stan rozdzielenia wartości na antytetyczne strefy „ducha” i „czy-
nu”.

Ich ponowne złączenie ma być funkcją nowej sztuki. Komunioniści rewaloryzują w tym celu m.in. piórem Sorgego, Kornfelda, Fritza von Unruh — chrześcijańską ideę odkupienia. U podstaw autentycznej więzi międzyludzkiej, duchowej „komunii”, kładą „radikalizm braterskiej miłości” (Sorge) i soteriologiczną wartość cierpienia, czerpiąc w tym impulsy z bogatej europejskiej spuścizny: od teatru średniowiecza i baroku, przez twórczość Dostojewskiego (i w mniejszym stopniu Tolstoja), po modernizm chrześcijański Claudela. Twórczość Sorgego, w jej punkcie dojścia (cykl sztuk misteryjnych) egzemplifikuje kierunek ewolucji komunistów: od subiektywizmu ku odkryciu wspólnoty, istniejącej bądź potencjalnej; droga „do Damaszku” autora pamfletowego *Sądu nad Zaratustrą* kulminuje w akcie nawrócenia na katolicyzm.

Przemiana wewnętrzna jest zdarzeniem kompozycyjnie osiowym również w sztukach aktywistów. Przełom aktywistyczny, w odróżnieniu od religijnej konwencji, realizuje się głównie w czynnym buncie przeciw wojnie. Apel o odnowę człowieka, jak też sama myśl odkupienia zmęczonego wojną świata, są tu bronią pacyfistycznej „kasty ducha” w jej walce z ludźmi miecza. Geist — pojęcie kluczowe aktywizmu — pełni faktycznie rolę protagonisty i przeciwnika siły w ekspresjonistycznym dramacie kultury. Boski pierwiastek, o atrybutach mesjanistyczno-prometejskich, w tej podmiotowej roli wciela się niejako w postać szlachetnie i zwycięsko zbuntowanego pacyfisty: Poety (*Der Retter Hasenclevera*, Eustachego de Saint-Pierre (*Mieszczanie z Calais Kaisera*), artysty Fryderyka (*Przemiana Tollera*). Oparcie motywacyjne dla przemiany „nowy człowiek” znajduje w idealizmie etycznym jawnie przywołanej tradycji prorocko-biblijnej, ale przede

¹¹ K. Edschmid: *Über den Expressionismus in der Literatur und die neue Dichtung*; cyt. wg P. Szondi: *Teoria nowoczesnego dramatu*, Warszawa 1976, s. 103.

wszystkim w samej rzeczywistości schyłku wojny: w klimacie wielkich nadziei, wręcz entuzjazmu moralnego jaki budził ruch pacyfistyczno-rewolucyjny w środowisku niemieckiej lewicy intelektualnej. Ekspresjonistyczny poeta do i r o s u s odzyskuje w efekcie przemiany możliwość bycia wśród ludzi i działania, prawda iż na krótki historycznie przeciąg czasu. Układ bowiem o „nowym przymierzu ducha i bijącego serca” (F. von Unruh) nie miał przetrwać załamania się bawarskiej insurekcji robotniczej. Przebieg wydarzeń tuż po wojnie uprzytomnił autorom antytetyczność dążeń „człowieka etycznego” (czytaj: ekspresjonisty) i „człowieka politycznego”, jednostki i inasy:

*Jednostka działa wedle idei moralnej bezwzględnie uznanej za słuszną (...) Masą powodują impulsy społeczne, chce ona osiągnąć cel choćby kosztem idei moralnej*¹².

Ów konflikt etyki i polityki, mistyfikujący historyczne przyczyny klęski rewolucji niemieckiej, dobitnie prezentuje dylogia Kaisera Gas, i zwłaszcza Tollera dramat o „rewolucji społecznej w dwudziestym wieku”, jak brzmi podtytuł *Człowieka i masy*. Ekspresjonizm w późnej fazie przebiega pod znakiem wyparcia się ideału odnowy człowieka, i pełnego już odwrotu — w najważniejszych oświadczeniach programowych ruchu, autorstwa Edschmida i Kornfelda — od „ekstremizmu” estetyki formy snu. U podstaw autolikwidacyjnych polemik (spory o „prawdziwy” i „fałszywy” ekspresjonizm) leży „ethos ograniczenia”, konformistyczny i jawnie zachowawczy. Wydaje się on wieńczyć, co zakrawa z pozoru na paradoks, fundamentalne aspiracje ekspresjonistów, jak je formułował Franz Werfel — za całe pokolenie autorów bez publiczności — w poemacie *Do czytelnika*: „Jedynym moim pragnieniem jest sprzymierzyć się z tobą, Człowieku!”

Poszukując wyjścia ze stanu izolacji nie miała część pisarzy zaakceptuje służbę u najbardziej surowych ortodoksji.

W końcowej fazie polaryzacji stanowisk, i rozejścia się dróg czołowych reprezentantów, ekspresjonizm zaparł się ostatecznie swojej genezy modernistycznej.

Możliwości rozwoju teatru „gry snów”, po autolikwidacji ekspresjonizmu, będzie współokreślać w perspektywie dziesięcioleci francuski nadrealizm.

Konsoliduje się on w latach dwudziestych jako prąd literacko-artystyczny orientujący działalność na nadrzędny strategicznie cel „przekształcenia świata, zmiany życia”. Naturalnie sztuka zachowa przywilej podstawowego instrumentu dezalienacji. Więcej: w ramach ruchu opartego na wierze „w nadrzędną rzeczywistość pewnych form skojarzeniowych” (Breton) oraz „wszechpotęgę marzenia”, akt twórczy okaze się ostatecznie tożsamy z ośrodkową w systemie myśli Bretona hipotezą nadrzeczywistości (surrealité):

Wszystko przemawia za tym, że istnieje pewien punkt w umyśle, z którego życie i śmierć, rzeczywistość i urojenie, przeszłość i przyszłość, rzeczy możliwe i niemożliwe do przekazania, góra i dół przestają być postrzegane jako przeciw-

*stawne. Daremną byłoby rzeczą dopatrywać się w działalności surrealistycznej innej pobudki poza nadzieją określenia tego miejsca — głosi słynny Drugi manifest surrealizmu*¹³.

W świetle tego roszczenia nadrealności wyraźniej rysuje się specyfika powiązań surrealizmu z teatrem.

Grupa Bretona, jak wiadomo, zakwestionuje teatr w jego aktualnej funkcji i kształcie. Nie do przyjęcia jest dla surrealistów sama „idea teatru” ugruntowana w tradycji europejskiej, której jądro farsowe — w szczególnym tego słowa rozumieniu — przenikliwie wyluskuje Ortega y Gasset:

*W farsie człowiek wkracza w świat nierzeczywisty, świat fantasmagorii — widzi ten świat, słyszy go i żyje w nim, ale oczywiście zawsze jako w świecie nierzeczywistym, świecie fantazji. (...) Cała reszta życia to zupełne przeciwieństwo farsy, to codzienne, pełne trosk „życie na serio”*¹⁴.

Dualizm „farsy” i życiowego „serio”, jeśli uznać w nim podstawę konwencji teatru, w oczywisty sposób przeczy hipotezie nadrealności, pojętej nawet nie w aspekcie ontologicznym, lecz jako wzniosły imperatyw odrodzonej sztuki. Nie w teatrze zatem, implicite potępianym, lecz w potencjach obrazu poetyckiego, w alchemii słowa, odnajdzie Breton najwłaściwsze narzędzie odwetu wyobraźni po wiekach uciemnienia, przez „długie, bezmierne i wyrozumowane rozregulowanie wszystkich zmysłów”.

Kiedy więc surrealista Antonin Artaud zechce w analogicznie formułowanych celach posłużyć się alchemią ciała (zmysłowo-konkretnym językiem inscenizacji), niezwłocznie znajdzie się na pozycjach wykluczonego z ruchu. Tę próbę odzyskania domeny teatru na rzecz założeń projektu surrealistycznego podejmuje autor pamfletowych i żarliwie profetycznych manifestów tomu *Teatr i jego sobowtór*¹⁵, książki celnie prognozującej rozwój nowej formuły widowiska, a pośrednio także dramaturgii (siłą żywych oddziaływań w środowiskach młodoliterackich).

Zamysł pozyskiwania sceny dla roszczeń nadrealności przeczy, jak się rzekło, samej idei teatru, kształtowanej przez wieki historii nowożytnej. Ale też Artaud bezwzględnie odrzuca ową ideę, i leżący u jej podstaw podział na „sztukę z jednej, życie z drugiej strony”. Dualizm życia i sztuki (kultury) jest w teatrze Zachodu „fundamentalnym błędem założenia”, którego implikacje Artaud dociekliwie tropi na dwu płaszczyznach. Jedną z nich zakreśla ważna kwestia języka teatru.

Tradycja europejska, rozmiłowana w psychologii oraz w małych troskach moralnych, przywiązana do „jasnych stanów świadomości”, przesądziła sprawę jednostronnie na korzyść tekstu pisanego. I właśnie prymat tekstu pozabawił teatr w praktyce możliwości przemawiania „czystym” językiem inscenizacji, „poezji w przestrzeni”, obejmującym „wszystko, co może znaczyć na scenie, niezależnie od słowa”. Artaud, jednomyślny w tych stwierdzeniach z rzecznikami Wielkiej Reformy, anomalie praktyki teatru odczyta z gruntu inaczej, ze stanowiska światopoglądu surrealizmu: jako symptom erozji duchowych, metafizycznych wartości sztuki, i kultury w o-

¹³ A. Breton: *Drugi manifest surrealizmu* (w:) *Surrealizm. Teoria i praktyka literacka*, Antologia, Warszawa 1973, s. 125—128.

¹⁴ Ortega y Gasset: *Idea teatru (Krótki zarys)*, (w:) *Dehumanizacja sztuki*, Warszawa 1980, s. 436.

¹⁵ A. Artaud: *Teatr i jego sobowtór*, Warszawa 1976; Wszystkie cytaty w tekście wg tegoż wydania.

¹² E. Toller: *Eine Jugend in Deutschland*. Amsterdam 1933; cyt. wg Jean Tailleur: *Le revolutionnaire et la revolution* (w:) „*Les Lettres francaises*”, 1966 nr 1131.

ólności. Wielotworzywowy tekst inscenizacji ważny jest dla niego nie tyle w roli środka przekazu, co jako przekaz tout court. skierowany wprost do zmysłów, niejako przedłużający ich działanie „oddźwiękiem w organizmie”: *teatr jest jedynym miejscem na świecie i ostatnim już całościowym środkiem jaki nam pozostał, aby dotrzeć bezpośrednio do organizmu* (s. 99).

Tak więc fizyka miejsca teatralnego mieści w sobie metafizykę. Teatr, brzmi jedna z formuł, jest „metafizyką w działaniu”.

Mówiąc o „magicznym mimetyzmie” gestu, który „nosi w sobie siłę”, Artaud przywołuje powielokrotnie analogie z magią kultur archaicznych, by z tej porównawczej platformy wytoczyć najcięższy argument przeciw tradycji sceny europejskiej, ale już nie w sporze o język, lecz o funkcję, jaką pełnić ma współcześnie teatr. Wyznacza ją aktualnie usytuowanie jednostki w strukturze całości zwanej kulturą, wydzielonej z życia — w interesie „nikczemnego porządku społecznego” — jako obiekt bałwochwalstwa, „jak gdyby prawdziwa kultura nie była wyrafinowanym środkiem rozumienia i spełniania życia” (s. 35).

Teatr w tych warunkach czerpać powinien z głównych źródeł życiorodnych i wartościotwórczych. Należą do nich, obok wyobrażeń, spontaniczne uczucia, choćby najgwałtowniejsze, jakimi karmi się miłość, zbrodnia, szaleństwo wreszcie. Widowisko sceniczne w pełni tedy folguje „magicznej wolności marzenia”, której podstawowym atrybutem jest okrucieństwo.

Pojęcie to, uwidocznione w tytule szeregu manifestów i listów poetyckich, należy do najważniejszych, ale też najmniej ostrych w systemie teatralnej antropologii Artauda. Wiąże się ono z treścią stłumień jaką estetyka formy snu pozwala unaocznnić w obrazowych przedstawieniach: „Teatr nie stanie się nigdy sobą (...) jeżeli nie dostarczy widzowi prawdziwych strontów marzeń sennych, gdzie rozpręją się i wyzwolą — na planie wewnętrznym lecz nie złudnym i przypuszczalnym — zamiłowanie do zbrodni, natręctwa erotyczne, dzikość, chimery, utopijny zmysł życia i rzeczy, ludozerstwo nawet”.

Jak zawsze w takich razach liczy się potencjał symbolizacji utajony w „snach teatru”, najbezwzględniej nawet okrutnych, w nich może przede wszystkim. Na czoło wysuwa się ich funkcja hierofanii, związek z ideami „odnoszącymi się do Stworzenia, Stawania, Chaosu”. Akcja widowiska, jeśli już operować tą tradycyjną kategorią, osiąga spójność w porządku wyobrażeń kosmicznych, kosmologicznych, mieści w sobie „esencjalny jakby dramat” mitycznego „zarania czasu”, co zresztą nie pozbawia jej waloru aktualności; dowodzi raczej „magicznego, straszliwego związku z rzeczywistością i niebezpieczeństwem” (s. 106).

Jest bowiem tak — jeśli prawidłowo odczytujemy kapitalną intuicję autora *Teatru i jego sobowtóra* — jakby ogromny potencjał kulturotwórczy zawierał się już nie w zakazach i nakazach jakichkolwiek autorytetów, nie w kolektywnych normach współżycia, dotkniętych aktualnie chorobą zrutynienia, bezwładu, lecz w siłach ducha przez te normy represjonowanych, w pragnieniach, które „obraz zbrodni” unaocznia i symbolicznie kondensuje na użytek praktyki teatru. Celnie sformułowane deklaracje odnośnie rekonstrukcji teatru w du-

chu tak rozumianych zadań, padną w znakomitym eseju *Teatr i dżuma*:

Jeśli prawdziwy teatr podobny jest dżumie, to nie dlatego, że jest zaraźliwy, ale dlatego że — jak dżuma jest objawieniem, ukazaniem, wypchnięciem na wierzch uspiętego okrucieństwa, w jakim gromadzą się (w jednostce czy społeczności) wszystkie przewrotne możliwości ducha. Jak dżuma teatr jest czasem zła, triumfem czarnych mocy, które potężniejsza niż one siła ożywia — aż wygasną. (...) Nie sądzimy, aby życie takie, jakim dzisiaj jest, lub takie, jakim je uczyniono, zawierało szczególnie wiele przedmiotów podniosłości i egzaltacji. Jest tak, jakby dzięki dżumie opróżnił się olbrzymi ropień moralny czy społeczny, i — podobnie jak dżuma — teatr służy do zbiorowego oczyszczenia ropni (s. 53—54).

Prawem poety, ale i z pełną świadomością celu, stylizuje autor opis dżumy — i teatru — na obraz obrzędowego, świętego rozpasania. Bo też „epidemiczna” tożsamość teatru dobrze uzasadnia się przez analogię do paroksyzmów jakim podlegały okresowo społeczeństwa w łonie kultur archaicznych. Czasokres święta oznaczał tu niejako powtórne stworzenie świata, „inscenizowane” zgodnie z zapisem mitycznego scenariusza. Gwoli regeneracji zużytego czasu święto przeciwstawia zatem dniu powszedniemu własne prawo, jakim jest natura, naruszenie normy w każdej wyobraźalnej postaci:

Uświęcona norma (cytuje Rogera Caillois) *rzadzi normalnym tokiem życia społecznego, uświęcone wykroczenie — jego paroksyzmem. Święto w pełnej wersji określić należy bowiem jako paroksyzm oczyszczający i zarazem odnawiający społeczeństwo*¹⁰.

Tę cechę „epidemiczną” paroksyzmu święta Artaud pragnie zaszczepić widowisku, i o tyle też skłonny jest identyfikować teatr z obrzędem sakralnym, nie tracąc jednakże jego atrybutów „czystej i autonomicznej twórczości”. Charakter sztuki, a więc pełną wartość, teatr zachować może w tej mierze, w jakiej naśladując czynności „wykroczeń” zarazem je uświęca i potencjalizuje ich dynamizm, pozbawia rzeczywistej skuteczności, przez zmianę działania w spektakl. Owa potencjalność aktu daje mu zresztą przewagę nad społecznym obrzędem w zakresie intensywności i pełni wyrazu tłumionych energii.

Wolność surrealistyczna, jakiej wzorzec chce stwarzać Teatr Okrucieństwa, jest czymś zasadniczo odrębnym od iluzji mesjaniczno-politycznych ekspresjonizmu. I nie ogranicza jej też horyzont nadziei eskapistycznych, czytelnych przecież w sztuce Strindberga.

Idzie w końcu nie o łączność z „tamnym światem” religii, lecz o pozyskanie „żywej mocy” dla wartości kultury, o jej kontakt z życiem, odnowiony w drodze działań twórczych.

Wolność marzenia i buntu, nacechowana okrucieństwem, wyznacza dla tych działań teren dość rozległy, by pomieścić w jego obrębie „najbardziej przewrotne możliwości ducha”. W estetyce formy snu, co zrozumiałe, upatruje autor manifestów jedyną postać wiarygodnej artykulacji okrucieństwa.

Teatralna myśl Artauda, chociaż antyliteracka w deklaracjach, zasila rozwój dramaturgii impulsami surrealizmu. Będą one współokreślać ten zwłaszcza kierunek przemian, coraz silniej różnicujący się z upływem czasu, którego symptoma-

¹⁰ R. Caillois: *Zwłotł i ład*, Warszawa 1973, s. 157.

tyczną i prekursorską zapowiedź stanowił na gruncie francuskim *Ubu Król* Alfreda Jarry.

W Jarrym chętnie uznaje się skandalistę i „dandysa metafizycznego”, jednego z mistrzów dadaizmu, ignorując zasługi nowatora dramatu. A właśnie to miano uzasadnia *Ubu Król*, utwór wskazujący perspektywy niekonwencjonalnego użycia zespołu środków stylizacji — parodii. Naśladowując parodystycznie Szekspirowski wzór tragedii, sztuka nie kieruje przeciw oręża śmieszności — jak sądzono mylnie — przeciw Szekspirowi. Przeciwnie, mało istotna, wręcz pretekstowa staje się więź z pierwowzorem literackim, ważniejsza jest relacja między tekstem parodiującym i kontekstem kultury. Dramat oddala emocjonalnie, wyobcowuje w intencji krytycznej ów kontekst, swój właściwy przedmiot przedstawienia, głównie dzięki czarnohumorystycznym akcentom, przez zespolenie śmiechu i grozy, pantagruelicznej groteski i obrazu wyuzdanych okrucieństw, co komplikuje lekturę sztuki, ale w zamian niepomniernie wzbogaca jej konotacyjne możliwości. Toteż nowe historyczno-społeczne doświadczenia, już w okresie międzywojennym, przybliżył utwór Jarry'ego wrażliwości współczesnych. W marionetkowym *Ojcu Ubu* odsłoni się jakby uosobiony mechanizm alienacji władzy, czynny zwłaszcza w przebiegu politycznej historii¹⁷.

Surrealiści z kolei — a dotyczy to w szczególnym stopniu Artauda — pokwitują z entuzjazmem „zjawisko Jarry”, a więc styl bycia twórcy *Ubu*, jego osobowość, determinację ekscentryka, i naturalnie sam utwór, w ich interpretacji będący wyrazem ukrytego dynamizmu psychiki, „wcieleniem nietscheańsko-freudowskiej jaźni, która określa całość nieznanych, podświadomych, stłumionych sił” (A. Breton).

Na koniec animatorzy sceny, z wielkim Jacques'em Copeau, ocenią z własnego stanowiska generującą wartość sztuki: poetycko prototypowej „rzeczywistości znaków, kreowanej na marginesie tego co realne” (M. Esslin).

Prapremiera *Ubu Króla* w Theatre de L'Oeuvre (wyst. 1896), pamiętna jako głośny skandal, czyni precedensowy wyłom w tradycji, otwiera drogę na którą wybitne dzieło Strindberga skieruje ostatecznie rozwój teatru onirycznego, i której fazę pełni uświadomienia znaczą manifesty Artauda.

W tym nurcie miejsce niezwykle istotne, chociaż eksponowane z opóźnieniem paru dekad, zajmuje polski nowator sztuki okresu międzywojennego: Stanisław Ignacy Witkiewicz.

Propozycje teoretyczne i dramatyczne polski autor zgłasza u progu dwudziestolecia, przed ukonstytuowaniem się surrealizmu, co warto odnotować dla porządku. Wskazuje się bowiem daleko posuniętą zbieżność stanowisk Witkacego i Artauda. Pokrewieństwa estetyki wynikają z ich uwikłania w podstawowy dylemat myśli poromantycznej, która głębokie potrzeby psychiki, w tym wartości życia uczuciowego, sytuuje w opozycji do „kultury”, do społecznego wymiaru istnienia w historii. Uzasadnia to budowanie mostu nad metafizyczną rozpadliną bytu. Mostem takim będzie teatr udostępniający przez życie sacrum, „uczuciowe pojmowanie tajemnicy istnienia” — naturalnie poprzez mediację języka sztuki. By się objawić w teatrze duch — również zdaniem Witkacego — potrzebuje pośrednictwa układu złożonych relacji między szeregami formalnymi.

Rozumienie kategorii formy nie jest tożsame w obydwu

estetykach, co wiąże się z odmiennym usytuowaniem światopoglądowym aktu twórczego. By odwołać się do semiotycznej klasyfikacji: u Artauda „wartość dokumentuje się przez pierwszeństwo”, przez „odtworzenie świata” w świecie teatralnym — w każdym systemie z zaznaczonym nacechowaniem „początku”; u Witkiewicza, dla odmiany, „wartość dokumentuje się przez zgubę”, w jego teorii kultury i społecznego rozwoju, oraz w dramaturgii, której swoistości nie sposób określić poza relacją do historiozofii, do idei i prognoz katastroficznych. Spełnia ona w istocie kanon tradycji apokaliptyki: aktualizuje jej zasadnicze aspekty emocjonalne i myślowe (wspomniemy konwulsje społeczne i postawy dekadentki, na tle kryzysowej sytuacji przejścia), zarazem poddając je testowi „najaktywniejszej kategorii współczesnej sztuki”, za jaką uznaje się groteskowość. Witkacowska apokalipsa historii ukazana jest z komediowego oddalenia, w sposób wykluczający emocjonalny współudział widza. Koszmar i śmiech sumują się na odbiór sztuk, rodzą dystans psychiczny niemożliwy do sforsowania.

Czyż jednak nie tak ma się rzecz w całym właściwie potreudowskim teatrze spod ideowego patronatu Artauda, gdzie sytuację odbioru znamionuje „próżnia pomiędzy sztuką a publicznością”?

Potrzeby psychiki każą uznać efekt próżni, albo obcości. mowiąc bardziej tradycyjnie, za najważniejszą regułę gry snów teatru, wyznacznik sui generis poetyki oddziaływania: *widz nie ma innego wyjścia jak tylko bądź odrzucić (sztukę) i wycofać się, bądź dać się wciągnąć w zagadkę sztuki, nie zawierającej niczego co przypominałoby którekolwiek z jego celów, i z jego reakcji na otaczający świat*¹⁸.

Łatwo spostrzec, iż w warunkach tej poetyki odbioru traci zasadność podział dramaturgii wedle kryterium opozycyjnych estetyk: realizmu epickiego i „formy snu”.

Marian Rawiński

¹⁸ E. Metman: *Reflections on Samuel Beckett's plays*. „Journal of Analytical Psychology” (London), styczeń 1960.

¹⁷ Por. szkic Boya-Zeleńskiego o *Ubu Królu* (w:) *Pisma*, t. 10.

filozofia

IZABELA GAWARECKA

Jaka jesteś ludzka natura?

Od chwili, gdy Marks zanegował sposób określania bytu człowieka w kategoriach absolutnej niezmienności, filozofia, słusznie doceniając doniosłość nowego spojrzenia na podstawowe kwestie antropologiczne, ukierunkowała swe zainteresowania w stronę problemu zmienności. Znane stwierdzenie A. Gramsciego, że człowiek jest procesem, akcentuje dynamizm i aktywność ludzkiego istnienia w opozycji do pasywności i statyczności, jakie przypisywano mu w teoriach metafizycznych. I do dziś ciąży to na antropologii, która świadomie określa się przez przeciwieństwo wobec metafizyki. Tymczasem pora już chyba uznać tę opozycję za fakt dowiedziony i podjąć próbę sformułowania koncepcji człowieka na miarę czasów współczesnych. Jest przecież rzeczą znamioną, że filozofia marksistowska, jak żaden inny kierunek, podkreśla swój związek z naukami szczegółowymi oraz zależność głoszonych tez i uogólnień do wniosków dostarczonych przez dyscypliny strictly niefilozoficzne. W praktyce jednak współczesna antropologia marksistowska, inaczej niż inne działy filozofii, w znikomym stopniu wyzyskuje najnowsze osiągnięcia biologu, paleoantropologii, psychologii, pedagogiki, socjologii, ekonomii itp. Bazując na dorobku nauki z ubiegłego wieku pozostaje w tyle za odmiennymi orientacjami. Gdyby skonstruowana została teoria człowieka wsparta o doświadczenia nauk historycznych i społecznych, aktualne odkrycia nauk przyrodniczych, tradycję filozoficzną i wyniki bardzo jeszcze młodej humanologii, stworzono by szansę podjęcia i być może rozwiązania wielu istotnych problemów, które przed stu z górą laty nie mogły zostać postawione, lub domagają się ponownego opracowania z uwzględnieniem poziomu dzisiejszej wiedzy.

Ośrodkiem nowoczesnej koncepcji człowieka powinno być pojęcie natury ludzkiej, uwzględniające wszystkie znaczenia jakie mogą być nadane przez nauki szczegółowe, chociaż nie w sensie sumy czy wypadkowej atrybutów, ale infrastrukturalnej całości, opisanej w wyniku interdyscyplinarnych badań. Nie wszyscy jednak będą skłonni podzielać to zdanie. Powodem jest pogląd, uznawany także po części przez przedstawicieli filozofii marksistowskiej, że materializm historyczny kategorię natury ludzkiej skompromitował raz na zawsze.

Wobec tego przypomnijmy, że autorem aforystycznego twierdzenia o człowieku, który nie ma natury lecz tylko historię, jest Ortega y Gasset. Marks natomiast posługiwał się pojęciami istoty i natury człowieka. Pierwsze z nich (ze względu na obciążenia jakie niósł tradycyjny kontekst) zarzucił w dojrzałym okresie swej twórczości, z drugiej zaś nie zrezygnował nigdy. Kategorie „natury ludzkiej w ogóle” oraz „natury takiej, jaka kształtuje się w każdej epoce historycznej” znalazły się w *Kapitale*. Wyjaśnienie to wydaje się właściwie zbędne powinno bowiem być oczywiste, na podstawie znajomości prac Marksa, że dialektyczne ujęcie rzeczywistości, w tym także bytu człowieka, przekreśliło możliwość pewnego tylko sposobu interpretacji natury ludzkiej. Dlatego też drażnienie kwestii: czy odkrycie materializmu historycznego stało się równoznaczne z odrzuceniem poglądu o wspólnej ludzkiej naturze — jest teoretycznie jałowe i świadczy o niekompetencji zabierających w tej sprawie głos. Źródłem przekonań o nieprzydatności pojęcia natury ludzkiej w antropologii marksistowskiej jest prawdopodobnie powszechna obawa, by teorii wielkiego klasyka nie rozważać w duchu naturalizmu. Jednakże byłaby ona uzasadniona wówczas, gdyby stanowisku Marksa realnie groziło sprowadzenie do Spencerowskiego typu myślenia, przyjmującego powierzchowne podobieństwo między porządkiem przyrodniczym a historyczno-społecznym. Toteż taka troskliwość nie przysparza nauce o człowieku żadnego pożytku, a nawet stanowi przeszkodę dla jej rozwoju, ponieważ zbyt wiele przesądza już z góry.

Powody przemawiające za obecnością kategorii natury ludzkiej w filozofii człowieka mają charakter zasadniczy i nie powinny zostać zlekceważone¹. Nie sposób przecieź mówić o człowieku bez uznania wspólnej dla wszystkich podstawy. Jak analizować problematykę rozwoju społeczno-kulturowego, jeżeli zapominamy, że zmianę daje się odnotować jedynie w relacji do elementu trwałego, jeżeli powątpiewamy w istnienie tego właśnie, co się rozwija? Na jakiej wreszcie zasadzie porównywać różne koncepcje antropologiczne — czy można punktem odniesienia czynić tylko własne stanowisko? Wszelkie problemy podejmowane przez dowolną filozofię człowieka wydają się pochodne wobec ustalenia tego, na czym polega szczególność ludzkiego bytu i jego podstawa ontyczna. Można się spierać o genezę natury człowieka, o to czy jest wrodzona czy też wykształcona, a jeśli tak, to w toku biologicznego rozwoju czy społecznych kontaktów, ale rezygnacja z tej kategorii stawia pod znakiem zapytania każdą dyscyplinę, która za swój przedmiot ma jakikolwiek aspekt istnienia ludzkiego. Oznaczałoby to także podważenie jedności, ciągłości, czyli faktycznie zasadności nauk humanistycznych oraz wprowadzenie atomizacji i idiografizmu w rozpatrywaniu zjawisk kultury. Tak więc pojęcie to jest nauce i filozofii nieodzowne tak, jak niezbędne jest dokonywanie uogólnień oraz poszukiwanie wśród różnorodności i zmienności tego, co trwałe. Historia filozofii dowodzi, że przekonanie o niezbędności pojęcia natury jako fundamentalnej kategorii w badaniach nad człowiekiem nie opuszczało jej praktycznie nigdy. Dotyczy to zarówno tych kierunków, które byt ludzki rozpatrują tylko ja-

¹ Analogiczny pogląd wyraża E. Fromm w *Beyond the Chains of Illusion. My Encounter with Freud and Marks* (New York 1962), a także w obszernym wstępie do książki opracowanej wspólnie z R. Xirau: *The Nature of Man* (London 1969).

ko naturę, przejawiając w ten sposób redukcjonistyczne skłonności, jak też tych, które rozwijają antropologię, a jej przedmiot mają za zjawisko wyjątkowe i niepowtarzalne.

Na przykład w filozofii tomistycznej pojęcie natury, czyli istoty człowieka pełni dwojaką funkcję. Po pierwsze jest odpowiednikiem faktu ontycznego, stanowiącego łącznik między rzeczywistością doczesną a światem nadnaturalnym. Po drugie — chroni teorię przed dualizmem, ubezpieczając uznawane przez nią przekonanie o jedności bytu. Toteż, mimo że orzekanie o zmysłowo niepostrzegalnej, nie danej bezpośrednio w poznaniu istocie dokonuje się na podstawie porównania zmian przypadłościowych i ma charakter tylko hipotetyczny, to kategoria ta jest niezbędna. Nawet egzystencjalizm, który otwarcie podważa zasadność uogólnień, co w stosunku do człowieka ściśle wiąże się z twierdzeniami o bezcelowości życia i pierwotności istnienia przed esencją, czyni pewne ustępstwo na rzecz wspólnej ludziom natury, nadając wolności i świadomości rangę atrybutów gatunkowych.

W filozofii obecność pojęcia natury człowieka objawia się także w nieco innym wymiarze, w podskórnej płaszczyźnie, niejako pod pokładem zwerbalizowanych treści. Odczuwa się jego milczące istnienie wyraźnie, towarzyszy bowiem najróżnorodniejszym teoriom wtedy, kiedy zwracają się wprost do człowieka. Znakomita ich większość stara się zasugerować, jakimi zasadami powinien się człowiek kierować w życiu, aby nadać mu najpełniejszy wyraz. Zasadę — wskazówkę w najogólniejszym kształcie — wyznaczyła już filozofia antyczna i właściwie obowiązuje ona do dziś, a sprowadza się do postulatu, żeby żyć w harmonii ze swą naturą. Przecież platońska koncepcja totalitarystycznego państwa wyrosła z przekonania — właściwego również zupełnie odmiennym orientacjom filozoficznym, na przykład Marksowi i Skinnerowi² — że przekształcenie warunków, w jakich żyje człowiek, ma znaczenie dla zmian w obrębie jego wnętrza oraz z pragnienia, by stworzyć najkorzystniejszą sytuację dla realizacji ludzkiej natury. Marek Aureliusz w *Rozmyślaniach* pisał wprost: działaj zgodnie z kierunkiem swej natury. Ten sam motyw jest obecny w największych dziełach z zakresu etyki. Rygoryzm niektórych teorii etycznych wynika z troski, by pozostając w zgodzie z wymaganiami własnej natury nie ograniczyć tym samym pola swobody innych. O zachowanie wewnętrznej harmonii między elementami natury człowieka oraz o jej zgodność z otaczającym światem zabiega Freud swoją teorią i praktyką lekarską. Analogiczny charakter ma postulat autentycznego istnienia, zgłoszony przez Heideggera i rozpowszechniony w filozofii egzystencjalistycznej, której pesymizm właśnie wywodzi się z przekonania o niemożności realizacji tego postulatu. Taki także cel miał na względzie Marks, kiedy zapowiadał, że nowopowstającemu kierunkowi idzie o zmianę zastanych struktur społecznych i rewaloryzację między-ludzkich stosunków. Przykłady można mnożyć.

Mimo że pojęcie natury ludzkiej w dziejach filozofii przybierało różne postacie, odznaczając się wielością sensów to jednak daje się ustalić dla nich wspólny fundament. Stanowi go pogląd o niezmienności istotowych cech bytu człowieka. Przywykło się bowiem wyrażeniem „natura ludzka” określać

treści abstrakcyjne, stałe na mocy swej ogólności. Ujęcie to obejmuje także węższe znaczenie, typowe dla czasów Oświecenia a stosowane do wywodzącej się z przyrody, trwałej podstawy ludzkiego bytu. Niewątpliwie jednak trudno byłoby dziś serio akceptować stanowisko pojmujące naturę człowieka jako fakt dany pierwotnie, jako antycypację jednostkowego istnienia. Trudno bez narażenia się na zarzut anachronizmu przyjmować wyznaczniki określające niczym fatum tor życia, bez względu na to, czy podporządkowują one człowieka Bogu-Stwórcy, czy upersonifikowanej, obdarzonej mądrością przyrodzie, czy też zasadzie ewolucji. Z tak właśnie rozumianą, metafizyczną, statyczną i fatalistyczną w swej wymowie koncepcją natury ludzkiej wziął rozbrat pozytywizm. Kierunek ten jednak po dokonaniu skutecznej krytyki tego, co było w filozofii nadużyciem nie umiał zdobyć się na wysiłek reformatorski. Droga od krytyki przywiodła go do destruktywnego w skutkach kwestionowania zagadnień bytu człowieka oraz tezy, że należą one do grupy pseudoproblemów pozbawionych filozoficznych treści.

Nie każda wszakże krytyczna postawa w filozofii, odrzucająca określony sposób rozwiązywania problemów musi zaraz prowadzić do zanegowania wartości tychże problemów. Dowodzi tego filozofia Marks'a, podobnie anty metafizyczna, podobnie krytycznie skierowana przeciwko tym wszystkim koncepcjom, które wznosiły się na aksjomatycznym założeniu o niezmiennej naturze człowieka. Ostrze polemiki w tym przypadku najsilniej dotknęło antropologię naturalistycznego racjonalizmu. Ocena ta jednak została przeprowadzona bynajmniej nie z pozycji kwestionujących istnienie ludzkiej natury, czy też odrzucających potrzebę posługiwania się jej pojęciem, ale w oparciu o zupełnie nowe w ówczesnej myśli antropologicznej podstawy. Za szczególnie doniosłą dla filozoficznej refleksji nad człowiekiem należy uznać tę metodologiczną tendencję, która wynikała z protestu przeciw wszelkiemu redukcjonizmowi i charakterystycznej w jego obszarze skłonności do rozbijania złożonych struktur na arbitralnie uprzednio wyodrębnione składniki oraz opisywania izolowanych od całości cech. W tym więc świetle powiedzenie na przykład, że człowiek to istota społeczna, może być traktowane wyłącznie jako zwrócenie uwagi na jeden z aspektów złożonego w swej istocie bytu. Ten typ podejścia badawczego nie ma poprzedników i nie stanowi przedłużenia filozoficznej linii, poszukującej odpowiedzi na pytanie o wyróżniki natury człowieka. Przedmarksowskie stanowiska w antropologii charakteryzował podobny styl myślenia, który polegał na notorycznie popełnianym błędzie partykularnego traktowania ludzkiej natury poprzez absolutyzację jednej z jej właściwości. Stąd też wzięły się określenia: homo rationis, faber, oeconomicus, cogitans, creator itp. Różnice w pojmowaniu atrybutów, które miały decydować o osobliwości człowieka zależały rzecz jasna od tego, jaki aspekt życia dana teoria uznała za najistotniejszy. Do dziś filozofia przedstawiła wcale bogaty zestaw cech, w różnych okresach przypisywanych człowiekowi, ale trzeba sobie zdać sprawę, że wykazanie ich oraz ewentualne podsumowanie nie zamyka dyskusji o naturze ludzkiej, ponieważ ani nie wyczerpują one jej całości, ani też nie odzwierciedlają ostatecznego kształtu. Należy je raczej traktować jako elementy struktury, która zapełnia się konkretną treścią w trakcie historycznego istnienia. Byłoby to słuszne tym bardziej że

² W takim właśnie kontekście zestawia tych filozofów L. Stevenson w *Seven Theories of Human Nature*, Oxford 1974.

jak już wiadomo podłoże genetyczne nie wyznacza właściwości, określających behavior jednostki. Geny, których w danym momencie uaktywnia się tylko około 15%, decydują jedynie o rodzaju reakcji. Słowem — dziedziczność nie determinuje niezmiennych cech, tylko steruje procesami rozwojowymi. Jeżeli więc z tej perspektywy rozpatrujemy na przykład pogląd Hume'a, że człowiek jest istotą moralną, to równocześnie powinniśmy zachować świadomość, iż wyposażona w ten atrybut jednostka może być, skrajnie rzecz ujmując, dobra bądź zła. Dalej, twierdzenie, że człowiek to istota myśląca nie musi wcale oznaczać, iż życie bezwzględnie każdego indywiduum jest racjonalne i oparte o zasady logiki, przecież jednostka może spędzić je zgoła bezrozumnie. Kolejny przykład — Feuerbach sądził, że w naturze człowieka tkwi dobro, ale wszak sam pokazał, iż historia dowodzi czegoś wręcz przeciwnego i jak wielu przemian świadomości potrzeba, aby zostało ono ujawnione.

Stąd też za konieczne w nauce uznając założenie, że natura ludzka jest względnie stała a zmienne są jej funkcje, uważam, że pojęcie to powinno oznaczać zespół zdolności i możliwości, które przesadzają o swoistym bycie człowieka i z tego powodu w imię zachowania wartości człowieczeństwa muszą być w ciągu jego życia, albo ogólniej — historii realizowane i rozwijane. W tym kontekście atrybuty natury ludzkiej należy traktować potencjalistycznie.

Warto pokusić się o ustalenie zakresów stosowalności pojęcia natury ludzkiej. Pierwszy z nich mógłby obowiązywać w tych wszystkich dyscyplinach, które przedmiotem swoich badań czynią jednostkowe życie, a więc w naukach medycznych, psychologicznych, pedagogicznych itp., gdzie pojęcie natury ludzkiej odnosiłoby się do potencji świadczących o tożsamości osobniczej. Skuteczne badanie jednostkowego zdrowia, czuwanie nad przebiegiem rozwoju jednostki, docieranie do jednostkowej osobowości wymaga ciągłego posługiwania się wzorcowymi choć nie ahisterycznymi w swej treści modelami. Potrzebę konstruowania takich pojęciowych struktur docenia każda bez wyjątku nauka. Oczywiście zachodzi i zachodzić musi pewna nieadekwatność między rzeczywistością empiryczną a tą przedstawioną kategoriami nauki, niemniej nie powinno to prowadzić do opowiedzenia się za stanowiskiem konceptualizmu. Jednoznacznie rozstrzygają to empiryczny punkt wyjścia i cel, jakim jest zawsze konkretny, realny, pojedynczy człowiek. Tak więc pojęciem odpowiada pewna przedmiotowość, ramowo objęta rzeczywistość z zachowaniem obszernego marginesu dla wypełnienia się konkretną treścią. Na przykład: znaczna aktywność, potrzeba dominowania, bezpośredni sposób bycia, stanowiące o istocie somatotonika stwarzają strukturę, w obrębie której jednostka, także w zależności od warunków, w jakich się znajdzie ma szansę stać się bądź wybitnym dowódcą wojskowym, bądź organizatorem świata przestępczego.

Kolejny zakres stosowalności pojęcia natury ludzkiej odnosi się do tych właściwości, które określają przynależność do danej epoki historycznej, do społeczeństwa o określonym dziejowo kształcie i wyznacza dziedzinę badań historyczno-socjologicznych. Ten typ determinacji na tle całości rozwoju społecznego, a więc rozpatrywanych w płaszczyźnie ontycznej, naturalnie również podlega przekształceniom. Potrzeby, cele, stojące przed społeczeństwem nie mogą być identyczne w każ-

dym pokoleniu, we wszystkich obszarach kulturowych. aczkolwiek i tu historia antropologii zna przypadki odmiennego pojmowania natury zbiorowej (np. jako wyraz instynktów, przejawiających się w dużych zespołach ludzkich), albo zgoła błędnego sposobu jej analizowania, który polega na wyrokowaniu o istotnych cechach kondycji człowieka na podstawie aktualnie obserwowanych przejawów życia społecznego. Zatem takie podejście ma sens wówczas, gdy nie przejawia tendencji absolutyzujących, czyli kiedy służy pokazaniu przepaści, jaka dzieli „człowieka rzeczywistego”, to jest daną, żyjącą w określonych warunkach jednostką, od niespełnionych możliwości, które ją wypełniają. Dlatego wielką zasługą Marksa i wyrazem humanizmu jego teorii było zaproponowanie szerszej, prawdziwie filozoficznej perspektywy i przełamanie osobliwego etnocentryzmu w budowaniu koncepcji człowieka. Kiedy twierdzi on, że człowiek zmienia swoją naturę, oznacza to w płaszczyźnie ontologicznej, iż byt człowieka wyraża otwartą, elastyczną, dynamiczną choć względnie trwałą strukturę, zaś w płaszczyźnie metodologicznej, że pojęcie natury ludzkiej straciło swój metafizyczny wydzźwięk. I w taki oto sposób została wyznaczona trzecia dziedzina dla zastosowania tego pojęcia.

Widać więc, że w stosunku do filozofii marksistowskiej pytanie o wyróżniki natury ludzkiej jest po prostu źle postawione. Na tym konkretnym, teoretycznym podłożu atrybutywność koncepcja człowieka nie ma racji bytu. Ewentualną zasadność zachowuje jedynie w płaszczyźnie opisowej, gdy przedmiotem badań staje się historycznie zrealizowany potencjał ludzkich dyspozycji.

Czy zatem pojęcie natury ludzkiej ma charakter instrumentalny, charakter pomocniczej kategorii, czy też denotuje ono realny fakt. Otóż uznanie realności desygnatu pojęcia natury człowieka było typowe w tych koncepcjach, które traktowały niezmienną bytu ludzkiego jako pewnik. Uwzględnienie jednak marksowskiej metodologicznej tezy o jedności abstrahowania i konkretyzacji, prowadzi do przyjęcia stanowiska, że koncepcja własności ogólnych pociąga za sobą konieczność ograniczenia zasięgu stosowalności pojęć do granic określonych historyczną czasoprzestrzenią, albo — do granic wyznaczonych przez względnie izolowany układ zjawisk. Oczywiście przeprowadzone uprzednio dystynkcje dla trzech stref stosowania pojęcia natury ludzkiej mają charakter wyłącznie teoretyczny, praktycznie bowiem każdy z tych poziomów konkretyzuje się w rzeczywistych jednostkach.

Jak wobec tego należy rozpatrywać leninowską, nawiązującą do Marksa, teorię człowieka konkretnego? Zauważono bowiem, że „dla Lenina człowiek to zawsze istota konkretna: robotnik, chłop, żołnierz, burżua, Polak, Rosjanin, Żyd, Ukraińiec, Tatar, Ormianin, kobieta, dziecko...”³ Stwierdzenie to, pozostawione bez dodatkowych wyjaśnień, dopuszcza interpretację, że Lenin utożsamiał istotę konkretną z jednostkową. Treść sądu zawiera w podtekście sugestią jakoby tworzył on antropologię o nominalistycznym wykładniku, a przecież jest to nieporozumienie. Człowiek konkretny w ujęciu Lenina to nie, na przykład, Jan Kowalski. Żadna z wymienionych uprzednio nazw nie jest jednostkowa, ani tym bardziej własna, co pozwala żywić przekonanie, że nie denotuje istot konkretnych w potocznym tego słowa znaczeniu, jako istniejących

³ A. Kasia: *Leninowska koncepcja człowieka*. „Studia Filozoficzne” 1970 nr 2.

materialnie i realnie. Zachodzi przecież różnica pomiędzy określeniami „robotnik” a „ten oto robotnik” itd. Co prawda można by jeszcze sądzić, że nazwy owe są używane z intencją odniesienia do pojedynczego przedmiotu, tzw. nazwy o intencji jednostkowej, ale temu zdaje się przeczyć sam Lenin. Zgodnie z jego uwagami, wyrażonymi w *Materializmie a empirokrytycyzmie*, a dotyczącymi jego sposobu formułowania definicji klasycznej, jeżeli chcemy prawidłowo przeprowadzić proces definiowania, powinniśmy pojęcie o węższym zakresie odnieść do pojęć o zakresie szerszym. Zatem definicja robotnika nie przybierze kształtu: Robotnik to Jan Kowalski, lecz następujący: Robotnik (definiens) jest to człowiek (definiendum), który charakteryzuje się takim to a takim stosunkiem do środków produkcji (*differentia specifica*). Założenie możliwości objaśnienia faktu bycia np. robotnikiem implikuje istnienie pojęcia ogólniejszego, które z kolei wraz z różnicą gatunkową spełnia warunek przekładalności, nie występujący w przypadku definicji wcześniejszej. Czyli człowiek konkretny to tyle, co historyczny, uwikłany w obustronne relacje ze społeczeństwem, a nie jednostkowy. Lenin nie tworzył, o ile w ogóle byłoby to możliwe, teorii szeregu pojedynczych osób. Za cenę pominięcia indywidualnych właściwości „Kowalskiego” uzyskane zostało pojęcie, które pozwala owe jednostkowe cechy odnotować. Zawarta w pismach klasyków koncepcja nauki, związana z umiarkowanym realizmem pojęciowym, odnosi się także do antropologii. A zatem negacja metafizycznej koncepcji człowieka nie musi polegać na przyjęciu stanowiska skrajnie przeciwnego.

Swoistość marksistowskiej antropologii jest w literaturze przedmiotu określana poprzez sferę społeczno-kulturową, wtórną w stosunku do przyrody, która wyznacza jedynie, jak się sądzi, gatunkową przynależność człowieka. I znów stają się widoczne obawy przed interpretacjami naturalistycznymi. Gwałtowność ucieczki przed nimi jest tak duża, że prowadzi do konsekwencji, które dla trzeźwej myśli są nie do przyjęcia, a mianowicie ku stanowisku dualizmu przyrodniczo-kulturowego. Gdyby osobliwości ludzkiej nie mogło przesądzać nic innego, niż środowisko sztuczne, człowiek byłby człowiekiem ponad środowiskiem naturalnym. O czym bowiem świadczy powiedzenie, że „to co społeczne jest genetycznie związane z pewnym etapem ewolucji biologicznej naszych przodków”⁴. Wszak o tym właśnie, że proces ewolucji po wyłonieniu gatunku ludzi powieliła już tylko biologiczną matrycę w wielości egzemplarycznych istnień. A przecież z przyjęcia stałości wyznaczników gatunkowych i jednoczesnego uznania autonomii świata społeczno-kulturowego wyłoniła się oświeceniowa w swym rodowodzie tendencja lokalizowania ludzkich cech wyłącznie w tej drugiej sferze. Niestety, w ten oto sposób dokonał się powrót do stanowisk, z którymi Marks polemizował. Tak właśnie w pomarksowskiej filozofii ożywa pogląd znany z wypowiedzi Locke’a, Rousseau, Helvetiusa, Fouriera, a później także Huxley’a, że człowiek jest produktem doświadczenia, wychowania i wykształcenia, wytworem swego środowiska, oraz że to ono różnicuje jednostki. Akceptowanie niezmienności biologicznej natury człowieka stworzyło także warunki dla aprobaty poglądów tych myślicieli, którzy uwy-

⁴ T. M. Jaroszewski: *Traktat o naturze ludzkiej*. Warszawa 1980, s. 49.

datmli rolę dziedziczenia tej samej struktury psychofizycznej przez członków danej rasy czy nacji. Wystarczy przypomnieć socjologów z kręgu darwinizmu społecznego — Gumpłowicza, Bagehafa, Retzenhofera lub teorie Gobineau i Hitlera.

Niewątpliwie istnieje potrzeba teoretycznego rozdziału różnych sfer egzystencji człowieka, ale nie w sposób antynomiczny, sugerujący, że zmiany w sferze społeczno-kulturowej dokonują się niejako niezależnie od przyrodniczego podłoża, ponad nim, gdy ono pozostaje niezmiennie. Jednoczesne uznanie też o niezmienności gatunkowej człowieka i dokonującym się już tylko w płaszczyźnie społeczno-kulturowej rozwoju nastrocza kłopotów w uzasadnieniu tezy o „stałe rosnącym potencjale ludzkich możliwości” (określenie T. M. Jaroszewskiego). Przecież nie sposób akceptować punkt widzenia, który społeczną egzystencję traktuje jako wyzwalenie, odkrywanie czy aktualizowanie wyposażenia, jakie raz na zawsze z chwilą narodzin gatunku ofiarowała człowiekowi przyroda. W tej sytuacji mielibyśmy bowiem do czynienia nie z materializmem historycznym ale z pewną modyfikacją dawnego natywizmu. Stąd konieczna staje się koncepcja immanentnego w sferze społecznej motoru rozwoju. Takie rozwiązanie wydaje się zgodne z obecną w materializmie historycznym zasadą autodeterminacji. Jednakże, jeśli równocześnie nie zostaną przyjęte ewolucyjne przekształcenia w obrębie samego mózgu, jego struktury i funkcjonowania właśnie pod wpływem uczestnictwa w porządku społeczno-kulturowym to teoria ta bliższa się stanie stanowisku Teilharda niż Marksa.

Przyjrzyjmy się teraz w jaki jeszcze sposób deformowana jest organicznie z filozofią Marksa związana perspektywa ontycznej, bio-psycho-społecznej jedności człowieka. Otóż w uzasadnieniu antyredukcyjnego charakteru jego antropologii jakby zapomniano o dawno już przewyciężonej tendencji dualistycznego, rozłącznego rozpatrywania psychofizycznej konstytucji ludzkiego bytu i nadal obowiązuje optyka antynomii. Prawdą jest, że u podstaw dialektycznej interpretacji rzeczywistości tkwi egzystencjalne założenie przeciwieństw, przeciwieństw wszakże, a nie antynomii. Czyż jest jakas szansa na uzyskanie twórczych konkluzji z myślenia o człowieku przez pryzmat opozycji, które zwykle się w takich ramach przywoływać? Raczej nie. Bo do czego bowiem poza nieporozumieniami prowadzi próba określenia człowieka, tak często stosowana, poprzez porównanie go ze światem zwierząt? Zadaniem jest określenie człowieka na podstawie różnic między nim a przyrodą, ale żeby tego dokonać należy dysponować wiedzą o tym, czym jest człowiek. Z kolei, aby ją osiągnąć trzeba przeprowadzić porównanie ze światem przyrody. Chyba nie ma wątpliwości, że ten sposób rozumowania urąga prawdom logiki, i że mija się on z dialektyką. Porównywanie dwóch przedmiotów, dwu rzeczywistości, czy pojęć ma sens tylko wówczas, gdy każdy z członów porównania został dostatecznie określony i kiedy ustalono kryterium tego porównania. W omawianym przypadku żaden z warunków nie został jednak spełniony.

Mógłby może ktoś zwrócić uwagę na pewne niedopatrzenie w tej analizie, polegające na nie dość dokładnym uwzględnieniu członu „świata przyrody”, który jest niedookreślony, a przynajmniej nie w takim stopniu jak „człowiek”. Uzupełniając ten brak wypadnie zauważyć, że proces określenia człowieka w tym przypadku będzie polegać na ustaleniu rejestru

własności przyrody i kolejnego eliminowania tych cech, w które jest on wyposażony. Natomiast te wszystkie własności, których nie da się wyłączyć złożą się na jego obraz. Zatem metoda określania bytu człowieka przybrała postać arytmetycznego działania, odejmowania: człowiek = instynkty = człowiek po-zaprzynodniczy, czyli społeczno-historyczno-kulturowy. Pomijając już nawet ten fakt, że instynkty i działania nieracjonalne mają niebagatelny udział w formowaniu życia społecznego, to sam tok mechanistycznego oddzielania przyrodzonych i historyczno-kulturowych właściwości nie przedstawia żadnej wartości naukowej, stanowi nadużycie metodologiczne i nieprawdziwość przedmiotową. Po dokonaniu takiego zabiegu kastracji, gdybyśmy nawet mogli przyjąć jego poprawność, bynajmniej nie pozostaną przy człowieku własności pozabiologiczne. Czyż, posłużmy się zastrzeżeniem Konrada Lorenza, nienaturalnym wypadnie nazwać ośrodek Broca, miejsce w obrębie zakrętu nabrzeżnego lewego płata mózgu, od którego zależy mowa artykułowana i pojęciowe myślenie, tylko dlatego, że w świrucie zwierząt go nie ma i nie ma żadnego jego odpowiednika? ⁵ Oczywiście jest, że człowieka nie dzieli żaden mur chiński, po którego jednej stronie znajdowałyby się część ludzka, a po drugiej zwierzęca, powiada Edgar Morin. I dalej pisze: A skoro weźmie się pod uwagę te oczywistości, wówczas zaściankowa antropologia ujawnia paradoksy, których nie jest w stanie przezwyciężyć. Jeśli homo sapiens pojawił się nagle w pełnym rynsztunku, tj. obdarowany wszystkimi swoimi możliwościami, niczym Atena z głowy Zeusa, lecz Zeusa nic istniejącego, niczym Adam z Elochim, nie uznawanego, zatem skąd się wziął? Jeśli byt biologiczny człowieka nie jest rozumiany jako coś wytwórczego, lecz jako surowiec urabiany przez kulturę, skąd tedy bierze się kultura? Jeśli człowiek żyje w kulturze nosząc w sobie przyrodę, to jak może być zarazem antynaturalny i naturalny? Jak wyśląć człowieka przyjmując za punkt wyjścia teorię, która odwołuje się wyłącznie do jego aspektów antyprzyrodniczych? ⁶

Kolejny aspekt owego pozornie niewinnego twierdzenia, że o istocie człowieka decydują wyznaczniki pozabiologiczne polega na zbliżeniu się do kierunków idealistycznych. Wszak właśnie u podłoża antropologii supranaturalistycznej znajdujemy tezę o tym, że człowiek realizuje się poza przyrodą. „Człowiek ponadnaturalny” w filozofii marksistowskiej to Tytan, który w ciągu stuleci i tysiącleci swej walki o byt (a przecież życie społeczne według materializmu historycznego nie daje się zredukować do odkrytego przez Darwina prawa — I. G.) zdołał wyzwolodzić się z panowania sił przyrodniczych ⁷. Historia ludzkości toczyła się więc w iście kryminalnej scenerii boju z „terrorem sił przyrody”, ujarzmiania „przemocy jej nieopanowanych sił”. Oczywiście nie ta stylistyka wydaje się tu najbardziej rażąca, ale naiwność. Antropocentryczna zarozumiałość bardziej szkodzi nauce o człowieku niż pomaga, chociaż można zrozumieć jej intencje. Ba, gdyby skutkiem ambicji okazało się poczucie godności i odpowiedzialności za przekształcony świat — byłoby znakomicie. Gdyby miał to być

⁵ K. Lorenz we wstępie do książki W. Wicklera *Czy jesteśmy przestępcami?* Warszawa 1974, s. 22.

⁶ E. Morin: *Zagubiony paradygmat — natura ludzka*. Warszawa 1977, s. 35—36.

⁷ J. J. Wiatr: *Spoleczeństwo. Wstęp do socjologii systematycznej*. Warszawa 1964, s. 23.

tylko pesymizm wynikły z poczucia obcości świata i ludzkiej w nim samotności — to jeszcze pół biedy. Gorzej jednak, że w praktyce życiowej i produkcyjnej jednostek oraz społeczności oznacza to niemal kompletną beztroskę i niefrasobliwość w marnotrawieniu a także trzebieniu przyrody na wszystkie dane przez cywilizację sposoby. Może więc korzystniej byłoby ograniczyć nieco tę aktywność i ingerencję w porządek natury i pogodzić się z przyrodą zamiast chlubić się prowadzoną z nią walką, ponieważ z walki tej człowiek nie może wyjść niepokonany. Warto w tym kontekście przytoczyć słowa wybitnego psychiatry i filozofa Antoniego Kepińskiego: *Kultura europejska od kilku wieków poszła wyraźnie w kierunku ekstrawertyzmu — na podbój świata. O wartości człowieka świadczyły jego zewnętrzne osiągnięcia. Dzięki tej postawie na zewnątrz osiągnięto wyniki przewyższające nawet marzenia. Kultury o postawie bardziej introwertywnej np. hinduska, pozostały daleko w tyle, jeśli chodzi o przekształcenie otaczającego świata. Realizacja marzeń i podbój świata nie przyniosły jednak spodziewanego szczęścia. (...) Człowiek zdobywał władzę nad swym naturalnym otoczeniem i przekształcił je w otoczenie sztuczne, w którym zbyt dobrze się nie czuje. Doszedł on już do tego punktu, w którym musi ze swej władzy nad przyrodą ustępować i zmienić stosunek techniki do przyrody z antagonistycznego w symbiotyczny ⁸. Niewiele jest w polskiej filozofii uwag podobnego typu, te zaś, które są, pochodzą od lekarzy i psychologów zajmujących się filozofią, a nie od samych przedstawicieli królowej nauk. Nauki szczegółowe zdecydowanie wyprzedziły filozofię, która jakby celowo i uporczywie broni się przed nowymi inspiracjami. To nauki szczegółowe właśnie na własnym terenie zabiegają o jedność ujęcia bytu człowieka. Pedagogika w teorii oraz w praktyce jednakowo kontroluje fizyczny, emocjonalny i intelektualny rozwój dziecka, zachowując pełną świadomość współzależności każdego z elementów psychofizycznej struktury. Podobnie dzieje się w przypadku psychologii, uwzględniającej w równym stopniu irracjonalne jak i racjonalne składniki osobowości ludzkiej, a także w psychiatrii, która w ślad za propozycją Kazimierza Dąbrowskiego stopniowo rezygnuje z pojęcia normy psychicznej oraz nienormalności na rzecz dezintegracji pozytywnej bądź negatywnej.*

Jeśli zatem natura ludzka — uwierzmy Marksowi oraz intuicji nauk szczegółowych — stanowi bio-psycho-społeczną całość, jeżeli nie jest mechanicznym zlepkiem różnych cech, to niechby filozofia przestała się wzdragać przed wykorzystaniem aktualnego dorobku nauki. Znow można bowiem za Marksem powiedzieć, że „nauki przyrodnicze rozwinęły niebawem działalność i przyswoiły sobie materiał, który nieustannie rośnie” ⁹, ale choć filozofia nie jest im obca, to one są nadal obce filozofii.

Nie wolno np. propozycji neurofizjologii odrzucać en bloc na tej tylko podstawie, że skoro jej przedmiotem jest biologiczny człowiek, to wnioski muszą nosić znamię naturalizmu i redukcjonizmu. Jeśli wykorzystują je przedstawiciele pozamarksistowskich kierunków w sposób, na który z różnych względów nie chcemy przystać, to jeszcze nie znaczy to, iż są one pozbawione wartości. Zwłaszcza, że choć przyrodnicze

⁸ A. Kepiński: *Rytm życia*. Kraków 1973, s. 150—151.

⁹ K. Marks: *Rękopisy filozoficzno-ekonomiczne z 1844 r.* (w:) K. Marks, F. Engels: *Dzieła*, Warszawa 1960, t. I, s. 585.

nauki o człowieku wyjaśniają tylko biologiczne możliwości zaistnienia działań specyficznie ludzkich¹⁰, to znakomicie służą potencjalistycznej koncepcji natury ludzkiej. Jedynie w klimacie interdyscyplinarnej współpracy będzie mogła ziścić się przepowiednia Marksa o tym, że przyrodoznawstwo wchłonie w przyszłości naukę o człowieku, podobnie jak nauka o człowieku wchłonie przyrodoznawstwo, że będzie jedna nauka¹¹.

Izabela Gawarecka

¹⁰ T. M. Jaroszewski, tamże s. 47.

¹¹ K. Marks, tamże, s. 586.



ANTONI BEDNAREK

SYNTETA KULTURY POLSKIEJ

Na początku trzeba powiedzieć kilka słów, które zwykle w recenzjach wypowiada się na końcu. Zanim przystąpimy do merytorycznego oglądu *Dziejów kultury polskiej* Bogdana Suchodolskiego podkreślmy walor estetyczny tej książki, który objawia się głównie w elegancji stylistycznej, a także sztuce układu treści i kompozycji całości. Język dzieła to język wykładu, lecz wykładu o proveniencji bardziej gawędy intelektualnej, eseju historycznego, niż profesorskiej oracji. Zaletą ze wszech miar zasługującą na uwagę jest zdyscyplinowana erudycja autora. Zarówno bowiem selektywność informacji, jak i doskonała umiejętność posługiwania się cytatem są jej wynikiem. Wszystkie tytuły rozdziałów i podrozdziałów dają efektywną w swej komunikatywności, hasłową sygnalizację bloków tematycznych.

Co by nie sądzić o tej pracy, jest to na pewno dzieło ważne. Ważne nie tylko dlatego, że po wielu dziesiątkach lat przynosi nową syntezę dziejów kultury narodowej. Istotne jest to, że od pewnego już czasu latniało społeczne zapotrzebowanie na tego typu pracę.

Istnieją rozmaite koncepcje historii kultury. Ta, którą wybrał Suchodolski, brzmi następująco: *Można ją rozumieć jako historię świadomości społecznej, która nie stanowi żadnej wydzielonej dziedziny życia, ale wyraża się we wszystkich: w wielorakim języku zdarzeń i procesów, instytucji i organizacji; twórczości umysłowej i artystycznej; manifestuje się jako szczególna rzeczywistość wewnętrzna, jednorodna, chociaż pełna wewnętrznych sprzeczności; trwała chociaż zawsze zmieniająca się w rozwoju. Tyle we wstępie. Właściwa tej koncepcji metoda integracji pozwala uniknąć tasemcowej komasacji faktów z poszczególnych dziedzin; polega zaś na rekonstrukcji zbiorowej świadomości, zakodowanej niejako w sztuce, literaturze i muzyce, także nauce, oświacie, życiu codziennym. Słowem autor odczytuje przemianę świadomości narodowej Polaków, ujmując rzecz całą niejako pod auspicjami XIX-wiecznych historiozofów romantycznych, głównie Lelewela i Mochackiego. Całości patronuje ufny racjonalizm, według którego dzieje naszej kultury to proces stopniowej ewolucji ku coraz doskonalszej formie. Postawa to, dzisiaj od strony metodologicznej, trochę staroświecka.*

Książka Suchodolskiego ma to do siebie, że zawarta w niej prezentacja im bliższego dotyczy czasu, tym bardziej staje się kontrowersyjna. Jest to jednak całkiem prawidłowe w przypadku wielkich całościowych ujęć. Dystans czasowy uobiektywizuje przedstawiony materiał i czyni go

mniej podatnym na afektywność recepcji. Współczesność, z natury rzeczy, porusza emocje.

Jeśli idzie o okresy staropolskie z wiekiem XVIII włącznie, obowiązują tu kanon podziału zgodny z przyjętą powszechnie tradycyjną periodyzacją: średniowiecze, renesans, barok, oświecenie. Następne okresy potraktowano łącznie jako *Okres niewoli*. Dalej następuje rozdział *Polska Niepodległa*, w ramach którego zachodzi podział: *Druga Rzeczpospolita*, *Okres wojny i okupacji*, *Polska Ludowa*.

Szczególnie okazałe prezentuje się renesans. Tu zarówno wiedza jak i panowanie nad całością epoki zdradza bardzo osobiste zaangażowanie intelektualne piszącego. Jest to epoka, której oblicze kulturowe autor rzeczywiście odbiera całościowo. Rodzaj interpretacji sprawia, że owa renesansowość w rozmaitych przejawach staje się czytelna w sposób klarowny. Jednocześnie właśnie przy okazji renesansu autor niezwykle dobitnie daje wyraz euforystycznej apoteozie, co wywołuje dosyć monolityczny w swej wielkości wizerunek okresu. Mamy do czynienia z imponującą wizją epoki, ale o zabarwieniu wyraźnie mitologizująco-dydaktycznym. Miejscami daje o sobie znać pałos stylizacyjny przejawiający się choćby w nagromadzeniu słów: wielkość, ważność, znaczenie — zwłaszcza w partiach podsumowujących.

Z zaciekawieniem czyta się rozdział dotyczący baroku, w którym autorowi udało się najlepiej zrekonstruować świadomość narodową, przy czym prezentacja epoki wypadła ze wszech miar wyczerpująco, ukazując kulturową wielorakość i zarazem stylową integralność okresu w jego wszystkich przejawach. W ogóle w całej części dotyczącej staropolszczyzny jedna rzecz zasługuje na mocne podkreślenie. Suchodolski z dużą znajomością przedstawia kulturę dnia codziennego, całe poprzednie bytowanie człowieka epoki. Wzbogaca to i — rzec by można — szczególnie uwiarygodnia odtwarzanie określonego stanu świadomości narodowej.

Poważne wątpliwości budzą podrozdziały dotyczące recepcji poszczególnych epok, zatytułowane: *W oczach potomnych*. Już w przypadku kultury barokowej staje się widoczna pobieżność zawartych tu informacji. Przede wszystkim musi budzić zdziwienie całkowite prawie pominięcie recepcji baroku w XX wieku. Ograniczenie się do niewielkiego akapitu i zasugerowanie analogii między ostatnią wojną a XVII-wiecznym „potopem” — razi powierzchownością (podobnie jest w przypadku oświecenia: tradycje oświeceniowe — dywizje kościuszkowskie w II wojnie). A przecież zarówno XX-wieczne penetracje naukowe, tak szeroko rewaloryzujące epokę, jak i fascynacja jej estetyką w literaturze i sztuce współczesnej, swoista „moda” na barok w latach 60-tych (także „moda” na Młodą Polskę) — mogłoby to wszystko wiele powiedzieć o współczesnej świadomości narodowej, poszerzyć obraz kultury naszego, tak bardzo przecież „retro” zorientowanego czasu. Zdziwienie budzi też pominięcie tematu recepcji przy omawianiu okresu międzywojennego. Stosunek ostatniego trzydziestolecia do II Rzeczypospolitej jest już na tyle czytelny, że należałoby to uwzględnić.

Rozważania Suchodolskiego posiadają ważną zaletę, która jest szczególnie może widoczna w rozdziałach dotyczących oświecenia i wieku XX. Stanowi ją umiejętność interpretacji tekstów publicystycznych, polegająca na selektywnym doborze treści, które mają współtworzyć syntezę. W wymienionych epokach miały one znaczenie priorytetowe.

Kontrowersje budzić może jednolite potraktowanie w *Dziejach kultury polskiej Okresu niewoli*. Zwłaszcza jeśli się zważy, że składało się na to stulecie kilka okresów pozostających wobec siebie w stosunku miejscami wręcz antagonicznym. Głębsza jednak refleksja każe zaakceptować takie potraktowanie okresu. Trudno jest tylko zrozumieć wytoczoną na poparcie tego argumentację autora (we „Wstępie”). Zbyt nio chyba zaciążył historyczny punkt widzenia, w wyniku którego sam fakt niewoli narodowej uprawomocniła do mówienia o jednolitości tej

kultury. Podczas gdy jednolitość epoki polega na braku jednolitości, ustawicznym ścieraniu się antynomii. Wiek XIX nie był jednorodny, odznaczał się natomiast — można to chyba tak sformułować — jednolitością stylu.

Co do tego właśnie stulecia, w pierwszym rzędzie budzi zastrzeżenie potraktowanie przez autora roli Kościoła. Dostrzegają to i dokładnie opiszają może znawcy przedmiotu. W każdym razie pewne jest, że słabo wyczuwalna jest u Suchodolskiego kwestia integrującej roli Kościoła w czasie niewoli.

Dogłębnie zostało potraktowane natomiast zjawisko dla kultury XIX-wiecznej bardzo istotne. Idzie o inteligencję jako grupę społeczną w tym czasie rosnącą, spełniającą zwłaszcza w drugiej połowie wieku rolę zasadniczą w kształtowaniu świadomości narodowej. Znaczenie będzie miało — zwłaszcza dla ciekawych naszej kultury cudzoziemców — odtworzenie owego etosu inteligenta polskiego, tak bardzo związanego ze specyfiką sytuacji nad Wisłą, a jednocześnie w pełni europejskiego.

Specjalna uwaga należy się okresowi międzywojennemu. Czytelnicze oczekiwania w tym miejscu lektury *Dziejów kultury polskiej* będą na pewno ogromne. Jest to w końcu pierwsza, całościowa próba syntezy międzywojnia. Temat ciągle jak by „niedopowiedziany”, a w chwili obecnej mający już rangę tematu: bezpośrednie dziedzictwo kulturowe. Doskonale wypadło trafne chyba wyodrębnienie trzech zasadniczych nurtów (w rozdziale *Pogląd na świat i koncepcja życia*), to jest: metafizycznego, racjonalistycznego i trzeciego, objętego formułą: „pogląd na świat jako doświadczenie osobistego życia, jako styl istnienia...” (s. 530). Podział ten stanowi pierwszą sensowną typologizację w obrębie kultury dwudziestolecia międzywojennego. I chociaż w wielu miejscach trudno się zgodzić z zamieszczoną przy poszczególnych nurtach egzemplifikacją (np. przypisanie Leśmiana do grupy trzeciej), to jednak generalnie selekcja jest celna. W chwili obecnej ewidentne jest w kulturze nawiązanie do nurtu metafizycznego, zaś wyraźna po wojnie kontynuacja nurtu trzeciego dokonywała się poprzez ciągle aktywną obecność twórców z tamtych lat. To ten nurt rozszerzał się stopniowo o piśmiennictwo autobiograficzne wchodzące do literatury rozległym, specyficznym traktem.

Sceptycznie należy odnieść się natomiast do uznania twórczości takich pisarzy jak: Szelburg-Zarembina, Nałkowska, Kuncewiczowa jedynie za wyraz krytycyzmu wobec ówczesnej rzeczywistości (s. 517). Ostrożniej chyba należało rzecz całą sformułować. Było to raczej wyrazem ogólnoeuropejskiego wówczas zorientowania na wnętrze człowieka, zwrotu ku osobie ludzkiej.

W omówieniu okresu międzywojennego odczuwa się brak należytego zainteresowania ośrodkami uniwersyteckimi, zwłaszcza humanistyką, której „szkoły” miały znaczący wpływ na edukację humanistyczną społeczeństwa. Poza tym, do dosyć poważnych braków zaliczyłbym nie dostrzeżenie przez autora znaczenia literatury dla dzieci i młodzieży, piśmiennictwa podręcznikowego i popularnego. Okres dwudziestolecia był okresem nie tylko bogatego rozkwitu tej literatury, ale również nadal jej pełną autonomię estetyczną, a przede wszystkim nobilitował jej istnienie w życiu literackim i odbiorze czytelniczym. Dala ona konkretne efekty wychowawcze wśród pierwszego pokolenia wychowanego w Niepodległej Polsce, dla jego świadomości patriotycznej (jeśli już w tym tonie rzecz całą utrzymywać).

Dzieło Suchodolskiego skłania do jeszcze jednej refleksji. Idzie mianowicie o przekłady dla cudzoziemców. Notka na wewnętrznej stronie karty tytułowej informuje o ukazaniu się „Dziejów” w języku angielskim, francuskim i niemieckim. Oczywiście trudno cokolwiek przewidzieć, ciekawi jednak los tej translacji. Czy obcy czytelnik wyniesie obraz kultury polskiej, czy też raczej otrzyma kompendium informa-

cyjne? Na pewno specyfika naszej kultury będzie mu dostępna poprzez partie eseistyczne, stanowiące częste fragmenty znakomitej prozy (np. *Polska w przestrzeni* z rozdziału *Okres niewoli*).

Autor opowiada wówczas o kulturze polskiej w sposób bardzo sugestywny, oddaje jej tylko właściwy klimat. W ogóle trzeba podkreślić, że wybrana przez Suchodolskiego koncepcja historii kultury sprzyja odtworzeniu owego klimatu.

Antoni Bednarek

słowa i metody

JERZY ŚWIĘCH

Kochaj albo rzuć!

Pragnę już na wstępie lojalnie uprzedzić czytelnika, iż nie będzie wcale moim tu zamiarem wdawanie się w uczone spory i dysputy na temat krytyki literackiej. Czytelnik, niestety, nie znajdzie w tym felietonie odpowiedzi na skądinąd ciekawe i interesujące pytanie, czym jest krytyka literacka „w ogóle”, jakie są jej cele, funkcje i aktualne przeznaczenia, czym się wyróżnia „dyskurs krytycznoliteracki” na tle innych dyskursów. Nie, nie zapoznamy go z repertuarem wszystkich tych zawitych i wysoce specjalistycznych kwestii, odgradzonych wysokim murem od potocznych mniemań, jakie na temat krytyki każdy, zwykły i nieuprzedzony, czytelnik posiada. Mamy zresztą uzasadnione prawo wątpić, czy wszelkie precyzacje, klasyfikacje, typologie, rozróżnienia są najlepszym i najpewniejszym sposobem opanowania zjawiska, którego kontury są tak mało wyraziste. Co bowiem, spytajmy, różni akł krytyczny od twórczości pisarza, co go spokrewnia z postępowaniem badacza? Co począć ze zdaniem, które wypowiedział kiedyś krytyk i pisarz bardzo przenikliwy, Karol Irzykowski, że mianowicie każda krytyka czerpie „sily z tego źródła prątwórczości, które ma wspólne z poezją”? Interesuje mnie książka, która praktycznie a nie żadnym uczonym sposobem rozstrzyga dyskusje i spory, będące — rzeczywistym czy też urojonym — utrapieniem dzisiejszych literaturoznawców. „Romans z tekstem” Jana Błońskiego (1981) jak dotąd przeszedł niemal niezauważony, nie wywołał — o dziwo — rezonansu, na jaki zasłużył, może dlatego, że ta lekcja krytyki, jakiej autor udziela, wciąż wydaje się w swych aspiracjach za wysoka. Może dlatego, że w czasach, gdy ideałem i legitymacją krytycznej sprawności jest impresyjny opis, formułowanie opinii dwuznacznych, a więc miłych zarówno jednej, jak i drugiej stronie, pogoń za chwytliwym, pokupnym na rynku frazesem, głoszenie jako własnych prawd usankcjonowanych przez powagę Urzędu i Instytucji, książka Błońskiego żadnej z tych skłonności nie przyświadcza. Owszem, z każdą z nich jest radykalnie i bezkompromisowo skłócona. Podąża drogą własną i dlatego samotną: „zawsze ciemną, a przez to bezpieczną, i samotną, a przez to piękną” (Tadeusz Gajcu „Głos”).

Porzućmy jednak paradoksy, choć cała krytyka, jak to pięknie Błoński wywodzi, stoi na paradoksach. Istotę czynności krytyka pragnie się często sprowadzić do powinności wobec roli, w którą, zgodnie ze społecznym wyobrażeniem o sobie, się wciela. Krytyka literacka jawi się wówczas jako siostrzana postać „liryki roli”, gdzie poeta występuje

pod maską kogoś innego („ja to ktoś inny”), przemawia rzekomo nie we własnym lecz cudzym imieniu, zrzekając się (bodaj częściowo) odpowiedzialności za swoje własne słowa. „Ucieczka od wartościowania, lęk przed jednostkowym wychyleniem, wstyd przed wyłożeniem kart” — oto smutne koszty ubezwłasnowolnienia krytyki, niezdolnej do ryzyka, posłusznej wobec nakazów, pokornej wobec wszelkich ograniczeń. Bywa też, iż osobliwości wypowiedzi krytycznej upatruje się w jej cechach „metatekstowych”, co oznacza, że wysiłek krytyka sprowadza się do opisanie tekstu przy pomocy środków i jednostek jakiegoś innego języka („metatekst” bowiem to tyle co „tekst o tekście”), jak gdyby — cóż za dziwne przypuszczenie! — pisarz i krytyk mówili różnymi językami. Żadna z tych presupozycji nie nęci Błońskiego. „Dominantą funkcji krytycznych jest (...) funkcja oceniająca”, zwykłym pytaniem, jakie czytelnik zawsze kieruje pod adresem krytyka jest: „co cenisz, co potępiasz, co chcesz spalić, co uwielbić”. Tekst — a stanowi to pierwszy warunek rozumienia — musi stać się obiektem wciąż nie-nasyconego pożądania, bowiem rzecz, która budzi w nas pragnienie posiadania tym bardziej kuszą i fascynuje, im realniej wydaje się nieosiągalna. Błoński w tytułowym szkicu otwierającym książkę chętnie powraca do romansowej metafory. Krytyczne obcowanie z tekstem to nieustępliwe, męzne obleganie niezdobytej twierdzy, to pokaz umiejętności, którymi tylko namiętny kochanek, spragniony obiektu swoich pożądań, może się wylegitymować. „Fascynacja”, „odtrącenie”, „wykluczenie”, „kuszenie”, „pragnienie zagarnięcia”, „namiętność”, „oczarowanie”, „zniewolenie” — przecież wszystkie te słowa należą do jednego pola znaczeniowego, któremu na imię „miłość”, „flirt”, „romans”!

Oczarowanie, bez którego nie ma prawdziwego poznania i zrozumienia, może jednak także oślepić, cierpliwe obleganie twierdzy rychło może okazać się nużące, lepiej przeto zdobywać zamki (i kobiety) „z marszu”, prawdziwy bowiem urok kobiety polega na stopniowym i drażniącym dawkowaniu wrażeń. Dzieło literackie jest czymś innym od naszych wyobrażeń o nim, jego sekret, ukryty mechanizm, dzięki któremu stwarza się wciąż od nowa nieznaną dotąd konfigurację pojęć i wartości, nie jest wcale prostą sumą obserwacji wyniesionych z lektury lecz stanowi inną, odrębną całość, nie dającą się do końca przeniknąć przez krytyka choć tak bardzo go intrygującą. „Zgoda na zasadniczą inność arcydzieła — na niepojęte bogactwo znaczeń i wyglądów, które wprawilo w ruch — prowadzi do postawy polegającego partnera”, oświadcza autor. Krytyk musi wyrazić ową „zgodę na zasadniczą inność dzieła”, w przeciwnym bowiem razie grozi to, że przemówi ono nie własnym lecz jego językiem. Stąd jeden ze wspomnianych a licznych paradoksów krytyki: „Zapewne, krytyk czyni wszystko, aby podać sobie tekst. Ale często — w głębi serca — pragnie być pokonany”. Oto najprostsza odpowiedź wszystkim, którzy w krytyce literackiej (a w czasach obecnych pretenduje ona coraz częściej i śmielej do miana „uniwersyteckiej”) holdują „liturgii naukowości”. Błoński, owszem, nawet często odwołuje się do repertuaru pojęć i terminów literaturoznawczych, wcale o nich nie zapomina, ale też i wcale nie zamierza podporządkować się decyzjom użycia nazwy z góry niejako zadekretowanej przez podręcznik poetyki. Nazwa u niego ma zawsze konkretne zastosowanie, to jedyne, najwłaściwsze.

Dzieje się tak dlatego, ponieważ metoda Błońskiego jest metodą heurystyczną, metodą prób, czyli kolejnych przybliżeń się do tekstu, który jak rulon stopniowo się rozwija. Żeby właściwie odczytać intencje autora, trzeba być w należyty sposób podejrzliwym wobec tekstu, nieufnym wobec języka, a podległym mowie. Dla Błońskiego tekst dzieła literackiego nie jest nigdy ostoją znaczeń spetryfikowanych, lecz konkretnym aktem mowy, swoistym przez uruchomienie w nim różne punkty widzenia (nie ulega wątpliwości, że przede wszystkim literatura polifoniczna, operująca ironią, wyzyskująca sztukę aluzji, karykatury, stylizacji znaj-

duje w Błońskim cierpliwego i ważnego czytelnika!). Niezwykle wyuczulenie na osobliwości mowy to cecha „Romansu z tekstem”. Mowa bowiem to zawsze konkretna perspektywa, z jakiej podmiot widzi i ocenia świat, ukrywa się przecież pod nią preferowany (lub odrzucony) system wartości. I dlatego z taką uwagą śledzi krytyk, jak mowa bohaterów sztuk Mrożka wykoleja się w sztuczny, nieszczerzy patos, gdy górę nad językiem owych postaci-kukiel bierze konwencja, mowa zinstytucjonalizowana, która wyposaża co prawda wypowiedź w pewne przywileje społeczne i prawa lecz czyni to kosztem zrzeczenia się przez nią ambicji własnych. Z tych samych powodów krytyk wytwarza sobie projekcje osoby Autora, właśnie przez mowę poszukuje źródeł prawdziwego z nią porozumienia. Nie istnieją dlań, jako naprawdę ważne, sprawy i problemy, które bytowałyby w jakimś nieosiągalnym świecie czystych idei, gotowych abstrakcji. Każda myśl, każda prawda musi być poświadczona przez kogoś, kto ją całym sobą przeżywa. „Rzecz w tym — pisze Błoński o Flaszeniu — że nie bada on nigdy substancji ani stosunku idei, dzieł czy prądów, ale odcisnięcie idei w człowieku. Szuka zawsze medium (...) idee sprawdzają się dopiero na ludziach. Stąd predylekcja do portretu i charakteru”.

Czyż dokładnie tej samej predylekcji nie zdradza Błoński? Czymże innym jest „Romans z tekstem”, jeśli nie szeregiem „portretów i zarysów” kilku pisarzy, szczególnie — choć za każdym razem z innego powodu — autorowi bliskich. Baczyński, Herbert, Grotowski, Flaszen, Mrozek, Nowak. I znowu wracamy do rzeczy już znanej, jakby nie dość było przypominać, iż nie ma prawdziwej hermeneutyki bez wiary, bez przeżycia, sympatii lub antypatii, słowem tekst musi nieustannie krytyka poruszać, nie może, pod groźbą zamknięcia się przed nim raz na zawsze, pozostawiać go wobec siebie obojętnym, nieczulym na swój apel. Z jednym bodaj wyjątkiem (Baczyńskiego) Błoński skrzętnie pokrywał własne sympatie, nie jest wcale łatwo wycisnąć zeń, kogo lubi, kogo kocha, a kogo tylko szanuje. Przeciwnie, sąd swój formułuje jak gdyby mimochodem, en passant, kiedy przestaje on już właściwie dziwić i niepokoić, gdyż w sposób naturalny wypływa z wcześniejszych rozpoznaw krytycznych. Analitik nie może mieć innych presupozycji poza tymi, które zawierają się w samej metodzie. Znakomita, nie waham się rzec: filologiczna analiza wierszy Herberta czy utworów (prozatorskich i dramatycznych) Mrożka niejednemu z czytelników „Romansu” może narzucić wrażenie, iż oto mamy do czynienia z jeszcze jednym przedstawicielem tzw. krytyki immanentnej, czyli ześrodkowanej na samym dziele, bałwochwalczo bezkrytycznej wobec tego wszystkiego, co jest w dziele samą „strukturą”, „nad-organizacją”, „chwytym”. Nic bardziej mylnego! Błoński, owszem, roztrząsa (i to jak!), jaki jest gatunek prozy Mrożka: monolog? anegdota? przypowieść? fait-divers? Na serio rozważa możliwości przyporządkowania „próż” Mrożka „formom prostym”, takim jak casus czy memorabile, z pewnością daleki jest jednak od tego, by tylko w takich, nader pożytecznych zabiegach, upatrywać cel pracy krytyka. Cel ten musi mieć związek z aksjologią.

Predyspozycje krytyczne Błońskiego nie mają w sobie nic z moralizowania, z kaznodziejstwa (o to swarzył się z Flaszeniem). Ostrożny, jakby niepewny tryb poszukiwań, najeżony pytaniami, mnożący wątpliwości, nie ma nic z retoryki. Bywa nade wszystko ważnym protokołem lektury. Tutaj żądanie ekonomii wysiłku ze strony odbiorcy nie obowiązuje, przeciwnie, wiele czyni się, by ten wysiłek w toku wspólnej lektury uległ zwielokrotnieniu, zintensyfikowaniu. Idealnym, by tak rzec, wyobrażeniem dzieła dla Błońskiego nie jest mikrokosmos lecz poplątany labirynt, zatarty palimpsest, Księga. Wiele to tłumaczy z metody, jaką obrał! Ma to też bezpośredni związek z nieujawnioną w „Romansie” lecz jakże czytelną tezę, iż prawdziwa krytyka musi być krytyką arcydzieł. Krytyk w roli aktywnego uczestnika życia literackiego nie odzywa się w „Romansie” prawie wcale, zastąpił go ktoś inny, dla którego

kulisy zjawisk przestały być naprawdę interesujące, tak jak owe mechanizmy samoczynnie działające, dla których literatura bywa tylko skromną pożywką i pretekstem. Swoją obecną rolę Błoński, gdyby mu na to przyszło, skłonny byłby określić zapewne w nieco innych, wyraźnie zmodyfikowanych terminach, niż krytyk-uczestnik. Raczej badacz, egzegeta, hermeneuta, w każdym jednak z tych wcieleń „podszty” krytykiem. Jeśli ten chwali lub karci, to kto — człowiek, czy instytucja — udziela mu swego imprimatur? Otóż różnica między uczestnictwem w życiu literackim, a obecnością krytyka w literaturze polega na tym, iż w drugim przypadku naczelną jego troską jest uzyskanie praw do przemawiania w imieniu pisarza. Cóż lepiej, skuteczniej uprawomocnia aspiracje krytyki, niż uważna lektura. romans z tekstem!

JERZY ŚWIĘCH



literatura
i sztuka
kwartalnik

akcent

BIBLIOGRAFIA

osobowa i przedmiotowa za lata 1990-1992
od nr 1-1990 do nr 4(10) 1992

Bibliografia obejmuje prace autorów, recenzentów, tłumaczy i ważniejsze osoby i instytucje oraz teksty o nich. Gwiazdka (*) przed tytułem oznacza pozycję o danym autorze. Cyfry oznaczają numer (w nawiasie umieszczono numerację ciągłą) i rok ukazania się „Akcentu”. Stałe działy podano drukiem rozstrzelonym.

Skróty używane w bibliografii

arch. — archiwum, archiwalny	proza art. — proza artystyczna
art. — artykuł	proza poet. — proza poetycka
biogr. — biografia, biograficzny	rozm. — rozmowa
dz. — dziennik	tłum. — tłumaczenie
fel. — felieton	w. — wiersz
koresp. — korespondencja	wspom. — wspomnienie
kryt. lit. — krytyka literacka	wyp. — wypowiedź
not. — nota, noty	zob. — zobacz
oprac. — opracowania	

Adamszyk Monika

Polska i Polacy w powieściach I. B. Singera. szkic. 1, 1980; *Bezbarwny Faulkner.* art. 1, 1980; *Anglo-amerykańskie echa Powstania Listopadowego.* art. 2/6/1981; *Porwanie Saroyana.* rozm.; Saroyan William. *Siedemnastolatek.* tłum.; William Saroyan. not., biogr. 1/7/1982; *Czy Kubuś Puchatek to Winnie-the-Pooh? O potrzebie krytyki przekładu.* art. 4/10/1982.

Adamiak Anna

Krajobrazy znajome (Łapszyński Gustaw A. *Zywe drewno*). kryt. lit. 1, 1980; *Okno na ziemię.* szkic. 2, 1980; „Najlepszy wróż jest bez siły” (Kulik Adam W. *Pejzaże z Panem Lemonem*). kryt. lit. 2, 1980.

Adamowski Jan, Żaraw Grażyna

O stanie zachowania folkloru na terenie Lubelskiego Zagłębia Węglowego. art. 4, 1980; *Echa powstań narodowych we współczesnym folklorze.* art. 2/6/1981.

Aleksandrowicz Marian A.

Drogi i bezdroża polskiego kosmosu. art. 3/9/1982.

Aleksandrowicz Stefan

Rybi Bursztyn. proza art. 2, 1980; zob. *Opis trudu — trud opisu.* wyp. 4, 1980.

Anderman Janusz

* *Gra na zwłokę* (Pawluczuk Andrzej W. *Gra o pietruszkę*). kryt. lit. 1/5/1981.

Anders Jarosław

Harsent David. Tutaj; *Pozostałości; Z legend; Przełom wieku; Sport dla kibiców;* Craig Raine. *Oberfeldfelbel Beckstadt; Domy w północnym Oxfordzie; Człowiek z tatuażem;* Ormsby Frank. *Pod schodami; Pani G. Watters; Po mszy.* tłum. 1/5/1981.

W „Akcenta” nr 4(10)1992 zmieniona została nazwisko autora obrasu reprodukowanego na 4 str. okładki. Jest nim Andrzej Wróblewski. Inny błąd zakradł się na str. 49: autorom cytowanego w artykule J. Sochonia wiersza *Antyfona codzienna* jest Adam Ziemiński a nie — jak wydrukowano — Adam Zagałowski. Przepraszamy.

(red.)

Andrzejewski Jerzy
 * *Miazga*. (Pawluczuk Andrzej W. *Miazga w „Miazdze”*). kryt. lit. 2/8/1982.

Bajza József
 Apoteoza. (Kozłowski Adam). w. 2/6/1981.

Barauczak Stanisław
 Posunąć się do przodu; Każdy może stać; Za czym państwo stoją; Braki, odrzuty, produkty zastępcze; w. 2/6/1981; *** (Sterna-Wachowiak Sergiusz. *etyka czuwania*). kryt. lit. 2/8/1982.

Barł Stanisław
 Marian Pankowski. not. biogr. 2/8/1982.

Bauer Zbigniew
 Biskup Berkeley, czyli zapiski zdeorientowanego. szkic. 4, 1980; *Mieć albo być*. (Łojek Jerzy. *Szanse Powstania Listopadowego*). kryt. lit. 2/6/1981. *Cztery pomysły na esej*. szkic. 1/7/1982.

Bechcyc-Kudnlca Marla
 nekrolog. 3/9/1982.

Bednarek Antoni
 Ocalanie tożsamości (Nalkowska Zofia. *Dziennik*. T. III). kryt. lit. 1/7/1982; *Kilka uwag o współczesnej eseistyce*. art. 4/10/1982; *Sztuka rozmowy* (Szymański Wiesław Paweł. *Rozmowy z pisarzami*). kryt. lit. 4/10/1982.

Benjamin László
 Pod krwawymi sztandarami (Zadura Bohdan) w. 2/8/1982; zob. Nowak Jerzy Robert. *Poezja László Benjamina*. not. 2/8/1982.

Benka Ursula M.
Savoir-vivre i nekrologia. szkic. 2/8/1982.

Białasiewicz Wojciech
 Wywiad polski w okresie Powstania Listopadowego. art. 2/6/1981.

Bielecki Zygmunt
 W kręgu listopadowych tradycji wojskowych. art. 2/6/1981.

BKZ
 Przed „Burzą”. not. 2, 1980.

bn
 Ludwik Holesz. not. 4, 1980.

Bogucki Janusz
 Sytuacja artystyczna w Polsce około roku 1950. szkic. 4/10/1982.

Borkowski Ryszard
 Zadośćuczynienie; xxx (chcecie rządzić naszymi sprawami); xxx (jeśli chcesz); xxx (Archanioł Gabriel); *Piosenka — Podróż III*. w. 4/10/1982.

Borowiec Helena, Pajdzińska Anna
 Przemiany językowe na terenie LZW. art. 4, 1982.

Brakonlecki Kazimierz
 * *Zrosty* (Staniszewski Andrzej. *Marzenie o transcendencji*). kryt. lit. 3, 1980.

Brandys Kazimierz
 * *Nierzeczywistość*. (Sterna-Wachowiak Sergiusz. *Rondo*). kryt. lit. 2/8/1982.

Brozł Krzysztof Jarosław
 Psychologia kryzysu. szkic. 3/9/1982; *Święta — kult, zabawa i polityka* (Zygulski Kazimierz. *Święto i kultura*). kryt. lit. 4/10/1982.

Bykowska-Salczyńska Alicja
 * *W przerwie pomiędzy światem a zabawą*. (Lewoń Janusz. *Bez Jakubowej Drabiny*). kryt. lit. 3, 1980.

B.Z.
 Ian McEwan. not. biogr. 4/10/1982.

Chmielek Tomasz
 Powstanie Listopadowe w literaturze niemieckiej. art. 2/6/1981.

Chojnacki Roman
Sekret; xxx (Słów pętla ran); *Gry*. w. 2/8/1981.

Choromański Michał
 * zob. Kochańczyk Alina. *Strategia narracji w powieściach Michała Choromańskiego*. szkic. 3, 1980.

Chwln Stefan, Rosiek Stanisław
 * *Bez autorytetu* (Sochoń Jan. *Dopiero zaczynamy*). kryt. lit. 4/10/1982.

Cisło Maciej
 Sztuka przekładu; *Kto te wszystkie życiorysy przeżyje?*; *Obcy*; *Serial pod tytułem*; xxx (*Dom to nie jest miejsce na ziemi*); xxx (*To nie-ludzkie*); xxx (*Choinka: święta drabina, po której aniołowie*); xxx (*Nadawco myśli*); „Ja”; xxx (*Iluminacja: iluminatorów*); *Ona dla mnie*; xxx (*Z ulgą oddech*); xxx (*Uprzemysłowione*); xxx (*Utytulowany*); *Ujrzałem ją*; *Uniwersytet*. w. 3, 1980.

Czechowicz Józef
 Listu do ks. Ludwika Zalewskiego. oprac. i wstępem opatrzył Jan Smolarz. *Koresp.*, arch. 3/9/1982; *Koła Archimedesza*; *Sektanci albo matka*; *Wagon nr 16773*; *Bajka dla pani St. H.*; *Bajka dla Pani M. W.*; *Pierścionek z majoliki*, *bajka dla pani I. S.* proza art. 4/10/1982.

Delavigne Kazimierz
Warszawianka (Sienkiewicz Karol). w. 2/6/1981.

Dębowski Józef
U źródeł fikcji przetrwania. art. 3/9/1982.

Dobraczyński Jan
 zob. 150 lat później. ankieta wyp. 2/6/1981.

Dohnalik Barbara
Kilka refleksji listopadowych. art. 2/6/1981.

Dras Waldemar
 * zob. Wróblewski Bogusław. *Region poetów*. art. 1, 1980;
 * *Czatownik*. (Mikulski Zygmunt. *Język na czatach*). kryt. lit. 1, 1980;
Człowiek, który ostrzył noże; *Ruch wież*; *Z ostatnim pociąganiem*. proza poet. 2, 1980; *Proch*. w. 1/7/1982; * *Nad Stawem jasnowidzenia*. (Staniszewski Andrzej. *Spowiedź artysty*). kryt. lit. 1/7/1982.

Drozdowski Bohdan
 zob. 150 lat później. ankieta wyp. 2/6/1981.

Druga zmiana. *Rodowody górnicze*.
 * zob. Isakiewicz Lech. *Schematy z drugiej zmiany*. kryt. lit. 4, 1980.

Duda-Gracz Jerzy
 * zob. Lameński Lechosław. *Malarstwo Jerzego Dudy-Gracza*. szkic. 2/8/1982.

Durand Raymond
 * *Depesze z powstańczej Warszawy (1830—1831)*. *Raporty konsula francuskiego w Królestwie Polskim*. (Pawluczuk Andrzej W. *W oczach Zachodu*). kryt. lit. 2/6/1981.

Dybel Paweł
Widzieć, słyszeć, rozumieć (krytyka i hermeneutyka). art. 2, 1980.

Fallicki Bogusław
 * *Próba generalna ucieczki*. (Rostan Jan. *Bez recepty na świat*). kryt. lit. 3, 1980.

Faulkner William
 * zob. Adamczyk Monika. *Bezbarwny Faulkner*. art. 1, 1980.

Fert Józef
Modlitwa; *Południca*; *Ballada*; *Odwiedziny*; *Znowu anioł*; *W pracowni Andrzeja K.*; *Klimat*; *Jak to jest*. w. 1/7/1982.

Feyerabend Paul K.
 * zob. Jodkowski Kazimierz. *„Wszystko ujdzie”*. *Anarchizm epistemologiczny Paula K. Feyerabenda*. szkic. 2/8/1982.

Fiala Adam
Mokre wakacje. proza art. 3, 1980.

Filozofia
 2/8/1982; 3(9)1982; 4(10)1982.

Fronczek Zbigniew Włodzimierz
 * zob. Wróblewski Bogusław. *Region poetów*. art. 1, 1980; zob. *Odcienie prawdy*. wyp. 1, 1980; *Listy nie wysłane*. *Szanowny Panie Witoldzie*. fel. 2, 1980; *Możliwość i apetyty czyli mysz na śniadanie* (poemat heroikomiczny prozaj). proza poet.; *Listy nie wysłane*. *Wielce Szanowny Panie Witoldzie*. fel. 3, 1980; *Monolog na chwilę przed przekroczeniem bramy kopalni*. fel. 4, 1980; *Listy nie wysłane*. *Czesław Miłosz*. fel. 1/5/1981; *Veni, vidi...* fel. 2/6/1981.

Fuller John
Dwie siostry (Zadura Bohdan); *Dzicz* (Sommer Piotr) w. 1/5/1981.

Gembal Paweł
 * zob. Wróblewski Bogusław. *Region poetów*. art. 1, 1980; *Historia*; *Znam niektóre szczegóły*; *Pani poezja*; *W każdym z nas*; *Ten dom*; *Vincent van Gogh*; *Niepokój zbyt późnej godziny*; *Rozpoznać blask słowca*; *Erazm (1467—1536)*; *Zrób to na przestrzał*; *List ze świata*. w. 3, 1980; *Liryczny dziennik nocny*; *Skrócić dzielący ich dystans*; xxx (*Czuł brutalną chęć pochwylenia byka*). w. 2/8/1981; *Czy pan to rozumie, doktorze?* proza art.; * *Sytuacje*. (Ryszkowski Janusz. *Cień czasu i filtr ironii*). kryt. lit. 1/7/1982.

Gerlowski Andrzej
 zob. *Opis trudu — trud opisu*. wyp. 4, 1980.

Gorenłowa Anna
Wśród gwiazd o Ziemi. art. 3/9/1982.

Górczyński Jerzy
 * *Przecucie bitwy* (Michalski Waldemar. *„Przecucie bitwy”*, czyli z tarczą lub na tarczy) kryt. lit. 3, 1980.

Grass Günter
 * zob. Miziński Jan. *Kompleks Polski Guntera Grassa*. szkic. 3, 1980; *Spotkanie w Teigte* (Miziński Jan). proza. art. 3, 1980.

Grauman Piotr
 * zob. Wróblewski Bogusław. *Region poetów*. art. 1, 1980; *Do siebie — od siebie* art. 1/5/1980.

Garwlin Wanda
Leśmian na Zamojszczyźnie. wspom. 1/7/1982.

Harrison Tony
Eksploatacja (Zadura Bohdan). w. 4, 1980.

Harsent David
Tutaj; Pozostałości; Z legend; Przełom wieku; Sport dla kibiców. (Anders Jarosław). w. 1/5/1981.

Holesz Ludwik
* zob. B. N. Ludwik Holesz. not. 4, 1980.

Holzer Ryszard
Noc w dzielnicy robotniczej (poemat otwarty). w. 2/8/1981.

Holda Edward
* Poemat z masy papierowej (Michalski Waldemar. Edwarda Holdy bicie na alarm w papierowe dzwony). kryt. lit. 2, 1980.

Isaklewicz Lech
Schematy z drugiej zmiany (Druga zmiana. Rodowody górnicze). kryt. lit. 4, 1980; Sen o potędze (Makarski Henryk. Schody bez końca). kryt. lit. 1/7/1982.

Jaros Urszula
xxx (nie ty jeden i niejednako); xxx (obrabowaliśmy ją do nagich kości); Patrzę na córki moje; Krajobraz; Wina; xxx (Uderzy w ciebie nóż); Odejścia; Odchodzenia; xxx (powracająca życiodajna); Po samobójstwach; xxx (a taka jest samotna kobieta, gdy się staje); xxx (izabela mieszka w pokoju własnego ciała); Ślady. w. 2, 1980; * Pokoje kobiet (Zieliński Marek. Otwarta kobiecość). kryt. lit. 2, 1980; xxx (widzisz jak w tobie zaległy); Kolysanka zapamiętana; Piosenka rozdrożna; Wiara; Patriotyczne; xxx (małe słabe zwierzęta); Wszyscy równi; Stracone ogrody II; Z pożegnań; xxx (a potem jeszcze on). w. 2/8/1982.

Jasiński Tadeusz
Piełgrzymka. proza art. 2, 1980; zob. Opis trudu — trud opisu. wyp.; Wchodzenie w krąg światła. proza art. 4, 1980.

Jastrzębski Jerzy
Zmienność i realizm (na marginesie dyskusji o młodej prozie). art. 4, 1980.

Jegorow Ryszard
Pod Igniami. proza art. 2/8/1981.

J K M
Obyczaje. Smał. fel. 2, 1980; Lider i peleton ekspertów. fel. 3, 1980; oprac. Opis trudu — trud opisu. Wypowiedzi na temat „powieści o pracy”. 4, 1980; oprac. 150 lat później. ankiet. 2/8/1981.

Jodkowski Kazimierz
„Wszystko ujdzie” Anarchizm epistemologiczny Paula K. Feyerabenda. art. 2/8/1982.

Józefacka Marla
Rękopis znaleziony w bibliotece wiek XIX. w. 1, 1980.

Kafka Frans
* zob. Lewoń Janusz. Pożytki ze światła komet. art. 2/8/1982.

Kalabun Wiesław
* zob. Wróblewski Bogusław. Region poetów. art. 1, 1980; Spóźniony manifest; Litania na użytek prywatny; „Cała jaskrawość”; Relacja pierwsza; xxx (przychodzą do nas święci); xxx (wiersz nie może być ślepy); Kamień; Łąki; xxx (mój przyjaciel ucieka ode mnie); Relacja trzecia; xxx (w chętnie lubelskim); Portret przemijania; Przesadnie. w. 1/5/1981.

Kamiński Ireneusz J.
Sztuka przeciw wojnie. art. 1, 1980.

Karpowicz Tymoteusz
Rozwiązywanie przestrzeni (poemat polimorficzny). Fragmenty; Przeźrzenie; Szlachtowanie Gordiasza: Trzecia nad ranem. Oczy zachodu, Ze wzgórz Boscha, Podmywanie się drewna, Siekiera mów do siekiery, Pogubione strony, W barku pod zezem, Anioł gęstniejący, Podwojenie ofiary, W zaniedbanym parku, Szczucie w kolorze, Rżenie, Zhańbione miejsce, Z kłębka prostej, Obce uszy. W śnie zarządca całej gębą, Sprężyna, Chód wiernego zegarka, Koń, Walka z brzegami. w. 3/9/1982.

Kawaiko Marian Janusz
* zob. Wróblewski Bogusław. Region poetów. art. 1, 1980.

Kawiński Wojciech
Do nieobecnego poety; Człowiek z Pragi (V. H.); Elegia (może przedwczesna); Pojedyncze znaki; Jak promień; Odejście; Trzy stopnie. w. 1/5/1981.

Kilmcecki Jan
* Zanim otworzę usta. (Misiac Jerzy K. Zanim chwycę pióro). kryt. lit. 2, 1980.

Kochańczyk Alina
Tradycje lubelskiego teatru dramatycznego. art. 1, 1980; Strategia narracji w powieściach Michała Choromańskiego. szkic. 3, 1980.

Koprowski Jan
zob. 150 lat później. ankiet. wyp. 2/8/1981.

Kowalczykówna Jolanta
Walerego Przyborowskiego i innych sen o „Nocy Listopadowej”. art. 2/8/1981.

Kowalski Franciszek
Dziewczyna i Krakus; Ulan na wędzie. w. 2/8/1981.

Kozak Henryk
* zob. Wróblewski Bogusław. Region poetów. art. 1, 1980.

Kozłowski Adam
Bajza József. Apoteoza. tłum. 2/8/1981.

Kozłowski Kazimierz
zob. 150 lat później. ankiet. wyp. 2/8/1981.

Krauze Zygfryd
zob. Zygalk Longina. Rozmowa z Zygfrydem Krauzem. rozm. 1/7/1982.

Krawczyk Wojciech
* Gramatyka pozor. (Ryszkowski Janusz. Dialogi z konwencją). kryt. lit. 2, 1980.

Krakowski Piotr
* O sztuce nowej i najnowszej. (Szkolut Tadeusz. O awangardzie i neoawangardzie). kryt. lit. 4/10/1982.

Królikowski Bohdan
Polski ubiór wojskowy w Powstaniu Listopadowym. art. 2/8/1981; Prehistoria. proza art. 1/7/1982.

Królik Stanisław Jan
Wybrałem — podobno — czuwanie. (Opolski Dominik. Przechowalnia bagazu). kryt. lit. 1/7/1982.

Kruk Stefan
Trzy razy o lubelskiej scenie. fel. 2/9/1982.

Krupiński Józef
Pani mojego węgla; Salvador Dalí; xxx (Przez dym); xxx (Z panią); xxx (Gdy napastliwie); xxx (Może góralski śpiew); xxx (Moja umiłowana). w. 4, 1980.

Kuc Monika
Antybohater. fel. 2/8/1981.

Kulik Adam W.
Najważniejsze sprawy; Test; Impulsy; Raj nad łąkami; Przekamarczenia przez sen; Wyznanie. proza poet. 1, 1980; * Pejzaże z Panem Lemonem. (Adamiak Anna. „Najlepszy jest wróż bez siły”). kryt. lit. 2, 1980; Teatr amatorski na Zamojszczyźnie. art. 3, 1980; Kancelaria na skraju łąk. art., rozm.; Leśmian na Zamojszczyźnie. wspom. zanotował i oprac. 1/7/1982.

Kulikowski Wiesław
* Ucieczka z wesela. (Rostan Jan. Świat na białło). kryt. lit. 2, 1980.

Kulnik Jerzy
Od Poe'a do Vonneguta — historia science-fiction w USA. szkic. 3/9/1982.

Kwiatkowski-Cugow Tadeusz
* zob. Wróblewski Bogusław. Region poetów. art. 1, 1980; Sensation; Szafa. proza art.; zob. Odcienie prawdy. wyp. 1, 1980; Szybki proza art. 1/5/1981; * U drzwi moich płomień dalekiego ogniska. (Pawluczuk Andrzej W. Inny świat, inne wiersze). kryt. lit.; Dziennik żaloby, fel. dz. 1/7/1982.

Lameński Lechosław
Malarstwo Jerzego Dudy-Gracza. art. 2/8/1982.

Lem Stanisław
Wizja lokalna. proza art.; Czy odchodzę od Science-Fiction? art.; * zob. Stoff Andrzej. To, o czym się nie wspomina. szkic. 3/9/1982.

Lepek Janusz
Ars poetica; Co włożysz do ust, poeto polski. w. 2/8/1981.

Leszczyński Jerzy
zob. BKZ Przed „Burzą”. not. 2, 1980.

Leśmian Bolesław
Ludzie. w.; * zob. Sochoń Jan. Muzyka Leśmiana. szkic.; * zob. Wiktorowicz Zofia. Mój Leśmian wspom.; * zob. Kulik Adam. Kancelaria na skraju łąk. art. wspom., rozm.; * zob. Leśmian na Zamojszczyźnie. wspom.; * zob. Zygalk Longina. Rozmowa z Zygfrydem Krauzem. rozm. wspom.; * zob. Sandauer Artur. Przyczynek do Leśmiana. fel.; * zob. Święch Jerzy. Znikomek. fel. 1/7/1982.

Lewoń Janusz
Zyjąc. (Misiac Jerzy K. Będziesz jeszcze żył). kryt. lit. 1, 1980; Mało — za wiele. (Lis Roman. Opis walki za wstęp). kryt. lit. 2, 1980; Bez Jakubowej Drabiny. (Bykowska-Salczyńska Alicja. W przerwie pomiędzy światem a zabawą). kryt. lit. 1/7/1982; Pożytki ze światła komet. art. 2/8/1982.

- Słowa i metody**
2, 3, 4, 1980; 1/5/, 2/6/, 1981; 1/7/, 3/9/, 4/10/, 1982.
- Smektala Zdzisław**
Skrzypce pełne jazzowego bólu; Tysiąc osiemset złotych za parę butów; Dwie zdrowe dupy żywcem z mód żurnala; Sławy, sławy za wszelką cenę; Istoty słabe mają skłonność do gromadnego życia; Teczka nigdy nie była symbolem miłości; Mimo wszystko; Szatański wynalazek bella wspomnienie z dzieciństwa. w. 3, 1980.
- Smolarz Jan**
Listy Józefa Czechowicza do ks. Ludwika Zalewskiego. oprac. i wstępem opatrzył... 3/9/1982.
- Sochoń Jan**
Niezdolność mowy, niezdolność serca. art. 1/5/1981; Muzyka Leśmiana. szkic. 1/7/1982; Dopiero zaczynamy. (Chwin Stefan, Rosiek Stanisław. Bez autorytetu). kryt. lit. 4/10/1982.
- Soltysik Marek**
Więcej nocy. proza art. 1, 1980.; zob. 150 lat później. ankietka. wyp. 2/6/1981.; Moja koncepcja powieści. wyp. 1/7/1982. * Sztuczne ruiny. (Staniszewski Andrzej. „Radość tworzenia”). kryt. lit. 1/5/1981.
- Sominer Piotr**
Gałązka światła; Czym mógłby być; Wyjście; Ucieczka przed morzem; Pamiątki po nas; Piosenka; Pęknięcie; Wstyd w listopadzie; Przenosić; xxx (Popatrz na to drzewo a to słup); xxx (To życie, które śpi przede mną); Dwa pesty; Któregoś dnia; Mały wiersz; List do J. F.; Wiersz o dewaluacji słowa „Rewolucja”; Ballada z wakacji. w.; Sorry, mr Rybowski. (Wśród amerykańskich poetów. wybór i przekład Tadeusz Rybowski). kryt. lit. 1, 1980.; Muldoon Paul. Mama. tłum. 4, 1980; Gdzie sztuka nie jest akuszerką (z Tomem Paulinem). rozm.; Paulin Tom. Młode pogrzeby; Incognito; Myśl w historii; Nadzory; Gdzie sztuka nie jest akuszerką; tłum.; Fuller John. Dziel. tłum. Craig Raine. Dom spokojnej starości. tłum.; Ormsby Frank. Wyspy. tłum. 1/5/1981.; Piosenka dla Jacka Kleyffa; Tak, tak, tak; Habeas ossa. w. 2/6/1981.
- Stachura Edward**
* zob. Grauman Piotr. Do siebie — od siebie. art. 1/5/1981.
- Staniszewski Andrzej**
„Trwam pośród spienionego nurtu rzeki”. (Zuchora Krzysztof. Cicho, ciszej). kryt. lit. 1, 1980.; Apokalipsa według Waldemara Zelaznego. (Zelazny Waldemar. Apokalipsa Jana W.). kryt. lit. 2, 1980; Marzenie o transcendencji. (Brakoniec Kazimierz. Zrosty). kryt. lit. 3, 1980; Radość tworzenia. (Soltysik Marek. Sztuczne ruiny). kryt. lit. 1/5/1981; Spowiedź artysty. (Waldemar Dras. Nad stawem jasnowidzenia). kryt. lit. 1/7/1982.
- Sterna-Wachowlak Sergiusz**
Etyka czuwania. art.; Rondo. (Brandys Kazimierz. Nierzeczywistość). kryt. lit. 2/8/1982.
- Stępnik Krzysztof**
„Pobudki” listopadowe. art. 2/6/1981.
- Stoff Andrzej**
To, o czym się nie wspomina. szkic. 3/9/1982.
150 lat później (ankietka w związku ze 150 rocznicą Powstania Listopadowego).
wyp. (Dobraczyński Jan; Koźniewski Kazimierz; Koprowski Jan; Woźniakowski Jacek; Soltysik Marek; Pająk Henryk; Drozdowski Bohdan). 2/6/1981.
- Strofy o pracy. Antologia. Wybór i opracowanie Grażyna Konecka i Ryszard Matuszewski.**
* zob. Roslan Jan. Węgiel w bajkę przemieniony. art. 4, 1980; * zob. Niewczas Andrzej. „Strofy o pracy”. kryt. lit. 4, 1980.
- Stroiński Zdzisław Leon**
* zob. Adamiak Anna. Okno na ziemię. art. szkic. 2, 1980.
- Strzałkowski Zbigniew**
zob. Opis trudu — trud opisu. ankietka. wyp. 4, 1980.; Powtórka z życiorysu, czyli rozmowa z górnikiem R. Wilkiem; Reportaż z kopalni. w. 4, 1980.; Rzecz listopadowa. w. 2/6/1981.
- Studio Wizji i Ruchu**
zob. B K Z. Teatr. Przed „Burzą”. fel. 2, 1980.
- Suchodolski Rajnold**
Dalej, bracia do bulata. w. 2/6/1981.
- Szala Attila**
„Tam naród praw swych broniąc walczył i umierał...” (Węgrzy o Powstaniu Listopadowym). art. 2/6/1981.
- Szewe Piotr**
Potop; Sztuka wyboru; Rehabilitacja mitu; Epitafium dla Grecji; Nad Styksem; Przywołanie mitu; Na rok polski: Styczeń, Luty, Marzec, Kwiecień. Maj Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik, Listopad, Grudzień. w. 2, 1980.
- Szokolut Tadeusz**
O awangardzie i neoawangardzie. (Krakowski Piotr. O sztuce nowej i najnowszej). kryt. lit. 4/10/1982.
- Szymański Wiesław Paweł**
* Rozmowy z pisarzami. (Bednarek Antoni. Sztuka rozmowy). kryt. lit. 4/10/1982.
- Święch Jerzy**
Słowa i metody; Zapasy. fel. 2, 1980; Sporu ciąg dalszy. fel. 3, 1980; W labiryncie słów. fel. 4, 1980; Historiografia heroiczna. fel. 1/5/1981.; Literatura, historia i mity. fel. 2/6/1981.; Znikomek. fel. 1/7/1982.; S-F i Pan Cogito. fel. 3/9/1982.; „nienazwane niejasne”. fel. 4/10/1982.
- Tarwacki Ryszard**
Marianna. proza art. 2/6/1981.
- Tchórzewski Andrzej**
Gra i szansa fel. 2/6/1981.; Konstruowanie bohatera. (Młiec Jerzy K. Pisanie życiorysu). kryt. lit. 1/7/1982.
- Teatr**
1, 2, 3, 1980; 1/5/, 2/6/, 1981; 1/7/, 2/8/, 3/9/ 1982.
- Tetmajer Józef Przerwa**
Śpiew ułanów 2 pułku. w. 2/6/1981.
- Toczyński Zdzisław**
Wyobraźnia uporządkowana (o twórczości Jana Ziemskiego). szkic. 2, 1980.
- Torbus Andrzej Krzysztof**
* Lato pogańskie. (Listowski Cezary. Wiersze nieszkodliwe). kryt. lit. 1, 1980.
- Urbankiewicz Jerzy**
zob. Opis trudu — trud opisu. ankietka. wyp. 4, 1980.
- Waczków Józef**
O Dawidzie Samojłowie. not.; Samojłow Dawid. xxx (Z wolna oczy mi mgła zaćmieją); xxx (Wiersz niebogaty nieprostokąty); xxx (nie myśl, nie słowo — wieczny, wielki.); xxx (Mgła, mgła, mgła). tłum. 2, 1980.
- Walnwright Jeffrey**
Tomasz Münzer. (Zadura B.). w. 1/5/1981.
- Waszczuk-Listowska Anna**
* Studia proroków. (Mikulski Zygmunt. Marzenie o życiu w pełni). kryt. lit. 1, 1980.
- Wasek Hieronim**
Leśmian na Zamojszczyźnie. wspom. 1/7/1982.
- whw**
Przekroje. (wprowadzenie do zestawu recenzji); Zasada ryzyka. fel. 3, 1980.; Nowa proza — Mistyfikacja czy fakt. fel. 1/5/1981.; Lubelska Biblioteka Poetycka w latach 1978—1980. fel. 1/7/1982. zob. Odcienie prawdy. notował. 1, 1980.
W czasie strajków...
koresp. 3, 1980.
- Weber Maria**
* gdy tylko wrzószy. (Młiec Jerzy K. Jestem baba). kryt. lit. 1, 1980.
- Welna Matylda**
Apollinaire w Salonie Jesiennym. proza wspom. 2/8/1982.
- Wiktorwicz Zofia**
Mój Leśmian. wspom. 1/7/1982.
- Wiłkiński Krzysztof**
Obyczaje. Nic za wszystko, wszystko za nic. fel. 1, 1980.; Świat na zamówienie. fel. 4, 1980.; Nie ma fuchy dla chochoła. fel. 1/5/1981.
- Witkiewicz Stanisław Ignacy**
* zob. Rawiński Marian. Apokalipsa i groteska (Nad „Szewcami” St. i. Witkiewicza). art. 1/7/1982.
- Woźniakowski Jacek**
zob. 150 lat później. ankietka. wyp. 2/6/1981.
- Wróblewski Bogusław**
Region poetów (O poezji lubelskiej lat siedemdziesiątych). art. 1, 1980.; zob. Odcienie prawdy. wyp. 1, 1980.
- Wśród amerykańskich poetów**
* zob. Sommer Piotr. Sorry, mr Rybowski. kryt. lit. 1, 1980.
- W.Z.**
Uwagi malkontenta. fel. 4, 1980.
- Yoph-Zabliński Marian**
Romanca na żagle; Matężństwo '81; Serce poetki; To jest tylko ziemia; Kopie; Puch; Mirella; Kocham cię cukiernio. w. 4/10/1982.
- Zadura Bohdan**
„Mamo, dziwny człowiek stoi przed drzwiami naszego domu”. (Sadurski Stanisław. Gro na pamięć). kryt. lit. 1, 1980.; List do J. I. w. 2, 1980.; Samojłow Dawid. xxx (Z tym, coś przeżył, nie spiesz się, chowaj); Śmierć losia; Wiersze i proza; xxx (Zwyczajny podmoskiewski pejzaż); xxx (Nadzieja i miłością tylko żyć musimy); xxx (Nie siejcie rękopi-

sów). tłum. 2, 1980.; *Kalendarz. Wiatr z Tomi; Marcellus do Lucjusza; Klaudia do Silwany; Lucjusz do Klaudii; Sergiusz do Lucjusza; Klaudia do Lucjusza; Do Lucjusza; Matężstwo; Lucjusz do Marka; Do Marcelusa; Ostrzeżenie; Do Vencelausa; Ave.* w. 3, 1980.; Harrison Tony. *Eksploatacja*. tłum. 4, 1980.; Fuller John. *Dwie siostry*. tłum.; Wainwright Jeffrey. *Tomasz Münzer*. tłum. 1/5/1981.; Benjamin László. *Pod krwawymi sztandarami*. tłum.; 1.08.1979 7.45—22.45 czternaście godzin z Piotrem Sommerem (fragmenty poematu). w. 2/8/1982.

Zalewski Ludwik ks.

zob. Czechowicz Józef. *Listy do ks. Ludwika Zalewskiego*. 3/9/1982.

Zawistowski Władysław

Geografia. w. 1/5/1981.

Zielińska Zofia

Teatr. W poszukiwaniu czasu teraźniejszego. art. 1/7/1982.; *Teatr w okresie przelomów politycznych*. art. 2/8/1982.; „*Iwanow*” w *Teatrze im. Osterwy*. art. 3/9/1982.

Zieliński Marek

zob. *Odcienie prawdy*. wyp.; *Plonąca ojczyzna*. (Pacuzki Krzysztof. *Polonez z różą w gardle*). kryt. lit. 1, 1980.; *Otwarta kobiecość*. (Jaros Urszula. *Pokoje kobiet*). kryt. lit. 2, 1980.

Ziemski Jan

* zob. *Toczyński Zdzisław. Wyobrażenia uporządkowana... szkic*, 2, 1980.

Złakowski Zenon

* *Podróż uduchowiona*. (Niewczas Andrzej. *Sceptyk szukający pocieszenia*). kryt. lit. 3, 1980.

Złota Lampka Górnicza

zob. *Poezje. Złota Lampka Górnicza*.

Zuchora Krzysztof

* *Cicho, ciszej*. (Staniszewski Andrzej. „*Trwam pośród splenionego nurtu rzeki*”). kryt. lit. 1, 1980.

Zelazny Waldemar

zob. *Odcienie prawdy*. wyp. 1, 1980.; *Lekcja powierzchniowej metafizyki*. (Pękala Marek. *Szare zdrowie jutra*). kryt. lit. * *Apokalipsa Jana W.* (Staniszewski Andrzej. *Apokalipsa według Waldemara Zelaznego*). kryt. lit. 2, 1980.; *Między pieśnią a modlitwą, czyli requiem dla Kasandry*. w. 1/7/1982.

Zuraw Grażyna, Adamski Jan

O stanie zachowania folkloru na terenie Lubelskiego Zagłębia Węglowego. art. 4, 1980.; *Echa powstań narodowych we współczesnym folklorze*. art. 2/8/1981.

Zurek Stanisław

xxx (czujesz ból matko To twoje dziecko); xxx (zjedz kolację Ona nie nasytci); xxx (twoją wizytówką jest bilet); xxx (ich zegary chorują na czas); xxx (świat jeszcze we mnie istnieje); xxx (musisz znaleźć sobie miejsce); xxx (weź w oczy to światło białych); xxx (i tylko to odchodzenie); xxx (weź ze sobą To); xxx (jej muzyka drapieżna); xxx (śq chwile Podchodzisz). w. 3, 1980.

Zygalak Longina

Rozmowa z Zygrydem Krauze. rozm. 1/7/1982.

Zygulski Kazimierz

Święto i kultura. (Brozi Krzysztof. *Święta — kult, zabawa, i polityka*). kryt. lit. 4/10/1982.

Aforyzmy

Aronson Eliot 3, 1980; Benveniste Emile 2/8/1982; Brzozowski Stanisław 2/6/1981; Camus Albert 3, 1980; Długosz Jan 2/6/1981; Einstein Albert 1, 1980; Goethe Johan Wolfgang 2/8/1982; Gramsci Antonio 2/8/1982; Hirsztfeld Ludwik 3, 1980; Mann Tomasz 2/8/1982; Marks Karol 1, 1980; Mauriac Francois 3, 1980; Mickiewicz Adam 2/8/1981; Miłosz Czesław 1/5/1981; Norwid Cyprian Kamil 2/8/1981; Opolski Dominik 2, 1980; Piłsudski Józef 2/8/1981; *Psalmy* (tłum. Miłosz Czesław) 1/5/1981; Skarga Piotr 2/8/1981; Voltaire 2/8/1981; Witwicki Stefan 2/8/1981; Znaniecki Florian 3, 1980; Żeromski Stefan 2/6/1982.

Autorzy prac plastycznych

Andras Topor 1, 1980; Arnold Walter 1, 1980; Borowski Winicjusz 4, 1980; Böhm 2/6/1981; Czeczot Andrzej 3/9/1982; Dietrich Fr. K. 2/6/1981; Duda-Gracz Jerzy 2/8/1982; Durakiewicz Zbigniew 1(5)/1981; Engelman F. 2/6/1981; Georgin Fr. 2/6/1981; Górecki Stanisław 4, 1980; Hohe Fr. 2/6/1981; Holesz Ludwik 4, 1980; Jelonek Anna 1, 1980; Kaczmarczyk Janina 1, 1980; Krajewska Helena 4/10/1982; Krajewski Juliusz 4/10/1982; Jan Leśmian 1, 1980; Lezanow 2/8/1981; Lech Piotr 1/5/1981; Lis Ryszard 1, 1980; 1/5/1981; Łukasiewicz J. 2/6/1981; Łukomski Józef 1, 1980; Łukomski S. 2/6/1981; Mazanowski Marek 4, 1980; Mikulski Kazimierz 4/10/1982; Nagrodzki Brunon 1, 1980; Niemirski Marek 1, 1980;

Nowosielski Jerzy 4/10/1982; Pągowska Teresa 1, 1980; Pieschner K. D. 2/6/1981; Piłwarski J. F. 2/6/1981; Polkowski Józef 2/6/1981; Popek Jan 1, 1980; 3, 1980; 1/7/1982; Rolla Krzysztof 4, 1980; Schönfelder Baldur 1, 1980; Strzeminski Władysław 4.10/1982; Studnicki Juliusz 4/10/1982; Smiech Ryszard 4, 1980; Weiss Wojciech 4/10/1982; Wróblewski Andrzej 4/10/1982; Zajcew Jurij 1, 1980; Ziemiński Jan 2, 1980; Zimmer Uwe 1, 1980; Żyliński J. N. 2/6/1981.

Autorzy prac fotograficznych

Apathy Malgorzata 2/8/1982; (ze zbiorów) Biblioteki Narodowej w Warszawie 2/6/1981, 4/10/1982; Ciechan Stefan 1; 2; 3; 1980; Ciunowicz Mirosław 2/6/1981; Gładysz Dionizy 3/9/1982; Jaśkiewicz Zbigniew 4, 1980; 1(5); 2(6)/1981; 1(7)/1982; Mirosław Jacek 4, 1980; Sęczykowska Elżbieta 4/10/1982; Urbanowicz Jan 2/6/1981; Zółkowska Teresa 4/10/1982.

W związku z licznymi pytaniami o możliwości zakupu archiwalnych numerów „Akcentu” informujemy, że:

— tomy 1 i 2 z roku 1980 są wyczerpane. Tomy 3 i 4 z tego roku są jeszcze dostępne w Składnicy Księgarskiej i na życzenie czytelnika mogą być sprowadzone przez każdą księgarnię w Polsce,

— numery 1(5) i 2(6) z roku 1981 są wyczerpane,

— numery od 1(7) do 4(10) z roku 1982 nabywać można w Lublinie w księgarni Domu Książki nr 2 przy ul. Krakowskie Przedmieście 68 (księgarnia przedstawicielska Wydawnictwa Lubelskiego) oraz w księgarni ORPAN (Pl. Marii Curie-Skłodowskiej, gmach Rektoratu UMCS). Czytelnicy spoza Lublina mogą je otrzymać za zaliczeniem pocztowym po uprzednim pisemnym zamówieniu w Wydawnictwie Lubelskim (20—022 Lublin, ul. Okopowa 7).

(red.)

Na pierwszej stronie okładki
Ornat z XVIII w., Mogiła, kościół cystersów
Na czwartej stronie okładki
Ornat z XVIII w., Mogiła, kościół cystersów

Fotografie barwne i czarno-białe
Tadusz Chrzanowski

Adres redakcji
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7, I piętro
tel. 274-69

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Cena prenumeraty: półrocznie 130 zł, rocznie 260. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW Prasa-Książka-Ruch i urzędy pocztowe. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW Prasa-Książka-Ruch, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 21, M-043 Warszawa, Konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-211000-100-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 25% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Wydawca: Wydawnictwo Lubelskie
20-022 Lublin, ul. Okopowa 7
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.
Oddano do składania 11 sierpnia 1981 r.
Zam. 289. Druk ukończono w marcu 1983 r.
Nakład 3000 egz. Cena zł 60,- S-4.